

Żadnego fałszu. Mistrzowski thriller.

David Baldacci

Marcia

Clark

**DOMNIEMANIE
WINY**

Prószyński i S-ka

Marcia Clark

Domniemanie winy

**Przełożył
Tadeusz Markowski**

Wydawnictwo Prószyński i S-ka

Moim synom

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[PROLOG](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[EPILOG](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Karta redakcyjna](#)

Postacie i wydarzenia przedstawione w tej książce są zmyślane. Wszelkie podobieństwo do osób żywych lub zmarłych jest przypadkowe i nie było zamiarem autora.

PROLOG

Zatrzasnął wieczko komórki i wepchnął ją do kieszeni obcisłych dżinsów. Ostatni element układanki dopełnił całości. Pozostawało tylko czekać. To było jednak nie do wytrzymania. Nagle opadły go niechciane wspomnienia jedynej przejażdżki na rollercoasterze. Poczuł, jakby tysiące cienkich igiełek wbijało się mu w twarz i w całe ciało. Miał wtedy osiem lat. Był uwięziony w ciasnym wózku udającym raketę, z którego nie było ucieczki. Znowu czuł narastające przerażenie, w miarę jak rozbrzmiewało ciche „klik, klik, klik” zapadek wciągających jego więzienie pod sam szczyt nieba.

Potrząsnął głową, żeby odpędzić wspomnienia i zgarnął nerwowo swoje długie rude włosy, wiążąc je w koński ogon. Przez chwilę trzymał dłonie z tyłu głowy, oddychając powoli, żeby uspokoić bicie serca. Nie mógł sobie pozwolić na atak w takim momencie. Uniósł do góry zużyty T-shirt, który miał na sobie. Odruchowo zerknął w lustro nad szafą i podziwiał zwiniętego węża wytatuowanego na płaskim, umięśnionym brzuchu.

Zaczął nerwowo chodzić po dywanie, szurając stopami. To mu pomagało. Mimo lęku poruszał się nawet z gracją. Analizował po raz kolejny swój plan i szukał w nim niedoskonałości. Przecież wszystko zaplanował dokładnie. Plan zadziała. Musi zadziałać. Zatrzymał się i rozejrzał po hotelowym pokoju. To było właściwie pudełeczko z łóżkiem, nazwane pokojem z przyzwyczajenia mocno na wyrost. Zerknął na ścianę. Z braku innych zajęć zaczął się bawić przełącznikiem. Nic się nie działo. Spojrzał w górę na brudny wiatrak pod sufitem. Zapach starych papierosów unoszący się w powietrzu świadczył, że wiatrak nie działał już od lat. Na ścianach były plamy nieznanego pochodzenia, które musiały być starsze niż on. To go rozbawiło. Ani plamy na ścianach, ani stęchły zapach brudu, ani

ogólne wrażenie beznadziejności tego pomieszczenia nie robiły na nim wrażenia. Nie było ono gorsze niż niejeden dom, w którym mieszkał dotąd w ciągu siedemnastu lat swojego pobytu na tej planecie.

Wprost przeciwnie. Ten okropny pokój napawał go uczuciem triumfu. Reprezentował świat, na którym się urodził i który zamierzał właśnie opuścić... na zawsze. Po raz pierwszy czuł, że kontroluje swoje życie. Życie, które o mało nie zakończyło się przez nawalonego ćpuna w czasie, kiedy tak zwana matka waliła sobie w żyłę w pokoju obok. Pierwszy raz o mało nie stracił życia, mając zaledwie dwa miesiące. Oczywiście znał to jedynie z raportu pracowników socjalnych – udało mu się go przeczytać w czasie jednej z wielu wizyt kontrolnych u kolejnych rodzin zastępczych, które „wychowywały” go przez ostatnie szesnaście lat. Tym razem wspomnienie raportu nie było wstrząsające. Zamiast bezradności i bólu poczuł w sobie siłę. Jej źródłem była możliwość samodzielnego wyboru. Teraz już mógł zacząć szukać tej kobiety – gdyby zechciał. Odszukać i pokazać, że jej dziecko dało sobie jednak radę. Mimo że była zbyt narąbana, żeby w ogóle się tym przejmować.

Jeszcze tylko kilka minut i będzie mógł pożegnać tego wiecznego zasrańca, zawsze żyjącego w cieniu. Stanął przy zabrudzonym oknie i wpatrywał się w ulicę, delektując się myślą posiadania pieprzonej forsy. Miał zamiar pokazać środkowy palec wszystkim przybranym rodzinom, dla których był jedynie źródłem dodatkowych dochodów i wszystkim dupkom, z którymi musiał się zadawać w zamian za jedzenie i kąt do spania. A jeżeli postanowi odnaleźć swoją matkę, zjawi się u niej z czymś super. Kupi jakiś prezent. Kieckę albo biżuterię. Coś, co sprawi, że zacznie żałować lat, kiedy go nie znała. Wyobrażał sobie, jak jej wręcza pięknie opakowane pudełko z prezentem. Cokolwiek miałoby w nim być. Starał się nawet wyobrazić sobie jej wyraz twarzy, ale nigdy mu się to nie udawało. Jedyne zdjęcie matki,

jakie posiadał – z czasów, gdy miał ledwie rok – było tak wyblakłe, że dało się na nim dostrzec jedynie zarys jej kasztanowych włosów. Ale i tak lubił sobie wyobrazać siebie w tej roli i pogrążyć się w marzeniach, że matka naprawdę go kocha.

Pukanie do drzwi przywołało go do rzeczywistości. Przełknął ślinę i przez chwilę walczył z ogarniającą go paniką. Wreszcie podszedł do drzwi. Trzęsły mu się ręce, więc potarł nimi energicznie o pośladki, żeby opanować drżenie. Powoli wypuścił powietrze z płuc i przybrał wyluzowany wyraz twarzy. Dopiero wtedy otworzył drzwi.

– Cześć. – Otworzył szerzej drzwi, cofając się. – Czemu to trwało tak długo?

– Straciłem poczucie czasu. Przepraszam – odparł gość, wchodząc do środka.

– Masz wszystko? – spytał chłopak z niepokojem.

Przybysz przytaknął skinieniem głowy. Chłopak uśmiechnął się i zamknął za nim drzwi.

1

– Winny? Tak szybko? – spytał Jake, kręcąc z niedowierzaniem głową.
– Co oni tam robili? Obeszli stół dookoła i nacisnęli dzwonek?

– Wiem, że to dziwne. – Zaśmiałam się. – Werdykt w czterdzieści pięć minut po trzymiesięcznym procesie. Byłam przekonana, że woźna żartuje, kiedy zadzwoniła do mnie, żebym wracała na salę rozpraw. Po prostu nie do uwierzenia. To będzie moja najszybciej wygrana sprawa morderstwa pierwszego stopnia.

– Sis! To rekord wszech czasów! – Toni, naśladowując slang z getta murzyńskiego, usadowiła się na krześle przed moim biurkiem.

– Tym razem wasza siostrzyczka spisała się na medal – stwierdziłam, starając się ją naśladować.

– Śnieżynko. – Toni spojrzała na mnie karcąco – Nie papuguj, bo ci to nie wychodzi. – Sięgnęła po kubek na parapecie, który odstawiłam specjalnie dla niej.

– Masz do wyboru. – Spojrzałam na nią znacząco – Albo to odwołasz i dostaniesz drinka, albo nie odwołasz i będziesz mogła się tylko oblizać.

Toni zerknęła na butelkę Glenlivet – najlepiej sprzedającej się whisky słodowej – na moim biurku i zacisnęła wargi, rozważając opcje. Długo to nie trwało.

– Zdziwiająca – stwierdziła. – Przez chwilę miałam wrażenie, że sama Siostra Souljah^[1] zjawiała się w tym pokoju – dodała bez specjalnego przekonania i walnęła kubkiem o moje biurko. – Zadowolona?

– Kiedyś starałaś się lepiej. – Wzruszyłam ramionami. – Nikt nie jest doskonały.

Połamalam lód wyjęty z mojej minilodówki i wrzuciłam do jej kubka. Potem nalałam ucziwie dwie porcje.

Toni popatrzyła na mnie znacząco, dając do zrozumienia, że zaraz posunę się za daleko i już chciała wznieść toast.

Spojrzałam na Jake'a i pokazałam mu butelkę.

– Może odrobinę na spróbowanie? – spytałam. Jake z zasady nie pił. Czasami jednak można go było namówić na kieliszeczek dla towarzystwa.

Pokiwał głową i uśmiechnął się tym swoim chłopięcym uśmiechem, który potrafił rozjaśnić każdy pokój. Okulary w metalowych oprawkach, falujące ciemne włosy i dyskretny, typowo wiejski styl bycia, dołeczki na policzkach, tworzyły kombinację nie do pokonania. Przysięgli ufali mu instynktownie. Sprawiał wrażenie cherubinka do tego stopnia, że ludzie nie zastanawiali się nawet, że musiał przecież kiedyś skończyć szkołę i przebrnąć przez ciężkie studia prawnicze. Nie wspominając o przeżyciu siedmiu lat w biurze prokuratora okręgowego. Nalałam mu odrobinę Glenliveta, obficie rozcieńczając wodą i uważałam, żeby nie nalać więcej, niż zdoła wypić. Sobie nalałam równie ostrożnie, ale wyszła mi jakoś potrójna miarka bez wody.

Toni wzniosła swój kubek.

– Za Rachel Knight, której udało się przyśpieszyć tryb przyśpieszony^[2].

– Wypiję za to. – Podniósł kubek i uśmiechnął się przebiegle. – Zanim pobiję ten rekord.

– Znowu się zaczyna – powiedziałam. – Jake wreszcie zrzucił swoją maskę.

– Tak trzymaj – wtrąciła Toni, zerkając na niego. – Teraz się zacnie, kurdupłu.

Odpowiedział jej twardym spojrzeniem i skinął głową. Patrzyli sobie w oczy, trącając się kubkami. Wszyscy wypili. Toni i ja długimi haustami. Jake drobnymi łyżkami.

– To była sprawa tego dilerza zastrzelonego w parku MacArthura? – spytała Toni, wracając do rzeczywistości.

Pokręciłam głową. Toni, Jake i ja pracowaliśmy w wydziale spraw specjalnych. To elitarny wydział, stworzony do zajmowania się najbardziej skomplikowanymi i najtrudniejszymi przestępstwami. Chociaż Toni była twarda i kompetentna jak reszta z nas, to jednak nie żyła samą pracą. W przeciwieństwie do mnie i do Jake'a. To jeden z obszarów, w których nawzajem się dopełnialiśmy.

– Nie – wyręczył mnie Jake – Oskarżony otruł swoją żonę, a potem rzucił jej ciało z klifu w Palos Verdes^[3].

– Aha. – Toni przypominała sobie przez chwilę sprawę. – Ciało zabrało morze, prawda. I nigdy nie znaleziono narzędzia zbrodni.

Przytaknęłam.

Pokręciła z uśmiechem głową.

– Jasne. Dowody są dobre dla cipek – oznajmiła radośnie. – Naprawdę jesteś moim idolem. – Wzniosła kubek w toaście.

– Miałam fart. – Wzruszyłam ramionami i podniosłam kubek.

– Błagam. – Toni skrzywiła się. – Oszczędź nam tych swoich fałszywych gierek. Widziałam już, jak się dobierasz do dupy największym mętom. Nikt inny nie umie tego robić tak jak ty. – Spojrzała na Jake'a i dodała – No. Może z wyjątkiem ciebie.

Pociągnęła kolejny łyk i oparła się wygodniej na krześle.

– Oboje robicie z siebie idiotów – oznajmiła.

Wymieniliśmy z Jakiem spojrzenia. Odkąd przeniesiono go dwa lata temu do naszego wydziału, obydwójce wpadliśmy w coś, co można by nazwać twórczym pracoholizmem. Bycie prokuratorem było dla nas nie tyle sposobem na życie, ile misją. Utożsamialiśmy się z każdą ofiarą. I uważaliśmy za nasz obowiązek zrównoważenie ich cierpienia chociaż

odrobiną sprawiedliwości. Na mocy jakiegoś niepisanego, lecz obustronnie uznanego paktu, nigdy nie łączyliśmy z pracą życia osobistego. Bardzo rzadko jadaliliśmy razem lunch, a w czasie wieczornej pracy przed trudnymi sprawami nigdy nawet nie przyszło nam do głowy iść na wspólną kolację. Zamiast tego korzystaliśmy z mojego zapasu precelków zachomikowanych w biurku, doprawianych małymi paczuszkami musztardy, które Jake podbierał z sądowej stołówki. Ani razu przez te dwa lata nie wspominaliśmy o naszym życiu poza biurem ani o tym, co robiliśmy, zanim zostaliśmy prokuratorami. Ten dziwny układ między nami miał o wiele głębsze podłoże niż samo uwielbienie zawodu. Żeby się lubić, ludzie muszą się poznać. Nigdy go nie pytałam o sprawy prywatne, bo sama nie miałam zamiaru opowiadać o swoim życiu. Jake zachowywał się podobnie. Nie pytaj i nie odpowiadaj. A jeśli ktoś zapyta, to go zbywaj. I właśnie to wzajemne milczące porozumienie pozwalało nam relaksować się we własnym towarzystwie jak nigdzie indziej.

– Cóż – powiedział Jake ze złośliwym uśmiechem. – Ona naprawdę miała szczęście, Toni. Trafiła na sędziego Tynana.

Toni prawie się zadławiła z wrażenia.

– Czyli jednak jesteś farciarą – stwierdziła. – Ile razy ci się wymasknęło?

– Nie było tak źle – odparłam. – Tylko raz nazwałam go dupkiem.

– Jak na ciebie, całkiem nieźle. Kiedy?

– Podczas oddalania zarzutów. I chodziło o świadka.

Moja zapalczliwość podczas wystąpień sądowych kosztowała mnie już parę grzywien. Kary finansowe zamiast mnie hamować sprowokowały tylko do stworzenia prywatnej rezerwy w banku przeznaczonej na tego typu sytuacje.

– Zwykle obrażasz sądy z jakiegoś konkretnego powodu – mówiła Toni.

– Co tym razem palnął Tynan?

– Po prostu „ostrzegam panią, pani prokurator”. – Westchnęłam i napiłam się trochę, wyciągając wygodniej nogi pod biurkiem. – Chciałabym, żeby prowadził wszystkie moje sprawy.

– Akurat – parsknął Jake. – Po drugiej sprawie wyczerpałabyś całą jego cierpliwość. A po trzeciej byś całkiem zbankrutowała.

– Dzięki za twoją wiarę we mnie.

– Chciałem tylko powiedzieć, że...

Zaśmiałam się i cisnęłam w niego spinaczem. Złapał go jedną ręką i zerknął przez okno na zegar na biurowcu „Timesa”.

– Kurczę! Muszę lecieć. Do zobaczenia! – Odstawił kubek i wyszedł. Jego szybkie kroki niosły się echem po korytarzu.

– Powtórzyć? – spytałam Toni, podnosząc butelkę Glenlivet.

– Nie. – Pokręciła głową. – Mam już dość tej miejskiej sielanki na dzisiaj. A może byśmy wyskoczyły do Church and State? Powinniśmy naprawdę uczcić dzisiejszy dzień.

Church and State to była nowa knajpa w Meatpacking District^[4]. Restauracja specjalizowała się w cateringu i organizowaniu przyjęć u klienta. Zagadką było, jakim cudem zdobywała gości z ulicy, mając konkurencję w postaci znanej knajpy Skid Row usytuowanej zaledwie dwie przecznice dalej. Zerknęłam na stos teczek na szafce, w której ukrywałam swoją minilodówkę. Miałam ochotę zabawić się trochę. Zwłaszcza że sprawa tego okropnego morderstwa była już poza mną i należała mi się chwila relaksu. Proces oderwał mnie jednak od innych spraw, a zawsze wpadałam w panikę, jeżeli nie sprawdzałam postępu swoich spraw co kilka dni. Jeżeli wyjdę z Toni, będę nieustannie myśleć o zaległościach i żałować, że wyszłam. Przynajmniej tego mogłam jej oszczędzić.

– Sorry, Toni, ale...

– Nie wysilaj się. Wiem, wiem. – Pokiwała z politowaniem głową, odstawiła kubek na biurko i wstała z krzesła. – Żal ci tracić czasu na świętowanie takiej sprawy? To jest chore.

W jej tonie nie słychać było jednak specjalnego zdziwienia.

– Może jutro? Sama wybierzesz lokal – obiecałam jej bez przekonania. Nie miałam pojęcia, kiedy uda mi się wygrzebać z zaległości. Nie chciałam jej jednak sprawiać przykrości i przyrzekłam sobie w duchu, że zrobię wszystko, żeby dotrzymać słowa.

– Przypomnę ci jutro. – Zarzuciła sobie torbę z laptopem na jedno ramię a swoją torebkę na drugie. – Wychodzę. Postaraj się nie siedzieć zbyt długo. Jeżeli twój cierpiący na zespół OCD^[5] współlnik potrafił nawiać stąd gdzie pieprz rośnie – skinęła głową w stronę pokoju Jake'a – to ty również możesz sobie jeden wieczór odpuścić.

– Owszem. – Spojrzałam w tę samą stronę. – Ciekawe, co tam jest grane?

– Może jego Anioł Stróż kazał mu zacząć prowadzić normalne życie – stwierdziła Toni, wychodząc na korytarz. – Ja też mam życie prywatne, więc teraz oficjalnie opuszczam ten obszar dotknięty OCD. – Uśmiechnęła się i wyszła.

– Baw się dobrze!

– Ty również – odkrzyknęła, a potem głośnym szeptem dodała – cipo!

– Słyszałam! – krzyknęłam za nią.

– Wisi mi to!

Wyciągnęłam się wygodnie na chłodnej skórze majestatycznego sędziowskiego fotela. Z trudem się mieścił przy moim niewielkim biurku, ale nie przeszkadzało mi to. Fotel pojawił się pewnego wieczoru w tajemniczych okolicznościach na korytarzu, kilka pokoiów obok mojego. Rozejrzawszy się uważnie, czy nikogo nie ma w pobliżu, szybko

wepchnęłam go do siebie. Stare krzesło wyniosłam dalej, żeby nie dało się ustalić jego pochodzenia. Wracając do siebie, zastanawiałam się, czy przypadkiem ktoś go nie wyniósł z pokoju sędziowskiego. W takim wypadku moja zdobycz była tym cenniejsza.

Sięgnęłam do stosu zaległości i złapałam pierwszą teczkę z wierzchu. Już po kwadransie oczy mi się kleiły. Sądziłam, że starczy mi sił na przejrzenie przynajmniej paru spraw. Jak zwykle nie zauważyłam, jak bardzo jestem zmęczona. A Glenlivet wcale mi nie pomógł.

Wsluchiwałam się w odgłosy maruderów opuszczających biuro. Kiedy za ostatnim zamknęły się wreszcie drzwi, zapadła długo oczekiwana przeze mnie cisza. To była moja ulubiona pora, bo cały budynek prokuratury okręgowej należał do mnie. Żadnych telefonów, kumpli ani gliniarzy. Westchnęłam z radości i spojrzałam przez okno na ten nigdy niestarzejący się widok. Właśnie zapaliły się latarnie uliczne i na tle ciemniejącego nieba było widać ząbkowane zarysy biurowców rządowych. Z mojego gniazda na osiemnastym piętrze budynku sądu kryminalnego miałam widok na cały kompleks biur policyjnych z budynkiem administracji aż po teatry w Dorothy Chandler Pavilion. I oczywiście wszystkie ulice i zaułki między nimi. Wciąż rozśmieszała mnie ironia takiego usytuowania między dwoma tak różnymi światami. Samo posiadanie biura z oknem było już cudem, nie wspominając nawet o rewelacyjnym widoku z okna. To wspaniałe ukoronowanie mojego przeniesienia do wydziału spraw specjalnych i siedmiu lat męki na różnych posadach, żeby to osiągnąć.

Rutynowe działania w mniejszych sądach okręgów Van Nuys i Compton nie przeszkadzały mi zupełnie. Spotykanie co kilka lat tych samych oskarżonych z nowymi zarzutami nadawało tej pracy posmaku firmy rodzinnej i czegoś na kształt domu. Oczywiście była to dziwna, patologiczna i raczej przestępcza rodzina, ale zawsze. Nie mogę

powiedzieć, żebym przez to czuła się podle. Po prostu ta praca była dla mnie. Odkąd po raz pierwszy usłyszałam o powołaniu wydziału spraw specjalnych w biurze prokuratora okręgowego, od razu wiedziałam, że chcę się w nim znaleźć. Starsi prokuratorzy ostrzegali mnie przed pracą bez godzin, ciągnącymi się miesiącami procesami, presją opinii publicznej i ciągłym stresem; to łączyło się z pracą w tym wydziale. Żaden z nich nie wiedział, że to mój żywioł. I okazało się po moim przeniesieniu, że jest tu nawet lepiej, niż oczekiwałam. Prawie przy każdej sprawie miałam do czynienia ze wspaniałymi gliniarzami i najlepszymi prawnikami po obu stronach barykady. Czekala mnie potwornie wyczerpująca praca – w tym względzie nie było żadnej przesady. W życiu często jest tak, że kiedy dochodzimy do długo oczekiwanego celu, okazuje się, że jest tam gorzej, niż nam się zdawało. Jak to mówią: „Uważaj ze swoimi życzeniami”. Ale nie w tym wypadku. Dostanie się do wydziału spraw specjalnych było dokładnie tym, czego pragnęłam, i dało mi nawet więcej, niż się spodziewałam. Codziennie tym się upajałam.

Próbowałam wrócić myślami do nowego raportu dołączonego do przeglądanej właśnie sprawy, ale słowa zaczynały mi się rozmazywać przed oczami. Znowu wyciągnęłam się wygodnie w fotelu, licząc na drugi oddech. Patrzyłam na zakorkowaną samochodami Main Street. Niebo było już całkiem czarne i zasnuwane chmurami.

Wiedziałam, że drugi oddech w najbliższym czasie nie nadejdzie. Postanowiłam pogodzić się z porażką i odłożyć wszystko do jutra. Przeciągnęłam się, podeszłam do stolika, gdzie zostawiłam swoją teczkę i przeniosłam ją na biurko. Wcisnąwszy w nią pięć zaległych spraw – wiedząc, że i tak ich nie ruszę – wzięłam torebkę i płaszcz z wieszaka. Ubrałam się, zarzuciłam pasek teczki na ramię i wsunęłam rękę w kieszeń,

żeby odbezpieczyć swoją berettę 22. Otworzyłam nogą drzwi i ruszyłam w stronę windy.

O tej porze nie musiałam długo czekać. Po kilku sekundach zabrzmiał dzwonek i weszłam do kabiny. Winda runęła w dół przez osiemnaście pięter i zatrzymała się dopiero na parterze. Można było dostać od tego zawrotu głowy, choć zdarzało się to tylko o takich późnych godzinach. Uwielbiałam to uczucie, chociaż musiałam się pilnować, żeby za bardzo nie myśleć o awarii takich urządzeń ani o szansach na przeżycie w wypadku katastrofy.

Szłam przez ciemny hol wejściowy w stronę tylnego wyjścia, starając się przyzwyczaić do ciemności. Odkąd rok temu zamieszkałam w znajdującym się zaledwie sześć bloków dalej Biltmore Hotel, postanowiłam chodzić do pracy piechotą. Lubiłam spacerować i mogłam dzięki nim zająć się tylko swoimi myślami. Nie licząc oszczędności na benzynie i na kosztach utrzymania samochodu. Jedynie po zapadnięciu zmroku nachodziły mnie wątpliwości. Centrum Los Angeles wyludnia się po siedemnastej, oddając placu populacji zamieszkującej ulice. Martwiłam się nie tyle bezdomnymi, ile raczej żerującymi na nich wyrzutkami.

Mój fach nauczył mnie dostrzegać wszędzie niebezpieczeństwo. Chociaż od dzieciństwa wiedziałam, że śmiertelne zagrożenia mogą czyhać za każdym rogiem. Dlatego nigdzie nie ruszałam się bez broni, choć nie miałam na nią zezwolenia. Ten brak zezwolenia czasami mnie martwił, ale jak mawiał mój ojciec „lepiej być sądzonym przez dwunastu niż niesionym przez sześciu”. Nigdy nie występowałam o pozwolenie na broń, ponieważ bałam się, że mi odmówią. Urzędnikom publicznym niechętnie wydawano zezwolenia, odkąd szwagier pewnego szeryfa oddał „strzały ostrzegawcze” w stronę dzieciaków na ulicy słuchających na cały regulator rapu w samochodzie. Szczerze mówiąc, postanowiłam nie rozstawać się z bronią bez względu na stan formalny. Poza tym nie byłam w tej dziedzinie

nowicjuską. Jako córka swojego ojca zaczęłam mieć do czynienia z bronią od chwili, kiedy mogłam unieść ją do góry obiema rękami. Jeżeli musiałam strzelić, to raczej nie chybiałam. Stałam jak zwykle przed szklanymi drzwiami wychodzącymi na budynek „Timesa”, wypatrując oznak zagrożenia. Niczego nie dostrzegłam, więc otworzyłam je i wyszłam na zewnątrz.

Schodząc schodami, usłyszałam nasilający się dźwięk syreny policyjnej. Zaraz potem powietrze przeszył ogłuszający ryk syreny i klaksonu straży pożarnej. Byli bardzo blisko. Syreny radiowozów policyjnych zdawały się zbliżać ze wszystkich stron i nagle noc wypełniła się dziką energią. Migające światła radiowozów wydawały się zastygnąć zaledwie cztery bloki przed Biltmore Hotel. Wiedziałam, że budynek zajmowały sklepy spożywcze, lombardy z żelaznymi kratami w oknach i tanie motele. Nigdy nie widziałam takiego zbiegowiska władzy na miejscu zbrodni w centrum miasta. Moi zwykli sąsiedzi – ćpuny, alfonsi, prostytutki i bezdomni – nie byli warci tak dosłownej interpretacji motta „Chronią i służą”. Zżerała mnie ciekawość. Postanowiłam sprawdzić, co się stało. Przy takim zagęszczeniu policji nie musiałam się przynajmniej przejmować bandziorami.

[1] Sister Souljah – znana raperka i działaczka społeczna w USA. Wsławiła się m.in. krytyką Bila Clintona (przyp. tłum.).

[2] Speedy trial – tryb przyśpieszony procesów, zagwarantowany dzięki 6 Poprawce w Amerykańskiej Konstytucji, dla procesów kryminalnych, celem uniknięcia nieuzasadnionego przetrzymywania podejrzanych w areszcie (przyp. tłum.).

[3] Południowo-zachodnia część Los Angeles (przyp. tłum.).

[4] Meatpacking District - rewitalizowana dzielnica Los Angeles. Obecnie miejsce luksusowych sklepów, loftów i restauracji (przyp. tłum.).

[5] Zespół OCD – (ang. obsessive-compulsive disorder) zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne (przyp. tłum.).

2

Już po kilku minutach zorientowałam się, że centrum wydarzeń znajdowało się na skrzyżowaniu Czwartej i Południowego Broadwayu, tuż za rogiem Pershing Square, w tanim hotelu wynajmującym pokoje na godziny. Z wnętrza wydobywał się dym, strażacy już byli na miejscu.

Przebiegłam się przez grupkę gapiów i dotarłam do taśm policyjnych odgradzających teren zdarzenia. Podeszłam jak się dało najbliżej i zaczęłam wyszukiwać znajomych twarzy, żeby się dowiedzieć, co się stało. W dymie dostrzegłam zarys furgonetki koronera, która z pewnością pamiętała lepsze dni. Zmrużyłam oczy, starając się coś zobaczyć przez dym, i wreszcie zauważyłam kierowcę – wyglądał na zewnątrz. Korpulentny facet w spodniach sztormowych, niebieskim płaszczu i tenisówkach Nike. Miałam szczęście.

– Scott! – krzyknęłam. Scott Ferrier był śledczym w biurze koronera. Zaprzyjaźniliśmy się podczas mojej pierwszej sprawy o morderstwo, gdy zaczynałam karierę w prokuraturze. Pomachał mi i podszedł bliżej.

– Czy twoja mamusia wie, że się włóczysz po nocach? – spytałam. Próbował zabić mnie spojrzeniem. – Jak na sprzeczkę alfonsów, to ściągnęliście tu potężne siły, nie sądzisz?

– Noo. To dziwne – przytaknął. – Jeżeli poczekaś chwilę, rozejrzę się i dam ci znać, czego się dowiedziałem.

– Mogę zaczekać w środku? – Wskazałam na furgonetkę.

– Jasne. Tylko jej nie rąbnij. – Wiedział doskonale, że musiałby nieźle dopłacić, żeby ktoś zechciał mu ukraść tego gruchota.

Zaczął się przeciskać przez tłum policjantów i strażaków w stronę wejścia do hotelu. Ja usadowiłam się na miejscu kierowcy i starałam się nie myśleć o pasażerach tego pojazdu przewożonych z tyłu.

Z budynku zaczęli wychodzić strażacy. Jeden zwijał już wąż. Byli tu zaledwie kilka minut. Jeżeli szybko uporali się z ogniem, to znaczy, że pożar nie był groźny.

Przyglądałam się postawnym strażakom przy pracy i przypomniało mi się stare powiedzenie, że Bóg uczynił pielęgniarzy i strażaków przystojniakami, żebyśmy mogli przed śmiercią popatrzeć na coś pięknego. Nagle czyjś głęboki i władczy głos wyrwał mnie z rozmyślań.

– Pani jest z biura koronera?

Siedziałam w furgonetce bokiem, obserwując hotel. Musiałam się obrócić w lewo, żeby dostrzec właściciela tego głosu. Miał około metra osiemdziesięciu centymetrów, był szczupły, ale mocno umięśniony, co dało się zauważyć pod opinającym go niebieskim mundurem. Długie ciemnoblonde włosy przypominały, że warto ze sobą nosić grzebień. Miał piwne oczy migoczące złotym blaskiem odbitym od latarni, mocno zarysowaną szczękę, spory nos i wydatne usta. Dystynkcje na mundurze wskazywały na szycę. Plakietka identyfikacyjna to potwierdziła: porucznik Graden Hales. Jego podejrzliwe spojrzenie drażniło mnie, ale sama obecność kogoś takiego w tym miejscu była jeszcze bardziej intrygująca. Po co ścigali tutaj porucznika?

– Jestem z prokuratury okręgowej. Czekam na Scotta – odparłam. Postarałam się przybrać swój najlepszy ton służbowy.

Spodziewałam się, że mój status prokuratora zakończy temat. Myliłam się.

– Obawiam się, że musi pani opuścić ten teren – powiedział stalowym głosem. – Wolno tu teraz przebywać jedynie osobom bezpośrednio związanym ze śledztwem.

Próbował wygonić mnie ze sceny zbrodni drobnych rzezimieszków? Tu się działo coś dziwnego. Teraz już byłam wręcz głodna informacji.

– Okej. Ale i tak muszę poczekać na Scotta, bo miał mnie podrzucić do domu. – Było to czyste kłamstwo, miałam jednak nadzieję, że zniechęci porucznika służbistę. Znowu się pomyliłam.

– Załatwię pani radiowóz. Gdzie panią odwieźć?

Naprawdę się wkurzyłam. Od kiedy to prokuratorzy są wyrzucani z miejsca zbrodni? Facet wciskał mi kit.

Wysiadłam z furgonetki. Już miałam otworzyć usta i wpaść w kolejne kłopoty, kiedy pojawili się pomocnicy koronera z wózkiem do wywożenia ciała. Nagle z hotelu wybiegł za nimi Scott, krzycząc:

– Jego okulary. Dajcie mi te okulary!

Zespół z wózkiem nagle się zatrzymał. Ciągący go z przodu pracownik nie zorientował się w porę i gdy wózek uderzył go w biodro, mężczyzna zaklął szarczyście. Drugi pomocnik szybko zaczął otwierać worek z ciałem. W żółtawym świetle latarni pojawiła się bladoniebieska twarz i cała głowa, z której asystent zdjął okulary i podał je Scottowi. Widziałam w swoim życiu mnóstwo ciał. Nie byłam jednak przygotowana na widok tego konkretnego ciała. Zachwiałam się i oparłam plecami o furgonetkę. Czyjaś silna ręka złapała mnie, podtrzymała i odciągnęła z tego miejsca. Spojrzałam w górę i dostrzegłam porucznika Halesa. Słyszałam jak przez mgłę, że coś do mnie mówi, ale nie potrafiłam zrozumieć ani słowa. Potrzaskałam głową, próbując się obudzić z tego koszmaru. To nie mogła być prawda. Miałam wrażenie, że wszystko obok toczy się w zwolnionym tempie i z wyciszonym dźwiękiem. Pomocnicy koronera załadowali tymczasem wózek z ciałem do furgonetki. Przyglądałam się temu jak skamieniała, nie mogąc uwierzyć w to, co widziałam. Porucznik złapał mnie za łokieć, drugą ręką popchnął lekko w plecy. Nie miałam wyboru i posuwałam się zgodnie z jego wolą na sztywnych nogach jak kukiełka.

Doprowadził mnie do swojego samochodu, bezwolnie pozwoliłam się posadzić na tylnym siedzeniu i zapiąć pasy bezpieczeństwa.

Musiałam mu podać swój adres, chociaż go nie pamiętałam. Pamiętałam jedynie, że gapiłam się bezmyślnie na mijane domy i powtarzałam sobie, że to musi być jakaś pomyłka.

Jake Pahlmeyer, mój kolega z wydziału, nie żył. Zginął w tej dziurze. Próbowałam zamknąć oczy i obudzić się z koszmaru. Wbrew logice nie chciałam o nic pytać porucznika. Dopóki nikt tego nie potwierdzi oficjalnie, to nie mogło być prawdą.

3

Porucznik Hales zaparkował przed wejściem do Biltmore, wyciągnął mnie z samochodu i doprowadził do wejścia. Gdzieś wśród oparów mgły zapomnienia i niewiary zamajaczyła mi zatroskana twarz Angela, portiera.

– Co się stało, Rachel? – spytał, odbierając mnie od Halesa.

– Miała ciężki wieczór – odparł zwięźle Hales.

– Sam się nią zajmę. – Angel spoglądał na niego oskarżycielsko.

Nie miałam siły, by mu tłumaczyć, że porucznik nie miał z tym nic wspólnego. W milczeniu wsiedliśmy do windy.

Doprowadził mnie do mojego pokoju. Chciałam mu podziękować, ale nie pamiętam, czy zdołałam cokolwiek wykrztusić. Wiem tylko, że kiedy zamknęłam za nim drzwi, wyciągnęłam butelkę wódki Russian Standard Platinum, którą dostałam od kogoś już dawno temu i nalałam sobie solidną porcję.

Potem gapiłam się w telewizor. Zastanawiałam się, czy coś już przeciekło, może powieścią w wiadomościach? Uświadomiłam sobie, że nie chcę wiedzieć. I nie potrafiłam się zmusić, żeby zadzwonić do Toni o pomoc. Może rozmawiając z nią, uwierzyłabym w realność tego wszystkiego. Teraz marzyłam jedynie o zapomnieniu. Dokończyłam drinka i nalałam sobie kolejną porcję. Powtarzałam ten rytuał, dopóki nie urwał mi się film.

Rano nie wydawało mi się to już takim dobrym pomysłem. Obudziłam się z potwornym kacem, od razu wiedziałam, że to nie będzie dobry dzień. Jęcząc, zwlekłam się z łóżka i doczłapałam do łazienki. Po prysznicu poczułam się lepiej. Zadzwoniłam do room service i zamówiłam śniadanie. Oprócz tradycyjnej kawy z mlekiem poprosiłam o prawdziwą jajecznicę i

bajgla zamiast zwyczajowych duszonych pomidorów z samym białkiem z jajek. Pieprzyć dietę. Potrzebowałam czegoś konkretnego.

Jedząc, gapiłam się w ciemny ekran telewizora i bałam się go włączyć. Ciekawość jednak wzięła górę i sięgnęłam po pilota. Na żadnym kanale, sprawdziłam wszystkie po kolei, nie znalazłam ani wzmianki o wczorajszych wydarzeniach. Zadrżałam. To było naprawdę dziwne. Wyłączyłam telewizor i napawałam się ciszą. W moim obecnym stanie im mniej hałasu, tym lepiej.

Brak jakiegokolwiek wzmianki w telewizji sprawił, że wydarzenia z poprzedniego wieczoru stały się surrealistyczną wizją. Postanowiłam porozmawiać z Toni. Szybko dopiłam kawę i wyszłam na balkon, aby sprawdzić, jak jest na dworze. Owinęłam się puszystym szlafrokiem, ale i tak dostałam gęsiej skórki od porannego chłodu. Ciemne niebo oznajmiało, że wczorajsze chmury nie zamierzały się poddawać. Ubrałam się w szare wełniane spodnie z gabardyny, czarny sweter z golfem i czarne kozaczki na niskim obcasie. Postanowiłam zabrać ze sobą rewolwer .357 Smith & Wesson zamiast poręcznej beretty. Po tym, co zobaczyłam zeszłego wieczoru, uznałam, że finezja musi ustąpić miejsca sile ognia. Zabrałam teczkę i owinęłam się czarnym kaszmirowym szalem. Była to jedyna pamiątka, jaką sobie zostawiłam po ostatnim nieudanym romansie. Podeszłam do windy i nacisnęłam przycisk. Starłam się nie podskoczyć na dźwięk dzwonka, kiedy się zatrzyma.

Szybkim krokiem przeszłam sześć bloków dzielących mnie od biura, dzięki czemu udało mi się nieco przyćmić huczenie w skroniach. Kiedy zbliżyłam się do wykrywacza metalu przy portierni, zdałam sobie sprawę, że cały czas zaciskam dłoń na kolbie rewolweru. Pokazałam ochroniarzowi odznakę i weszłam do środka. Podbiegłam do otwierającej się windy i jakoś przetrzymałam te niekończące się postoje na każdym piętrze w drodze do

biura. Wklepałam kod wejściowy do wydziału i uświadomiłam sobie, że zaraz znajdę się tuż obok pokoju Jake'a. Myślałam, że będzie już zaplombowany taśmą policyjną, ale chyba było jeszcze za wcześnie. Nie wytrzymałam, poczułam łzy w oczach. Zamrugałam, żeby je jakoś powstrzymać i poszłam w stronę pokoju Toni.

– Puk, puk – szepnęłam chrapliwie, wiedząc, co odgłos pukania w drewno może uczynić z moją głową. Toni pracowała na komputerze i usłyszawszy mnie, odwróciła się.

– Rany Julek, dziewczyno! – wykrzyknęła. – Wyglądasz okropnie. To była bardzo udana czy bardzo nieudana noc?

Zwaliłam się na metalowe krzesło przed jej biurkiem. Niebo zdążyło pociemnieć jeszcze bardziej i na szybach pojawiły się pierwsze krople deszczu. Nabrałam powietrza i powoli je wypuściłam, próbując wykrztusić słowa, w które sama jeszcze nie wierzyłam.

– Toni – zaczęłam, i znów się zacięłam, bo poczułam w gardle wielką gulę.

– Kotku, co z tobą? – zaniepokoiła się. – Dobrze się czujesz?

– Chodzi o Jake'a. Nie żyje.

– Co? – Spojrzała w stronę jego pokoju z wyrazem niedowierzania na twarzy.

Skinęłam głową, starając się opanować łzy. Toni była w szoku. Automatycznie podała mi chusteczkę, których pudełko zawsze trzymaliśmy na biurkach na potrzeby ofiar i ich rodzin.

Kiedy wyjmowałam kolejną z pudełka, uświadomiłam sobie, że chyba pierwszy raz ktoś z nas korzysta z tych chusteczek.

– W jaki sposób? Ma przecież... jakieś trzydzieści pięć lat? – Toni gapiła się w ścianę, starając się przyjąć ten fakt do wiadomości. – Wypadek?

– Pokręciłam głową, przełykając łzy.

– Ktoś go zabił.

– Niemożliwe – szepnęła, jakby mówiła do siebie.

Opowiedziałam jej, co widziałam poprzedniego wieczoru.

– Nasz Jake... w tej torbie na trupy... Nie mogę w to uwierzyć. Był dla mnie jak ...

– ...młodszy brat – dokończyłam jej myśl.

Przytaknęła skinieniem głowy, w jej oczach pojawiły się łzy. Zagryzła wargi, walcząc z płaczem, a potem zasłoniła usta, starając się nie dać rozpaczy.

– To takie niesprawiedliwe... żeby ktoś tak młody i słodki... umierał – wykrztusiła.

Jej słowa otworzyły we mnie ranę wspomnień. O mojej siostrze, Romy. Przypomniałam sobie jej ostatnie zdjęcie ze szczerbatym uśmiechem i znów poczułam gułę w gardle. Tylko pokiwałam głową, nie mogłam wykrztusić ani słowa. Udało mi się zablokować wspomnienia o niej, a teraz wszystko zaczynało odżywać. A to zawsze kończyło się u mnie poczuciem winy i samooskarżaniem.

Siedziałam nieruchomo i gapiłam się bezmyślnie. Toni mrugała gwałtownie, trzymała się za pierś, jakby chciała uspokoić bicie serca.

– Nie wiesz, czy miał tu jakąś rodzinę – albo dziewczynę? – spytała.

Przez cały ten czas, kiedy wspólnie pracowaliśmy, nigdy nie wspominał o rodzicach. Nawet się nad tym nie zastanawiałam, nigdy nie poruszaliśmy tematów osobistych. Starłam się przypomnieć sobie szczegóły naszych rozmów.

– Nigdy nie wspominał o dziewczynie, ale kiedyś mówił coś o siostrze.

– Co on, do cholery, robił w takiej dziurze? – zdziwiła się Toni. – I kto, na Boga, chciałby go zabić?

Sama się nad tym zastanawiałam przez ostatnich kilka godzin. Znów pokręciłam głową bezradnie i przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Po raz tysięczny próbowałam to sobie jakoś wytłumaczyć, ale bezskutecznie.

– Myślisz, że sprawę przejmą federalni? – spytała Toni.

– Jasne. Dla nas to będzie konflikt interesów, więc zajmie się tym prokuratura generalna.

Zadzwoił jej telefon i obie aż podskoczyłyśmy. Dopiero po drugim dzwonku podniosła słuchawkę.

– Tak? – Słuchała uważnie rozmówcy. – Tak. Jest tutaj. Wpuśćcie go.

Spojrzałam na nią pytająco. Zanim zdążyła odpowiedzieć, w drzwiach pojawił się policjant. Trwało dobrą chwilę, zanim sobie uświadomiłam, że to ten sam, z którym miałam do czynienia poprzedniego wieczoru. Wyglądał, jakby nie spał całą noc, ale mundur leżał na nim zadziwiająco dobrze.

– Porucznik Hales. – Kiwnął głową do Toni, potem do mnie. – Odwoziłem panią wczoraj wieczorem do domu...

– Oczywiście, pamiętam. – Mój ton był lodowaty. Zawsze to miło wyżyć się na posłańcu.

– Miałem spotkanie z waszym szefem.

– Z Erykiem?

– Nie. Z Billem Vanderhornem.

Jasne. Przy tak delikatnej sprawie musiał się widzieć z samym prokuratorem generalnym, a nie z jakimś szefem wydziału spraw specjalnych.

– Sprawą zajmą się federalni?

– Prawdopodobnie – bąknął, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru z nikim o tym dyskutować, co tylko mnie rozjuszyło. Jeżeli nie miał zamiaru rozmawiać o sprawie, to czego tu szukał?

– Chciałem tylko upewnić się, że – wyczuł moją irytację – z panią jest wszystko w porządku.

Ciepło w jego tonie zaskoczyło mnie. Wydawało się, że naprawdę jest przejęty. Poczułam się nieswojo, co tylko nasiliło moją irytację. Wiedziałam, jak to ujęła dawno temu Carla, że w ten sposób tłumimy żal gniewem. W dzieciństwie Carla swoją obecnością bardzo mi pomogła po odejściu Romy. I mimo że minęło dwadzieścia sześć lat i dzieliło nas tysiąc kilometrów, wciąż była moją wyrocznią. Miałam w nosie, co powiedziałyby Carla. Właśnie przeszłam przez proces zaprzeczania żalowi i przechodziłam do etapu wściekłości. Irytacja była doskonała na początek. I jeszcze przydałoby mi się jakieś zajęcie. Musiałam coś zrobić. Chciałam dopaść sukinsyna, który zabił Jake'a.

– Może by pan powiedział wreszcie, co już macie? Nie ma sensu robić z tego tajemnicy. Za godzinę wszyscy będą o tym trąbić. Oboje wiemy, że prokuratora okręgową nie będzie się tym zajmować.

Hales spochmurniał i zamilkł na chwilę.

– Ona ma rację, poruczniku – wtrąciła Toni swoim aksamitnym tonem, który zwykle sprawiał, że faceci zaczynali się rozklejać i jąkać.

Na Halesa to wyraźnie nie działało. Co najwyżej jeszcze bardziej spochmurniał. Gapił się w okno, i ja też. Deszcz padał równo, na First Street zrobił się korek. Taksówka wyjeżdżająca z Temple Street zahamowała gwałtownie na centymetry przed zderzakiem nowiutkiego mercedesa, który wolniutko przebijał się przez skrzyżowanie. Dostrzegłam taksówkarza wychylającego się przez okno, wygrażał pięścią, a potem pokazał środkowy palec kierowcy mercedesa, który niewzruszenie dalej posuwał się swoim tempem. Byłam po stronie taksówkarza.

– Mam na imię Graden – odezwał się wreszcie Hales. – Dobrze znałyście Jake'a?

Od strony zawodowej mogłam mu wiele o Jake'u opowiedzieć. O jego ulubionym garniturze, który zawsze przynosił mu szczęście w mowach końcowych. O jego ulubionych sędziach i znienawidzonych adwokatach. Ale Graden oczekiwał czegoś innego. A w tej kwestii nie mogłam mu pomóc. Nawet nie wiedziałam, czy Jake lubił chińszczyznę. Uświadomiłam sobie, że nie będzie to wyglądać dobrze. Hales i tak sam do tego dojdzie. Skoro nie odpowiadał na nasze pytanie, to nie czułam potrzeby odpowiadania na jego.

– Całkiem niezłe – powiedziałam. – Jest jednym z najlepszych prawników w biurze i jednym z najciężej pracujących. Wszyscy go tu lubili.

To akurat była prawda, chociaż wątpiłam, żeby Hales o tym wiedział. Wydział spraw specjalnych był małym biurem, zajmującym się największymi sprawami, często ocierającymi się o politykę. Zatrudniał zaledwie siedmiu pracowników, z których każdy cierpiał na przerost ego. Nigdy nie zajmowałam się sprawą z pierwszych stron gazet. Nie dlatego, żebym nie chciała wielkich spraw, ale dlatego, że byłam przesądna. Wierzyłam, że jeśli ktoś goni za sławą związaną z wielką sprawą w naszym zawodzie, to się doigra, dostanie po nosie.

Jake nigdy nie gonił za sławą. Uwielbiał pracę w sądzie i brał wszystko, co mu dawano. Miał zarówno wrogów, jak i fanów w palestrze. Można powiedzieć, że był znany. Zebrało mi się na płacz. Wstrzymałam oddech i znów zaczęłam się gapić w okno, żeby się uspokoić.

Toni przytakiwała mi.

– Nie potrafię sobie wyobrazić nikogo, kto chciałby jego śmierci – stwierdziła.

Graden wyglądał na zakłopotanego i miałam wrażenie, że ma zamiar po prostu trzasnąć drzwiami i wyjść. Jednak jakoś zebrał się w sobie i powiedział:

– Ponieważ blisko z nim współpracowałyście, z pewnością będziecie dokładnie przesłuchiwane. Więc pewnie i tak wszystkiego się domyślicie. Musicie mi jednak przyrzec, że to, co powiem, zachowacie dla siebie. Przez jakiś czas będzie obowiązywać blokada informacji na temat tej sprawy. Musicie przyrzec, że nic nie ujawnicie, dopóki nie zostanie to ogłoszone oficjalnie.

Przystaliśmy na jego warunek.

– Jake nie był sam w tym hotelu – powiedział po chwili milczenia. – Był tam jeszcze młody chłopak. Z jego legitymacji szkolnej wynika, że miał siedemnaście lat. W kieszeni Jake'a znaleźliśmy nagie zdjęcie tego chłopaka. Na ten moment śledztwa wygląda to na morderstwo z samobójstwem. Jake zastrzelił chłopaka, a potem siebie.

4

Poczułam się, jakbym dostała młotem po głowie. Z wrażenia gapiłam się bezmyślnie na zegar na budynku „Timesa”. Potem zerknęłam na Toni, która zamarła w swoim fotelu wpatrzona w korytarz. Spojrzałam na porucznika, by mu powiedzieć, że to nie może być prawda, ale miałam zamęt w głowie, nie potrafiłam sklecić zdania. W pokoju zapanowała przytłaczająca cisza, którą niespodziewanie przerwał dzwonek telefonu Toni.

Po raz drugi tego poranka obydwie spojrzaliśmy na telefon, zanim Toni wreszcie powoli podniosła słuchawkę.

Hales był poruszony.

– Przykro mi – powiedział. Wiedziałam, że czuje się niezręcznie, ale podziękowałam mu w myślach, że powstrzymał się od zwyczajowych banałów: „Wiem, jak musi się pani czuć”, „To minie”. Nikt nie wiedział, jak się czuję, a czas nigdy nie leczył ran. Rany po prostu stają się częścią człowieka.

Skinęłam mu głową w podziękowaniu. Porucznik spojrzął jeszcze na Toni, która wciąż rozmawiała przez telefon, patrząc w okno. Pożegnał nas cichym głosem i wyszedł.

Toni odłożyła słuchawkę.

– Eric zwołał zebranie. Natychmiast.

Spojrzaliśmy na siebie. Żadna nie była gotowa na spotkanie z ludźmi, ale nie miałyśmy wyboru. Wyszłyśmy z ponurymi twarzami i pełne obaw.

Kiedy zbliżyłyśmy się do pokoju Jake'a, policjant zaklejał drzwi taśmą. Jak na komendę skręciłyśmy w prawo, idąc na zebranie okrężną drogą.

– Przejmuje się – stwierdziła nagle Toni.

– Kto? Czym?

– Tobą. Nie zauważyłaś?

– Kto? – powtórzyłam.

– Graden. Ten gliniarz. Interesuje się tobą.

– Na miłość boską, Toni! – warknęłam. I w tej samej chwili miałam ochotę ugryźć się w język. To wszystko naprawdę musiało mnie wykończyć, skoro zaczynałam się wściekać na Toni. – Przepraszam.

– Już dobrze. – Machnęła dłonią.

Po pięciu latach przyjaźni nauczyłyśmy się radzić sobie w różnych sytuacjach. Idąc do gabinetu Erica, patrzyłam w drugą stronę, żeby nie widzieć policjantów przy pokoju Jake'a. Nawet z tego miejsca było słychać dziwną ciszę otaczającą jego pokój. A wciąż miałam w pamięci te wszystkie noce spędzone z nim w biurze. Rozmawialiśmy o prowadzonych sprawach, śmialiśmy się z wypowiedzi świadków, a on podrzucał precelki i łapał je ustami. Nigdy już tak nie będzie. Nie mogłam się z tym pogodzić.

Weszłyśmy do sekretariatu Erica. Byłam niespokojna, czułam się niepewnie. Melia Espinoza, sekretarka i Wielkie Ucho Wydziału, rozmawiała przez telefon, zasłaniając usta dłonią.

– Eric na nas czeka.

– Moment – rzuciła do słuchawki, zasłaniając mikrofon dłonią. – Rozmawia przez telefon, a reszty wydziału jeszcze nie ma, więc...

Wyraz mojej twarzy skłonił ją do niekończenia zdania, przez co uniknęła bolesnego urazu i pobytu w szpitalu.

– Zadzwoń do ciebie później – powiedziała szybko do słuchawki i rozłączyła się.

– Wiecie, że zebranie dotyczy Jake'a, prawda?

– Nie, ale ty najwyraźniej już to wiesz. – Mój ton nie był przyjemniejszy niż wyraz mojej twarzy.

– Coś takiego. Zawsze uważałam, że jest milutki. Trochę dziwny, ale... teraz to... *Ay, Dios mio*. Nie mogę zrozumieć, co on robił w takim miejscu – mówiła z mieszaniną oskarżenia i wstrętu. O mało nie zdzieliłam jej po łbie.

– Jeszcze nie wiemy, co naprawdę się wydarzyło. – Byłam na nią wściekła, że tak szybko uwierzyła w najgorszą wersję. Zrozumiałam, że porucznik miał rację, chcąc utrzymać sprawę w tajemnicy jak długo się da. Samo miejsce zbrodni wywoła lawinę spekulacji. Musiałam nauczyć się z tym żyć albo inaczej wyląduję na poczcie, jako listonosz.

Melia uniosła brwi i przyjrzała mi się uważniej, łagodniejąc niespodziewanie.

– Wybacz *mija*. Wiem, że był twoim przyjacielem, ale nie chodziliście ze sobą, prawda?

Chodzić ze sobą znaczyło poza biurem.

– Nie, ale...

– Czasami ludzie kryją mroczne sekrety, o których nikt nie wie.

Wpatrywałam się w nią, starając się objąć zakres jej głupoty. Na szczęście ugryzłam się w język i przełknęłam kilka uwag, w przeciwnym razie moje e-maile przestałyby dochodzić do Erica przez najbliższy rok. Przed zrobieniem większego głupstwa uratowało mnie nadejście reszty członków wydziału. Eric otworzył drzwi do gabinetu, nie przestając rozmawiać przez telefon i zaprosił nas gestem do środka. Razem z Toni wtopiliśmy się w tłumek.

Jako zastępca prokuratora okręgowego, Eric miał narożny gabinet ze stołem konferencyjnym, mnóstwem miejsca i panoramicznym widokiem na miasto. Wnętrze było surowe, ale Eric starał się je ocieplić zdjęciami swojej żony i bliźniaków. Prace chłopców wisiały na tablicy zawieszanej za biurkiem. Byłam wielką fanką dziecięcych rysunków. Największy obraz

przedstawiał Świętego Mikołaja stojącego obok wozu strażackiego. Można dyskutować, co do zasadności takiej zbitki tematów, ale zapewne miało to związek z dostępem artysty do czerwonej kredki. Po latach praktyki miałam o tym pojęcie.

Eric skończył rozmawiać, gdy tylko zajęliśmy miejsca. Przeczesał dłonią włosy, podwinął rękawy koszuli i przeszedł od razu do sedna.

– Wszyscy już wiecie o Jake'u. Proszę was o powstrzymanie się od wszelkich komentarzy do czasu zakończenia śledztwa – powiedział, przyglądając się każdemu z nas z osobna. – Na razie powiem tylko, że naprawdę będzie mi go brakować. Był znakomitym prawnikiem i wspaniałym człowiekiem, cenionym w naszym wydziale.

Rozejrzałam się po pokoju i stwierdziłam, z lekkim zdumieniem, że wszyscy mieli prawdziwy smutek na twarzach. Była to rzadka chwila, kiedy moje niskie mniemanie o bliźnich nie znalazło uzasadnienia. Tylko że oni nie wiedzieli jeszcze, iż w kieszeni Jake'a znaleziono zdjęcie dzieciaka.

Eric milczał przez moment, zbierając myśli.

– Mam, niestety, przykry obowiązek utrzymać ciągłość pracy wydziału – powiedział, chrząkając, jakby chciał sobie oczyścić gardło. – Jak wszyscy wiecie, Jake prowadził dziesięć spraw, muszę je teraz przydzielić wam. Dobra wiadomość jest taka, że tylko cztery wymagają dalszego postępowania dowodowego.

Zaczął rozdzielać teczki. Jedną, dwie na osobę. Do mnie doszedł na końcu.

– Rachel. Przekazuję ci sprawę, która wymaga chyba najwięcej wysiłku. Chodzi o sprawę Densmore'a.

Nazwisko było jakby znajome, ale nie mogłam skojarzyć, o co chodzi.

– Ofiarą jest nieletnia – przypomniał Eric. – Ojciec, znany pediatra, to człowiek wpływowy. Nie mamy żadnego podejrzanego, a tatuś ciśnie nas,

żeby złapać sprawcę i zakończyć sprawę.

Wreszcie mi się wszystko przypomniało.

– Jake dostał to w zeszłym tygodniu, prawda?

– Vanderhorn prosił mnie, żebym to dał jemu albo tobie. Miałaś ten proces bez dowodów, więc...

Jake opowiadał mi o tej sprawie. Kiedy prokurator okręgowy osobiście przydziela sprawę, to musi to być coś poważnego. W tym wypadku nie chodziło o gwałt czy morderstwo z premedytacją, a więc sprawę, którymi zwykle się zajmowałam. Kiedy Jake mi zreferował szczegóły, ze zdumieniem stwierdziłam, że nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miałam do czynienia z żywą ofiarą przestępstwa. Przypomniałam sobie całą naszą rozmowę na ten temat.

– *Strzelaj.*

– *Nie – odparłam.*

– *Nooo! Spróbuj! – drażnił się Jake.*

Westchnęłam, udając znudzenie. Obydwoje uwielbialiśmy łamigłówki.

– *Niech ci będzie. Densmore jest nieślubnym dzieckiem Vanderhorna.*

– *Biologicznie wykluczone. – Spojrzał na mnie z niesmakiem. – Musisz się bardziej postarać.*

Objęłam się ramionami i cierpliwie czekałam. Widząc, że nic nie wskóra, wreszcie sam mi wyjaśnił, do czego doszedł.

– *Densmore jest naprawdę dobry. Nie zdążyłem nawet mu się przedstawić, a już zaczął mi opowiadać, jak wielkim człowiekiem jest Vanderhorn i że on go popiera. Dopiero wtedy poukładałem sobie wszystko w łepetynie i zgadnij, co wymyśliłem?*

– *Że to rok wyborczy?*

– *Cliché^[6] nazywają się cliché, ponieważ z reguły są prawdą. – Zaśmiał się, potrząsając głową. – Dlatego Vanderhorn chce codziennych raportów o*

postępach w śledztwie.

– To masz przechłapanie – powiedziałam. – Mnie to się też nie podoba, ale nie umiem kłamać. Jestem szczęśliwa, że mi tego nie wcisnęli.

– Nie pogniewałbym się, gdybyś jednak w to wdepnęła – odparł Jake z tym swoim chłopięcym uśmieszkiem. – Zawsze chciałem, żebyś stała się sławna. Mogłabyś przynajmniej udawać, że masz wyrzuty sumienia.

– Nie ma sprawy. Przygotuję zapas precli i musztardy.

– Myślałem o bardziej wymiernych działaniach.

– Mogę zostać twoim psychoanalitykiem.

Zaczęliśmy się śmiać.

Wspomnienia znowu mnie rozkleiły. Poczułam łyzy pod powiekami. Przełknęłam szybko ślinę i zabrałam się do przeglądania zawartości teczek. Eric pewnie by zrozumiał, ale nigdy nie lubiłam okazywać swoich uczuć publicznie. Pierwsza rzecz, która rzuciła mi się w oczy, to nazwisko śledczego prowadzącego sprawę w policji. Był to Hughes Lambkin. Niezbyt pieszczotliwie nazywany Beznadzieją. Praca z nim przypominała pływanie z kamieniem u szyi.

– Mogę sobie dobrać śledczych? – spytałam.

Eric spojrzał na mnie z politowaniem.

– Poprę twój wniosek, ale nie robiłbym sobie nadziei – stwierdził. Skłonienie kapitana, żeby zmienił śledczego, było fantasmagorią. Z Beznadzieją nie miałam cienia szansy ruszyć tej sprawy z miejsca.

Eric zakończył spotkanie i wszyscy ruszyli do wyjścia ze swoimi nowymi teczkami. Zauważyłam, że Toni zdążyła już przeczytać streszczenie przygotowane przez Jake'a, w czasie kiedy Eric omawiał resztę spraw.

– I co ci wcisnął? – spytałam.

– Podwójne morderstwo. Trzech oskarżonych. Wszyscy są nielegalnymi imigrantami z Rosji. Załatwili facetów, którzy mieli zajmować się z nimi okradaniem kart kredytowych. Potem powyciągali z ciał kule, żeby nie można było zidentyfikować broni.

– Jak widać, całkiem sprytnie misie.

– Owszem. Tylko, czemu zostawili na miejscu zbrodni nóż, którym wyciągali kule?

– I gliniarze dopadli ich po nożu? – Zaśmiałam się.

– Tobie też się trafiło coś ciekawego?

– Gwałt. Żadnego podejrzanego w areszcie. Beznadzieja, jako śledczy. I tatuś ofiary, który wspiera Vanderhorna.

– Właściwie mamy identyczne sprawy. Tylko, że ty nie masz żadnych dowodów i wszyscy ci siedzą na karku.

– Właściwie. Wygląda, że zacznę oskarżać wszystkich bez dowodów. Rozwiązywać zbrodnie bez świadków. Może nawet stworzę własny wydział z sobą, jako szefową oczywiście. Wydział „Na oko”.

– Myślę, że dalej masz kaca.

To była szczerza prawda. Kiedy doczłapałam się wreszcie do swojego biura, zwałam się z ciężkim westchnieniem na fotel i sięgnęłam po telefon. To będzie ciężki orzech do zgryzienia, ale dostrzegałam i pozytywne strony tej sytuacji. Na początek muszę tylko wygrać tę sprawę, mając na karku tatusia ofiary, multimilionera, i prokuratora okręgowego.

– Mówi Rachel Knight. Mogę rozmawiać z Bailey Keller?

Bailey była jednym z najlepszych detektywów w naszym biurze. Od pierwszego dnia Akademii Policyjnej zademonstrowała rzadkie połączenie błyskotliwości i sprawności fizycznej, co zwiastowało jej błyskawiczną karierę, awans na detektywa i przeniesienie do centralnego wydziału zabójstw policji Los Angeles. Nie przeszkodziło jej nawet to, że już

trzeciego dnia zajęć poszła do nocnego sklepiku kupić red bulla, gdzie poturbowała samodzielnie trzech bandziorów usiłujących akurat okraść właścicieli. Na dodatek w ogóle się nie malowała, bo nie było takiej potrzeby. Najgorsze zaś, że obżerała się wszystkim, co popadnie, i nie tyła nawet jednego grama. Obydwie z Toni snułyśmy plany zamordowania jej kiedyś za to ostatnie. Zaprzyjaźniłam się z nią podczas pierwszego wspólnego śledztwa w sprawie seryjnego zabójcy starszych kobiet. Teraz potrzebowałam jej profesjonalnej pomocy.

Bailey dała się znaleźć i odebrała telefon.

– Nie za wcześnie na drinki? – spytała. – Ja przynajmniej mogę, a ty?

– Nie bardzo, ale o tym potem. – Wprowadziłam ją w sprawę Densmore'a. – Musisz mi pomóc. Nie mogę zostać z Lambkinem.

– Beznadzieja? Ciężka sprawa! – Milczała przez dłuższą chwilę. – Mam pewien pomysł. Oddzwonię za godzinę.

Pogrążyłam się w lekturze akt. Prowadzenie takiej sprawy z pomocą nieudacznika Lambkina było koszmarem, który mógł zakończyć nawet najlepszą karierę. Spoglądałam na telefon co dziesięć minut. Wreszcie Bailey się odezwała.

– Masz u mnie wielki dług – oznajmiła wesołym głosem, z którego przebijała nuta samozadowolenia. – Naprawdę wielki.

Miałam ochotę ją ucałować, nosić na rękach, a nawet rodzić za nią jej dzieci.

– Jakim cudem...

– Gdybym ci powiedziała...

– Rozumiem. Musiałabyś mnie zabić. – Nie powiedziałam jej, że z pobieżnego zapoznania się z aktami sprawy wynika, że mogłaby tym samym oddać mi wielką przysługę. – Uda ci się zorganizować spotkanie z ofiarą i jej rodzicami?

– Spotkajmy się w holu o piętnastej trzydzieści. – Rozłączyła się.
Cała Bailey. Prawdziwa gaduła.

[6] Cliché – banał, komunał, frazes.

5

Miałyśmy szczęście, korki przeniosły się na 101 Freeway i już po godzinie pokonałyśmy półgodzinną trasę do Sunset Boulevard. Przestało padać i między chmurami zaczęły prześwitywać niebieskie skrawki nieba, pozwalając promieniom słonecznym odbijać się w mokrych szybach samochodów. Spotkanie z Densmore'ami zostało umówione na siedemnastą, miałyśmy więc jeszcze kwadrans. Bailey wjeżdżała powoli pod Pacific Palisades, pozwalając napawać się widokami.

Peryferie miast zwykle zabudowane są tanimi blokowiskami, osiedlami przyczep campingowych albo ruderami, które zawsze kojarzyły mi się z kwadracikami oznaczającymi państwa bałtyckie albo śródziemnomorskie na planszy do gry Monopol. Na Palisades, jednym z najdroższych przedmieść Los Angeles, takie ślady realnego świata były nie do pomyślenia. Tutaj najbiedniejsze domy musiały mieć przynajmniej tysiąc metrów kwadratowych powierzchni i żaden nie mógł kosztować mniej niż parę milionów dolarów.

Przy wjeździe na teren osiedla zbudowano sztuczne skały, z których spadała woda do specjalnie zaprojektowanego stawu. Po obu stronach drogi prowadzącej do bramy rosły olbrzymie wierzby płaczące. Budka strażników wyglądała jak stylizowana chata wiejska z małymi okienkami i drewnianymi drzwiami z kołatką. Na zewnątrz stał umundurowany ochroniarz. Spojrzał na odznakę pokazaną mu przez Bailey i kiwnął ręką, że możemy wjechać. Doktor Densmore oczekuje pań.

Im bliżej rezydencji, tym mijane trawniki stawały się coraz większe i coraz bardziej zielone. Domy wyglądały jak pałace. Niektóre przypominały rezydencje o powierzchni kilku tysięcy metrów kwadratowych – zupełnie inne od niewielkiego parterowego budynku, gdzie się wychowałam – inne,

stylizowane na wzór angielski, miały ściany z czerwonej cegły i kolumny po bokach. Te w stylu śródziemnomorskim wyróżniały się pastelowymi kolorami z białymi kolumnami i dachówkami. Chociaż wszystkie wydawały się dość oszczędne w architekturze, okolica wprost wyła pieniędzmi. Olbrzymimi pieniędzmi. Na idealnie utrzymanych chodnikach ozdobionych rzędami drzew było widać jedynie ogrodników i opiekunki zajmujące się zadbanymi zwierzętami, basenami, roślinami i dziećmi swoich pracodawców.

Podjechaliśmy półokrągłym podjazdem pod piętrową rezydencję w stylu Tudorów, której dwa skrzydła ciągnęły się daleko w lewo i w prawo, potem jeszcze kawałek drogą wyłożoną czerwoną kostką między wspaniale utrzymanymi klombami róż. Przed wielkim garażem na cztery samochody stał porsche cayenne.

– Ze trzy tysiące metrów kwadratowych? – zagadnęłam Bailey.

– Nie licząc domku gościnnego, który jest pewnie schowany z tyłu.

Bailey była jak zwykle idealnie ubrana. Trench w kolorze wielbłądziej wełny, śnieżnobiały golf podkreślający jej cerę i krótkie blond włosy. Mając metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, mogła sobie nosić obcisłe portki. Ja, mając metr sześćdziesiąt siedem, musiałam sobie pomagać obcasami. Pogodziłam się z tym. Dotarliśmy wreszcie do wielkich, podwójnych, dębowych drzwi. Bailey nie zapukała kołatką, tylko nacisnęła dzwonek. Nawet dźwięk dzwonka brzmiał jakoś bogato. Otworzyła nam Hiszpanka o wyglądzie matrony. Zrobiła to tak szybko, że musiała chyba czekać pod drzwiami.

– Panie są tymi detektywami?

Mówiła wolno po angielsku, ale minę miała sceptyczną. Dlaczego ludzie wciąż uważają, że detektyw musi wyglądać jak półtora nieszczęścia?

– Właśnie – stwierdziła zwięźle Bailey. – Szczegóły wyjaśnimy osobom zainteresowanym.

Matrona kiwnęła głową i wpuściła nas do środka.

Zwykle w takim miejscu jest przedpokój, ale znalazłyśmy się w jakimś lobby. Wysokim na dziesięć metrów i z podłogą wyłożoną kremowym marmurem. Błyszczący słoń z drewna tekowego stał naprzeciwko drzwi. Jego otwarty pysk czekał na parasolki. Po lewej pięły się półkoliste schody na piętro i przechodziły w korytarze prowadzące do obu skrzydeł, które widzieliśmy z zewnątrz. Po prawej było widać salon z ciemnymi kotarami i grubymi dywanami. Za nim dało się zauważyć jeszcze większy salon gościnny, z wielkimi oknami wychodzącymi na park, który Densmore'owie nazywali zapewne podwórkiem.

Kiedy Hiszpanka prowadziła nas do salonu gościnnego, dostrzegłam z boku kuchnię, patio i olbrzymi basen ze sztucznym wodospadem. Wszystko to umieszczono w parku porośniętym drzewami jakaranda, z mnóstwem posągów z brązu i kolorowych krzewów, posłusznie kwitnących w środku zimy.

W salonie przywitał nas doskonale prezentujący się mężczyzna – wstał z kanapy i wyciągnął dłoń na powitanie. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, idealnie ostrzyżone włosy i przenikliwe spojrzenie.

– Jestem doktor Frank Densmore.

W tonie pobrzmiwało wyzwanie. A ja akurat byłam w nastroju, żeby podjąć każde wyzwanie.

– Zastępca prokuratora okręgowego Rachel Knight. – Podałam mu rękę.
– Jestem prokuratorem przydzielonym do tej sprawy. A to detektyw Bailey Keller. Będzie śledczym w tej sprawie.

Przywitał się energicznie z Bailey i znowu spojrzał na mnie.

– Słyszałem już o Jake'u Pahlmeyerze. Przykro mi z tego powodu.

– To prawdziwa tragedia – odparłam, chociaż, sądząc po jego tonie, nie mogłam uwierzyć, że jest mu naprawdę przykro. Zastanawiałam się, co mógł wiedzieć o śmierci Jake'a. Przypuszczałam, że niewiele. Wywnioskowałam z tego, że należał do kręgu wtajemniczonych Vanderhorna od niedawna. Postanowiłam sprawdzić przy najbliższej okazji, kiedy dołączył do jego komitetu wyborczego. Nie miało to istotnego znaczenia dla sprawy, ale byłam ciekawa, z kim mam do czynienia.

– Co się stało z detektywem Lambkinem? – zapytał niespodziewanie, patrząc na Bailey. Śmierć Jake'a znaczyła dla niego jedynie rozpadę personalną, ale sądząc po tonie, jakim zadał to pytanie, uważał, że powinien o tym wiedzieć pierwszy. Nie mogłam oczekiwać, by posypywał sobie głowę popiołem po śmierci Jake'a, ale znałam małpy, które miały więcej empatii niż on.

– Został odwołany do prowadzenia sprawy morderstwa, która wiąże się z częstymi podróżami – odparła zgrabnie Bailey. – Pana sprawa wymaga całkowitego zaangażowania, więc wyznaczono mnie na jego miejsce.

Była świetna. Densmore uważał, że należy mu się zawsze więcej niż normalnym ludziom i teraz to z niego wyszło. Widać było po jego minie, że słowa Bailey odniosły zamierzony efekt i nie będzie już pytać o Beznadzieję. I wreszcie wyjaśniło się, w jaki sposób Bailey udało się przejąć jego sprawę. Oddała proste dochodzenie wymagające wielu podróży, a co za tym idzie możliwość zarobienia na dietach. Wolałam nie wiedzieć, w jaki sposób to zrobiła.

– Doskonale. Mam nadzieję, że teraz ruszymy z miejsca. – Densmore spojrzął w stronę kanapy po drugiej stronie salonu.

Podążyłam za jego wzrokiem; na wielkiej kanapie obitej beżowo-złotym materiałem, siedziały dwie kobiety. Portret rodzinny wiszący tradycyjnie nad kominkiem przedstawiał je niemal w identycznej pozycji, tyle

że tata Frank stał za nimi z miną dumnego właściciela prezentującego „swoje dziewczynki”. Susan Densmore miała blond włosy jak Alicja z Krainy Czarów i delikatne rysy odziedziczone zapewne po matce. Ta związała włosy w koński ogon, a córka rozpuściła swoje luźno na plecy, żeby mogły swobodnie opadać prawie do bioder. Obie były smukłe i siedziały wyprostowane, z nogami skrzyżowanymi w kostkach i dłońmi złożonymi na kolanach jak figurki Lladró^[2]. Mogłam się założyć, że życie w tym domu musiało być frajdą.

– To moja żona Janet – przedstawił Frank Densmore – i oczywiście córka, Susan.

Jakby czekając na ten znak, Janet wstała i podała mi rękę na powitanie.

– Miło mi panią poznać, pani Densmore – powiedziałam, zauważając ze zdziwieniem, że miała silny i zdecydowany uścisk dłoni, jakoś niepasujący do tej pozy układności sprzed chwili.

– Jestem Janet. – Spojrzała przez ramię na córkę.

Susan drgnęła i wdzięcznie wstała, ale nie patrzyła mi w oczy, wyciągając z wahaniem rękę.

– Miło mi panią poznać – szepnęła ledwie dosłyszalnie.

– Mnie również, Susan – powiedziałam. Smutek i szok otaczały ją jak resztki przerwanej pajęczyny. Ten widok ranił mi serce. Znałam doskonale podobne uczucia – kiedy świat się wali, kiedy odkrywasz, że poczucie bezpieczeństwa, które dotąd stanowiło pewnik, okazuje się ułudą. Cokolwiek tu się wydarzyło, Susan nie będzie już nigdy tą samą dziewczyną. Od dawna nie miałam do czynienia z ofiarami gwałtu. Nauczyłam się jednak, że często bardziej nienawidzą one śledczych i prokuratorów, którzy każą im przeżywać po raz kolejny ich koszmary, niż samych gwałcicieli. Przekonanie Susan, że mam tego świadomość, może być problemem samym w sobie.

– Mam nadzieję, iż poinformowano panią, że my już wiemy, kto to zrobił – stwierdził niecierpliwym tonem Frank Densmore. Usiadł na skórzanym fotelu i podciągnął lekko nogawki, żeby nie zagiąć kantów spodni.

Susan nagle zeszywniała, a Janet spoglądała z troską to na ojca, to na córkę...

Uwielbiałam, kiedy świadkowie informowali mnie, że wszystko wiedzą. Tym razem byłam jednak gotowa na to oświadczenie, bo w zapiskach Jake'a znalazłam notatkę na ten temat. W salonie dało się odczuć napięcie, jakby świadczące, że w tej materii nie było jednomyślności. Ciekawiło mnie, co z tego wyniknie. Uniosłam lekko brwi i milczałam.

Ojciec zaplótł palce dłoni i patrzył na mnie.

– Susan zajmowała się chłopakiem z Sylmaru^[8]. W ramach poronionego programu ich szkoły zbliżania do siebie młodzieży z różnych środowisk. Kiedy tylko go zobaczyłem, od razu wiedziałem, że to popychadło jakiegoś gangu. Prosiłem Susan, żeby wypisała się z programu, bo nic dobrego z tego nie wyniknie, ale nie chciała mnie słuchać. – Rzucił zirytowanym wzrokiem na Janet i Susan, które ewidentnie przeciwstawiły mu się w tej kwestii.

– Założmy, że należy do gangu – zaczęłam obojętnym tonem. – Dlaczego uważa pan, że to on jest sprawcą?

– Widział to wszystko! – Frank wskazał szerokim gestem otoczenie. – Wściekł się z zazdrości, że sam tego nie posiada.

Takie wyjaśnienie pasowałoby do kradzieży, ale całkiem nie trzymało się kupy w przypadku gwałtu. Nie zamierzałam jednak wdawać się z nim w dyskusję. Liczyły się tylko dowody, a nie przekonania.

– Sprawdźmy wszystkie wątki, panie doktorze – zapewniłam, wiedząc, że jawny sprzeciw doprowadziłyby go do szału.

– Proszę pracować – zezwolił łaskawie. – Proszę tylko nie zawracać głowy sąsiadom. Jest oczywiste, kto to zrobił, i nie ma potrzeby roznosić szczegółów po okolicy.

– Wyobrażam sobie, jakie to musiało być straszne dla Susan – dodałam sucho. Mój sarkazm pozostał niezauważony przez doktora, więc zwróciłam się do córki: – Możesz nam pokazać, gdzie to się stało?

– Była już tu ekipa od zbierania dowodów – przypomniał Densmore, z miną wyrażającą całe jego obrzydzenie na myśl, że po jego domu kręcili się specjaliści z kryminalistyki. – Oczywiście może pani sprawdzić, czy czegoś nie przeoczyli, ale nie sądzę.

Wątpiłam, żeby docenił policyjne żarty na temat Beznadziei Hughesa Lambkina, więc tylko skinęłam głową. Densmore wstał, chcąc nas samemu zaprowadzić.

– Nie ma potrzeby – powiedziałam. – Susan nam wystarczy. Chcę jedynie wczuć się w realia zbrodni. Może będę mogła coś sobie wyobrazić. – Potem sięgnęłam do podręcznika Bailey i dodałam: – I nie chcemy panu zabierać więcej czasu niż to niezbędne.

Włożenie w tyłek nie leży w mojej naturze, ale kiedy zachodziła taka konieczność, byłam w tym mistrzynią. Teraz chciałam porozmawiać z Susan bez świadków, a już z pewnością bez doktora „Złote Serce”.

Densmore zeszywniał i spojrzał z niepokojem na córkę. To był pierwszy ludzki gest, jaki wykonał.

– Nie zajmie nam to długo, doktorze. – Starłam się, by moje słowa brzmiały uspokajająco, żeby nie pomyślał przypadkiem, iż zamierzamy wziąć jego córkę w krzyżowy ogień pytań.

Przez chwilę przyglądał mi się podejrzliwie, wreszcie niechętnie kiwnął głową.

– W porządku. Proszę dać znać, gdyby potrzebowała pani czegokolwiek. Będę tu czekał. – Wyczułam lekką nutę groźby w głosie.

– Z pewnością.

Susan prowadziła mnie i Bailey spiralnymi schodami na górę. Wspinała się powoli, sztywnymi krokami, trzymając się kurczowo mahoniowej poręczy jak dziewięćdziesięcioletnia staruszka chora na artretyzm.

W korytarzu skręciliśmy w lewo, aż doszliśmy do drzwi na samym końcu, ozdobionych wielkim portretem Alberta Einsteina. Tego raczej nie spodziewałam się na drzwiach sypialni nastolatki. Zauważyłam, że szkło przykrywające plakat było kryształowo czyste. Technicy musieli je przecież obsypać proszkiem na całej powierzchni w poszukiwaniu odcisków palców. To, że zwrócili go na miejsce, znaczyło, że nic na nim nie znaleziono.

Susan westchnęła ciężko i otworzyła drzwi. Następnie cofnęła się o krok i stanęła z prawej strony, nie mając zamiaru wchodzić dalej, niż to było niezbędne. Razem z Bailey weszliśmy do środka. Sypialnia była większa niż niejedno mieszkanie. Wielki salon łączył się z garderobą i łazienką wyposażoną w prysznic i saunę parową. Południową ścianę stanowiło wielkie okno, przez które można było wyjść na balkon z widokiem na ogród. Królewskich rozmiarów łóżko przykryte narzutą w kolorze pastelowego różu z błękitnymi kwiatami stało jakieś półtora metra od okna.

– W której jesteś klasie? – spytałam, chociaż doskonale wiedziałam, że ma piętnaście lat.

– W drugiej – odpowiedziała cienkim głosem dwunastolatki.

Obdukcja po gwałcie wykazała, że prawdopodobnie była dziewicą. Sądząc po jej stylu ubierania się i zachowaniu, byłam skłonna w to uwierzyć. Oczywiście musiałam ją o to zapytać, żeby mieć pewność, bo jednak pozory bywają mylące. Z prawnego punktu widzenia i tak to było

bez znaczenia. Gwałt pozostawał gwałtem. Mogło mi to jednak pomóc w zrozumieniu jej psychiki i ułatwić dalsze przesłuchanie, które przygotowałyby ją na przesłuchanie w sądzie. Musiała się jednak otworzyć przede mną, co nie było proste. Wyrzesałam raz jeszcze przez okno i po raz tysięczny pomarzyłam sobie o tym, żeby gwałt był karany ucięciem penisa... zardzewiałym nożem.

– Chodzisz do szkoły w Palisades? – spytałam. Normalnie założyłabym, że dziewczyna z takiego domu chodzi do prywatnej szkoły. Gimnazjum w Palisades różniło się jednak od typowej szkoły państwowej. Z uwagi na hojne darowizny przez cały rok pod wieloma aspektami to gimnazjum było dużo lepsze niż wiele prywatnych szkół.

Susan kiwnęła głową, ale nie powiedziała ani słowa. Zadawałam więc dalej obojętne pytania.

– Teraz jest już lepiej niż w pierwszej klasie, prawda?

– Chyba tak. – Jej wzrok kierował się w stronę korytarza, jakby chciała już uciekać. Kątem oka dostrzegłam, że Bailey oglądała pomieszczenie, szukając czegokolwiek, co można było jeszcze znaleźć.

– Jaki jest twój ulubiony przedmiot?

– Sama nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Chyba angielski.

– Naprawdę? Ja też uwielbiałam angielski. Co teraz czytasz?

– „Folwark” Orwella.

– Też to czytałam. Podobało ci się?

– Mhm. Fajne. Naprawdę. – Odgarnęła kosmyk włosów za ucho. – Z początku myślisz, że to śmieszne, ale potem okazuje się, że chodzi o coś więcej. No wiesz...

– No. Ta książka jest tak dobra, że nawet nauczyciele nie są w stanie jej obrzydzić – odparłam, uśmiechając się.

W nagrodę zostałam obdarzona konspiracyjnym uśmiechem i kiwnięciem głowy. Nie miałam ochoty psuć tego nastroju, ale wcześniej czy później musiałyśmy porozmawiać o sprawie. Chciałam, żeby na razie opowiedziała mi tyle, ile potrafi. Resztę mogłam uzupełnić później. Rozejrzałam się jeszcze raz po pokoju i spojrzałam na Susan. Tym razem nie odwróciła wzroku. Chyba była gotowa.

[7] Lladró – hiszpańska wytwórnia figurek z porcelany, znana w świecie. W Polsce mało znana (przyp. tłum.).

[8] Sylmar – dzielnica Los Angeles (przyp. tłum.).

6

– Spałaś, kiedy wszedł do pokoju? – spytałam.

– Tak, ale wiem, że wszedł tędy. – Wskazała na drzwi balkonowe. Spojrzała na łóżko i zaczęła jednym tchem. – Spałam. Wtedy wskoczył na łóżko. Zakrył mi twarz poduszką, dusiłam się. Myślałam, że umrę. – Zamilkła i westchnęła głęboko.

Mogłam się założyć, że czasami żałuje, że nie umarła.

– Nie musimy na razie wchodzić w szczegóły.

– W porządku... Wolę to mieć za sobą... Rozumiesz?

To oczywiste. Jeżeli nie można uniknąć pytań, które wywołują koszmary, lepiej to mieć jak najszybciej za sobą. Odwlekając nieuniknione, można jedynie przedłużać cierpienie. Przytaknęłam jej kiwnięciem głowy. Ujęłam delikatnie jej ramię i usiadłyśmy na brzegu łóżka. Zerknęłam na balkon, żeby zapamiętać jego położenie.

Susan znowu westchnęła. Mówiła, wpatrując się w podłogę.

– Nigdy go nie widziałam. Wiem tylko, że obudziłam się, a on już siedział na mnie. Próbowałam krzyczeć, ale miałam na twarzy poduszkę. Potem on podciągnął mi koszulę i ...

Zamilkła. Czekałam, aż się pozbiera. Nienawidziłam tego obowiązku przesłuchiwania ofiar gwałtu, a w wypadku Suzan było mi wyjątkowo ciężko. Taka młoda i niewinna. Zupełnie jak Romy. Znowu miałam siedem lat i przeżywałam ostatnie swoje chwile z Romy: „No Romy postaraj się. Miałaś się schować”. A Romy zaśmiała się, pokręciła głową i poszła. Teraz ja musiałam wziąć głęboki oddech, żeby się uspokoić.

Już chciałam ponaglić Susan, ale się powstrzymałam. Nie było takiej potrzeby. Wiedziłam przecież, że badania nie wykryły żadnego śladu spermy. Wykryły natomiast ślady środka nawilżającego, jaki stosuje się

zwykle przy produkcji prezerwatyw. Sprawca był więc ostrożny, ale nie dość ostrożny. Znalaziono ślady DNA na koszuli nocnej, które nie pasowały ani do Suzan, ani do nikogo z domowników. To dobra wiadomość. Zła wiadomość, że tego wzoru nie znaleziono w bazie danych stanu Kalifornia. Znaczy, że sprawca nie był notowany w Kalifornii, a być może nigdy nie miał do czynienia z policją. Albo po prostu nigdy nie kazano mu dawać próbek DNA. Zanotowałam w pamięci, żeby sprawdzić, czy podopieczny Susan figurował w naszej bazie danych. W normalnych okolicznościach powinien się tym zająć detektyw prowadzący sprawę. Znajac jednak Beznadzieję, nie mogłam dać za to głowy. Na podstawie zdjęć i raportów lekarskich z obdukcji wiedziałam, że nastąpiło rozerwanie błony dziewiczej, co znaczyło penetrację seksualną, jak również niewielkie rozdarcie pochwy. Było to coś, co można by uznać za dowód braku zgody na współżycie, ale nie dowód na całkowitą penetrację. Fakt, że użyto prezerwatywy, również nie pomagał. Z tego, co do tej pory zauważyłam, Susan przynajmniej będzie przekonującym świadkiem. O ile uda mi się postawić komuś zarzut.

– Może widziałaś część twarzy, profil, plecy napastnika? Może pamiętasz jakiś zapach?

Pokręciła głową.

– Staralam się sobie przypomnieć, ale bałam się zdjąć poduszki, dopóki sobie nie poszedł. Żeby nie wrócił i nie ... – Zamilkła i zadrżała na wspomnienie tamtej chwili.

– Też bym się bała – zapewniłam ją.

– Chyba wyszedł też przez balkon – stwierdziła po chwili milczenia. – Drzwi balkonowe były otwarte. Usłyszałabym, gdyby wychodził inaczej.

Drzwi prowadziły na półokrągły balkon. Były zamykane na zwykłą klamkę, jak w oknach. Ponownie obejrzałam pokój. Technicy

prawdopodobnie wszystko już zbadali, ale musiałam brać poprawkę na Lambkina, który nimi dowodził. Miałam powody do niepokoju. Bailey dostrzegła moje spojrzenie i pokiwała głową.

– Susan. Możemy jeszcze raz sprowadzić techników od kryminalistyki?
– spytała Bailey. – Obiecuję, że niczego nie zniszczymy.

– Mam to w nosie. I tak już tu nie sypiam – powiedziała. – Śpię u pokojówki. Nawet nie trzymam tu ubrań.

Trudno się dziwić. Wstałam, ale tym razem to ona zatrzymała mnie. Spojrzała podejrzliwie w stronę drzwi i szepnęła:

– Proszę nie słuchać taty. To nie był Luis. Wiem, że to nie on.

Luis? Chłopak z gangu. Imię znalazłam w aktach.

Zaskoczył mnie upór w jej głosie.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Wiem, że uważa mnie pani za zepsutą dziewczynę z bogatego domu. Jestem nią. Ale nie jestem głupia. I znam Luisa. Ciężko pracował. Starał się wyjść... z tego swojego światka. Można o nim powiedzieć wiele złych rzeczy, z których większość jest pewnie prawdziwa. Ale nie jest gwałcicielem. I nigdy by mnie nie skrzywdził.

– Ty go...

– Jest po prostu przyjacielem – wpadła mi w słowo.

– A wiesz może, gdzie możemy go znaleźć?

Spuściła głowę i wpatrywała się w podłogę.

– Nie mam pojęcia, gdzie mieszka. I nie widziałam go od tamtej... pory...

Wiedziała, że od dnia gwałtu Luis się ukrywał, co nie polepszało jego sytuacji. Susan również o tym wiedziała. Nie był to, co prawda, żaden dowód, ale trudno winić Franka Densmore'a, że uważał inaczej. Na początku każdej sprawy starałam się być otwarta na różne możliwości. W

tym jednak wypadku odszukanie Luisa znalazło się na pierwszym miejscu mojej listy priorytetów.

Przyjrzałam się Susan. Z pewnością bogata dziewczyna żyła pod kloszem, ale i tak była twarda. Zaimponowała mi swoją wolą przeciwstawienia się ojcu i obrony Luisa. Chociaż to akurat uważałam za nienajrozsądniejsze. Miałam wrażenie, że tata zawsze miał rację. Densmore nie należał do łatwych przeciwników.

Zeszliśmy na parter i z ulgą zauważyłam, że tatuś zniknął.

– Musiał wracać do biura – wyjaśniła Janet. – Prowadzi sześć centrów pediatrycznych. Wszystkie dzieciaki z sąsiedztwa leczą się u niego. No i ma jeszcze te swoje obowiązki w organizacjach charytatywnych – dodała z lekką dumą w głosie. Westchnęła ciężko. – Ma tyle spraw na głowie.

Nie zrobił na mnie wrażenia świętego, ale nie zamierzałam polemizować z jego żoną. Wiedziałam, że wszystkie te centra przeznaczone są dla bogaczy. Doktor Densmore raczej rzadko widywał pacjentów.

– Rozumiem.

– Zauważyłam stojaki na rowery – wtrąciła się Bailey. – Kto z państwa jeździ na rowerze?

– Obydwoje – odpowiedziała Janet. – Frank to uwielbia. Bierze udział w maratonach kolarskich. W ramach akcji charytatywnych. Kiedyś tego spróbowałam, ale... – Pokręciła z niechęcią głową. – Założę się, że pani świetnie jeździ – dodała, patrząc na Bailey.

– Muszę mieć nastrój na rower – odparła.

Pozwoliła sobie na niedomówienie. Bailey była demonem dwóch kółek.

– To nie dla mnie. Ścieżki rowerowe są za daleko. – Janet skwitowała to lekkim uśmiechem. Wyraziła zgodę na przybycie drugiej ekipy dochodzeniowej i się pożegnałyśmy.

Wsiadając do samochodu, dostrzegłam wóz ochroniarzy patrolujący ulicę. Na drzwiach miał wielki napis: Palisades Security – 24-Hour Patrol.

– Oni mogą coś wiedzieć – powiedziałam.

– Albo sami są na liście podejrzanych – skwitowała Bailey.

– To prawda.

Ochrona często okazywała się winna różnych przestępstw. Chociaż w tym wypadku sądziłam, że selekcja pracowników musi być wyjątkowo rygorystyczna. Inaczej mogliby nie wyrobić z wypłatą odszkodowań, gdyby któryś z mieszkańców tej okolicy wniósł przeciwko nim oskarżenie.

– Beznadzieja obszedł okoliczne domy?

– Według raportu owszem, ale nie ma żadnych notatek na temat uzyskanych informacji. Myślę, że sprawdzał tylko doniesienia, które mundurowi uznali za nieważne. W ten sposób nie musiał za bardzo się napracować. Jutro zacznę od nowa z własną ekipą – oznajmiła Bailey zdegustowanym tonem. – Sprawdzimy wszystkich mieszkańców, ich ewentualne powiązania z Densmore'em.

– Upewnij się, że ktoś naprawdę szuka tego Luisa Revelo, skoro już się do tego bierzesz.

– Nie ma sprawy – burknęła.

Nie cierpiała, kiedy wtrącałam swoje trzy grosze do jej działki. Zwłaszcza, jeżeli chodziło o oczywistości. Nigdy mnie to jakoś nie powstrzymywało.

– Tu jest zatrudnionych mnóstwo ludzi – mówiłam niezrażona. – Czyściciele basenów, ogrodnicy, osobiści trenerzy...

– Dostawcy, architekci, czyściciele dywanów, dekoratorzy wnętrz... – Ton Bailey ostrzegł mnie, że zaczynam przeginać.

– Dekoratorzy wnętrz?

– Nie wolno trzymać się stereotypów. – Bailey wzruszyła ramionami.

Dekoratorzy, z którymi miałam dotąd do czynienia, bali się nawet podejść do drabiny, nie wspominając już o wspinaniu się po niej do sypialni nastolatki. Ale z pewnością należało się wystrzegać stereotypów.

– Okej.

Jechaliśmy Sunset Boulevard w kierunku wschodnim, przedzierając się przez popołudniowe korki.

– Co o tym myślisz? – spytała Bailey.

– Ten cały Luis, który znika jak kamfora? Trochę za oczywiste, nie sądzisz?

– Trochę.

– Nienawidzę takich sytuacji. – Ale dobrze wiedziałam, że trzeba to sprawdzić. Ten trop wydawał się zbyt ewidentny, ale nie znaczyło to, że Luis jednak nie był gwałcicielem. Wiedziałam z doświadczenia, że przestępcy nie są geniuszami. Gdyby byli, nigdy nie zostaliby dopadnięci. Poza tym, jak mawiał jeden z moich wykładowców, jeżeli słyszysz odgłos podków, to myśl o koniach, a nie o zebkach.

– Beznadzieja go szuka?

– Nie sądzę. Zajmę się tym. – Bailey zrobiła stosowną notatkę w nowym telefonie komórkowym.

– A co się stało z twoim blackberrym? – Bailey była gadzeciara i zawsze musiała mieć najnowsze nowinki techniki.

– To rupieć. – Podała mi swojego iphone'a. – Blackberry wygląda przy tym jak maszyna do pisania.

– Przecież mnie znasz – powiedziałam, nie dotykając nawet jej zabawki

– Na pewno coś popsuję, zanim uda mi się włączyć cokolwiek.

– Prawda – stwierdziła krótko i schowała telefon do kieszeni.

Wyglądałam przez okno, obserwowałam młodą dziewczynę w obcisłych džinsach i tenisówkach truchtającą po chodniku z psem.

Próbowała jednocześnie nastawić nową melodię w swoim ipodzie. Pies zatrzymał się nagle pod drzewem na siusiu, szarpnął smycz i ipod uderzył o ziemię. Dziewczyna wyglądała na zszokowaną, zupełnie jakby po raz pierwszy w życiu obudziła się w świecie, w którym ze słuchawek nie dochodziła muzyka. Może tak było w rzeczywistości.

Jej widok w jakiś sposób spowodował, że znowu pomyślałam o ojcu Susan.

– Stary Frank jest niezłym okazem, nie sądzisz?

– Sukinsyn – przytaknęła Bailey. – Zajmuje się tylko sobą.

– Nie wyrażaj się. – Spojrzałam na nią oburzona. – To utrwali mi się w pamięci.

Wzruszyła ramionami.

Miała wrodzony talent do lapidarnych określeń, który rozwinęła do perfekcji. Może dlatego, że wychowała się z trzema braćmi – starszymi od niej – i na dodatek w rodzinie policjantów.

Starałam się wyrzucić z pamięci jej obraz Densmore'a. Skupiłam się na tym, co mnie najbardziej w nim niepokoiło. Nie chodziło, że był zadufany w sobie i przekonany o swojej nieomyślności. Nawet nie to, że wszystko musiało się kręcić wokół niego, nawet sprawa gwałtu córki. Chociaż tutaj uczciwie musiałam przyznać, wykazał się szczerym zainteresowaniem. Może nawet postanowił wesprzeć Vanderhorna w wyborach tylko po to, żeby wymusić specjalne potraktowanie sprawy córki? Był to nieco chory sposób okazywania uczuć, ale w tym wypadku okazał się skuteczny.

– Zauważyłaś, że szpitale dla bogatych zawsze nazywają się jakoś inaczej? Na przykład centra pediatryczne?

– Tak. – Uśmiechnęła się ironicznie. – Powiem ci coś, kobieto – dodała nagle z zatroskaną miną. – Jeżeli ten Luis nie jest naszym facetem, trzeba się tylko modlić, żeby moja ekipa znalazła cokolwiek w sypialni

dziewczyny. Inaczej ta sprawa wygląda, jak szukanie igły w stogu siana. – Jej twarz jeszcze spochmurniała. – À propos, czy już podziękowałam ci za wciągnięcie mnie w to bagno?

– Jeszcze nie. Zawsze byłaś małą niewdzięcznicą.

Zerknęła spod oka.

– Wiemy przynajmniej jedną rzecz – powiedziałam. – Gwałciciel musiał dobrze znać Densmore'ów. Nie ma szans, żeby ktoś przypadkowy znalazł drogę w tym ich zamczysku i jeszcze zdołał ominąć patrole ochrony.

– I to w środku nocy.

7

Do hotelu dobrnęliśmy dopiero około dwudziestej. Byłam zmęczona, głodna i chciałam się napić, żeby doleczyć kaca.

– Masz ochotę na drinka? – spytałam.

– Nawet na kilka. – Zaparkowała przy podjeździe dla samochodów dostawczych.

Wysiadaliśmy. Musiałam unikać pełnego wyrzutów spojrzenia Rafiego, parkingowego. I tak miał o mnie niskie mniemanie, ponieważ rzadko używałam samochodu. Wyczyn Bailey jeszcze bardziej obniżył moje notowania. Portier Angel uśmiechnął się porozumiewawczo, widząc moje próby niezauważania Rafiego. Ale wpuścił nas do środka.

Jak zwykle zachwycalam się pięknem hotelowego lobby. Barwione szkło kopulastego dachu, przepięknie rzeźbione, kryształowe żyrandole, olbrzymie, miękkie orientalne dywany położone na czarnych marmurach posadzki. Przy wejściu do baru umieszczono miniaturowy wodospad, spływał kaskadą po ścianie wyłożonej włoskimi kafelkami, delikatny szmer wprowadzał uspakajającą nutę w atmosferę luksusu. Wchodząc tutaj, zawsze miałam wrażenie, jakbym wcielała się w postać rubensowskiej księżniczki.

Po prawej stronie stała grupka blondynek w średnim wieku, pilnując wózków z walizkami oblepionymi nalepkami Lufthansy. Miały na nogach okropne sandały, czarne podkolanówki i szorty – jak widać, lekceważąc sobie zarówno porę roku, jak i modę panującą w Los Angeles. Przewodnik zmagął się w recepcji ze znalezieniem dla nich rezerwacji. Robił to z niesamowitym akcentem, językiem, który recepcjonista starał się bohatercko przełożyć na angielski. Kiwnęłam głową Tommy'emu, menedżerowi nocnej zmiany, i poszliśmy w stronę baru. Za nami wznosił

się coraz donioślejszy głos przewodnika, który uważał, że wszelkie trudności językowe da się pokonać krzykiem.

Otworzyłam ciężkie drzwi z dymnego szkła i odetchnęłam przemiłą atmosferą grubych dywanów, przyćmionych świateł i bogatej sztukaterii. Drzwi zamknęły się automatycznie, pogrążając nas w półmroku. Z głośników płynęły słowa piosenki Franka Sinatry „Witchcraft”. Od razu wczuliśmy się w ten nastrój, zmierzając do baru.

W zielonej loży przy kominku po naszej prawej stronie siedziało czterech facetów w tradycyjnych garniturach. Na środku przy stoliku z sofami siedziały dwie młode kobiety w drogich ciuchach, sącąc cosmopolitan. Wyglądały na prawniczki. Mogły to być po prostu prostytutki, które chciały wyglądać jak prawniczki.

Mój kumpel i jednocześnie ulubiony barman, Drew Rayford, wycierał szklanki. Usadowiliśmy się na skórzanych taboretach przy ladzie z mahoniowego drewna. Usiadliśmy pod fotografią znanego dżokeja, który w jednej ręce ścisnął puchar, a w drugiej uzdę konia.

– Cześć Rachel, Bailey – przywitał nas Drew, kiwając każdej z nas głową. Wyczułam, że Bailey się napaliła, odpowiadając mu skinieniem. Tego wieczoru wyglądał wyjątkowo elegancko. Ubrany był w czarne spodnie, białą koszulę i czarną kamizelkę, która bezwstydnie podkreślała szczupłość jego talii. Biały kołnierzyk pięknie kontrastował z jego ciemną karnacją i małym diamentem w lewym uchu. Kamień pięknie lśnił, kiedy Drew poruszał się za delikatnie podświetlonym barem. Wysoki, boski, o skórze gładkiej jak jedwab, miał powodzenie u kobiet. Na nieszczęście dla nich nie w głowie mu były amory. Pewnego dnia chciał otworzyć własny bar dla wyższych sfer. I wolał, żeby to się stało raczej wcześniej niż później. Dlatego nie interesował się romansami. I dlatego

miałam przeczucie, że żadna kobieta nie widywała się z nim tak często, jak ja.

– Panie zamawiają? – spytał.

– Glenlivet z lodem, wodę zamówię osobno – odparła Bailey.

– Dla mnie krwawa mary.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się.

Krwawa mary wieczorem oznaczała zawsze walkę z kacem. Drew wiedział o tym najlepiej. To był największy minus mieszkania w takim miejscu. Wszyscy tu doskonale znali mnie... i moje nawyki. Przewróciłam oczami i dodałam:

– I chciałybyśmy zjeść kolację.

– Dobry pomysł – odparł. – Podejrzewałem, że będziecie chciały jeść. – Sięgnął do wiaderka z lodem. Nałożył lodu do szklanki, dolał wody i postawił przede mną. Poczekaliśmy, aż sobie pójdzie, zanim sięgnęłam po swojego drinka i menu. Pochłonęłam wodę jednym długim łykiem i postawiłam szklankę przed Bailey. Nie chciałam, żeby Drew zobaczył, jak dokładnie ocenił moje potrzeby i stan ogólny. Do licha! Tu naprawdę nie można było mieć odrobiny prywatności?

– Czuję się wyprana. – Bailey zerknęła na mnie kątem oka.

Sięgnęłam do pojemnika z zakąskami, które Drew zmieniał każdego tygodnia. Dzisiaj były oliwki z prowincji Kalamata, cykorja i solone migdały.

– Słyszałaś coś o morderstwie Jake'a Pahlmeyera? – spytałam, sięgając po oliwkę.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, zjawił się Drew z drinkami, potem rozłożył białe serwetki, podał menu.

– Dziękuję. – Bailey uśmiechnęła się zalotnie, wpatrzona w niego znacząco.

– Ależ proszę bardzo. – Obdarzył ją spojrzeniem, które trwało według mnie wieki, uraczył uśmiechem, zanim ruszył do innych gości.

Prawie jęknęłam na głos.

– Chyba żartujesz? – szepnęłam. – Raz cię przeleci i odstawi. Nie zapominaj, że ja tutaj mieszkam i będziesz do mnie przychodzić, kiedy cię zostawi.

– Skąd ta pewność, że już mnie nie przeleciał? I może nie tylko raz? – Bailey wypła łycezek whisky. – Poza tym, nikt mnie nigdy nie odstawił – dodała rzeczowym tonem.

Jeżeli zacznę drążyć ten temat, to albo dowiem się za dużo, albo za mało. Żadna z tych możliwości zbytnio mi się nie podobała. Zresztą miałam na razie większy problem na głowie.

– Nieważne. Powiedz, co słyhać w sprawie Jake'a.

– FBI oficjalnie włączyło się do akcji.

Sięgnęłam po swoją krwawą mary i zaczęłam powoli sączyć. Pierwszy łyk smakował jak pierwsza wlewka oleju do zardzewiałego silnika. Odetchnęłam głęboko i poczułam, że zaczynam się rozluźniać.

– Znaczy, że gdy wkroczyli federalni, to was wygonili?

– Jeszcze nie. Na razie mamy współpracować.

– Kto jest oficerem łącznikowym? – Zwykle w takich wypadkach każda agencja wyznaczała jedną osobę do kontaktów z drugą, dla lepszej współpracy.

– Hales. Może go znasz?

– Spotkaliśmy się – odparłam obojętnym tonem i wypła następny łyk.

– Powiedz mi, że tego nie zrobiłaś. – Bailey wyczuła moje wahanie.

– Czego?

– Nie udawaj Greka. Nie jesteś jedną z jego dziewczyn. – Tym razem ona pociągnęła ze swojej szklanki. – Ma cały klub wielbicielk z mokrymi

cipkami. – Skrzywiła się z pogardą.

– Kwieście.

– Mówię, co widzę. – Wrzuciła do ust migdał.

Nie wspominając o słownictwie mojej towarzyszki i nawet przyjmując, że Toni miała rację co do zainteresowania Halesa moją osobą, pudło. Nie znosiłam tłoku, nie wstąpię więc do stowarzyszenia fanek Halesa.

– Daj spokój. – Sięgnęłam po oliwkę. – Czy kiedykolwiek upadłam tak nisko?

– Nic o tym nie wiem – zgodziła się Bailey.

– No właśnie.

Opowiedziałam jej, w jakich okolicznościach spotkałam porucznika Gradena Halesa. Pokiwała głową tym razem całkiem poważna. Kiedy skończyłam, dopiłam resztki wody i znowu raczyłam się krwawą mary.

Bailey przyglądała mi się badawczo.

– Jak na mój gust Hales jest zbyt popularny – powiedziała wreszcie. – Ale wygląda na porządnego faceta. – Sięgnęła po szklankę. – W twojej sytuacji nie byłoby głupio postarać się zapomnieć o Danielu.

Już otworzyłam usta, by jej powiedzieć, że już o nim zapomniałam, przecież minął rok, odkąd z nim zerwałam. Wiedziałam jednak, co miała na myśli. I musiałam jej przyznać rację. To nie było takie czyste zerwanie. Daniel Rose jest światowej klasy obrońcą kryminalnym. Niedawno stał się najbardziej rozrywanym biegłym sądowym oceniającym kompetencje innych prawników. Poznałam go przy okazji sprawy rapera mordercy skazanego dzięki mnie na dożywocie bez prawa przedterminowego zwolnienia. Złożył odwołanie, uzasadniając je brakiem kompetentnego obrońcy, który w czasie procesu nie wnioskował o sprawdzenie poczytalności oskarżonego. Powołałam na świadka Daniela i od pierwszej

chwili czułam, że między nami zaiskrzyło. Nie miałam jeszcze pojęcia, że i on odniósł takie wrażenie.

Argumenty Daniela rozniosły na strzępy tezę przeciwników. Już w kilka minut po jego wystąpieniu sędzia odrzucił wniosek obrony. Daniel zadzwonił wieczorem do biura, chciał się dowiedzieć, jaki zapadł wyrok. Kiedy mu powiedziałam, zaproponował wspólnego drinka, żeby to uczcić. Drink zamienił się w kolację, która przeciągnęła się na rozmowach do rana, a potem aż do lunchu następnego dnia. Potem zaczęliśmy już planować wspólny weekend.

Przez kilka pierwszych miesięcy trwała idylla. Takie poczucie szczęścia było dla mnie czymś zupełnie nowym. Daniel stał się moim kochankiem, najlepszym przyjacielem i kimś, kto stanowił dla mnie wyzwanie. Wyzwanie, dreszcz emocji i poczucie bezpieczeństwa w jednym. Po raz pierwszy w życiu rzuciłam się w ramiona mężczyzny zamiast trzymać go na wyciągnięcie ręki. Bałam się tego i jednocześnie przepełniało mnie szczęście – jak biedną bladą larwę wystawioną po raz pierwszy na słońce z ciemnej jaskini.

Gdybym wówczas zdobyła się na rozsądne myślenie, to pewnie dotarłoby do mnie, jak było to niebezpieczne – ale nie chciałam wiedzieć. I tak w mojej podświadomości zaczęły się sączyć pierwsze kropelki jadu podejrzliwości, które zamieniły się w strumyczek, a potem w rzekę oddzielającą nas od siebie.

Daniel podróżował po całym kraju. Spotkaliśmy się akurat pod koniec cyklu wykładowego, więc nie docierało do mnie, ile czasu musi spędzać w podróżach. Pół roku później sezon znów się rozpoczął i on znowu ruszył na wykłady, wrócił do swoich zajęć, spędzając co najmniej dwa tygodnie w każdym miesiącu poza domem.

Sama nie wiem, kiedy zaczęłam się od niego oddalać. Nagle przestałam odbierać jego telefony, zapomniałam do niego oddzwonić, gdy wracał do miasta. Ciągle musiałam zostawać w pracy dłużej niż zwykle. A to znaczyło, że często wracałam do domu o północy. Przyjmował moje wymówki – wredna sprawa, oporny świadek – ale wreszcie zapytał, co tak naprawdę się ze mną dzieje? Jakiś słabiutki szept w głębi mojej duszy podpowiadał mi, że coś się dzieje, ale nie chciałam go słuchać. Daniel nie wytrzymał i podczas którejś kolacji przy świecach zapytał wprost, czy widuję się z kimś innym. Zaniemówiłam z oburzenia. Kiedy wreszcie odzyskałam głos, chciałam wiedzieć, skąd takie przypuszczenie? Przypomniał mi wszystkie nieodebrane telefony, na które nigdy nie oddzwoniłam. Powiedziałam, że nikogo innego nie ma, co było prawdą. I dodałam, że to wszystko przez sprawę podwójnego morderstwa, do której się przygotowywałam, zaprzątnęła mnie bez reszty. Próbowałam nawet sama w to uwierzyć.

W rzeczywistości otworzyły się stare rany, które zawsze rozwalaly moje związki z mężczyznami. Sądziłam, że z Danielem będzie inaczej. Moja psychiatra Carla nazwała to problemem relacji z obiektami. Z powodu traumatycznego przejścia w dzieciństwie związanego z utratą Romy nigdy nie przyswoiłam na poziomie emocjonalnym, że ludzie wyjeżdżają i potem wracają. Dlatego po każdej podróży Daniela głęboko w podświadomości coś się we mnie blokowało, chroniąc przed bólem wywołanym przekonaniem, że już nigdy nie wróci. Oczywiście wtedy tego nie wiedziałam. Dopiero po rozstaniu Carla mi wszystko wyjaśniła, żebym zrozumiała, co się stało.

Najsmutniejsze, że nawet gdybym wiedziała o tym wcześniej, to i tak nie potrafiłabym się przemóc, żeby porozmawiać z Danielem. Czułam się przez to słaba, czego nie znosiłam. Poza tym nie chciałam mu mówić o

Romy. Nie cierpiałam czuć się bezradna, ale jeszcze bardziej nienawidziłam przyznania się do winy.

Nigdy nie byłam z nim szczerą. Nierozwiązane problemy nie znikają same z siebie. Co najwyżej chowają się w kąt i nabrzmiwiają. W ciągu kolejnych sześciu miesięcy Daniel wiele razy próbował ze mną rozmawiać, ale ja coraz bardziej się zasklepiałam w swoich fobiach. Wreszcie, tuż przed Bożym Narodzeniem, oznajmiłam mu, że to koniec. Myślałam, że mi serce pęknie na widok jego smutku i łez w oczach. Przez kolejny rok usiłowałam zaleczyć rany, ale bez powodzenia. Łapałam się na tym, że przez kilka dni udawało mi się o nim nie myśleć, ale wystarczyło, żebyśmy spotkali się przypadkiem gdzieś w sądzie. Wtedy wszystko wracało ze zdwojoną siłą i znowu nie potrafiłam się pozbierać. Ani Bailey, ani Toni nigdy nie kwestionują mojego zdania, że Daniel to już przeszłość. Obie jednak doskonale wiedzą, że to nieprawda. A ja wmawiam sobie, że jeżeli będę to powtarzać w kółko, kiedyś moje słowa zamienią się w prawdę.

– Czyli na razie Graden prowadzi sprawę Jake'a? – spytałam, wracając do rzeczywistości.

– Robocza hipoteza na dzień dzisiejszy jest taka, że dzieciak szantażował Jake'a. Nagie zdjęcie chłopaka znaleziono w jego kieszeni. Jake nie chciał płacić i się załamał. I postanowił zabrać małego ze sobą.

– Tak po prostu? – Nie mogłam uwierzyć, by postępował bezmyślnie. – Czy komukolwiek przyszło do głowy, że w tej teorii nic nie pasuje do prawdziwej osobowości Jake'a? Absolutnie nic!

– Prawdziwej osobowości? – Bailey uniosła brew ze zdziwienia. – Chcesz mi coś powiedzieć o nim i o...

– Oczywiście, że nie – odparłam zdenerwowana – To po prostu nie fair. Był porządnym facetem i zasługuje na coś lepszego niż... gówniana teoria.

Bailey skinęła elegancko głową na Drew, który nagle pojawił się przed nami. Zamawiała kolację najbardziej zmysłowym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałam poza filmami o Jamesie Bondzie. Ja tymczasem starałam się uspokoić. To nie jej wina, że wszyscy traktowali tę sprawę rutynowo. Kiedy Drew wreszcie się mną zainteresował, pomyślałam przez chwilę o odpuśczeniu sobie diety i zamówieniu królewskich krewetek jak Bailey. Zlitowałam się jednak nad własną garderobą i pozostałam przy sałatce nicejskiej. Drew zrobił dziwną minę, jakby chciał powiedzieć „znowu?”, ale udałam, że tego nie widzę. On sam chyba nie przytył ani grama, od kiedy stał się pełnoletni.

– Wybacz, Bailey – powiedziałam, kiedy Drew zniknął – ale nie mogę zrozumieć, dlaczego nikt nawet nie stara się zajrzeć głębiej. Znałam Jake'a dość dobrze i...

Położyła swoją dłoń na mojej.

– To są pobożne życzenia. Wolę jednak, żebyś przygotowała się na najgorsze. Jak dobrze go znałaś? Byłaś kiedyś u niego w domu? Bywaliście chociaż w tym barze? Poznałaś jego rodzinę? Jego dziewczynę? Łączyło was kiedykolwiek coś innego niż rozprawy sądowe?

Pokręciłam głową. Chyba nie miał żadnej dziewczyny. Ale... W jego wieku, z jego urokiem i wyglądem powinna być jakaś dziewczyna albo mężczyzna – ktokolwiek, o kim chociażby wspomniał. Nawet mnie się wyrwało coś o Danielu raz czy drugi. Nie lubiłam myśli, które zaczęły mnie nachodzić.

– Nie mówię, że się mylicie. Chcę mieć tylko pewność, że nie zamkną tej sprawy przed sprawdzeniem wszystkich możliwości.

– Czemu nie porozmawiasz o tym z Halesem?

– Rozmawiałam. Właściwie powiedział to samo, co ty. I z jakiegoś powodu nie bardzo chce mówić o tej sprawie.

– Pewnie boi się przecieku.

Pociągnęłam kolejny łyk, rozważając, co mogłabym zrobić. Jako prokurator miałam różne możliwości.

– I co zamierzasz? – Bailey czytała w moich myślach.

– Sama nie wiem.

Drew przyniósł moją sałatkę i krewetki dla Bailey. Aż poczułam ssanie w żołądku od zapachu jej dania.

– Chcesz gryza? – Uśmiechnęła się.

– Myślałam, że nigdy nie zapytasz. – Chwyciłam widelec.

– Rache...

– Mhm? – Usiłowałam wybrać jakąś dorodną sztukę z jej talerza. To się rozpląwało w ustach. Długą chwilę delektowałam się smakiem, zanim wreszcie zorientowałam się, że Bailey chce mi coś powiedzieć. Spojrzałam na nią.

– Pomogę ci.

Zamarłam. Zrobić przysługę przyjacielowi to jedno, ale rzucać się w przepaść, to coś całkiem innego. Jeżeli ją nakryją, będzie miała kłopoty. Moja lepsza strona odruchowo chciała ją od tego odwieść. Coś jednak mi mówiło, żebym przyjęła jej propozycję i zabrała się do roboty. Moja lepsza strona pozostała związana w głębokim kącie mojej duszy. Obiecałam sobie natomiast, że zrobię wszystko, by zminimalizować ryzyko wpadki. Nie umiałam znaleźć słów, żeby powiedzieć, ile ta obietnica dla mnie znaczy. Pokiwałam więc tylko głową z wdzięcznością i milczałam, uważając, że cisza będzie bardziej wymowna niż jakiegokolwiek słowa.

Bailey wypła łyk swojej whisky, a ja nie mogłam się oprzeć zapachowi krewetek. Sięgnęłam widelcem po następną. Tym razem Bailey zabrała mi talerz sprzed nosa. Każda przyjaźń ma swoje granice.

Niechętnie skupiłam się na sałatce. Jajka na twardo wyglądały naprawdę apetycznie. I z pewnością są smaczne.

8

Następnego ranka obudziłam się o ósmej trzydzieści i zaraz znów nakryłam się kołdrą. Ekipa Bailey pojawi się w domu Susan o dziesiątej trzydzieści, więc miałam jeszcze mnóstwo czasu. Powiedziałam sekretarce, że jestem na mieście w związku ze sprawą Densmore'a. Praca na miejscu zbrodni stanowiła rzadki pretekst do wyjścia z biura, a w tym wypadku pozwoliła mi odespać kaca.

Poranek był piękny, ale mroźny. Włożyłam więc wełnianą spódnicę i botki. Po dojeździe do siebie przysięgłam sobie, że już nigdy nie doprowadzę się do takiego stanu. Zadzwoiłam do Rafiego i poprosiłam, żeby wyprowadził mój samochód. Przynajmniej odbije sobie wczorajsze darmowe parkowanie samochodu Bailey na zakazie. Ponieważ rzadko używałam auta, Rafi nie zacznie się przyzwyczajać do moich napiwków i nie doprowadzi mnie do ruiny. Moja mała honda accord była zakurzona, nigdy nie miałam czasu pojechać do myjni. Będzie się rzucać w oczy w krainie bogaczy. Trudno. Włączyłam ipoda i ustawiłam swoją ulubioną składankę jazzową. Ruszyłam w drogę i nawet nie zauważyłam, kiedy znalazłam się na miejscu.

Bailey już tam była. Stała przed ciężarówką dochodzeniową, rozmawiając z technikiem. Okazało się, że to była Dorian. Jedna z niewielu kobiet techników. Weteranka, przez dwadzieścia dwa lata pracy widziała więcej miejsc zbrodni niż pozostali razem wzięci. Bailey brała najlepszych.

– Cieszę się, że wróciłaś – powiedziałam na powitanie. Przez ostatni rok pracowała w wydziale dochodzeniowym straży pożarnej.

– Fajnie jest zmienić otoczenie, ale brakowało mi tego smaczku. – Sięgnęła po torbę z przyrządami. – Zaczynamy?

– Wątpię, żebyś znalazła odciski palców – powiedziałam po drodze do domu. – Facet był bardzo ostrożny. Ale może zostawił jakieś włókna czy włos.

Dorian skinęła głową. Drzwi otworzyła nam ta sama Hiszpanka, co wczoraj, zapraszając do środka. Tym razem Dorian zrobiła dziwną minę. Cieszyłam się, że to nie ja. Weszliśmy do pokoju Susan i Dorian wyjęła ze swojej torby rękawiczki chirurgiczne, ochraniacze na buty i wzięła się do roboty.

– Zakładam, że tu już byliście. – Pokręciła głową z niesmakiem. Gestem nakazała nam zatrzymać się na progu.

Miała rację. Powinnyśmy poczekać, aż skończy badanie. Ale i tak przeszło już tędy stado ludzi, ale ostrożności nigdy za dużo. Czasami miałam wrażenie, że na świecie byłoby lepiej, gdyby rządziła nim Dorian.

– Będę potrzebować próbek waszych włosów i wszystkiego, co wtedy miałyście na sobie. Jej także. – Wskazała palcem na pokojówkę. – A także próbek rodziców i każdego, kto miał dostęp do tego pokoju. Zakładam, że to długa lista.

Obie z Bailey przyznałyśmy jej rację. I znowu zerknęłam na drzwi balkonowe, zastanawiałam się, w jaki sposób gwałcieł dostał się na pierwsze piętro. Nawet wchodzenie na balkon od dołu było niemałym wyzwaniem. Z wyjściem na zewnątrz nie powinien mieć kłopotów, zważywszy na wielkość domu. Musiał być na autostradzie, zanim ktokolwiek usłyszał krzyk Susan. Chciałam obejrzeć trawnik od strony balkonu.

– Obejrzę ogród – powiedziałam.

– Możecie to zrobić razem. – Dorian spojrzała znacząco na Bailey.

Próbowałam nie śmiać się na widok miny Bailey, ale niezbyt mi się to udało. Prychnęła obrażona i skierowała się do schodów. Powoli ruszyłam

jej śladem, oglądając dom jeszcze raz. Dopiero teraz dostrzegłam wiele rzeczy. Ściany zostały udekorowane oryginalnymi obrazami, w większości współczesnych abstrakcjonistów. Rozpoznałam niektórych artystów i wiedziałam, że musiały kosztować fortunę. Nie oszczędzono na żadnym detalu. Na inkrustowanym drewnianym kredensie z Włoch stał antyczny miniaturowy dzwonek z kryształu górskiego. Kosztowne zasłony w salonie podwieszono na boki za pomocą grubych, plecionych sznurów w złotym kolorze. W wyposażenie tego domu wpakowano więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek zdołam zarobić. Trzymałam więc swoje chłopskie ręce przy sobie i szybkim krokiem przeszłam na tyły domu do wejścia dla służby. Po drodze minęłam olbrzymią kuchnię z dwiema zmywarkami i chłodniami zabudowanymi w ścianach.

Bailey oczywiście stała już na podwórku pod balkonem Susan. Spojrzałam na górę. Balkon był dobrych pięć, sześć metrów nad ziemią. Rozejrzałam się za czymś, po czym można by się wspiąć. Nieopodal stała oparta o drzewo pieprzowe składana drabina malarska.

– Widzisz tu gdzieś ślady malowania? – Bailey rozglądała się wokoło.

Pokręciłam głową. Przeszliśmy dalej wzdłuż domu. Ktoś rzeczywiście malował balustrady na największym balkonie przylegającym prawdopodobnie do głównej sypialni.

– Jeżeli miałaś jakieś wątpliwości, czy nasz sprawca znał rodzinę ... – Bailey oglądała dom, zasłoniwszy dłonią oczy.

Nie miałam, ale wszystko zaczynało pasować. Ktokolwiek to zrobił, wiedział doskonale, gdzie znaleźć Susan i gdzie stoi drabina.

Ten gwałt nosił szczególne znamiona. Zwykle większość gwałcicieli zna swoje ofiary i rzecz się dzieje w sytuacjach mniej lub bardziej świadomych randek. Seryjni gwałciciele z kolei nie gwałcą znajomych. W tym wypadku nic nie pasowało do schematów.

Doszliśmy znowu do wejścia głównego.

– Myślisz, że doktorowa jest w domu? – zastanawiała się Bailey.

Kiedy mijałyśmy okna salonu, coś mi mignęło przez szybę. Skinęłam Bailey ręką i podeszliśmy do drzwi wejściowych. Zadzwoiłam.

Otworzyła znowu Hiszpanka, tym razem patrząc na nas z jeszcze większą niechęcią.

– Czy pani Densmore jest w domu? – spytałam.

Przez chwilę szacowała nas wzrokiem, jakbyśmy były zwykłymi przechodniami, którym nic do tego, gdzie jest akurat właściciel domu. Przybrałam swoją minę à la Humphrey Bogart, by dać jej do zrozumienia, że nie ma z nami żartów. Westchnęła głośno i zaprowadziła nas do salonu. Po dwóch minutach weszła Janet Densmore ubrana, jakby właśnie brała udział w sesji zdjęciowej dla „Vogue'a”.

– Przepraszamy za zamieszanie – powiedziała Bailey tonem, który wyraźnie zaprzeczał jej słowom.

– Nie ma za co. Z chęcią pomogę, jeżeli tylko potrafię – odparła Janet i chyba nawet zabrzmiało to szczerze.

– Czy Susan korzysta z kliniki pani męża? – zapytałam.

– Nie. Pierwsza klinika znajdowała się w podłej okolicy, więc nie chcieliśmy narażać córki. Następne kliniki powstały w lepszych dzielnicach, ale Susan miała wtedy już siedem lat i chodziła do swojego lekarza. Nie było sensu tego zmieniać.

– Gdzie on przyjmuje?

– Czemu pani pyta? – zdziwiła się Janet.

– Staram się zlokalizować miejsca, gdzie znajdują się informacje na temat Susan, z których ktoś mógłby skorzystać bez państwa wiedzy. Ponieważ ten, kto to zrobił, wiedział, gdzie córka śpi i w jaki sposób można się dostać do jej pokoju.

Janet wyglądała na zszokowaną.

– W klinice? Nigdy by mi nie przyszło do głowy... – Westchnęła ciężko i zaczęła się zamartwiać, że Susan mogła być śledzona.

– Na tym etapie musimy sprawdzić każdą ewentualność, pani Densmore – powiedziałam.

– Mów mi Janet, proszę – poprawiła mnie. – A może to jednak ten chłopak, którym się opiekowała? To się wydaje bardziej logiczne.

– Niewykluczone. Ale musimy sprawdzić każdą możliwość.

To ją trochę uspokoiło.

– Oczywiście podam adres przychodni. – Uśmiechnęła się. – Chociaż wątpię, żeby trzeba było przesłuchiwać lekarza Susan. Ma siedemdziesiąt pięć lat. I jakoś nie wyobrażam go sobie, wspinającego się na balkon czyjegokolwiek okna.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie.

– Mam listę miejsc, gdzie córka bywa regularnie, oraz nazwiska osób, których gości w domu. Chciałabyś coś jeszcze dodać do tego?

Lista była zadziwiająco krótka. Brakowało jedynie nazwiska jej lekarza. Nawet Beznadzieja był w stanie wszystkich sprawdzić i wykluczyć z kręgu podejrzanych.

Janet myślała przez chwilę i pokręciła głową.

– I jeszcze dwie sprawy – dodałam. – Potrzebujemy próbki włosów i ubrań, męża, pokojówki i wszystkich, którzy mieli dostęp do pokoju córki. Chyba że już to zrobiliście?

Czekałam na odpowiedź, ale już ją znałam. Lambkin nie zwracał sobie tym głowy.

– Ktoś po to przyjdzie, czy mamy iść na komisariat?

– Poprosimy Dorian, żeby zebrała wszystko na miejscu. Kiedy malarze zaczęli malować balkon? Ten największy od ogrodu?

– No jasne. – Janet westchnęła. – Przecież on wszedł przez okno. – Patrzyła przez chwilę w podłogę – Chyba jakiś tydzień przed... Zanim to się stało. Ale mogę sprawdzić w rachunkach, jeżeli trzeba.

– Przyda się. Na razie to wszystko. Zobaczymy teraz, jak sobie radzi Dorian na górze, jeżeli pozwolisz.

– Oczywiście. Esperanza ma was zaprowadzić?

– Damy sobie radę. I postaramy się skończyć najszybciej jak to możliwe.

– Nie śpieszcie się. Jeżeli będziecie czegoś potrzebować, proście. Zrobię naprawdę wszystko, żeby ten potwór poszedł do więzienia.

Nie wyglądała na osobę chętnie okazującą emocje. Jeżeli więc teraz coś okazywała, to w środku musiała się gotować z wściekłości. Za żadne skarby świata nie mogłam zrozumieć, co ona może widzieć w takim dupku jak Densmore. Jako pierwsza naiwna nigdy oczywiście nie chciałam uwierzyć, że może chodzić jedynie o pieniądze.

– Dziękuję Janet. Nie omieszkamy skorzystać.

Skinęła głową i poszła gdzieś na tył domu do swoich spraw. Byłyśmy już w połowie schodów, kiedy usłyszałam zgrzyt klucza w zamku drzwi wejściowych. Pojawiła się w nich Susan. Zamknęła cicho drzwi za sobą, nas nie zauważyła. Dochodziła dwunasta trzydzieści. Trochę za wcześnie na powrót ze szkoły.

Odniosłam wrażenie, że to nie był pierwszy raz i że nikt o tym nie wiedział. Nastolatki są mistrzami udawania. I nieważne jak sympatycznych miała znajomych, to jej historia będzie królować na Twitterze jeszcze wiele tygodni. Po tym, co spotkało Romy, doskonale wiedziałam, jakim piekłem mogło stać się takie zainteresowanie.

– Cześć Susan. Jak leci? – powiedziałam cicho. Miałam nadzieję przekonać ją, że dochowam tajemnicy i dlatego nawet nie wspomniałam o

jej wcześniejszym powrocie ze szkoły.

Była zaskoczona; wpatrywała się w nas z wyrazem winy na twarzy. Uśmiechnęłam się do niej.

– Idziemy dowiedzieć się, czy technik znalazł coś w twoim pokoju. Pójdiesz z nami?

Nie zgadzałam się z teorią, że ofiary przestępstw nie powinny być informowane o przebiegu śledztwa. Nie sądzę, żeby to im pomagało. Co najwyżej sprawiało, że czuły się jeszcze bardziej bezradne. Wolę, żeby mi same powiedziały, jeżeli nie chcą takich informacji. Wtedy wiem, że to jest ich wybór.

– Och... jasne – wyjąkała zdziwiona.

Doszliśmy do jej pokoju i stanęliśmy w progu. Dorian pokryła proszkiem całe okno, także framugi i właściwie wszystko, aż do łóżka. Na podłodze leżały w równym rzędku papierowe torebki z próbkami. Włosy i fragmenty ubrań najlepiej przechowywać w papierowych torbach, w których mogą oddychać i pozostają suche. Tylko jedna torba była jeszcze niezamknięta.

– Pościel już zabrali? – spytała.

– Nawet Beznadzieja nie zapomniałby o tym – odparła Bailey.

– Ktoś już to badał? – spytała tonem, który sugerował, że zna odpowiedź.

– Nie udało się zidentyfikować próbek z nocnej koszuli, więc nie ma pośpiechu. Wszystko czeka w przechowalni – odpowiedziała Bailey.

Laboratorium kryminalistyki było tak zawałone robotą, że nie dotknie żadnego dowodu, dopóki nie będziemy mieć podejrzanego. Na przykład Luisa, który był podejrzanym numer jeden zdaniem Franka Densmore'a.

– Znalazłaś coś? – spytałam.

– Może. Sama nie wiem. – Dorian podniosła z podłogi niezamkniętą torebkę. – Znalazłam to na oparciu łóżka – dodała, podtykając nam ją pod oczy. Pochyliłyśmy się niżej, żeby lepiej widzieć, ale zaraz ją zabrała. – Miałyście tylko popatrzeć. Nie wsadzać tam nosy.

Ścisnęłam lekko ramię Susan, ostrzegając ją, że Dorian może czekać, ale nie ugryzie. Otworzyła szerzej torebkę i pokazała nam zawartość. W środku znajdowały się kawałki jasnych włosów. Spojrzałam na oparcie. Wykonano je z jakiegoś drewna, malowanego na biało z fantastycznymi szlaczkami. Łatwo sobie wyobrazić, w jaki sposób mogły na nim zostać włosy, gdyby ktoś się o nie oparł głową. Ale Susan była blondynką, więc nie bardzo wiedziałam, o co Dorian chodzi.

– Są sztuczne – powiedziała, jakby czytając w moich myślach.

– Jak peruka?

– Lub lalka. Gdyby na przykład spała z jakąś lalką, włosy mogłyby zostać na łóżku.

– Masz tu jakieś lalki? – spytała.

Susan podeszła do wielkiej białej szafy pomalowanej w złote szlaczki i otworzyła ją. W środku trzy półki były zajęte przez równo poukładane lalki – Barbie, Skippery i parę innych, których nawet nie potrafiłam nazwać. Porównywanie ich peruk ze znalezionymi próbkami będzie prawdziwą drogą przez mękę. Gdyby jednak udało się wyeliminować lalki, wtedy znalezione włosy mogłyby stanowić jakiś dowód.

Dorian przyglądała się badawczo kolekcji i mogłam prawie wyobrazić sobie, jak w myślach liczy, ile czasu potrzeba na analizę tego wszystkiego.

– Zabieram je wszystkie – oświadczyła. – Ale nie martw się. Zwrócę je.

Susan kiwnęła głową. Kiedy patrzyłam, jak Dorian pakuje każdą lalkę w oddzielną torebkę, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że właśnie zabierałyśmy ostatnie pamiątki dzieciństwa Susan.

9

Byłam zadowolona, że przyjechałam swoim samochodem. Nie miałam nastroju na pogaduszki w czasie długiej drogi powrotnej. Prawdę powiedziawszy, Bailey również nie wyglądała na szczęśliwą. Każda z nas wracała własnym samochodem. Oddałam samochód Rafiemu – jego cieplejsze spojrzenie znaczyło, że zaczynam wracać do jego łask – i piechotą poszłam do biura. Zwykle przechadzki poprawiały mi nastrój. Ale nie dzisiaj.

Zrozumiałam jedynie, że jestem głodna. Na śniadanie zjadłam jak zwykle omlet z samych białek i teraz mój żołądek domagał się dodatkowej porcji. Zanim dotarłam do windy, już zaczęło mi burczeć w brzuchu. Wcisnęłam się w ostatniej chwili i wstrzymałam oddech. Kończyła się pora lunchu, więc winda była zatłoczona do maksimum. Toni wspominała kiedyś, że powietrze w takich windach jest pełne zarazków – zbyt dużo zakażonych osób tłoczy się na zbyt małej przestrzeni. Od tamtej pory starałam się nie oddychać, jadąc windą.

Wysiadłam na trzynastym piętrze i poszłam do stołówki, przeciskając się przez tłum oczekujących na popołudniowe rozprawy. Dostrzegłam Toni, pochylała się nad szybą lady chłodniczej. Starła się znaleźć coś jadalnego, co za każdym razem stanowiło prawdziwe wyzwanie.

– Znalazłaś coś zjadliwego?

– Zjadliwego? – Spojrzała na mnie z politowaniem. – Wystarczy, że się tym nie zatruję.

Padło w końcu na indyka z tostem serowym z pełnoziarnistego pszennego pieczywa i wodę mineralną.

Kiedy wyszliśmy na korytarz, tłum zaczynał rzednąć, znikając w salach rozpraw. Po drodze do windy mignął mi porucznik Graden Hales ze stertą

papierów w rękę. Kierował się do sali 125. Toni oczywiście dostrzegła moje spojrzenie.

– Chciałabyś go zobaczyć w akcji?

Właściwie nie miałam ochoty na podglądanie. Byłam pewna, że na moim biurku rośnie sterta kartek z telefonami i sprawami do załatwienia. Miałam jednak podły nastrój po wizycie u Susan i doszłam do wniosku, że odrobina rozrywki może się przydać.

– A co mi tam! – stwierdziłam.

Toni z kolei zerknęła odruchowo w stronę sali 130. Sala rozpraw sędziego J.D. Morgana. Po jej minie wiedziałam, że ich burzliwy związek akurat znajdował się w fazie rozstania. Nie wiadomo, kto z kim się rozstał. Robili to na zmianę z podziwu godną konsekwencją.

Spojrzała na mnie, zobaczyła, że jej się przyglądam i wzruszyła ramionami. Poklepałam ją po plecach i poszłyśmy do poczekalni przy sali 125. Jakiś bywalec sądowy przyjrzał nam się z ciekawością i wszedł na salę. Zanim zamknął drzwi, zauważyłam, że przysięgli siedzieli już na swoich miejscach, a Graden stał na miejscu dla świadków. Obok było widać obrońcę szykującego się do zadawania pytań. Wślizgnęłyśmy się za nim i usiadłyśmy w ostatnim rzędzie.

Słuchając pytań, zorientowałam się, że oskarżony pobił swoją dziewczynę w czasie jakiegoś party. Ktoś ich rozdzielił i oskarżony wyszedł na zewnątrz, gdzie zaczął się na nią za samochodem. Kiedy podeszła do swojego samochodu, wyskoczył z ukrycia i dźgnął ją nożem. Obrona usiłowała wydobyć z Gradena zeznania, że na przyjęciu było wiele osób, które też mogły to zrobić. Graden był jednak zbyt obyty z takimi chwytami. Po dwudziestu minutach wszyscy zorientowali się, że obrona wali głową w mur i próbuje już tylko wyjść z tego starcia z twarzą. Powinien to zakończyć o wiele wcześniej.

– Poruczniku Hales – zapytał adwokat – nie jest więc prawdą, że ostatnią osobą, która widziała ofiarę żywą, była Sonia Fontina?

– Nie mecenasie. To pański klient widział ją ostatni.

Obrona próbowała wnieść sprzeciw do tej odpowiedzi, ale sędzia odrzucił wniosek. obrońca powlókł się na swoje miejsce z ponurą miną. Oskarżyciel przytomnie zrezygnował z dalszych pytań, nie chcąc psuć wrażenia.

Graden wyszedł z sali, nie zauważając nas.

– Dobry świadek – stwierdziła Toni – chociaż wnerwiający.

Lubiłam, żeby moi świadkowie byli nieco wnerwiający.

– Owszem, ale musisz przyznać, że celnie go trafił.

– Idealnie – zgodziła się Toni, wzdychając ciężko. – Chyba trzeba nam wracać do naszej harówki.

Wyszliśmy po cichu i wróciliśmy do biura.

Przebijałam się przez sterty papierów zalegających biurko, dopóki słońce nie zaszło za budynek „Timesa” i chodniki prawie zupełnie opustoszały. Wreszcie w całym biurze zapanowała moja ulubiona cisza. Przeciągnęłam się w fotelu i pokręciłam głową, żeby rozprostować szyję. Zapadał zmrok. Jak zwykle o tej porze roku szybko i wcześnie. Teraz, kiedy już odrobiłam zaległości i ruszyłam ze sprawą Densmore'a, mogłam wreszcie pomyśleć, co można było zrobić w sprawie Jake'a. Przewinęłam książkę adresową swojej komórki i zatrzymałam się przy literze „F”. Zegar na budynku „Timesa” pokazywał siedemnastą dwadzieścia. Zadzwoiłam do Scotta Ferriera z biura koronera. Scotty jeszcze pracował.

– Chyba masz wyniki sekcji Jake'a? – spytałam. To dziwnie zabrzmiało.

– Nie pytaj mnie o to, Rachel.

– Już zapytałam. Poza tym wiesz, że milczę aż po grób.

– To ryzykowne. Gdyby ktoś coś znalazł u ciebie, wezmą mnie za tyłek.

– Kto niby ma to znaleźć? Sprzątaczkę? Wystarczy, że to położę na środku podłogi w stertę innych spraw. Wierz mi, nie ma takiej możliwości.

– Sam nie wiem...

– Lunch w Engine Company Number Twenty-eight? – Kułam żelazo, póki gorące. Restauracja w starej remizie strażackiej była ulubionym lokalem Scotta.

– Kiedy? – zapytał, wzdychając ciężko.

– Jutro. – Starannie ukryłam zadowolenie.

Scott się rozłączył, a ja czułam zadowolenie. Dzień mogłam uznać za udany. Zaczęłam się zbierać do wyjścia. Pakując się, igrałam z myślą odwiedzenia siłowni, ale jakoś nie potrafiłam się do tego przekonać. Przypomniałam sobie, że dzisiaj jest środa, a więc to dzień na chińszczyznę. Pocieszyłam się, że wyprawa do Chinatown będzie odpowiednikiem co najmniej godziny na stepperze i wyszłam. Oolong Café poleciła Toni. Zniechęcał mnie widok różowo-zielonego neonu, ale potem byłam zadowolona. Jedzenie było tam wyjątkowo smaczne, a obsługa wyjątkowo sprawna. W kilka minut otrzymałam wielką papierową torbę z gorącym ryżem, kurczakiem w pomarańczach i wołowiną w pięciu smakach. W osobnej torebce dostałam warzywa gotowane na parze.

Szybko wracałam zachodnią stroną Broadwayu, szukając znajomego kąta. Na rogu Broadwayu i Pierwszej znalazłam to, czego szukałam. Spod sterty brudnych koców wystawała znoszona czapka Lakersów.

– Cześć panienko. Jak leci? – Głęboki głos dochodził jakby spod ziemi.

– W porządku, Cletus. A co u ciebie?

– Nie narzekam – odparł głos spod koca.

– Miałam ochotę na kurczaka w pomarańczach. – Postawiłam torbę obok sterty. Wkrótce pojawiła się czyjaś ręka i zabrała torbę.

– Pachnie zupełnie jak wołowina w pięciu smakach. Świetny wybór.

– Dzięki – odpowiedziałam. – Trzymaj się.

– To raczej ty się trzymaj, panienko.

– Smacznego.

Pomachałam mu ręką na pożegnanie.

Ruszyłam do domu z torebką warzyw.

10

Kolejny ranek był zimny i wietrzny, ale pogodny. Postanowiłam, że pojedę po Scotty'ego swoją hondą.

I po raz kolejny doszłam do wniosku, że powinnam umyć samochód. Z drugiej strony facet, który zwykle wozi samochodem trupy, nie powinien przejąć się widokiem pustych kubków po kawie.

Zabrałam go z jego biura trochę przed dwunastą, żebyśmy zdążyli przed godzinami szczytu na ulicach. Engine Co. No. 28 nawet po dwudziestu latach wciąż była popularnym lokalem. Przypominała mi trochę stare grillowanie w San Francisco. Remiza wybudowana w tym miejscu w 1912 roku została odremontowana, wyposażona w wykładane mahoniem boksy dla gości, olbrzymi bar i oryginalny strażacki słup zjazdowy.

Zamówiłam sałatkę z kurczaka, a Scott żeberka. Mój przyjaciel popadł w paranoję i cały czas rozglądał się podejrzliwie wokół siebie. Unikałam więc jakiegokolwiek aluzji do sprawy Jake'a. Zmuszałam się do rozmowy o niczym, mnąc nerwowo serwetkę pod stołem. Wreszcie kelner przyniósł nam rachunek. Zapłaciłam gotówką, żeby uniknąć kolejnego oczekiwania. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, Scotty otworzył moją skrytkę na rękawiczki i wyjął raport z kieszeni.

– Schowaj to – powiedział, wkładając go do skrytki. – Tego nikt nie może zobaczyć.

Przytaknęłam mu z powagą i skupiłam się na pilnowaniu szybkości. Inaczej mogłabym pobić rekord świata w odwożeniu Scotta do biura.

Wysadziłam go i podjechałam do Elysian Park – zielonej oazy nieopodal Akademii Policyjnej. Zaparkowałam pod drzewami na końcu alejki, żeby nikt nie mógł się zbliżyć niepostrzeżenie. Scott może i był

paranoikiem, ale lepiej uważać na wszystko, żeby go przypadkiem nie wkopać.

Przekartkowałam opis zwłok Jake'a i chłopca, którego znaleziono razem z nim. Nazywał się Kit Chalmers. Potem skupiłam się na szczegółach. W płucach żadnego nie znaleziono śladów dymu, co znaczyło, że obaj nie żyli, kiedy wybuchł pożar. Mogło to wskazywać, że ogień podłożył ktoś inny. Jake nie palił, ale Kit prawdopodobnie tak. Może ogień wybuchł od niedopałka. Pożar mógł też zostać spowodowany krótkim spięciem w instalacji elektrycznej. Możliwych przyczyn było mnóstwo.

Przeszłam do części sporządzonej przez Scotty'ego. Raport koronera z reguły zawiera opis miejsca zbrodni, chociaż bez szczegółowego opisu, jak to jest zwykle w wypadku raportu ekipy policyjnej. Scotty dbał o szczegóły. Odnotował mnóstwo ohydnych śmieci, na przykład zużyte prezerwatywy w łazience, stare niedopałki papierosów, a nawet gumową opaskę uciskową stosowaną przez narkomanów przy robieniu zastrzyków. Cudownie. Może już wcześniej ktoś zaproszył ogień. Było to mało prawdopodobne, przecież strażacy dali sobie radę w rekordowo krótkim czasie.

Pomyślałam, że FBI powinno porównać próbki DNA z tych petów z próbkami Jake'a i Kita. Nawet gdyby nic z tego nie wyszło, to przecież i tak o niczym nie świadczyło. Takie miejsca odkurzano ze dwa razy do roku.

Doszłam wreszcie do raportu toksykologa. W krwi Kita znaleziono ślady marihuany, ale krew Jake'a była czysta. Nic dziwnego. Ślady substancji smolistych w płucach Kita potwierdziły moje podejrzenia, że palił. Hipoteza o wywołaniu pożaru przez jego niedopałek stawała się bardziej realna. A jeśli tak, to teoria o obecności trzeciej osoby, sprawcy pożaru, mogła wylądować w koszu na śmieci.

Przeszłam od razu do przyczyny zgonu. W obu przypadkach był to strzał w głowę. Obok Jake'a znaleziono nierejestrowany rewolwer Smith &

Wesson kaliber 38 mm. Test parafinowy wykazał odrobinki prochu na jego prawej dłoni. Niewiele jak na samobójstwo, ale te testy i tak nie były dokładne. Przekartkowałam kilka kartek do przodu, żeby sprawdzić, czy są jakieś nazwiska świadków. Niestety żadnych. Nawet w takiej spelunie ktoś powinien słyszeć dwa strzały z rewolweru. Ktoś powinien chociaż wyjrzeć przez judasza w drzwiach, żeby zobaczyć, co się dzieje. Szczegóły musiały być w raporcie policyjnym. Jeżeli nikt nic nie słyszał, być może użyto tłumika. A ponieważ obok ciała nie znaleziono tłumika, mogło to wskazywać na obecność trzeciego uczestnika zajścia.

Była to wątpliwa nadzieja, ale tonący brzytwy się chwyta, jak mówią. Do biura dojechałam z mieszanymi uczuciami. Zaparkowałam na parkingu dla urzędników, a Julio, ochroniarz, pozwolił mi stanąć niedaleko wejścia. Wspinając się po schodach, po raz kolejny obiecałam sobie, że po powrocie do domu pójdę na siłownię. Spojrzałam na zegarek – była już za piętnaście trzecia. Czas szybko płynął, kiedy czytało się skradzione raporty koronera. Biegiem wpadłam do windy.

Szybko szłam do swojego pokoju, kiedy usłyszałam głos Melii:

– *Mija*, wracaj na chwilę.

Zawróciłam więc do sekretariatu.

– Tak?

– Szef chce cię widzieć.

Kiedy wsadziłam głowę do gabinetu, Eric rozmawiał przez telefon. Zakręcił palcem w powietrzu, pokazując, że jego rozmówca może tak gadać wieki, a potem pokazał mi gestem, żebym usiadła na fotelu przed jego biurkiem.

– Nie ma sprawy – powiedziałam samymi ustami, wywołując jego uśmieszek.

Usiadłam więc i podziwiałam panoramę. Z jego narożnego gabinetu na osiemnastym piętrze było widać ogromną część miasta wraz z przechodniami i samochodami. Po lewej stronie widziałam młodego Murzyna w džinsach i bluzie z kapturem idącego tanecznym krokiem w rytmie muzyki dobiegającej ze słuchawek na głowie.

Eric przerwał wreszcie swojemu rozmówcy zdesperowanym głosem:

– I tak będę musiał mieć więcej danych, zanim udzielę jakiegokolwiek odpowiedzi. Zadzwoń później. – Wzniósł oczy do góry, zrezygnowany.

Przytaknęłam mu bezgłośnie ruchem głowy i znów spojrzałam przez okno. Murzyn był teraz bliżej. Dostrzegłam, że przewód od słuchawek kołysał się swobodnie do niczego niepodłączony.

– Przepraszam, że musiałaś czekać. – Eric wreszcie skończył rozmowę.

– Nie ma sprawy. O co chodzi?

Westchnął ciężko, co nigdy nie wróżyło nic dobrego. Widziałam po jego minie, że nie chce mi mówić tego, co musi mi powiedzieć. Zesztywniałam.

– Dzwonił Frank Densmore.

– Rozumiem. – Jakoś nie czułam się zaskoczona. – I wnerwił się na mnie, tak?

– Chce, żebyśmy wreszcie zakończyli tę sprawę. Wie już, kto to zrobił. Mówił o tym Jake'owi, potem powtórzył to samo tobie. I ma już dość czekania, aż policja albo prokuratora go złapią.

– Tak po prostu? – zdziwiłam się. – Urocze...

– Musimy się postarać i uszczęśliwić go czymś. Vanderhorn się z nim liczy.

– Czemu mnie to nie dziwi?

Trzeba było oddać Ericowi sprawiedliwość, że też wyglądał na wkurzonego, jak ja.

– Vanderhorn szukał cię dzisiaj od rana. A że nie mógł cię znaleźć, więc dopadł mnie.

Nie było dobrze. Widziałam już, do czego to wszystko zmierza i czułam zbliżające się kłopoty.

– Rachel, nikomu z nas nie podoba się kierunek śledztwa w sprawie Jake'a. Ale to nie jest nasza sprawa i jeśli zaczniesz się w to wtrącać, możesz spotkać się z poważnymi zarzutami o niesubordynację. Tym razem udam, że nic nie wiem. Jasne?

Kiwnęłam głową i mruknęłam nieszczerze przeprosiny. Wyszłam szybko, zanim udało mu się wyczuć moje niesubordynowane myśli.

Zastanawiałam się nad możliwymi działaniami. Mogłam oczywiście wykonać uspokajający telefon do staruszka Densmore'a, ale kadzenie wychodziło mi słabo i obawiałam się, że mój telefon mógł odnieść odwrotny do zamierzonego skutek. Byłam poza tym zwolenniczką podejścia behawioralnego. Gdybym teraz zadzwoniła, uznałby to jako nagrodę za swoją interwencję u Vanderhorna i ciągle by do niego dzwonił ze skargą na mnie. Lepiej go olać i pokazać mu, kto tu rządzi.

Vanderhorn był zupełnie innym problemem. Nie mogłam go olać. Westchnęłam ciężko. Doszłam do wniosku, że utrzymanie posady wymaga ode mnie chociaż odrobiny lizusostwa. Niestety, istniał tylko jeden sposób na pozbycie się Vanderhorna z mojego grzbietu. Musiałam mu dać dowód postępow w śledztwie. Nie jakieś tam wyjaśnienia, ale twarde dowody. Najlepiej podejrzanego w naszym areszcie. Sięgnęłam po telefon.

– Mówi Rachel Knight. Zastałam Dorian? – Czekałam cierpliwie, aż technik odbierający telefon skończy wykrzykiwać pytania do reszty pracujących w jego wydziale.

– Nie ma jej tutaj. Ale chyba jest pod komórką – powiedział wreszcie głos, którego nie rozpoznałam. Ostatnio technicy pracujący w wydziale

dochodzeń naukowych zmieniali się jak w kalejdoskopie. Starzy wyjadacze, jak Dorian, wymierali powoli.

– Okej. Mam jej numer – odpowiedziałam, mimo że nie zamierzał mi go podawać.

Zadzwoiłam.

– Tak? – usłyszałam po czwartym sygnale.

– Mówi Rachel. Wiesz już coś o tych włosach i perukach?

– Jasne – prychnęła w słuchawkę. – Mam tu jeszcze cztery tysiące lalek do porównania. Poczekaj dwie minuty.

Z sypialni Susan zabraliśmy w sumie ponad trzydzieści lalek, więc nie spodziewałam się cudów. Dorian była perfekcjonistką, pracowała dokładnie. A to znaczyło długo. Zadzwoiłam, żeby mieć cokolwiek dla Vanderhorna, i Dorian bezbłędnie odczytała moje milczenie.

– Powiedz swojemu szefowi, że mogę to zrobić szybko albo porządnie. Ale nie może mieć wyników szybko i dobrze.

– Z tego, co usłyszałam, chce mieć to szybko... jeżeli wiesz, o czym mówię – powiedziałam lodowatym tonem. Nie dość, że musiałam ugłaskać Vanderhorna, to jeszcze Dorian się na mnie wyżywała.

– Diabli wiedzą, o czym ty mówisz, Knight. Powiedz, że dostanie wyniki wkrótce. A jeżeli mu się to nie podoba, to niech mnie pocałuje w dupę. – Rozłączyła się.

Zadzwoiłam więc do Vanderhorna.

Nie zastałam go w biurze. Pewnie był u fryzjera albo u dentysty, szykując się do reelekcji. Zadowolona, że go nie ma, zostawiłam mu wiadomość, iż wyniki analizy włosów i peruki będą wkrótce gotowe. Potem rozsiadłam się wygodniej w fotelu i zaczęłam myśleć, co jeszcze mogłam zrobić w sprawie Densmore'a. Raz jeszcze obejrzeliliśmy miejsce przestępstwa, technik ponownie zebrał ślady, Bailey zaczęła już szukać

Luisa Revelo jako podejrzanego. Mundurowi sprawdzali wszystkich, którzy mieli dostęp do domu łącznie z malarzami, ochroniarzami, sąsiadami i ich pracownikami. W kilka dni odwaliliśmy sporo roboty. Teraz pozostawało jedynie czekać, aż pojawią się jakieś tropy, którymi można by podążać. Moja najbardziej wredna sprawa znalazła się w ślepym zaułku. Mogłam więc skupić się na swoim prywatnym śledztwie.

Musiałam teraz zbadać dwie rzeczy. Życie Jake'a poza pracą oraz pochodzenie i środowisko dzieciaka, którego z nim znaleziono. Kita Chalmersa. Pierwszą część mogłam załatwić sama. Zadzwoiłam do Działu Kadr i Szkoleń, gdzie wszyscy zaczynaliśmy nasze życie zawodowe, i plotkowałam o Jake'u i jego rodzinie. Nie było to trudne, całe biuro huczało od plotek na ten temat. Zebrałam wszystko, co tylko mogłam, i grzecznie się pożegnałam. Potem wykręciłam kolejny numer.

11

Pięć minut później przeciskałam się przez tłum w holu wyjściowym, kierując się w stronę budynku administracji. Chodniki były pełne ludzi, co mnie zaskoczyło. Spojrzałam na zegarek – wpół do piątej. To tłumaczyło tłumy ludzi i sznury samochodów rozpoczynające powrót do domu. Byłam zadowolona, ponieważ była mała szansa, że ktoś mnie zauważy. Jeżeli chciałam zachować posadę – a chciałam – to musiałam wykazać sporo sprytu i zachować ostrożność. Zwłaszcza kiedy wychodziłam z biura. I za każdym razem trzeba zadbać o wiarygodne wytłumaczenie. Spotkanie z Bailey było świetnym pretekstem, bo razem prowadziłyśmy sprawę Densmore'a, ale nie mogłam tego nadużywać.

Zastanawiałam się, co może mi grozić, gdyby mnie przyłapano na grzebaniu w sprawie Jake'a? Transfer do wydziału drobnych wykroczeń na resztę życia? Bardzo prawdopodobne. Zawieszenie w obowiązkach... i dopiero potem transfer? Również prawdopodobne. Zwolnienie za niesubordynację? To, niestety, bardzo realne. Poczułam ssanie w żołądku na samą myśl o tych okropnościach. A jeżeli mnie wyrzucą, to co mogłam robić? Otworzyć prywatną praktykę i bronić bandziorów? Zatrzęsłam się. Zajmowałam się tym zaraz po studiach i za nic w świecie nie chciałam wracać do takiej pracy. Może taniec egzotyczny? Miałam za małe cycki i byłam za bardzo pyskata. Ta ostatnia przypadłość stanowiła przeszkodę w większości zawodów dostępnych w Los Angeles.

Rozważanie możliwych konsekwencji zajmowania się sprawą Jake'a zaabsorbowało mnie do tego stopnia, że ocknęłam się dopiero, wychodząc z windy na trzecim piętrze budynku administracyjnego. Wtedy dotarło do mnie, że Hales był szefem Bailey, co znaczyło, że też tutaj pracował. To, że akurat stał przed windą, bardzo mi pomogło.

– Cześć! – powiedziałam.

– Cześć. Jak się czujesz? – W jego głosie dosłyszałam coś nieoczekiwanego. Grzeczność.

Poczułam lekkie mrowienie w krzyżu, ale je zignorowałam.

– W porządku – odparłam, nonszalancko wzruszając ramionami. Niech zobaczy, że jestem twarda.

Drzwi windy zaczęły się zamykać, ale zdążył wsunąć rękę i je zablokować. Sprytny? A może po prostu dobrze wychowany? Nie potrafiłam ocenić.

Spojrzał na mnie przeciągle.

– Wciąż pracujemy nad sprawą twojego kolegi, Rachel. I nie pozwolimy federalnym na jej zakończenie, dopóki nie będziemy pewni.

Kiwnęłam z wdzięcznością głową. Uznałam, że będzie lepiej, jeżeli nie dowie się, że ja tu przyszedłam w takim samym celu.

Winda zaczęła dzwonić, protestując przeciw jej zatrzymywaniu, więc Graden wszedł do środka. Kiwnęłam mu na pożegnanie i szłam w swoją stronę, gdy on znów wcisnął przycisk stopu.

– Jadasz czasami lunch? – spytał z tym swoim kpiącym uśmiechem, który tak do niego pasował. Zauważyłam to, co świadczy, że znowu zadziałał.

– Czasami.

– No to zadzwonię. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej i puścił przycisk windy.

Ruszyłam w swoją stronę, ale nagle stanęłam i powiedziałam:

– Trudno mnie będzie zastać w biurze. – Okazało się, że drzwi windy już się zamknęły i nie usłyszał.

Idąc w stronę pokoju Bailey, starałam się zapomnieć o jego uśmiechu. Bailey kochała gadżety, ale nie cierpiała komputerów. Chyba dlatego, że

kojarzyły jej się z robotą papierkową, a żaden policjant tego nie lubi. Nie tylko więc zagrażałam jej karierze, ale też torturowałam ją dodatkową robotą papierkową. Byłam modelową przyjaciółką.

– Co tam znalazłaś? – spytałam, przysuwając sobie krzesło.

– Ten chłopak, Kit Chalmers, jest notowany. – Rozejrzała się wokół, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje.

Skoro chłopak skończył w hotelu wynajmującym pokoje na godziny, to nie było to zbyt szokujące.

– Za co?

– Same drobne wykroczenia. W wieku dziewięciu lat kradzieże, potem posiadanie marihuany, wprowadzenie w błąd policji. A ostatnie wykroczenie – Bailey zawiesiła głos – prostytutka.

Tego akurat nie chciałam usłyszeć.

– Kiedy to było?

– Dwa lata temu.

– Czyli miał wtedy...

– Piętnaście lat.

– Coś jeszcze?

– To wszystko.

Spojrzałyśmy na siebie, myśląc o tym samym. Do czasu zatrzymania za prostytutkę Kit żył w półświatku przestępczym przez co najmniej sześć lat. Co nie znaczyło, że przed pierwszym zatrzymaniem był czysty jak łąka. Trudno również uwierzyć, że skończywszy piętnaście lat, stał się wzorem uczciwości. Wszystko w tej sprawie zaczynało się komplikować i zmierzało w złym kierunku.

– Mamy jego akta z tego ostatniego zarzutu? – Młodociani nie byli traktowani jako przestępcy, a zarzuty stawiano im zgodnie z zasadą dobra

młodocianego. Dlatego w ich wypadku stosowano całkiem inną terminologię. Nie byli oni winni zarzutom. Podtrzymywano podejrzenie.

– W sądzie dla nieletnich w Eastlake – odparła Bailey po krótkim zmaganiu się z komputerem.

Sąd ten znajdował się na południu, tuż przy terenach najgorszych gangów ulicznych w całym mieście. Słyszałam, że byli zarzuceni sprawami o morderstwa w liczbie dużo większej niż reszta sądów kryminalnych w mieście. Dlatego nawet ich parking był otoczony murem z drutem kolczastym na szczycie.

– Można zobaczyć, jaki był wyrok? – spytałam. Miałam złe przeczucie.

Bailey skrzywiła się, usiłując znaleźć dodatkowe informacje w komputerze.

– Przesuń się. – Usiadłam zamiast niej przed komputerem. – Wiem, jak tego szukać.

Zaczęłam jeździć kursorem po rekordach, kiedy usłyszałam niski głos tuż za sobą:

– Co za zbieg okoliczności. Pani też sprawdza ostatnią sprawę Kita Chalmersa.

Cudem nie wyskoczyłam z krzesła. Kiedy tylko odzyskałam oddech, odwróciłam się, żeby zobaczyć, kto się wtrącił. Za mną stało dwóch wysokich osiłków w jednakowych garniturach. Typowy produkt FBI.

– Właśnie – odparłam, udając znudzenie. Doskonale wiedziałam, że gdyby donieśli, iż wtykam nos w nie swoje sprawy po tym, jak Eric mi zakazał, wylądowałabym na bruku. Faceci u władzy zachowywali się jednak z reguły jak konie. Okaż im strach, to cię kopną. Okaż im znudzenie i obojętność, to zostawią cię w spokoju. Nie mogłam dopuścić, by strach był widoczny, choć serce waliło mi tak głośno, że ledwo słyszałam, co do mnie mówią.

– Głupio by było zwalniać z pracy prokuratora za niesubordynację – stwierdził jaśniejszy blondyn z tej dwójki. – Zwłaszcza z zarzutem, że nie potrafi zrozumieć sformułowania „wycofać się ze sprawy” – dodał zjadliwym tonem.

– Ten akurat prokurator doskonale wie, co to znaczy – odparłam. – A czy wy rozumiecie, co znaczy „nie wpieprzać się w sprawy, którymi się nie zajmujecie”? – Odchyliłam się na krześle i uśmiechnęłam z wyższością.

Przemilczeli moją wypowiedź, ale każdy obdarzył mnie spojrzeniem, mówiącym, że mają na mnie oko. Potem sobie poszli.

Bailey skrzyżowała ramiona i patrzyła za nimi stalowym wzrokiem. Wiedziałam, że bardzo by chciała iść z nimi, lecz to byłoby zbyt podejrzane. Wróciłam do przeszukiwania plików, ale najpierw musiałam się uspokoić. Nie potrafiłam nawet przeczytać żadnego wyrazu.

Do czasu ostatniego zatrzymania Kit był wcześniej pięciokrotnie notowany pod tym samym zarzutem. Za szóstym razem powinien dostać co najmniej obóz poprawczy. Było to eufemistyczne określenie etapu pośredniego między poprawczakiem a więzieniem dla młodocianych o wdzięcznej nazwie Kalifornijski Urząd do Spraw Młodocianych.

Wywinął się jednak tylko aresztem domowym. To była czysta fikcja niewymagająca nawet wizyt u kuratora czy w komisariacie. Zasadniczo należało siedzieć w domu i trzymać się z dala od kłopotów. Miał chłopak szczęście.

Pokazałam Bailey palcem orzeczenie sądu.

– I nic nie doszło od tamtej pory? – zdziwiła się.

Przewijałam akta do samego końca, starając się znaleźć jakieś wyjaśnienie. Ktoś go chronił.

– To by było na tyle – stwierdziła Bailey, kiedy doszłam do końca strony.

– Niezupełnie. – Wróciłam do początku akt. Raz jeszcze przeczytałam nazwiska osób związanych ze sprawą. Ostatnim etatem Jake'a, zanim przeszedł do naszego wydziału, była posada prokuratora w Eastlake. I to właśnie on zaproponował taki słodki wyrok dla Kita Chalmersa za prostytutkę dziecięcą.

12

Akta śmierdziały na kilometr. I nie chodziło jedynie o ten dziwny wyrok. Dzieciak taki jak Kit nie mógł tak nagle sporządzić przez ostatnie dwa lata. Oczywiście cuda się zdarzały i na pewno będę się starała w nie uwierzyć, ale wiedziałam, że brak wpisów od czasu zatrzymania za prostytutkę nie znaczył nic dobrego. Byłam prawdopodobnie pierwszą osobą, która na to zwróciła uwagę, ale mogłam się założyć, że nie jestem ostatnią.

Gapiliśmy się jakiś czas w monitor bezmyślnie, zanim dotarło do nas, że federalni mogą tędy wracać. Odsunęłam się od biurka, pozwoliłam Bailey zamknąć system i wyczyścić ślady naszego zainteresowania. Ona czyściła, a ja się pakowałam. Potem wyszliśmy z budynku, nie odzywając się do siebie ani słowem.

Było wpół do szóstej i ulice już opustoszały. Doszliśmy do rogu ulic Pierwszej i Main i dopiero wtedy rozejrzałam się, czy przypadkiem federalni nie czają się gdzieś za latarnią.

– To wygląda bardzo źle, Knight – stwierdziła Bailey.

– Dalej nie mogę uwierzyć. – Zanim skończyłam to mówić, już poczułam, jak wątpliwości zaczynają zarysowywać moje wyobrażenie o Jake'u.

Gapiałam się na ulicę. Poobijana taksówka minęła nas, skręcając na autostradę. Niebo zaczynało ciemnieć, pochłaniało resztki słońca. Zaczynało robić się chłodno. Poczułam dreszcze mimo wełnianego płaszcza. Odruchowo zaczęłam iść szybciej, żeby się rozgrzać.

– Nie poddam się tak łatwo – powiedziałam. – Ale nie powiem złego słowa, jeżeli ty...

– Jesteśmy w tym razem – odparła, nie pozwalając mi skończyć.

– Bailey. Mówię poważnie. To może się zrobić bardzo niebezpieczne.

– Zakładam, że to już jest niebezpieczne. – Zatrzymała się, żeby mi spojrzeć w twarz. – Ale masz rację, trzeba to sprawdzić do końca. Wszystko jeszcze może się zdarzyć. Więc jesteśmy w tym razem.

Jej poparcie było balsamem na rany mojej duszy. Nie potrafiłam jej podziękować słowami, więc wybrałam inną metodę.

– Masz ochotę na El Chavo?

W tej uroczej knajpce serwowano najlepsze żarcie meksykańskie w mieście, nie mówiąc o margaritach.

– Zawsze.

Kiedy szliśmy po jej samochód, moja komórka odezwała się dźwiękami „The Crystal Ship” w wykonaniu The Doors. Uwielbiam tę piosenkę.

– To chyba Toni – powiedziałam, szukając komórki.

– Może do nas dołączy? – odparła Bailey. – Wieki jej nie widziałam.

Dwadzieścia minut później zaparkowałyśmy na maleńkim podwórku glinianego domu ozdobionego palącymi się kolorowo lampkami bożonarodzeniowymi – wisiały tu przez cały rok. W ciemnym holu wejściowym przywitała nas żona właściciela, Bianca, która wyglądała bardziej na jego córkę.

– Wasza przyjaciółka już na was czeka – oznajmiła z uśmiechem i zabrawszy ze stolika menu, poprowadziła nas na miejsce po stromych schodach w dół. Nasze oczy powoli przyzwyczajały się do panującego tutaj półmroku. Wreszcie zauważyłyśmy Toni, siedziała przy długim drewnianym stole. Rozejrzałam się dokoła. Zachwyciła mnie prostota tych kolorowych lampek, które rzucały ciepłą różowawą poświatę nadającą swoisty klimat wnętrzu. Odnosiło się wrażenie, że tu przyjęcie wciąż trwa.

Zamówiliśmy dzbanek z margaritą i wprowadziłam Toni w nasze najnowsze odkrycia. Słuchała z kamienną twarzą.

– Jeśli chcecie mnie przekonać, że Jake był pedofilem o skłonnościach samobójczych i morderczych instynktach, musicie się bardziej postarać – podsumowała.

To krótkie stwierdzenie podbudowało mnie i wiedziałam, że Bailey również poczuła się lepiej. Jak na komendę uniosłyśmy szklanki do góry w cichym toaście i wypiliśmy po solidnym łyku.

– I co teraz? – spytała Toni.

– Mam kilka pomysłów – zaczęłam, ale zamilkłam i odruchowo rozejrzałam się po sali. Bailey dała mi spojrzeniem znak, żebym nic nie mówiła. – Ale to na później – dodałam. Toni kiwnęła głową, rozumiała, co mam na myśli.

Nie tylko my lubiłyśmy przychodzić do El Chavo, a ja już dwa razy zostałam ostrzeżona, żeby nie mieszać się do tej sprawy. Nie miałam ochoty podpaść komuś po raz trzeci.

Zastanawiałam się, czy im opowiedzieć o spotkaniu z Gradenem w windzie, ale się powstrzymałam. Nic na razie się nie stało i raczej nic się nie stanie. Poza tym on był szefem Bailey, która nadstawiała dla mnie karku. Niewykluczone, że podobałaby jej się perspektywa flirtu szefa z jej najlepszą przyjaciółką. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, mogła mieć rację. Właśnie... przypomniałam sobie ostatnie zamysły Bailey.

– A jak ci idzie z Drew? – spytałam.

– Drew?... Natychmiast! – zażądała Toni.

Bailey roześmiała się, a my pochyliłyśmy się nad stołem, żeby lepiej słyszeć szczegóły jej niezwyklej randki z Drew w barze na dachu hotelu Standard. Po kolejnych dwóch dzbankach margarity Bailey zadzwoniła po patrol policyjny, który nas odwiózł do domu. Policjant za kierownicą był

napalony, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Toni zajęła miejsce obok niego. Wydawało mi się, że nawet pocałowała go na dobranoc. Motto „Chronią i służą” wciąż jeszcze niektórzy traktowali całkiem serio.

13

Następnego ranka obudziłam się wyjątkowo wcześnie i bez kaca giganta mimo suto zakrapianej kolacji. Umówiłam się dzisiaj z Jennifer, siostrą Jake'a, której telefon zdobyłam od kumpla z wydziału kadr i szkoleń. Nie miałam pojęcia, co mogła mi powiedzieć, ale i tak było to więcej, niż sama na razie wiedziałam. Ubierając się, pomyślałam, jakie to dziwne, że pracując z kimś tyle czasu, nie wiemy o nim właściwie nic. W zasadzie jesteśmy gatunkiem samotników. Szybko dotarłam do parkingu przed biurem, gdzie zostawiłam swój samochód. Tym razem pokryła go poranna rosa zmieszana ze smogiem. Cudownie.

Jennifer mieszkała w niewielkim budyńeczku w Glendale, typowej sypialni Los Angeles, przy spokojnej uliczce wysadzonej drzewami. W oknach stały staromodne doniczki z kwiatami i niemal wszędzie kwitły niebieskie hortensje. W tej okolicy wszystko rosło jak opętane. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych planowano rozlokować tu sady, więc nawieziono wówczas mnóstwo żyznej ziemi. Sady musiały ustąpić miejsca potrzebom mieszkaniowym, ale żyzna ziemia pozostała. Teraz wystarczyło splunąć na pestkę dyni i rzucić ją na trawę, a następnego dnia miało się już świeżą dynię. Nacisnęłam przycisk dzwonka i czekałam. Słyszałam przez drzwi głos dobiegający z telewizora. Poranne wiadomości. Udało mi się podsłuchać trochę treści i zorientowałam się, że nie jest to zwykła darmowa paplanina z kablówki, ale jakaś poważna stacja. Chyba CNN. Jennifer musiała być poważną osobką.

Otworzyła mi drzwi zadyszana. Zaskoczyłam ją swoją wizytą, chyba szykowała się do pracy. Z danych otrzymanych z wydziału kadr i szkoleń wynikało, że była młodsza o ponad pięć lat od Jake'a. Miała więc dwadzieścia dziewięć lat. Wyglądała jak maturzystka. Drobna, bez

makijażu, z pięknymi ciemnymi włosami opadającymi na ramiona – po prostu żeński odpowiednik Jake'a. Od razu ją polubiłam, mimo że trochę mnie ścisnęło w gardle. O ile Jake tryskał energią i potrafił godzinami opowiadać o swojej pracy, o tyle Jennifer zachowywała rezerwę i wstrzemięźliwość. Słońce i księżyc. Zorientowałam się po sposobie, w jaki się ze mną witała, podając mi koniuszki palców, że nie należała do osób towarzyskich.

– Cześć Jennifer. Nazywam się Rachel Knight. Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną porozmawiać. To dla ciebie straszne przeżycie, wiem.

– Bardzo się cieszę, że przyszałaś. – Otworzyła szerzej drzwi, poprawiając sobie kosmyk włosów opadający na czoło. – Nigdy nie spotkałam żadnych przyjaciół Jake'a... Właściwie tylko o tobie mówił po imieniu – dodała cicho, ze smutkiem.

Czy miało to znaczyć, że byłam jego jedynym przyjacielem? Czy może jedyną osobą, o której mógł opowiedzieć? Wolałam przegonić takie myśli ze swojej głowy, ale raz zasiane zwątpienie nie chciało tak łatwo zniknąć z podświadomości.

– Dzwonił już ktoś z biura? – spytałam.

– Tak. Dzwonili. Ale... to... nie to samo... Nie wiem, czy rozumiesz? – Zaprowadziła mnie do salonu i posadziła na kanapie. Wolałam nie pytać, jak się poczuła, dowiadując o starcie brata; nie miała bratniej duszy, która by ją wspierała. Sama przeżyłam potwornie stratę Romy, ale przynajmniej nikt nie próbował jej przede mną oczerniać. Zakładając oczywiście, że w wypadku Jake'a chodziło tylko o oczernianie. Rozejrzałam się po pokoju, czekając, aż ona też usiądzie. Pokój może wiele powiedzieć o danej osobie.

Jennifer urządziła swoje małe mieszkanko oszczędnie. Kanapa, mały stolik i kino domowe na przeciwległej ścianie. Pokój był właściwie pozbawiony osobowości. Jedynie nad kominkiem stało zdjęcie jej i Jake'a.

Sądząc po strojach, zrobione jakieś pięć lat temu. Żadnych roślin, obrazów. To miejsce mogło należeć do każdego.

– Przepraszam. Napijesz się kawy, czy czegoś... – spytała, podnosząc się z kanapy.

– Nie, dziękuję. – Dałam znak ręką, żeby usiadła. – Chcę, abyś wiedziała, że wszyscy w biurze go uwielbiali.

Zagryzła wargi i pokiwała głową. Widziałam, że stara się powstrzymać łzy. Nie chciała wyplakiwać się przy kimś obcym, a może nawet nie chciała tego robić przy nikim. Jej mieszkanie mówiło mi, że jest samotnikiem.

– Jesteś prawniczką? – spytałam.

– Psychologiem.

Na to bym nie wpadła.

– Prowadzisz praktykę?

– Nie ta specjalność. Prowadzę badania. Akurat przygotowuję dane do kolejnego wydania DSM.

To akurat rozumiałam. Jennifer nie leczyła pacjentów. Zbierała i kompilowała wyniki, których potem używano do opracowania nowych metod leczenia. Klasyfikacja zaburzeń psychicznych Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego (DSM) była Biblią dla wszystkich psychiatrów. Psychologowie w sądach zawsze się na to powoływali, przekonując ławę przysięgłych, że oskarżony nie powinien odpowiadać za morderstwo, gwałt czy spalenie żywcem staruszki. Nienawidziłam takich „obrońców”.

– Mam wrażenie, że byliście bardzo zżyci z Jakiem – powiedziałam.

Jake nigdy mi tego nie powiedział, nie mówił o sprawach osobistych. Wyczułam to raczej ze sposobu, w jaki czasami, bardzo rzadko, opowiadał o siostrze. Ciepło i z czułością.

– Owszem. – Popatrzyła na ich wspólną fotografię. – Dużo czasu spędzaliśmy razem w Nowym Jorku. Tam dorastaliśmy. Nawet razem wynajmowaliśmy mieszkanie w East Village. Zanim zrobiło się tam zbyt modnie i zbyt drogo.

Zamyśliła się na chwilę.

– Przenieśliście się tutaj z rodzicami?

Zamrugnęła gwałtownie i zorientowałam się, że moje pytanie ściągnęło ją gwałtownie na ziemię.

– Nie. Jake i ja... mieliśmy dość chłodu i obydwójce chcieliśmy pomieszkać w Kalifornii. Zaoszczędziliśmy trochę pieniędzy i razem się przeprowadziliśmy.

Wpatrzyła się w podłogę, przełykając ślinę. Zdawałam sobie sprawę, że to spotkanie będzie bolesne, ale ucisk w gardle przekonał mnie, że przeceniałam swoją wytrzymałość. Dałam jej chwilę na odzyskanie panowania nad sobą i zapytałam:

– Kiedy to było?

– Dziesięć lat temu. On poszedł na prawo, a ja dostałam stypendium i obroniłam pracę z psychologii. Dalej chodziliśmy razem na kolacje, kiedy tylko mieliśmy wolną chwilę, ale mieliśmy coraz mniej czasu dla siebie. Oboje byliśmy bardzo zajęci... – Zamilkła na moment. – Od kiedy zaczął pracę w biurze prokuratora okręgowego, a ja zajęłam się DSM, widywaliśmy się może raz na miesiąc albo i rzadziej.

Widziałam, że stara się przypomnieć sobie wszystko, więc tylko przytakiwałam jej kiwnięciem głowy. Nie chciałam jej wybić z rytmu.

– Choćby nie wiem jak był zmęczony czy zajęty, to zawsze mogłam na niego liczyć, kiedy go potrzebowałam. I nie był żadnym zboczeńcem czy pedofilem – wybuchnęła nagle. – Nieważne, co inni gadają. To ohydne kłamstwo.

Zakryła twarz dłońmi i zaczęła łkać, drżąc ze zdenerwowania. Usiadłam obok niej i objęłam ją ramieniem. Wtuliła się we mnie i zaczęła płakać, jakby nikt inny dotąd nie próbował jej pocieszać. Zresztą może właśnie tak było naprawdę. Pogłaskałam ją delikatnie po włosach.

– Wiem – powiedziałam. – Jake nie był taki.

Miałam taką nadzieję. I gorąco pragnęłam rozwiać wszystkie wątpliwości w tej kwestii. Zarówno własne, jak i innych. Rozmowa z Jennifer tylko utwierdziła mnie w pragnieniu udowodnienia niewinności Jake'a. Wy tłumaczyłam jej, że mam zamiar drążyć tę sprawę dopóty, dopóki jej całkowicie nie wyjaśnię.

– Powiedz mi proszę coś o jego życiu prywatnym. Co robił poza pracą?

– Życie prywatne? – Zaśmiała się gorzko. – Myśmy tego nie uznawali. Jak ci mówiłam, co najwyżej wspólna kolacja raz na miesiąc. Jedliśmy na mieście, albo przygotowywałam coś u siebie.

Kiwnęła głową w stronę maleńkiej nieskazitelnie czystej i nieużywanej kuchni.

– Częściej wychodziliśmy na miasto.

– Sama mieszkam w hotelu. – Uśmiechnęłam się porozumiewawczo. – I najbardziej mi się podoba ich room service.

– To musi być wspaniałe. Żadnego zmywania. Nigdy. – Też się uśmiechnęła. Miała miły uśmiech, pragnęłam, żeby zawsze się uśmiechała.

– Nie znasz jego przyjaciół spoza biura, z którymi lubił się spotykać?

– Nie sądzę, żeby miał jakichś. Ja nie mam.

Zaskoczyła mnie szczerść tego stwierdzenia. Obydwoje byli typowymi samotnikami, z trudem utrzymywali kontakt sami ze sobą. Obydwoje poświęcali się tak naprawdę tylko swojej pracy. A Jennifer teraz nie tylko musiała czuć się samotna. Ona naprawdę stała się samotna. Całkowicie

odizolowana od ludzi. Patrzyłam na nią i jakbym widziała siebie – w wielu aspektach byłyśmy do siebie podobne.

Jeszcze przez chwilę próbowałam wyciągnąć z niej jakieś dodatkowe informacje, ale po paru minutach bezowocnych prób poddałam się. Jennifer powiedziała mi wszystko, co wiedziała i teraz próbowała już tylko walczyć ze swoim bólem.

Obiecałam, że zadzwonię do niej, a ona może do mnie dzwonić w każdej chwili, jeśli będzie chciała z kimś porozmawiać. Obiecała, że zadzwoni, ale nie uwierzyłam jej. Rozumiałam ją. Będę do niej dzwonić, aż się przekona, że naprawdę mi na niej zależy, albo powie mi, żebym przestała. Pożegnałam się i sama musiałam zacisnąć powieki, żeby się nie rozpłakać.

Szłam do samochodu, układając w myślach plan lunchy, na które koledzy z biura powinni ją zaprosić. Ci ludzie byli bezwzględni w pracy, ale dla niej dadzą się ucywilizować. Wjechałam na autostradę i skierowałam się w stronę biura. Na ulicach nie było dużego tłoku. Dopiero zjeżdżając na Broadway, uświadomiłam sobie, że ani razu nie wspomniała o ich rodzicach.

14

Zatrzymawszy się na czerwonym świetle na skrzyżowaniu Temple i Broadway, gapiłam się na tłum interesantów zmierzających w stronę gmachu sądu. Na końcu pojawiła się ciężarna kobieta z chłopczykiem. Mały chciał podnieść gumę do żucia błyszczącą na jezdni.

– Zostaw, to brudne. – Matka chwyciła go za rękę i ciągnęła w stronę chodnika. Dzieciak opierał się, szurając nogami po asfalcie.

Światła zmieniły się na zielone i przejechałam przez skrzyżowanie. Kiedy skręciłam w prawo w Spring Street, jadąc na parking służbowy, wreszcie przypomniałam sobie, co takiego nie dawało mi spokoju w czasie rozmowy z Jennifer. Zaparkowałam przy krawężniku, żeby opanować zdenerwowanie i wróciłam pamięcią do pewnego zdarzenia.

Tamtego dnia wracałam właśnie z rozprawy, na której miałam do czynienia z czterema adwokatami, takich zakutych pał nie spotkałam dotąd w swojej karierze. Zatrzymałam się przy pokoju Jake'a, żeby trochę odreagować. Akurat siedział pochylony nad telefonem ze słuchawką przy uchu i rozmawiał z kimś z wielkim przejęciem.

– Nie przejmuj się – powiedział miękko, uspokajającym tonem. – Wszystkim się zajmę.

Przez chwilę słuchał rozmówcy, patrząc w biurko. Podniósł głowę i zobaczył mnie w progu.

– Wpadnę do ciebie – powiedział bezgłośnie i pokazał gestem mój pokój.

Przytaknęłam i poszłam do siebie. Po chwili przyszedł Jake.

– Wybacz, gadałem ze swoim śledczym o morderstwie, które prowadzę. Jest nowy i wszystko trzeba mu tłumaczyć.

– Jasne – odparłam.

Wiedziałam, że kłamie. Podpatrzyłam numer rozmówcy wyświetlony na ekranie jego telefonu. To był numer izby zatrzymań dla nieletnich.

Nie wiedziałam, dlaczego mnie okłamał, ale wtedy nie przywiązywałam do tego wagi. Miał mnóstwo powodów, by rozmawiać z kimś stamtąd. Niektóre na pewno wymagały dyskrecji. Choćby wtedy, gdy młodociany świadek współpracuje z oskarżycielem i obawia się zemsty gangu. Zachowanie Jake'a trochę mnie zabolalo, ale wytłumaczyłam sobie, że pewnie woli zachować bezpieczeństwo, niż potem czegokolwiek żałować na wypadek przecieku.

Teraz w mojej głowie pojawiła się nowa, gorsza możliwość. I to mnie rozstrajało. Aż tak się pomyliłam w stosunku do niego? Jak to możliwe, że nie dostrzegłam w nim ohydnej skazy. Pragnęłam udowodnić sobie, że się mylę, że tamta rozmowa nie świadczyła o niczym. Musiałabym jednak grzebać w sprawie, a nie przychodził mi do głowy żaden bezpieczny sposób, żeby się do tego zabrać.

Zastanawiałam się nad Kitem Chalmersem. Potajemne sprawdzenie jego życiorysu wydawało mi się nieco bezpieczniejsze. Poza tym miałam na karku sprawę Densmore'a i resztę spraw, które leżały odłogiem. Czułam, że to wszystko zaczyna mnie przytłaczać. Siłą woli zmusiłam się do spokojnego myślenia. Rozejrzałam się dokoła, czy nie nadchodzi jakiś policjant i wyjęłam komórkę. Zadzwoiłam do Bailey.

– Spotkajmy się u mnie w biurze – powiedziałam. Rozłączyła się, nie racząc mi nawet powiedzieć dzień dobry.

Wstąpiłam jeszcze do baru po kawę i zanim zdążyłam dotrzeć do biura, Bailey już na mnie czekała, siedząc wygodnie na krześle pod oknem z nogami opartymi o stolik. Patrzyła przez okno na przechodniów.

– Co tak długo? – Rzuciłam torbę na podłogę i klapnęłam z ulgą na fotel.

– Rozmawiałaś z siostrą? – spytała, nie ruszając się z miejsca.

Przytaknęłam i wprowadziłam ją w szczegóły.

– Świetnie – prychnęła ze złością. – Nawet nie udało się niczego wykluczyć.

Wtedy powiedziałam jej o rozmowie Jake'a, która mi się przypomniała. Bailey uniosła brew i milczała.

– Nie uda nam się niezauważenie sprawdzić billingu – stwierdziła wreszcie.

– Wiem.

– To może nic nie znaczyć – dodała.

– Może.

Siedziałyśmy w milczeniu, myśląc o tym samym: nie można wykluczyć, że ta rozmowa mogła stanowić dowód na chorobliwe skłonności Jake'a.

Takie rozumowanie do niczego jednak nie prowadziło. Zmieniłam więc temat.

– Udało ci się zlokalizować tego małego gangstera Luisa ze sprawy Densmore'a?

– Owszem. Musiałam skopać kilka tyłków, żeby dowiedzieć się czegoś sensownego, ale się opłaciło. – Pomachała wydrukami. – Dla mnie to nie problem.

Zgadza się. Można było powiedzieć o Bailey wiele, ale na pewno się nie leniła.

– Aresztowany za posiadanie marihuany w wieku dwunastu lat – zaczęła czytać. – Wpadł za rabunek w wieku czternastu lat. – Zawiesiła teatralnie głos. – Ale nigdy nie został skazany.

– Niemożliwe – zdziwiłam się. Bailey również była zdziwiona. Sądy dla nieletnich hojnie szafowały wyrokami. Jakim cudem mu się upiekło?

– W zeszłym roku zatrzymano go za posiadanie kokainy w samochodzie. Twierdził, że towar zostawił ktoś inny.

Uśmiechnęłam się kpiąco, to była standardowa linia obrony prawie w każdym takim przypadku.

– Tym razem uznany winnym i skazany na dwa dni więzienia, z zaliczeniem aresztu.

– I nikt nigdy nie pobrał próbek jego śliny do bazy DNA?

– To były główniane sprawy. – Bailey wzruszyła ramionami.

– Mimo wszystko – oburzyłam się. Każdy gwałciiciel musiał kiedyś zacząć swoją przestępczą karierę. – Może wciąż ma kuratora?

– Owszem. Dojdę do tego. – Zaczęła przekładać strony. Dałam jej znak, że idę do toalety.

Kiedy wróciłam, akurat chowała komórkę do kieszeni.

– Mamy spotkanie z kuratorem – spojrzała na zegarek – za pół godziny.

Gdybyśmy zaraz wyszły, to była nawet szansa dojechania na czas. Problem polegał na tym, że po rozmowie z Jennifer zupełnie nie miałam ochoty na jedzenie, a teraz mój żołądek domagał się czegokolwiek.

– Zgarnę tylko po drodze jakąś kanapkę z bufetu.

Potem zadzwoniłam do Melii.

Będzieszuprzejma powiedzieć Ericowi, że jedziemy z Bailey do Pasadeny w sprawie Densmore'a? – Chciałam, żeby wszyscy wiedzieli, że nie zajmuję się pokątnie sprawą Jake'a.

– Dobra – odparła z roztargnieniem.

Musiałam jej przerwać marzenia o ostatnich kandydatach na Mężczyzn Hollywoodu, popularnego programu z rozebranymi samcami w stylu: „Gustavo uwielbia spacerować plażą o zachodzie słońca”. Zwykle nie zwracałam uwagi na jej rozkojarzenie, ale tym razem zależało mi, żeby

zapamiętała, co jej mówię, na wypadek gdyby Vanderhorn znowu mnie szukał.

– Melia. To ważne. Skup się, dobrze?

Kiedy wreszcie uznałam, że zaczyna wracać do rzeczywistości, powtórzyłam raz jeszcze wiadomość dla Erica i kazałam jej ją przeczytać. Kiedy skończyłam po raz trzeci literować nazwisko Densmore'a uznałam, że powinna pamiętać. Podniosłam torbę, klepnęłam się po kieszeni, w której miałam swoją dwudziestkędwójkę i dałam znać Bailey, że jestem gotowa.

Do Pasadeny dojechałyśmy tak szybko, że ledwo zdążyłam skończyć kanapkę z kurczakiem. Wytarłam usta żalonym kawałeczkiem serwetki przyznanym mi w bufecie i zerknęłam w lusterko, czy nie zostały mi jakieś ślady tej uczty na ustach. W tym czasie Bailey zdążyła zaparkować samochód.

Nieciekawy budynek był zbudowany z pustaków otynkowanych na ohydnie zielony kolor. Mógł stanowić siedzibę każdej organizacji rządowej. Bailey pokazała swoją odznakę i znudzony strażnik wpuścił nas do środka przez głośno dzwoniącą bramkę bezpieczeństwa.

Kurator Luisa Revelo był potężnie zbudowanym Murzynem, miał na sobie ciemnoniebieską koszulę i spodnie koloru khaki. Zgodnie z tabliczką stojącą na jego biurku nazywał się Tyrone Jackson.

Dał nam znać, żebyśmy usiadły, a sam przeglądał jeszcze akta Luisa. Kiedy skończył, odchylił się na krześle, które zaczęło niebezpiecznie trzeszczeć, i powiedział:

– Luis nie sprawiał mi żadnych kłopotów. Żadnych zatrzymań czy negatywnych wyników testów na narkotyki. – Patrzył raz na mnie, raz na Bailey. – A więc czym jeszcze mogę paniom służyć?

– Kiedy widział go pan po raz ostatni, panie Jackson? – spytałam.

– Mów mi Tyrone – odparł automatycznie, sprawdzając swoje zapiski. – Mieliśmy się spotkać dwudziestego czwartego stycznia, ale nie przyszedł. Dzwonił, że jest chory, więc mu odpuściłem.

Spojrzałyśmy na siebie. To było następnego dnia po gwałcie na Susan.

– Umówiliście się na inny dzień? – zapytała Bailey.

– Nie. Nie miałem z nim problemów, więc nie zachodziła potrzeba. – Tyrone pokazał na metrowej wysokości stertę akt leżących za nim. – Mam dość pilniejszych problemów niż ścigać dzieciaka, któremu udaje się być czystym.

Trudno zaprzeczyć jego logice, gdyby nie to, że Luis Revelo był głównym podejrzanym w sprawie o gwałt. Czyli spotkanie z nim kwalifikowało się jednak jako pilne. Miałam dziwne przeczucie, że Beznadzieja nie wspomniał mu o tym, kiedy z nim rozmawiał. Po kolejnym pytaniu Bailey okazało się, że miałam rację.

– Czy ktoś ci mówił, że Revelo jest poszukiwany w sprawie gwałtu?

– Na pewno nie. – Tyrone prychnął. – Nie robił wrażenia faceta lubiącego gwałcić. Ale nieraz już się myliłem.

– Możesz go zaprosić na rutynowe spotkanie?

Sięgnął bez słowa po telefon. Po jakichś trzech sygnałach poprosił do telefonu Luisa po hiszpańsku, z silnym angielskim akcentem. – Jego mama twierdzi, że śpi, bo całą noc był w pracy. – Spojrzał na Bailey – Masz nakaz?

– Jeszcze na to za wcześnie – odparła.

– I dlatego potrzebujesz mnie...

Pokiwałyśmy obie głowami.

– No dobra. Jedziemy – powiedział. Wstał zza biurka i przypiął do paska u spodni swoją odznakę i rewolwer.

15

Luis Revelo mieszkał w Sylmar, ubogiej dzielnicy robotniczej w północnej części San Fernando Valley. Zamieszkiwała tam głównie ludność hiszpańskojęzyczna i do czasu opanowania okolicy przez gangi uliczne panował tam spokój i porządek. Wciąż jeszcze można tu było znaleźć oazy zamieszkałe przez uczciwych, ciężko pracujących biedaków różnych ras i nacji, ale teraz żyli oni w stanie obłąkania.

Zaparkowaliśmy na podwórku zaśmieconym zużytymi oponami, porzuconymi zabawkami i pustymi butelkami po piwie. Farba na ścianie domu złuszczyła się, trudno było określić jej oryginalny kolor, a po prawej stronie w ogóle brakowało tynku. Szliśmy wąską ścieżką wśród tego bałaganu, od czasu do czasu czyszcząc sobie drogę kopniakami w puste pudełka i butelki.

Drzwi otworzyła nam niska kobieta z niedbale splecionym warkoczem.

– Pani Revelo? – spytał Tyrone.

Wyglądała jak babcia Luisa, ale chyba jednak była jego matką. Życie w takich warunkach postarzało człowieka bardzo szybko.

– *Sí. Estás buscando a Luis?*^[9]

To, że od razu wiedziała, kogo szukamy, znaczyło, że nie miała złudzeń, co do syna.

– *Sí, yo estoy el oficial de*^[10]...

– *Sí, sí, entiendo*^[11] – przerwała mu kobieta, pokazując gestem na drzwi do pokoju. Wycelowowała w nie palcem i powiedziała:

– *El esta durmiendo*^[12].

Tyrone dał nam znak, żebyśmy zaczekały na progu. Nie miałyśmy nakazu ani prawa do aresztowania go w jego własnym domu. Tyrone wszedł sam i zapukał do drzwi jego pokoju.

– Luis. Jestem twoim kuratorem. Otwórz.

Cisza. Zapukał raz jeszcze. Nic.

– Luis, wchodzę.

Usłyszeliśmy dźwięk tłuczonego szkła i głośne tupnięcie. Tyrone odsunął się od drzwi a Bailey wyciągnęła rewolwer, dając mu ochronę. Wsunęłam rękę do kieszeni, odbezpieczyłam swoją dwudziestkędwójkę i wybiegłam na zewnątrz.

Od razu zauważyłam bosego mężczyznę w podkoszulce i dżinsach biegnącego w stronę tylnego ogrodu. Strzeliłam w powietrze i krzyknęłam:

– Policja!

Oczywiście wiedział o tym. Inaczej by nie uciekał. Zawahałam się sekundę, nie będąc pewna, czy wolno mi strzelić. Nie oskarżyliśmy go jeszcze o gwałt, a nie ścigaliśmy za nic innego. Trudno więc go uznać za uciekającego przestępcę. Moje wahanie okazało się dla niego zbawienne. Luis, czy ktokolwiek to był, skoczył przez płot i zniknął. W sekundę później Bailey z Tyrone'em wybiegli z domu i ruszyli do ogrodu. Za późno. Obejrzałam się, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze próbuje uciec, ale zobaczyłam tylko kawałek taniej firanki trzepoczący się na wietrze przez rozbitą szybę.

– Cholera! – Tyrone, dysząc ciężko, próbował złapać oddech. Bailey nie była zadyszana, ale za to używała jeszcze barwniejszego niż zwykle języka. Schowałam swoją beretkę.

– To moja wina – przyznałam. – Miałam czysty strzał. Powinnam go zatrzymać.

– Nie było powodu go postrzelić – stwierdziła Bailey zwięźle.

Nie wspominając o tym, że nie miałam pozwolenia na broń.

Tyrone, wciąż pochylony, opierał się dłońmi o kolana. Ciężko dyszał. Wreszcie się wyprostował.

– Sporządzę notatkę o naruszenie zasad kurateli i będzie można wystawić na niego nakaz z urzędu – oświadczył. – Złapiemy go. Wcześniej czy później.

Nie wątpiłam, że złapiemy Revelo. Martwiłam się jedynie o to „później”.

– Musimy to sprzedać jako nasz sukces – powiedziałam. – Inaczej Frank Densmore obsmaruje nas przed Vanderhornem, że daliśmy uciec jednemu podejrzanemu.

– Ona ma rację – poparł mnie Tyrone, ale zamilkł, widząc mordercze spojrzenie Bailey.

Kiedy szliśmy do samochodu, wyjął komórkę i zgłosił naruszenie kurateli.

Wracając do biura, uzgodniłyśmy z Bailey naszą bajeczkę dla Erica. Od razu do niego zadzwoniłam.

– Jechaliśmy przyskrzynić chłopaka, ale ktoś go musiał uprzedzić. Uciekł nam, został wystawiony za nim list gończy bez prawa kaucji. Zważywszy na szybkość, z jaką zwiewał, nadaje się doskonale jako podejrzanym o gwałt. Nic nam nie wiadomo o innych zarzutach, jakie mogą na nim ciążyć. Podsumowując, możesz powiedzieć Vanderhornowi, że sprawa będzie zamknięta i skierowana do sądu, gdy tylko go złapiemy.

– Tylko nie wiemy, kiedy to będzie. – Eric westchnął. – No dobra. Przekażę mu. A ty powiesz to Densmore'owi?

– Myślę, że powinien to zrobić sam Vanderhorn. To przecież jego kumpel. No i wreszcie będzie się mógł poczuć użyteczny.

– Nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym uznasz Vanderhorna za użytecznego – odparł Eric. Prawie widziałam, jak się uśmiecha. – Nie

wątpię, że Vanderhorn zechce sam przekazać taką wiadomość jednemu z głównych sponsorów swojej kampanii. Czyli nastąpi to prawdopodobnie dzisiaj wieczorem. Jak znam takich typów, Densmore będzie oczekiwał aresztowania w ciągu pięciu minut. Przygotuj się na nieziemski opieprz, jeśli nie uda ci się tego dokonać.

Ledwo się rozłączyłam, moja komórka znowu się rozdzwoniła. Tym razem standardową melodią FM w wykonaniu Steely Dana. Wyświetlony numer nic mi nie mówił. Odebrałam połączenie w przekonaniu, że to jakaś pomyłka. Dzwonił Graden Hales. To miało sens. Byłam zmęczona i sfrustrowana, w złym nastroju z powodu ucieczki Luisa, a Bailey mi się przyglądała. Oczywiście musiał zadzwonić w takiej chwili.

– Pewnie już jesteś głodna – stwierdził radośnie.

Nie umknęło mojej uwadze, że zadzwonił na prywatny numer, a przecież mu nie podawałam. W końcu był gliną, więc nie powinno mnie to dziwić.

– Mogłeś zadzwonić do biura. Siedzę za biurkiem.

– Chciałem zaimponować ci swoją zaradnością.

Nie był to aż taki wielki wyczyn. Wszyscy koledzy z biura znali mój numer. Ale trochę mnie zirytował.

– No to mi zaimponowałeś – odparłam lodowatym tonem.

Milczenie po drugiej stronie pokazało, że był na tyle inteligentny, by zrozumieć, że tego rodzaju żarty mnie nie bawią.

Bailey uniosła brew, dając do zrozumienia, iż wie, że to nie jest rozmowa służbowa. Nie mogłam powiedzieć, że rozmawiam z Gradenem, bo nie wspomniałam jej, że zaprosił mnie na lunch. A takich rzeczy nie wysyłało się e-mailem. Miałam zamiar jej o tym wspomnieć i teraz żałowałam, że tego nie zrobiłam. Pokiwałam jej głową i powiedziałam

bezgłośnie: – Później ci opowiem. – Też kiwnęła głową, dała znak dłonią, żebym zadzwoniła, i wyszła.

– Proponuję taki układ. – Graden zmienił ton na bardzo ugodowy. – Zjedz ze mną lunch jutro, a ja załatwię ci numer zastrzeżony. Nikt go nie zdobędzie. Nawet ja.

Potrafił szybko się pozbierać. Pamiętałam ostrzeżenie Bailey, że to babiarz, ale przecież lunch nie zobowiązywał do niczego. Zresztą, co miałam do stracenia? Spojrzałam w kalendarz, który był zapchany wstępными przesłuchaniami do granic możliwości, bo chciałam jak najszybciej mieć to za sobą.

– Jutro mam piekło. Może w przyszłym tygodniu?

Stańło na wtorku.

– W samo południe? – spytał. – Będę czekał przed wejściem.

Odpowiedziałam, że samo południe będzie w sam raz. Kiedy tylko się rozłączył, opadły mnie wątpliwości. Nie umiałam nawiązywać kontaktów z ludźmi. Chyba że siedzieli za ławą przysięgłych. A pierwsze randki zawsze zamieniały mnie w nerwową niezdarę. Ale wtedy wpadłam na pomysł, że przecież mogę go podpytać o sprawę Jake'a. I jakoś udało mi się oszukać wątpliwości.

Resztę dnia spędziłam na przygotowywaniu się do przesłuchań wstępnych. Musiałam oddzielić sprawy, w których zawarłam układ z obroną, od tych, które nie podlegały żadnym układom. O siedemnastej miałam dość i byłam gotowa wyjść się zabawić. Zajrzałam do Toni.

– Co powiesz na Charlie O's? – spytałam. To bar jazzowy. Przytulny i zwyczajny. Stanowił jedną z naszych ulubionych kryjówek.

– Chyba nawrócę się na boga, który mi zesłał ciebie z tą propozycją – stwierdziła. Siedziała pochylona nad komputerem, miała zaczerwienione oczy. Na mój widok wyprostowała się i wyciągnęła w fotelu, głęboko

wzdychając. – Ale uprzedzam, że nie jestem dzisiaj w nastroju na jazdę po nocy. Nie obrazisz się, jeśli przenocuję u ciebie?

Toni miała uroczy piętrowy domek z dwoma sypialniami przyczepiony do zbocza Laurel Canyon. Dojazd do niego krętymi uliczkami nad kanionem nawet za dnia był sporym wyczynem. Dlatego po wspólnych wypadach nocowała u mnie, nie chcąc ryzykować nocnej jazdy nad przepaścią. Poza tym obie nosiłyśmy właściwie ten sam rozmiar, więc nie zaprzętała sobie nawet głowy pakowaniem jakichkolwiek rzeczy. Oczywiście nie byłaby sobą, gdyby czasem nie narzekała, że mój styl ubierania się jest nudny. Uważała, że ona ma bardziej kobiecy gust i więcej fantazji, no i że natura lepiej ją wyposażyła niż mnie. Zawsze jej przypominałam, że może przecież włożyć to, w czym przyszła poprzedniej nocy. Było to równoznaczne z nakazem noszenia włosienicy i kalesonów.

– Nie ma sprawy – odparłam.

– Bailey też idzie? – spytała. – Nie widziałam jej już wieki.

– Od wczoraj – przypominałam. – Zadzwonię po nią.

Bailey obiecała podjechać pod hotel o wpół do ósmej. Po przyjściu do hotelu przebrałam się w dżinsy i w buty z cholewami w stylu motocyklistów oraz skórzaną kurtkę z napisami Harley-Davidson wyhaftowanymi po bokach. Toni znalazła moje sandały i pożyczyła dżinsy, do tego włożyła swój różowy pulower, który kiedyś u mnie zostawiła. Pięć minut przed umówionym spotkaniem zakończyłyśmy przygotowania i pobiegłyśmy na dół. Bailey akurat wjeżdżała na podjazd.

Charlie O's nie był lokalem dla snobów. Niewielka sala z sufitem pociemniałym od milionów wypalonych papierosów z czasów, kiedy to było jeszcze dozwolone. Na ścianach wisiały zdjęcia wielkich jazzmanów: Milesa Davisa, Sonny'ego Rollinsa, McCoya Tynera. Na samym końcu, niedaleko tylnych drzwi, którymi wchodzili tylko stali bywalcy, wisiał

okropnie kolorowy obraz przedstawiający widok lokalu od ulicy. Autorem była najdłużej w nim pracująca barmanka.

Tego wieczoru występował kwartet Peta Christlieba, grającego na saksofonie tenorowym. I podawali najlepsze martini, jakie kiedykolwiek piłam.

– Za przeżycie tego tygodnia. – Westchnęłam, wznosząc kieliszek w toaście.

– Popieram. – Toni powiedziała to z głębokim przekonaniem.

Stuknęłyśmy się kieliszkami i wypiliśmy. Potem pogrążyłyśmy się w dźwiękach muzyki. Kiedy muzycy zrobili pierwszą przerwę, zamówiłyśmy z Toni jeszcze jedną kolejkę. Bailey została wyznaczona na kierowcę i zadowalała się soczkiem z limonek.

– W poniedziałek sama obejdę sąsiadów Densmore'a. Może uda mi się coś z nich wydobyć – oznajmiła Bailey, kiedy odeszła kelnerka.

– Uważasz, że to Luis? – spytałam.

– Chcę wykluczyć wszystkie inne możliwości, zanim go złapiemy. Wtedy będziesz mogła od razu iść do sądu.

Przyjrzałam się Bailey uważnie, o ile było to możliwe w półmroku. Jeżeli zdecydowała się sama zająć przesłuchiowaniem sąsiadów, znaczyło, że coś się dzieje u nich w wydziale.

– Densmore dzwonił do twojego kapitana?

– Dzwonił.

Westchnęłam tylko i sięgnęłyśmy po kieliszki. Tego wieczoru nie rozmawiałyśmy już o pracy.

[9] (hiszp.) Tak. Szukacie Luisa?

[10] (hiszp.) Tak. Jestem urzędnikiem.

[11] (hiszp.) Tak, tak. Rozumiem.

[12] (hiszp.) On śpi.

16

Miałam zamiar wstać o siódmej trzydzieści i nawet nastawiłam sobie budzik. Życie jak zwykle szło jednak swoim torem. O czwartej trzydzieści dźwięk telefonu wyrwał mnie w barbarzyński sposób z najgłębszego snu. Na wpół przytomna podniosłam słuchawkę i wychrypiałam:

– 'Lo?

– Rachel? Mówi Elan. – Mój zamulony umysł z trudem kojarzył słowa.

– Z hotelowej ochrony. Ktoś rozbił twój samochód.

– Co? – zdziwiłam się wciąż nieobudzona. – Zostawiłam go w garażu...

– Tak. Stoi w garażu. Musisz zejść na dół, bo zaraz wzywam policję – tłumaczył cierpliwie.

– Już schodzę. – Odłożyłam słuchawkę. Wreszcie zaczęła działać adrenalina, bo zerwałam się z łóżka i pobiegłam do szafy. Próbowałam w myślach znaleźć jakieś wytłumaczenie, ale bezskutecznie. Opryskałam się z grubsza, przeczesalam dłońmi włosy, włożyłam dzinsy i bluzę z kapturem. Toni słodko spała na rozkładanej kanapie, więc wyszłam na palcach na korytarz i pobiegłam do windy.

Jadąc do garażu, starałam się przypomnieć sobie, gdzie Rafi zwykle parkował mój samochód. Kiedy otworzyły się drzwi windy, problem przestał istnieć. Musiałam zlokalizować po prostu źródło wycia syreny alarmowej. Podbiegłam więc z pilotem w ręku w stronę, skąd dochodziło wycie. Swoją hondę dostrzegłam wreszcie na samym końcu garażu. Od razu zaczęłam naciskać przycisk na pilocie. Zapadła błoga cisza, a poranne powietrze nabrało nagle masy. Przytłumiony stukot moich kroków sprawiał wrażenie dochodzącego z oddali. Zupełnie jakbym była w świecie snów.

Spodziewałam się, że ktoś po prostu wybił szybę albo wgniół mi karoserię. Kiedy podeszłam bliżej, zaczęłam żałować, że to nie było zwykłe

włamanie. Cały samochód został zamazany napisami zrobionymi jakimś ohydny sprayem. Były wszędzie. Na masce, na dachu, na drzwiach. *Lil Loco z Sylmar Sevens był tu*. Mój cudowny samochodzik został całkowicie zniszczony. A na dodatek, żebym nie myślała, że wystarczy pojechać do myjni, na drzwiach od strony kierowcy ktoś wyrył po hiszpańsku: *puta* – dziwka. I zrobił to tak dokładnie i głęboko, że miejscami było widać gołą blachę.

Sylmar Sevens musiało być nazwą gangu Revelo. W ten sposób chcieli mnie ostrzec przed włożeniem na ich teren. Mimo złości i żalu poczułam nutkę triumfu. Znaczyło to, że znaleźliśmy gwałciciela. Densmore miał racje. Dopiero teraz spostrzegłam Elana, który robił zdjęcia bajeranckim aparatem cyfrowym.

– Dzięki za powiadomienie.

– Nie ma sprawy – mruknął, zajęty fotografowaniem mojego samochodu.

– Nie musisz fotografować. Policja zajmie się wszystkim – powiedziałam, łącząc się z Bailey.

Oglądał właśnie świeżo zrobione zdjęcia na wyświetlaczu i dopiero po chwili dotarło do niego, co mówiłam. Zdziwił się.

– To nie dla ciebie.

Spojrzałam na niego pytająco. Wiedziałam, że jego odpowiedź mi się nie spodoba. I nie zawiodłam się.

– To zdjęcia do mojego albumu. Przygotowuję... sceny z Los Angeles. Mój szwagier jest agentem. Uważa, że uda mu się znaleźć wydawcę – wyjaśnił i znowu zaczął obfotografowywać mój samochodzik. Byłam zniesmaczona, jakbym zobaczyła jakiegoś zbrodnicę fotografującego dzieci.

Przynajmniej nie chciał zostać reżyserem. Bailey pojawiła się trochę później. Towarzyszył jej technik dochodzeniowy o tak przekrwionych ze zmęczenia oczach, że miałam poważne obawy, czy będzie w stanie sfotografować cokolwiek oprócz sufitu. Odwróciłam się do niego plecami i szepnęłam cicho do Bailey.

– Przyciśnij Elana o zdjęcia. Zrobił ich chyba ze sto.

Rozpięła skórzaną kurtkę, odsłaniając przypięty do pasa rewolwer i wolno podeszła do niego. Odniosłam wrażenie, że zdjęcia Elana powinny trafić na jej laptopa za jakieś pięć minut. Chociaż razem z umową o niepublikowaniu żadnego bez jego pisemnej zgody.

Kiedy technik poszedł, zajęłam się wreszcie oceną szkód.

– Myślę, że powinien jeździć – stwierdziłam.

– Po zmianie wszystkich opon – dodała Bailey. – Chociaż przy twoich umiejętnościach nie powinnaś zauważyć żadnej różnicy.

Byłam tak zaaferowana, że nie spostrzegłam, iż moja honda się obniżyła. Wszystkie koła zostały poprzecinane. Napisy to jedno – można było się ich pozbyć za niewielkie pieniądze, ale opony?

– Skąd mam wziąć forszę na cztery nowe opony?

– Nie musisz. Przynajmniej na razie. Dopóki nie złapiemy Luisa Revelo i nie rozpracujemy jego gangu, będziesz jeździć ze mną.

Już miałam ją ochrzanić, kiedy wreszcie dotarło do mnie, co powiedziała. Przecież dewastacja mojego samochodu miała być ostrzeżeniem albo może wyrokiem śmierci. Zamiast kolejnej fali adrenaliny poczułam, jak mnie ściska w żołądku ze strachu.

Wiedzą przecież, gdzie mieszkam, pomyślałam. Znają mój samochód. Wsunęłam ręce w kieszenie, żeby nie było widać, jak drżą. Prawa dłoń zaczęła odruchowo szukać beretty, ale przecież zostawiłam ją na górze. Nagle poczułam się słaba i bezbronna. Nie cierpiałam tego uczucia.

Normalnie zaśmiałabym się z propozycji Bailey, ale ze wstydem uświadomiłam sobie, że zabrzmiała cholernie rozsądnie. Wolałam jednak, żeby jeszcze nie pisała raportu z tego zdarzenia. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Zrób mi przysługę i nie zgłaszaj jeszcze tego nikomu.

– Dlaczego? – Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Bo kiedy dowiedzą się o tym w biurze, zaraz wsadzą mi ogon.

Bailey pokiwała ze zrozumieniem głową.

– I to będzie koniec grzebania w sprawie Jake'a – dokończyła moją niewypowiedzianą myśl. – Trzeba szybko dopaść Revelo. Kiedy już będzie siedział, a sprawa stanie się głośna, odcepią się od ciebie.

– Właśnie – powiedziałam. Gangi mogły być tępe, ale umiały liczyć. Sprawa Densmore'a trafi do gazet. Kiedy Revelo zostanie za nią skazany, nikt nie będzie chciał nadstawić karku, goniąc za prokuratorem. Nawet jeżeli uda im się wystraszyć jednego, to na jego miejsce zostanie wyznaczony inny. Poza tym Sylmar Sevens musieli pilnować swoich interesów narkotykowych i kradzieży samochodów. Nikomu nie opłacało się marnować czasu na ściganiu prokuratora, z czego nie będą mieć ani centa.

Bailey zaczęła ziewać. Teraz, gdy całe napięcie ze mnie opadło, zasłoniłam usta, czując jak rozwierają mi się szczęki.

– Chcesz się zdrzemnąć na górze? – spytałam. – Toni śpi na kanapie, ale możemy ją przepchnąć na bok.

Kiwnęła głową. Pojechałyśmy windą do mnie. Kiedy otworzyłam drzwi, Toni wciąż smacznie chrapała.

Uśmiechnęłyśmy się z Bailey do siebie.

– Dobranoc – szepnęłam i poszłam do sypialni, zasuwając za sobą drzwi.

Od razu zadzwoniłam i zamówiłam śniadanie dla wszystkich.

– I dodajcie do tego sporo bekonu – powiedziałam. Po takich emocjach mogliśmy zaszaleć.

17

– Jakim cudem przespałam takie zamieszanie? – dziwiła się Toni, nalewając sobie drugą filiżankę kawy.

– Przespałabyś nawet Apokalipsę. A pamiętasz naszą podróż do Vegas? – spytałam.

– Byłam zmęczona. – Posłała mi mordercze spojrzenie. – Cały wieczór siedzieliśmy w tej podłej knajpie.

Zaśmiałam się, przypominając sobie tę historię.

– Jakaś para w pokoju obok miała naprawdę zły dzień – wyjaśniłam Bailey. – O ile dobrze usłyszałam, ktoś przegrał więcej, niż było ustalone. Wrzeszczeli przez dobrą godzinę. Potem zaczęli w siebie rzucać czym popadło. Wreszcie zaczęli rzucać sobą. Uznałam, że to jest prawidłowy moment...

– Prawidłowy? – Zdziwiła się Bailey. – Nie za wcześnie na tego typu określenia.

– Znowu przełączyła się na tryb „prawniczy” – stwierdziła Toni sucho.

– Żeby wezwać menedżera. Okazało się, że całe piętro ich słyszało. – Zamilkłam, ruchem głowy wskazując na Toni. – A ta panna nawet nie drgnęła na łóżku.

Bailey zachichotała, kiedy Toni rzuciła we mnie bajgłem. Zdążyłam się uchylić i pocisk trafił w ścianę za mną.

Sięgnęłam widelcem po omlet z avocado i indykiem, który zajadała Bailey i poczęstowałam się kawałkiem. Był wspaniały.

– A mówiąc dalej w trybie prawniczym, skoro już mamy głównego podejrzanego, dobrze by było wykluczyć pozostałych.

Bailey pokiwała głową. Nawet jeżeli nam się poszczęści z dopasowaniem DNA, to i tak nie możemy przerwać dochodzenia. Inaczej

obrona nas rozniesie, twierdząc, że dopadłyśmy najbardziej oczywistego podejrzanego, żeby nie szukać prawdziwego sprawcy.

– Nie mam alibi dla tego dziwnego ochroniarza – stwierdziła. Zauważyła, że po raz kolejny zamierzam się widelcem na jej talerz, więc przewencyjnie odsunęła go na bok. – Coś ci powiem. Jeżeli pozwolisz mi zjeść w spokoju cholerny omlet, w zamian osobiście sprawdzę tego faceta.

– Dziwny i ochroniarz – zauważyła Toni. – To już samo w sobie dziwne.

– No właśnie. – Przyglądałam się jej tostowi. Ukradkiem sobie uszczknęłam.

– Czy ty nauczysz się kiedykolwiek zjadać tylko to, co sama zamawiasz? – spytała z udanym oburzeniem.

Zignorowałam jej uwagę.

– A co z tym ogrodnikiem, który był oskarżony o gwałt? – spytałam Bailey.

– Wciąż go sprawdzamy. Tamto oskarżenie zostało zakwalifikowane, jako wykroczenie. Ona miała prawie siedemnaście lat, on ledwie osiemnaście, bla, bla, bla. Sama wiesz, jak to jest.

Wiedziałam. Często lubimy wyolbrzymiać.

– I tak go sprawdzę – zapewniła mnie Bailey. – Na wszelki wypadek.

– A gdzie jesteście w sprawie Jake'a? – spytała Toni. Odłożyła na bok serwetkę i wyjęła puderniczkę oraz zalotkę do rzęs. Była sobota i Toni nie miała nic lepszego do roboty niż pójście do pralni, ale i tak musiała się zrobić na bóstwo. Mój zwykły makijaż polegał na malowaniu się tak długo, jak długo starczało mi cierpliwości, więc każdego dnia osiągałam inne rezultaty.

– Znalazłam się w ślepych zaułku, jeśli chodzi o jego przeszłość – odpowiedziałam. – Postanowiłam więc zająć się tym Kitem. Zacznę od akt

szkolnych. – Bailey spojrzała na mnie sceptycznie.

– Co? Znam ludzi. Nie wolno mi wykonać kilku telefonów?

– Daj mi znać, jeśli się czegoś dowiesz. – Bailey też odłożyła serwetkę i poszła do łazienki. Trzymałam tam jej zapasową szczoteczkę do zębów i grzebień.

Przykryłam swój półmisek z omletem z białek srebrną przykrywką i poszłam do lustra w salonie. Związałam włosy w koński ogon, owinęłam szyję czarnym szalikiem i włożyłam czarny wełniany trencz. Czerń do czerni. Byłam przecież Rachel Knight – seksownym szpiegiem. Z małą kroplą syropu na policzku.

– Rachel, masz jakiś płaszcz do pożyczania? – spytała Toni. – Odmrozę sobie tyłek w taki ziąb.

Niebo się zachmurzyło, wyglądało, że na dworze jest zimno i wietrznie. Dałam jej swoją kurtkę bosmańską. Bailey wróciła z łazienki – wyglądała obrzydliwie świeżo – i przytrzymała drzwi, kiedy wystawiałam wózek ze śniadaniem na korytarz.

– Mam cię podrzucić do biura? – spytała.

– Jesteś słodka – odparła Toni. Swoją samochód zostawiła na parkingu, kiedy postanowiłyśmy wybrać się do Charlie O's. Nie lubiła jeździć autobusem, jak ja. Podejrzewam, że sandaalki, które wciąż miała na nogach, tym bardziej ją zniechęcały do takich wypraw. Ciuchy, w których wczoraj była w pracy, spakowała do torby na pranie, a sama włożyła mój nowy czerwony sweter.

– Na tobie wygląda tak dobrze, że chyba nie chcę go z powrotem – powiedziałam.

Potrząsnęła włosami, jakby występowała w reklamówce szamponu.

– Nie musisz mnie nienawidzić tylko dlatego, że jestem piękna. Sama będziesz w nim chodzić, kobieto. To świetna czerwień.

Cofnęłam się o krok do tyłu i przyjrzałam się jej uważniej. To była naprawdę świetna czerwień. Uwielbiałam ją za takie spostrzeżenia.

Wsiadłyśmy do windy.

– Gdzie się wybierasz? – spytała mnie Bailey.

– Niedaleko. Do archiwum miejskiego.

– W sobotę? – zdziwiła się Toni.

Winda dojechała do lobby i ruszyłyśmy do wyjścia.

– Umówiłam się z Kevinem – powiedziałam. – Wyjaśnię później – Nie miałam zamiaru wtajemniczać jej w szczegóły przy ludziach.

Chciałam się przejść, żeby uspokoić nerwy i oczyścić umysł. Wydarzenia z wczorajszej nocy wciąż nie dawały mi spokoju. Nawet ciężar naładowanego rewolweru w torebce nie potrafił tego zmienić. Bailey wysadziła mnie na skrzyżowaniu Temple i Broadwayu. Pomachałam jej na pożegnanie i dalej poszłam piechotą. Wchodząc do budynku archiwum, musiałam przyznać sama przed sobą, że groźba Sylmar Sevens zaczęła mi działać na nerwy. Nie spodziewałam się od nich, co prawda, zaproszenia na przyjęcie, ale zawsze. Pocieszałam się tylko, że z ich strony to nie było nic osobistego. Przecież nawet mnie nie znali, chociaż przy odrobinie szczęścia mogło się to zmienić. A wtedy naprawdę mnie znienawidzą. I z tą optymistyczną wizją wsiadłam do windy, jadąc do biura Kevina.

Kevin Jerreau był kumplem z czasów moich początków w prokuraturze. Obecnie zajmował stanowisko zastępcy szefa wydziału do spraw nieletnich. Umówiłam się w jego biurze. Był zadziwiająco przystojny jak na prokuratora. Przypominał zawodowego surfera i wszystkie dziewczyny w naszej grupie stażowej leciały na niego. Kombinowały, jakby tu usiąść przy nim na zajęciach czy w czasie lunchu. Ja od razu zauważyłam to, czego one nie chciały widzieć: Kevin był gejem. I chyba dzięki temu od razu przypadliśmy sobie do gustu. Zważywszy na moje pokręcone relacje z

facetami, już wtedy, uważałam kontakty z nim za relaksujące. On natomiast był zadowolony, że nie musi opędzać się od kolejnej napalonej kobietki, którą będzie musiał rozczarować. Przekonał mnie do muzyki hip-hopowej, każąc się nazywać najszczerzym gejem, jakiego w życiu spotkałam. Ja zaś przekonałam go do jazzu, co zaowocowało jego romansem z saksofonistą tenorowym.

Kiwnął mi ręką na przywitanie i wziął kartkę papieru, którą mu podałam.

– To tego dzieciaka znaleźniono z Jakiem? – Odsunął się w bok, żeby się zbliżyć do komputera.

– Właśnie. Dostałam już ochrzan za wściubianie nosa w tę sprawę. Więc jeżeli...

– Kiedy prosiłaś o spotkanie w sobotę, domyśliłem się, o co chodzi. – Wpatrywał się w ekran. Westchnął zrezygnowany i włożył okulary do czytania. – Marsden High – odczytał. – Znasz tę szkołę?

Pokręciłam głową.

– Trudna szkoła. Wielu odpada. Twój chłopak był w pierwszej klasie. Miał same trójki. – Przewinął dalej. – Skłamałem. Dostał czwórkę z mechaniki samochodowej.

– Jakies kary czy przewinienia? Coś, od czego mogłabym zacząć?

– Mnóstwo spóźnień... – Pochylił się nad ekranem. – Jest wpis o wagarach.

Bingo! O to mi chodziło.

– Kiedy?

– Dwa miesiące temu.

– Był z kimś jeszcze?

– Dwóch chłopaków z tej samej szkoły.

Wyłączył komputer. Nie czekając na moje następne pytanie, zapisał ich nazwiska na kartce i podał mi ją.

– Jesteś najlepszy. – Zerknęłam na kartkę, złożyłam ją na pół i schowałam do kieszeni płaszcza.

– Jasne, że jestem, chociaż na pewno nie dlatego. – Rozsiadł się wygodnie w fotelu i spojrzał na mnie w zamyśleniu. – Dziwne, że mnie jeszcze nie zapytałaś.

– O co?

– Czy wiedziałem, że Jake był gejem.

– Bo jeżeli naprawdę zadawał się z Kitem, to nie był gejem, tylko pedofilem – odparłam krótko.

– Dzięki – odpowiedział, uśmiechając się smutno.

Spoglądaliśmy na siebie długo w milczeniu. Dotarło do mnie nagle, jak trudno być innym w naszym świecie. Gdy patrzyłam na Kevina, wydawało mi się to zawsze takie oczywiste.

18

W poniedziałek rano zadzwoniłam do dyrektora Marsden High i umówiłam się z nim na spotkanie. Potem zadzwoniłam do Bailey z pytaniem, czy mnie zawiezie.

– Skąd wiedziałaś, że tęsknię za liceum? – zapytała.

Miałyśmy się spotkać przed wejściem do budynku za dziesięć minut. Tyle mogłam czekać na windę. Złapałam więc szybko kartkę z nazwiskami pozostałych wagarowiczów i ruszyłam w drogę.

Otwierając wielkie szklane drzwi na dziedziniec, spostrzegłam, że zapowiada się słoneczny i bezchmurny dzień. W powietrzu było czuć lekki mroziak, ale niebo lśniło błękitem a słońce zaczynało przygrzewać coraz silniej – obwieszczało zbliżającą się wiosnę. Zawsze tak to wyglądało w Los Angeles. Mieliśmy zwykle dwa miesiące chłodnych dni. Teraz miasto już zapominało o nich i szykowało się do wiosny. Dobrze, że zostawiłam szalik w domu.

Szkoła znajdowała się w Sycamore, na zachód od centrum. Była to posępna tania dzielnica z przewagą ponurych budynków biurowych i rodzinnych sklepów z alkoholami lub artykułami spożywczymi. Budynek szkolny sprawiał wrażenie, jakby przeniesiono go prosto ze Wschodniego Wybrzeża – wielki, piętrowy dom z czerwonej cegły, z szerokim dziedzińcem i dwoma parami szklanych drzwi wejściowych. Jedno ze skrzydeł było zabite płytami. Powinni je zrobić z metalu lub zapewnić szkło pancerne. Całość prezentowała się imponująco. Tym bardziej, że wokół wznosiło się trzymetrowe ogrodzenie z wielką metalową bramą. W chłodnym powietrzu widziałyśmy, jak parują nasze oddechy.

O tej godzinie brama była już otwarta, ale i tak po jej przekroczeniu poczułam się, jakbym weszła do więzienia. Zapewne większość uczniów

podziela moje zdanie, każdego ranka wchodząc do tego przybytku. Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem, wybiegał z nich nastolatek ze sterzczącymi czarnymi włosami na czirokeza, pomalowanymi na czarno oczami i mnóstwem kolczyków. Wyjęłam na wierzch odznakę, żeby móc używać broni i kątem oka zauważyłam, że Bailey zrobiła to samo. W razie czego miałyśmy czym przebić sobie drogę do wyjścia, co było pokrzepiające w tych warunkach.

Skręciłyśmy w lewo wzdłuż wielkiej hali wejściowej.

– Urocze miejsce – zauważyła Bailey.

Uśmiechnęłam się. Można to było nazwać wieloma przymiotnikami, ale uroczy na pewno nie przyszedłby nikomu do głowy. Podłoga była wyłożona tanim brązowym linoleum, ściany zostały pomalowane najprawdopodobniej w czasach, kiedy Beatelsi byli młodzi, a powietrze pachniało jakąś gumą, potem i środkami dezynfekującymi. Mówi się, że czterdzieści procent budżetu Kalifornii idzie na edukację, ale na przykładzie tej szkoły trudno było w to uwierzyć.

Juanita Esquivel była sekretarką dyrektora Colina Reilly'ego. Patrzyła na nas przez wielkie dwuogniskowe okulary.

– Czym mogę służyć? – spytała głosem jednocześnie surowym i znudzonym, co stanowiło nie lada wyczyn.

Przez chwilę zastanawiałam się, jak należy się zwracać do dyrektora w szkole?

– Przyszliśmy na spotkanie z dyrektorem Reillym. Zastępcą prokuratora okręgowego Rachel Knight i detektyw Bailey Keller.

– Mhm. – Miała minę, jakby właśnie poczuła zapach spleśniałego jogurtu w lodówce. – Czemu nie siądziecie. Powiem mu, że jesteście.

Pokazała palcem rząd czerwonych krzeseł pod ścianą przy drzwiach. Nie wyglądały na zbyt wygodne.

Wolałam stać. Trochę, żeby jej zrobić na złość, a trochę z obawy przed czymś, co poprzednio zajmowało te krzesła. Bailey stała oparta o ścianę ze skrzyżowanymi rękami. Jej spojrzenie dawało do zrozumienia, że jeżeli Juanita ma odrobinę rozumu, powinna jak najszybciej wprowadzić nas do dyrektora. Sekretarka zerkała na nią nerwowo, pokazując, że ma silnie rozwinięty instynkt samozachowawczy.

Kilka minut później siedziałyśmy już w spartańskim gabinecie, który dyrektor Reilly nazywał domem. Para usychających miniaturowych kaktusów w glinianej doniczce na półce za jego fotelem stanowiła jedyną ozdobę pomieszczenia. Gabinet wtapiał się idealnie w cały budynek.

– Mam na imię Colin – powiedział. Przywitał się z nami i poprosił, żebyśmy usiadły. Przypominał z wyglądu umięśnionego irlandzkiego glińiarza. Grube nogi, krępa budowa ciała i wrażenie, że w jednej kieszeni trzyma pałkę, a w drugiej soplwę. Mogło tak być, zważywszy na jego miejsce pracy.

– Czym mogę służyć?

– Szukamy informacji na temat Kita Chalmersa – powiedziałam i zamilkłam, czekając na jego reakcję.

– Tego, którego niedawno zabili – stwierdził po krótkim namyśle. – Smutna sprawa.

Ton dyrektora sugerował, że nie po raz pierwszy jego uczeń zginął gwałtowną śmiercią.

Chciałam spytać, czy FBI zdążyło już go przesłuchać, ale jeżeli jeszcze tego nie zrobili, nie miałam zamiaru podsuwać mu niezdrowych pomysłów do zastanawiania. Skoro nic o tym nie wspomniał, zakładałam, że FBI jeszcze do niego nie dotarło. Poczułam się dzięki temu lepiej, ale jednocześnie uświadomiłam sobie, że wciąż podpadam pod niesubordynację. I tak zapowiadał mi się udany dzień.

– Przyłapano go na wagarach, jakieś dwa miesiące temu. Chciałabym porozmawiać z uczniami, których zatrzymano razem z nim.

– To nasi uczniowie? – spytał. Kiedy przytaknęłam, obrócił się do komputera. Podałam mu nazwiska.

– Dalej się tu uczą. Nie mam jeszcze porannych list obecności, więc nie mogę powiedzieć, czy są dzisiaj w szkole. Z raportu wynika, że w czasie wagarów szwendali się po minibazarze kilka przecznic dalej, palili i żebrali – przedstawił suche fakty.

– Nie ma pan jakichś szczegółów?

– To nie jest odosobnione zachowanie w tej szkole. – Uśmiechnął się lekko, kręcąc głową.

– Ma pan może dziennik klasowy? – spytała Bailey.

Zdjął z półki ciężką księgę w twardej oprawie z fotografią marlina na okładce. Następnie podał ją Bailey, która wyjęła aparat cyfrowy i zaczęła kartkować strony.

– Możemy pożyczyć? – spytałam.

– Owszem. Tylko proszę zwrócić. Byłoby głupio, gdyby dyrektor zgubił dziennik klasowy. – Zerknął na zegarek. – Mogę dla was coś jeszcze zrobić?

– Może ma pan jakieś rzeczy, które należały do Kita? – Wiedziałam, że to pobożne życzenie, ale spytałam.

– Wiem, że opróżnialiśmy jego szafkę. Były tam tylko podręczniki i trochę starej trawki. Zresztą mogę spytać jego wychowawczynię.

– Byłybyśmy wdzięczne – odparłam.

Przyłączyłam się do Bailey i razem przeglądałyśmy dziennik, a Reilly dzwonił do wychowawczyni.

– Skonfiskowała jego telefon komórkowy, kiedy ostatni raz był w szkole – powiedział, rozłączywszy się.

– Wciąż go ma? – Telefon komórkowy młodzieży był prawdziwą kopalnią informacji. Dzieciaki nie potrafiły bez tego żyć.

– Dowiemy się. Wychowawczynie zaraz tu przyjdzie.

Panna Wilder była brunetką o kręconych włosach i wyglądała jak uczennica, a nie nauczycielka. Niestety, przyszła z pustymi rękami. Niech to licho!

Przedstawiłyśmy się nawzajem.

– Chciałabym wam jakoś pomóc, ale nie bardzo wiem, czy mogę to zrobić. – Patrzyła na nas niepewnie. Sięgnęła jednak do kieszeni i wyjęła komórkę Kita. Musiałam się złapać za poręcz krzesła, żeby nie skoczyć i nie wyrwać jej telefonu.

– Chodzi pani o to, czy można nam udostępnić ten telefon? – Układałam w głowie listę powodów, dla których powinna to uczynić. Widziałam, jak wodzi oczami po pokoju, rozważając tę kwestię. – Boi się pani naruszenia jego prywatności?

– Właśnie... mam takie wrażenie. – Spojrzała na mnie z wdzięcznością. – Myślę, że winna mu... jestem pewien rodzaj szacunku, rozumie pani?

Pokiwałam ze zrozumieniem głową.

– Oczywiście. Na pani miejscu też byłabym w rozterce. – Czułam, że mój nos niebezpiecznie się wydłuża. – Sądzę, że Kit nie miałby nic przeciwko temu, żeby znaleźć jego zabójcę dzięki temu telefonowi.

– Przecież już wiadomo, kto go zabił, prawda? – spytała niepewnie. Robiła wrażenie osoby niezdecydowanej. Takiej, która unikała ostatecznych stwierdzeń.

– Niekoniecznie. – Dałam jej wzrokiem do zrozumienia, że nie mogę wszystkiego powiedzieć. Przynajmniej miałam nadzieję, że tak to odebrała.

– Jest jeszcze sporo pytań bez odpowiedzi – dodałam.

– Aha.

Bailey zaczynała się gotować w środku i wiedziałam, że zaraz straci cierpliwość, irytowały ją takie podchody. Nie miałam jej tego za złe, ale przeczuwałam, że ostre podejście do wychowawczyni wywoła odwrotny skutek.

– Poczwały się pani lepiej, gdybym tylko pożyczyła na chwilę telefon w celu wyszukania przyjaciół Kita, którzy mogliby nam pomóc w śledztwie?

Zmarszczyła czoło, rozważając moje słowa.

– Sądzę... że to mogłoby być w porządku. Jak mówiłam, chciałabym pomóc...

– Więc tak zrobimy. – Wyciągnęłam rękę.

Niechętnie oddała telefon. Zdusiłam w sobie uczucie triumfu.

Pozbywszy się odpowiedzialności, odetchnęła głęboko i potarła oczy.

– Gdybym tylko wiedziała, że widzimy się po raz ostatni... chciałabym mu powiedzieć, że był wyjątkowy

– Wyjątkowy?

Spojrzała na mnie podejrzliwie. Nie była pewna, czy z niej nie kpię, ale moja twarz nic nie wyrażała, więc panna Wilder się odprężyła.

– Zdolny chłopak. Miał marzenia. Gdyby tylko uzyskał jakąkolwiek pomoc ze strony rodziny, naprawdę mógłby daleko zajść. No i przystojny.

Westchnęła, zerknęła na zegarek i oznajmiła, że musi wracać do pracy. Telefon Kita palił mnie w kieszeni i nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie uda mi się zajrzeć do jego pamięci. Pożegnałam się z wychowawczynią i podziękowałam dyrektorowi. Potem wyszłyśmy na korytarz. Było już prawie południe. Wokół nas narastał gwar młodzieńczych głosów. Spojrzałyśmy z Bailey w stronę, z której dochodził.

– Idziemy? – spytałam.

19

Odgłosy doprowadziły nas do stołówki rozmiarów boiska piłki nożnej, wypełnionej po brzegi młodzieżą zajętą oglądaniem i wybieraniem potraw przykrytych szklanymi pokrywami, wystawionych na bufetach, które stały wzdłuż całej jadalni. Twarze z pryszczami, włosy we wszystkich możliwych kolorach, kolczyki w uszach i na policzkach, tatuaże i nieco troski o to, co w moich czasach nazwano by szpanerstwem.

Próbowałam odszukać w tym tłumie twarze współwagarowiczów Kita, ale przypominało to szukanie igły w stogu siana. Zastanawiałam się, jak mogłybyśmy wykorzystać to zgromadzenie. Wyjęłam otrzymany przed chwilą telefon, modląc się w duchu, żeby jego bateria wystarczyła jeszcze na kilka minut. Jej poziom był minimalny, ale dla moich potrzeb powinien wystarczyć. Szybko przewinęłam ostatnio wybierane numery i wybrałam trzy, które się najczęściej powtarzały. Połączyłam się z pierwszym. W tym harmiderze trudno było dosłyszeć cokolwiek. Starłam się więc patrzeć na tłum i wyłapywać tych, którzy sięgają po telefon. Niczego nie dostrzegłam. Bailey również pokręciła głową. Połączyłam się więc z numerem drugim. Tym razem zauważyłam Azjatę z włosami związanymi w kucyk; sięgał po telefon. Odruchowo połączyłam się z trzecim numerem i tym razem również miałam szczęście, bo stojący obok Azjaty Murzyn z włosami w loki odebrał połączenie.

– Tak – powiedział.

– Brakuje ci Kita? – spytałam.

Wydawało mi się, że skamieniał z wrażenia, ale z tej odległości mogłam się mylić. Wciąż trzymałam telefon przy uchu, czekając na jakąś odpowiedź, ale pokazałam go palcem Bailey. Okrążyliśmy go z dwóch

stron od tyłu. Kiedy podeszliśmy bliżej, wciąż trzymał telefon przy uchu i nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Kto mówi? – spytał wreszcie.

Kiedy byłam już jakieś trzy metry za nim, odezwałam się.

– Odwróć się.

Odwrócił się, spojrzął na mnie i na Bailey, potem szarpnął za bluzę Azjatę. Obaj zaczęli się cofać.

– Nie róbcie tego – krzyknęłam, widząc, że szykują się do ucieczki. – Znamy wasze nazwiska i możemy was znaleźć, kiedy zechcemy!

Młodzież stojąca najbliżej czujnie nas obserwowała. Akurat ci uczniowie nie dawali się łatwo zastraszyć widokiem stróżów prawa. Jeżeli tych dwóch zacznie stawiać opór, na pewno reszta przyjdzie im z pomocą. Szkolna stołówka nie była miejscem, gdzie mogłybyśmy używać broni.

– Nie chcemy nikogo aresztować. Po prostu prowadzimy śledztwo. Nic więcej.

Murzyn i Azjata nie spuszczaali wzroku z Bailey. Przeszali się cofać. Reszta uczniów wróciła do swoich rozmów, chociaż wciąż na nas zerkali.

– Ty jesteś Eddie – zwróciłam się do Azjaty. – A ty Dante – powiedziałam do Murzyna.

Mój „radar” mówił mi, że Eddie należał do jakiegoś gangu, ale Dante sprawiał wrażenie porządnego dzieciaka. Obydwaj byli ubrani podobnie, jak setka innych dzieciaków dookoła. Wyczuwałam ich bardziej po sposobie, w jaki stali i w jaki się poruszali.

Nie zareagowali na swoje imiona i patrzyli na nas obojętnie. Pokaż, co potrafisz! Czyżby młodzież stała się teraz twardsza, czy po prostu trafiłyśmy na szczególne egzemplarze?

– Słyszeliście kiedykolwiek, żeby Kit miał coś wspólnego z zastępcą prokuratora? – spytałam.

Wreszcie zareagowali. Od razu zaczęli kiwać głowami.

– Mówisz o tym facecie, który go zastrzelił? – spytał Dante.

– Właśnie. – Walczyłam z pokusą wystąpienia w obronie Jake'a. Nie w tej chwili. – Słyszeliście, żeby Kit kiedykolwiek wspominał o kimś imieniem Jake?

Obydwaj znów pokręcili głowami.

– Nie – odezwał się Eddie.

– Nigdy – powiedział Dante.

W ich odpowiedziach nie było fałszu. Naprawdę nic nie wiedzieli ani o prokuratorze, ani o Jake'u.

– Kit miał jakichś stałych klientów? – Były marne szanse, żeby dzielili się tego typu informacjami, no ale co miałam do stracenia. Obserwowałam uważnie ich reakcje. Dante gapił się w okno i milczał, Eddie powoli kręcił głową.

– Jeżeli miał, to nigdy mi o nich nie mówił – odparł. Potem dodał z przekąsem: – Pewnie bał się konkurencji.

– Pewnie tak.

Uśmiechnął się, a ja spojrzałam na Dantego.

– Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek o tym wspominał. – Patrzył na mnie, marszcząc czoło.

– Kiedy ostatnio widzieliście Kita?

Dante zaczął rozglądać się po stołówce, a Eddie patrzył w okno. Prawie słyszałam, jak w myślach układają plan ucieczki. Z jakiegoś powodu uznali, że dość już współpracowali z policją. Kątem oka dostrzegłam, że Bailey szykuje się wkroczyć do akcji, ale nie mieliśmy czym im grozić. Wyglądało, że na ten moment najrozsądniej będzie wycofać się i udawać dobrych gliniarzy.

– Cokolwiek myślicie o waszym koledze, to, co go spotkało, jest nie fair. Jeżeli nam pomożecie, nikt się nie dowie. Przysięgam, że nie będziecie wmieszani w sprawę.

To akurat było prawdą. Jeżeli chciałam zachować posadę, powinnam siedzieć cicho. Nie musiałam jednak wtajemniczać chłopców w szczegóły. Dałam im swoją wizytówkę i prosiłam o telefon, a potem odwróciłam się i sobie poszłam. Bailey obdarzyła ich jeszcze groźnym spojrzeniem i podążyła za mną.

Wychodząc ze stołówki, czułam na plecach spojrzenia co najmniej stu par oczu. Zeszliśmy po schodach na dziedziniec szkoły i odetchnęliśmy z ulgą, idąc do samochodu. Ulice były o tej porze pustawe, nie licząc małego ruchu w otwieranych sklepach. Szybko przeszliśmy cztery bloki dzielące nas od samochodu Bailey. Byliśmy pogrążone we własnych myślach. Moje krążyły wokół niezbyt lubianych wspomnień z mojej szkoły. Bailey chyba miała podobne myśli.

– Liceum jest do bani – stwierdziła z odrazą.

– Ja też...

Nagle kiedy prawie już byliśmy przy jej samochodzie, usłyszaliśmy odgłos strzału oddanego z bliskiej odległości.

– Cholera! – krzyknęła Bailey.

Padliśmy na ziemię. Niedaleko nas pocisk odbił się rykoszetem od jezdni, pryskając na wszystkie strony odłamkami asfaltu. Kolejny strzał prawie pozbawił mnie słuchu. Tym razem strzelano z bliskiej odległości. Usłyszałam, jak pocisk głośno uderza w hydrant tuż przed moją głową.

Miałam wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Wyciągnęliśmy broń i schowałyśmy się za samochodem. Trzymałam rewolwer oburącz, chociaż nie wiedziałam, w co mam celować. W uszach wciąż mi huczało. Zerknęłam na drugą stronę ulicy, ale nikogo nie

zauważyłam, nie licząc kilku przechodniów z zakupami – uciekali. Z czyjejś torby wypadły grejpfruty i dwa awokado, kiedy właściciel wskoczył do jakiegoś sklepu, szukając schronienia.

Przez szyby w samochodzie, klęcząc, obserwowaliśmy ulicę. Bailey pokazała mi ruchem głowy swój samochód i dała znak dłonią, żebym się zniżyła. Miałam ochotę jej coś odburknąć, ale uznałam, że wie, co robi. W kucki, telepiąc się jak kaczkę, dobrnęliśmy do naszego samochodu.

Wślizgnęliśmy się na siedzenie od strony ulicy, żeby wykorzystać do maksimum jego ochronę i Bailey uruchomiła silnik; ruszyła z piskiem opon. Skuliłam się na siedzeniu i ostrożnie wyglądałam na ulicę, próbując zlokalizować, skąd mogły paść strzały. Szybko zorientowałam się, że to nie ma sensu. Wszędzie było mnóstwo kryjówek. Uliczka od stacji benzynowej przy koreańskim salonie akupunktury; okno nad sklepem z armeńskimi specjami; rząd zaparkowanych samochodów. Odpuściłam i ulokowałam się jeszcze niżej na siedzeniu, podczas gdy Bailey wyciskała z silnika ostatnie moce, powodując, że mój żołądek został wiele przecnic za mną.

Kiedy minął pierwszy szok, zaczęłam się zastanawiać, kto mógł to zrobić? Ktoś celował specjalnie we mnie. Gangi tak nie atakowały. Zwykle zaczynało się od rytualnych „skąd jesteś?”. Poza tym gangi z reguły nie strzelały do kobiet w naszym wieku. A mimo to czułam w tym robotę jakiegoś gangu, co mogło się wiązać z ostrzeżeniem od Sylmar Sevens. Kiedy Bailey wywiozła nas wreszcie w bezpieczniejsze rejony, mogliśmy zacząć rozmawiać.

– To chyba robota Sylmar Sevens – stwierdziłam.

– Bardzo daleko od ich terytorium. – Bailey spoglądała uważnie w lusterko wsteczne.

– Tak jak mój hotel. Musieli nas śledzić od wyjścia z biura.

– To prawda – stwierdziła.

– Zrobiłam małe rozeznanie – ciągnęłam. – Okazało się, że Sylmar Sevens nie jest jakimś wielkim gangiem. Nie zrozum mnie źle. Nie są aniołami, ale jakoś trudno mi uwierzyć, że ten cały Revelo jest na tyle ważny, żeby tak bardzo ryzykowali.

Bailey skręciła w prawo w stronę mostu, skąd był już zjazd na autostradę do centrum.

– Na razie niczym nie ryzykują – powiedziała. – Nikogo nie złapałyśmy.

Miała rację.

– Może połączyli się z kimś większym? A ten Revelo został ich szefem?

Zaczęłam rozważać ten wariant. Wtedy Sylmar Sevens musieliby wykazać się przed nowym szefem. A zabicie prokuratora, który mógłby mu sprawiać kłopoty, było z ich punktu widzenia idealnym prezentem. Jeżeli nikt ich nie złapie, wyjdą na bohaterów w oczach nowego bossa. A jeżeli wpadną, wyjdą na jeszcze większych bohaterów.

Tyle że to mnie nie pocieszało.

– Jeżeli mamy z tego wybrnąć, lepiej wracajmy jak najszybciej do siebie. I to piorunem. – Bailey kierowała się w stronę gmachu sądu.

Coraz wyraźniej było słychać policyjne syreny.

20

Wahałam się, jaką podjąć decyzję. W pierwszym odruchu chciałam oczywiście zgłosić strzelaninę. Po przemyśleniu wszystkich za i przeciw doszłam do wniosku, że w okolicy zdominowanej przez gangi taka przypadkowa strzelanina uchodziła za zwykłą potyczkę o strefę wpływu. Trudno było ją powiązać z Sylmar Sevens, niewielkim gangiem o ograniczonych możliwościach. Zgłaszając to, musiałam się liczyć w najlepszym wypadku z przydzieleniem stałej ochrony, która zakończyłaby moje marzenia o wyjaśnieniu sprawy Jake'a. Wetknęłam nos w sprawę, której miałam nie ruszać. Dostałam oficjalne ostrzeżenie. Czyli kwalifikowałam się do zwolnienia dyscyplinarnego.

– Owszem – przekonywałam Bailey – nasze szanse na wyjaśnienie sprawy Jake'a są żadne, jeśli nas zabiją. Jeżeli jednak mam rację i to była przypadkowa strzelanina, to damy się z tej sprawy wyślizgać za friko.

Nie bardzo podzielała mój tok myślenia, ale udało mi się ją przekonać. Pod jednym warunkiem.

– Nie wyjdiesz z biura beze mnie. Nigdzie i nigdy. I nigdy nie wyjdiesz do biura przed ósmą.

Z tym akurat nie miałam żadnych problemów. I tak nie potrafiłam dobrze funkcjonować do południa...

– A w sądzie będziesz nosić kamizelkę kuloodporną – dodała.

To mnie dopiero ruszyło. Nie cierpiałam takich rzeczy. Sztywne, niewygodne i człowiek się w tym niemiłosiernie poci. A co najgorsze, wygląda się w tym jak Frankenstein. Już otwierałam usta, żeby zaprotestować, kiedy Bailey ujęła mnie za ramię.

– To nie podlega dyskusji, Knight.

Poddałam się.

Następnego ranka, otworzyłam szafę i zrozumiałam, że poddałam się za wcześnie. Dzisiaj miałam iść na lunch z Gradenem. To znaczyło, że i tak mam dość problemów z ubraniem się, a tu dochodził jeszcze wymóg wkładania kamizelki i to kulo odpornej. Z reguły nie mam cierpliwości do strojenia się, więc zwykle nie zajmowało mi to więcej niż trzy minuty. Tym razem jakoś nie mogłam się na nic zdecydować. Nie chciałam wyglądać jak Dita von Teese^[13], ale z drugiej strony nie chciałam też wyglądać jak policjantka. Powinnam prezentować się oszałamiająco, ale nie zdzirowato. A to wcale nie takie proste, jak mogłoby się wydawać. Granatowy sweter był oszałamiający, ale zbyt obcisły – słowem zdzirowaty. Wykrochmalona biała bluzka z metalowymi spinkami u mankietów świetnie nadawała się do sądu, ale była zbyt męska – niewypał. Ostatecznie zdecydowałam się na ciemnoszary golf z kaszmiru, na tyle cienki, że można go było wpuścić w spodnie z podwyższoną talią, oraz na buty na płaskim obcasie, w jakich zwykle ludzie pracujący w śródmieściu chodzili na lunch. Nie miałam zamiaru katować się na obcasach, idąc kilka przecznic piechotą. Pozostawało pytanie, co mam na to włożyć.

Oglądałam marynarki, zastanawiając się, która z nich ukryje kamizelkę kulo odporą. Wreszcie postanowiłam wyjść na balkon i sprawdzić, jak jest na dworze. Chłodno, niebo wyglądało na kryształowo czyste bez cienia chmurki na horyzoncie. Ostre słońce powinno wkrótce ogrzać powietrze, teraz przejrzyste, bez cienia smogu. W takie dni powtarzałam sobie, że podobnie musiał wyglądać normalny dzień w Los Angeles w latach trzydziestych. Zdecydowałam się na luźną beżową marynarkę. Musiałam zadowolić się berettą, bo nic większego nie zmieściłoby się w kieszeni. Ale przecież włożę kamizelkę. Poza tym w pracy zawsze będzie mi towarzyszyć jakiś gliniarz, a ci są uzbrojeni w duży kaliber.

Idąc do biura, przekonywałam sobie, że takie szybkie marsze wystarczą za wszystkie opuszczone dni na siłowni, i może powinnam zadowolić się zwykłym aerobikiem. Sztywna i ciężka kamizelka mocno ograniczała ruchy i sprawiała wrażenie, że zamiast chodzić, muszę się wspinać po ścianie. Po przejściu dwóch przecznic zaczęłam sapać. Okropieństwo. Gdyby ktoś teraz zaczął do mnie strzelać, to jedyną ochronę stanowiła ta kamizelka. Nie miałabym siły na ucieczkę. W głowie wciąż przewijały się różne myśli związane z wczorajszą strzelaniną. Im bardziej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej skłaniałam się ku przypadkowej strzelaninie. Z pewnością nie my jedno nie zgłaszałyśmy takiego zajścia w tamtej okolicy, a to znaczyło, że nie było szans na analizę balistyczną pocisków. Koniec końców, uznałam, że to dobrze, że nie zgłosiłyśmy incydentu. Chociaż, sądząc z odgłosów syren, ktoś musiał to zgłosić. Może któryś z nauczycieli?

Zaczęłam się rozglądać, wypatrując dziwnych strojów lub tatuaży. Zatrzymałam spojrzenie na facecie sprzedającym racuchy z wózka. Wydawało mi się, że nosi zbyt luźne spodnie. Zauważył, że na niego patrzę i obdarzył mnie czymś, co z pewnością uznawał za seksowny uśmiezek. Wyglądał na dziewięćdziesiąt lat, a jego uśmiezek wymagał jeszcze wielu lat pracy. Prawdopodobnie już od dawna nikt nie gapił się na jego spodnie.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy wreszcie otworzyłam drzwi do holu sądu i ruszyłam w stronę wind. Nagle skręciło mnie w dołku. Nie można się było pomylić na widok tych szpakowatych włosów ani na dźwięk barytonowego głosu. Nadziałam się na Daniela Rose'a – mojego byłego.

Przyglądałam się, jak swobodnie rozmawia z dwójką prokuratorów i serce mi biło jak oszalałe. Zrobiło mi się słabo, miałam mroczki przed oczami. Odwróciłam się i wmieszałam w tłum przy wykrywaczu metali. Oczywiście musiałam się na Daniela natknąć akurat dzisiaj. Od czasu naszego rozstania rzadko miewałam randki. Ostatnia to pójsie na kawę do

Ahmason Theater, cztery miesiące temu. Trzeba mieć naprawdę pecha, żeby spotkać go akurat dzisiaj. Pogodzona z przeznaczeniem, odczekałam, aż nadjedzie jego winda. Odetchnęłam, kiedy usłyszałam dzwonek i upewniłam się, że drzwi się zamknęły. Na sztywnych nogach dotarłam do następnej windy i nacisnęłam przycisk.

Na osiemnastym piętrze pobiegłam do pokoju Toni.

– Czołem – przywitała mnie radośnie. Potem dopiero, przyjrząwszy się uważniej, spytała:

– Co się stało? Źle się czujesz?

Przytaknęłam, ledwie powstrzymując łzy. Zaciągnęła mnie do toalety, która na szczęście była pusta.

– Właśnie zauważyłam na dole Daniela – powiedziałam w miarę spokojnie. Przełknęłam ślinę i walczyłam z grudą rosnącą w gardle.

– O rany, złotko! Tak mi przykro! – Przytuliła mnie i poklepała po plecach.

Objęłam ją mocno i starałam się wyrównać oddech. Byłam jej wdzięczna za ten gest serdeczności.

– Dziękuję Toni. – Odsunęłam się od niej. – Chyba nigdy mi nie przejdzie i jestem przez to zła na siebie.

– I tak będzie, dopóki sama z tym nie skończysz. Potrzebujesz więcej czasu – tłumaczyła łagodnie. – I pewnie zawsze będziesz coś do niego czuła, kiedy go spotkasz, bo to fajny gość. Tak zawsze jest z fajnymi facetami.

Pokiwałam głową.

– Poza tym nigdy nie próbowałaś na poważnie spotykać się z kimś innym. Więc dla ciebie to wciąż świeża sprawa. – Popatrzyła mi w oczy.

Przez chwilę wytrzymałam to spojrzenie, ale zaraz odwróciłam wzrok. Razem z Bailey próbowały od sześciu miesięcy wyleczyć mnie z Daniela,

ale do tej pory udało im się jedynie namówić mnie na tę małą kawę. Nie mówiłam im o Gradenie, bo poważnie zastanawiałam się, czy tego nie odwołać. Wiedziałam, że Toni będzie starała się mnie od tego odwieźć, w głębi duszy wiedziałam, że właśnie dlatego nic jej nie powiedziałam. Znowu się w nią wtuliłam.

Objęła mnie, odchyliła się w tył i uważnie mi się przyjrzała.

– Dasz sobie radę?

– Praca pomaga. – Uśmiechnęłam się nieporadnie.

– Też mi sposób. W razie czego jestem w pobliżu, dobra?

– Okej. – Westchnęłam. Wiedziałam, że nigdy z nią o tym nie porozmawiam.

Uśmiechnęła się do mnie smutno. Ona też o tym wiedziała.

Wyszłyśmy razem na korytarz. Usłyszałam gong windy i Toni biegiem wpadła do środka, przesyłając mi całusa. Weszłam do naszego biura i uniosłam dłoń, żeby pomachać do Melii. Siedziała z pochyloną głową, oglądając jakiś tabloid trzymany na kolanach. To znaczyło, że Eric gdzieś wyszedł. Była za mądra, żeby dać się na tym złapać szefowi.

Starałam się nie patrzeć na policyjne plomby na drzwiach pokoju Jake'a. Te jaskrawożółte taśmy były dla mnie jak otwarta rana. Z jednej strony chciałam, żeby wreszcie zniknęły, ale z drugiej oznaczały, że sprawa jeszcze nie została zamknięta, to dobrze.

W radosnym nastroju weszłam do swojego pokoju i od razu zadzwonił telefon. Szybko zdjęłam marynarkę i zaczęłam rozpinać kamizelkę kuloodporną, jednocześnie nacisnęłam interkom.

– Mark Baransky w sprawie... uh... – Melia zacięła się, zapomniawszy nazwy sprawy, którą sekundę temu usłyszała. Biedaczka, pomyślałam, ciężko jest zapamiętać jakieś kretyńskie nazwy spraw, kiedy człowiek

zajęty jest ważnymi rzeczami, na przykład kto kogo przeleciał wśród celebrytów.

– Sprawa Duncana – powiedziałam. – Wiem, o co chodzi. – Przełączyłam się na rozmowę, wrzucając kamizelkę pod biurko. Nikt nie mógł jej tu zauważyć, jeżeli chciałam uniknąć głupich pytań.

– Witaj Mark. Twój klient gotów się przyznać?

Jego klientem był Ramon Duncan, zamordował małżeństwo w czasie napadu rabunkowego. Biuro wnioskowało o karę śmierci, ale powiedziałam adwokatowi, że być może uda mi się przekonać szefów do dożywocia bez prawa skrócenia wyroku, jeżeli jego klient przyzna się do wszystkich zarzutów.

– Owszem, ale i tak prosi o śmierć. Twierdzi, że zdaje sobie sprawę, jak bardzo jesteście zajęci, i nie chce, żebyście sobie dodatkowo zawracali głowę jakimś procesem.

Dowcipniś.

– Cieszę się, że ktoś to wreszcie zrozumiał. Powiedz klientowi, że umieszczę w jego aktach notatkę z podziękowaniem za jego szczególną pomoc w ustaleniu szczegółów odnośnie do Aryan Bratherhood. – Taka notatka na temat najgroźniejszego gangu więziennego oznaczała dla jego klienta wyrok śmierci.

– Jesteś wredna. – Zaśmiał się nieco niepewnie.

Nie byłam w nastroju do żartów. Niech się trochę pomęczą.

– Czego naprawdę chcesz?

– Będę chciał złożyć kilka wniosków i pewnie spróbuję zakwestionować kilka dowodów. Mam jednak opłaconą wycieczkę do Grecji i nie dam rady załatwić tego wszystkiego na jednej rozprawie. Potrzebuję przełożenia terminu – wyznał wreszcie.

– Żebyśmy oboje dobrze się rozumieli: chcesz, żebym się zgodziła na przełożenie terminu, abyś mógł pojechać na urlop? A po powrocie spróbujesz rozwalić mi tę sprawę? Tak?

– Mniej więcej. Ale chcę być uczciwy. Jeżeli ty masz zaplanowany jakiś urlop, to zgodzę się na przełożenie sprawy, tak jak ci będzie wygodnie. Zgoda?

Tylko dolał oliwy do ognia. Nie tylko nie miałam kiedy wyjechać dokądkolwiek, ale nawet nie było mnie stać na taki wyjazd. Nie wspominając już o Grecji.

– Uważaj, bo chyba będę musiała skorzystać z twojej propozycji całkiem szybko – powiedziałam, udając sarkazm. Obrońcy muszą się paprać w brudach ludzkiego życia, ale przynajmniej znajdują pocieszenie w lepszych płacach. – Jesteś palantem, Mark. Jaka data ci pasuje? – Spojrzałam w kalendarz.

Cały ranek upłynął mi na zaległych rozmowach. Dopiero w południe zakończyłam oddzwaniać i wydzwaniać w kolejnych sprawach. I straciłam jakikolwiek apetyt na lunch czy randkę. Zaczynałam nawet podejrzewać, że znowu zostałam wystawiona do wiatru, kiedy nagle zadzwonił kolejny telefon.

– Czy nadal chcesz się spotkać przed budynkiem? – spytał porucznik Graden Hales.

Moje zimne „Jasne, że chcę” wypadło odrobinę chłodniej, niż zamierałam. Z czystego obowiązku poprawiłam sobie usta, zerknęłam na rzęsy i próbowałam spulchnić włosy. Bez większego efektu zresztą. Uznałam, że odpuszczę sobie kamizelkę kuloodporną, przecież idę z policjantem. Zgarnęłam torebkę i ruszyłam do windy, kombinując, jak skrócić to spotkanie do niezbędnego minimum.

21

Kiedy dotarłam na dziedziniec przed wejściem do sądu, nigdzie nie mogłam go dostrzec. Spojrzałam na zegarek, żeby się upewnić, czy przypadkiem czegoś nie pokręciłam. Było kwadrans po dwunastej. Wystawił mnie? Postanowiłam wracać do siebie, czując raczej ulgę niż rozczarowanie, kiedy kierowca nowego czarnego bmw 750Li zaczął nagle naciskać wściekle klakson. Zerknęłam na ulicę, odruchowo sprawdzając, do kogo jest skierowany ten sygnał. Samochód jadący przed bmw zaczął mu zjeżdżać z drogi i bmw wjechało na jego miejsce przy krawężniku. Przez okno od strony pasażera wychylił się kierowca.

– Przepraszam. – Graden wydawał się zmieszany. – Zapomniałem ci powiedzieć, że wezmę samochód.

Chyba raczej jaki samochód. Co robił zwykły gliniarz w gablocie za sto tysięcy dolarów? Może należał do tych wariatów, którzy mieszkali w szalasach, żeby móc sobie sprawić wymarzony samochód. Graden nie wyglądał jednak na wariata.

– Jakoś to przeżyję, poruczniku. – Wsiadłam do środka i zapięłam pasy. Przy okazji zaczęłam się zastanawiać, w co ja właściwie wdepnęłam.

Spojrzał na mnie i lekko się uśmiechnął.

– Uda ci się mówić mi po imieniu? – zagadnął.

– Myślę, że Graden przejdzie mi przez usta. – Ale nie wspomniałam, żeby zwracał się do mnie Rachel.

Włączył się płynnie do ruchu, a ja zerkałam na niego z ukosa. Zauważyłam, że jest opalony – w środku zimy. Dziwne. Ubrany był w drogą sportową marynarkę, białą koszulę rozpiętą pod szyją, spod której wystawała nieco owłosiona klatka piersiowa. Ale bez złotego łańcucha na szyi. Chwała Bogu! Rozsiadłam się wygodnie w skórzanym fotelu. Ulica

była zatłoczona samochodami prowadzonymi przez zdenerwowanych kierowców; piesi tłoczyli się na przejściach, na zielonym świetle rzucali się w tłum samochodów, chcąc przedostać się na drugą stronę ulicy.

– Dokąd jedziemy? – spytałam.

– PDC. Mam ochotę na krwawą mary. Pasuje?

Głupie pytanie. Pacific Dining Car było restauracją urządzoną w starych wagonach kolejowych przerobionych na ekskluzywny lokal z epoki Franka Sinatry i Deana Martina. Serwowano w niej wspaniałe homary i steki. Miała także wspaniały bar, w którym sprzyrzadzano najlepszą krwawą mary w całym mieście. To był mój ulubiony lokal. Z uwagi na ceny rezerwowałam go jedynie na specjalne okazje. Graden podjechał pod wejście i oddał kluczyki waletowi, żeby zaparkował wóz.

W środku przywitał nas kelner przebrany za Freda Astera, w granatowej marynarce, który zwracał się do Gradena po imieniu i zaprowadził nas do dyskretnego boks przy barze. Na półkach stały butelki z alkoholami z całego świata. Punktowe oświetlenie sprawiało, że butelki lśniły w półmroku jak gwiazdy, refleksy świetlne padały na stojącego za barem barmana. Ubrany w kamizelkę i fartuch, dzięki temu podświetleniu wyglądał jak ożywiony fragment obrazu z lat pięćdziesiątych. Kiedy usadowiliśmy się za stołem, kelner rozwinął stojące przy talerzach serwetki i sprawnie rozłożył je nam na kolanach. Podał nam menu, a Graden zamówił krwawą mary. Zwykle nie piję w porze lunchu. Dzisiaj jednak nie było żadnych moich spraw na wokandzie, i najcięższą robotę również miałam za sobą. Zamówiłam więc to samo.

Rozmawiałam o niczym, co szybko sprowadziło mnie do tematów sklepów, ciuchów i zakupów. A to nie był dobry temat do rozmów z takim facetem. Pozostawała praca. Doświadczenie nauczyło mnie, że nie każdy facet lubi o tym rozmawiać z kobietami. Zamierzałam wykorzystać ten

lunch, żeby wy badać, jak się posuwa sprawa Jake'a, ale znając postawę Gradena w tej materii, doszłam do wniosku, że będzie ostrożniej wyczekać na właściwy moment. Tymczasem on sam rozwiązał za mnie ten dylemat.

– Słyszałem, że razem z Bailey złapałyście świeży trop w sprawie gwałtu u Densmore'a?

Poczułam, że rozluźnia mi się żołądek. Nawet nie wiedziałam, jak bardzo byłam spięta. Wprowadziłam go szybko w szczegóły naszych poszukiwań głównego podejrzanego, Luisa Revelo.

– Sprawdzali już w bazie DNA, czy próbki pasują do kogoś?

– Owszem, ale bez rezultatu. Co nie znaczy, że to nie był Revelo.

– Figuruje w Rapie?^[14]

– Drobne wykroczenia sprzed roku czy dwóch lat. Nic specjalnego.

– Warto jednak sprawdzić. Ci drobni gangsterzy stają się coraz sprytniejsi. Wolą mieć czyste ręce, do brudnej roboty wynajmują naiwniaków.

– Zachowują się jak politycy – zgodziłam się z nim.

Graden zachichotał. Kelner przyniósł nasze drinki i wziął od nas zamówienia. Wypiliśmy po łyku, delektując się smakiem.

– Idealne – stwierdziłam. Akurat tyle tabasco i przypraw, żeby było ostre, ale żeby nie zabiło smaku.

Potem gawędziliśmy o różnych sprawach, przeskakując z tematu na temat. Sama nie potrafiłam tego zdefiniować, ale świetnie nam się rozmawiało. Wiedziałam tylko, że to jedna z moich najfajniejszych, najmniej stresujących i najmniej krepujących randek w życiu. Wciąż kołatała mi się myśl o wyciśnięciu z Gradena informacji na temat śledztwa Jake'a, ale nie chciałam robić nic na siłę. A już na pewno nie chciałam zepsuć naszego lunchu. Postanowiłam zaczekać, aż rozmowa zejdzie na tę sprawę w sposób naturalny. Kiedy mi na czymś zależy, potrafię być

cierpliwa. Kelner tymczasem przyniósł nasze zamówienia. Graden wziął stek, a ja pstrąga z rusztu. Opowiedziałam mu swoją rozmowę z adwokatem, który musiał przesunąć termin rozprawy, bo jechał na urlop do Grecji.

– Najlepiej tam jechać o tej porze roku – powiedział obojętnym tonem.

– W zeszłym roku spędziłem dziesięć dni na Krecie.

Na szczęście zajął się swoją krwawą mary, więc nie zauważył mojego zdumienia. Najnowszy model bmw, lunch w PDC i Kreta. Co tu jest grane? Wreszcie zerknął na mnie i dostrzegł moje zdumienie.

– Sprzedaję na boku trawkę – wyznał z kpiącym uśmiechem.

– Chwała Bogu. Bałam się już, że robisz gorsze interesy. Na przykład grasz ochroniarzy w reklamówkach.

Roześmiał się, a ja czekałam na jakieś wyjaśnienie.

– Jako dziecko uwielbiałem gry komputerowe. Właściwie byłem od nich uzależniony. Sam zacząłem pisać gry. Takie hobby. Nigdy nie chciałem zajmować się tym zawodowo.

– Zakładam, że nie grałeś w Grand Theft Auto^[15]. W tej grze gliniarze zawsze przegrywali.

– Nie. Ona powstała później. Może to i dobrze. Inaczej mógłbym zostać kryminalistą i skończyłbym w sądzie z tobą w roli prokuratora.

– Kto wie, może poszłabym z tobą na układ?

Uśmiechnął się radośnie.

– Mój brat Devon jest geniuszem komputerowym. Pracuje dla Hewletta Packarda. Zawsze wiedział, co będzie robić, gdy dorośnie. Mnie to zajęło trochę więcej czasu. Robiłem różne rzeczy, zanim wreszcie coś na serio postanowiłem. W tym czasie wymyśliłem wideogrę o nazwie „Kod Trzy”.

Pokiwałam głową.

– Słyszałaś o niej?

– Owszem.

„Kod Trzy” w slangu policyjnym oznaczał pogoń za przestępcą. Gra o tym tytule była megahitem.

Uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Szczerze mówiąc, to nie była moja ulubiona gra. Devon uważał, że jest genialna i pracował nad oprogramowaniem w wolnych chwilach. Ja już skończyłem Akademię Policyjną, zacząłem pracę w policji i przestałem się interesować grami wideo. Namawiałem go nawet, żeby sobie odpuścił. Po pięciu latach skończył program i znalazł kupca...

– A reszta to już historia...

– Właściwie tak.

Pociągnęłam łyk krwawej mary.

– Może powtórzyć zamówienie? – zaproponował.

Biłam się z myślą, czy się nie zgodzić, ale z żalem zrezygnowałam.

– Dzięki, może się okazać, że będę jeszcze musiała coś robić na trzeźwo.

Graden zamówił sobie. Uderzyła mnie nonszalancja, z jaką podchodził do własnego sukcesu.

– Wygląda, że jesteś dość bogaty, żeby nie musieć pracować.

– Chyba tak.

– Czemu więc tu tkwisz?

Odłożył widelec i napił się wody.

– To trochę jak sen. Któregoś dnia, może nawet już jutro, dzieciaki uznają, że to już nie jest cool. Zdziwiłabyś się, jak szybko znikają pieniądze, kiedy zajmujesz się tylko ich wydawaniem, a nie zarabianiem. – Znowu sięgnął po widelec i zaczął kroić stek. – Staram się nie ryzykować, jeżeli chodzi o spłatę mieszkania.

– Ale pracujesz jako policjant – przypomniałam – co samo w sobie jest ryzykowne.

– Ale za to regularnie mi płacą – zauważył nie bez racji.

Kiwnęłam głową, chociaż nie mogłam zrozumieć jego logiki. Wiedziałam mniej więcej, o jakie pieniądze chodzi przy grach wideo. Zwłaszcza w przypadku takiego hitu jak „Kod Trzy”. To były miliony dolarów. Jemu to jednak nie wystarczało i wolał trzymać się zawodu, w którym często traciło się życie. Paradoksalne. Musiał mieć spore problemy w dzieciństwie. Tacy ludzie mnie interesowali.

Żuł stek przez chwilę, potem się skrzywił.

– Poza tym widziałaś mnie w mundurze? Sam bym siebie przeleciał.

Roześmiałam się prawie tak samo głośno, jak on.

– Też cię chciałem o coś zapytać.

– Zamieniam się w słuch. – Byłam zaintrygowana.

– Mieszkasz w Biltmore Hotel.

Wiedział, gdzie mieszkam? Najpierw telefon, a teraz to.

Zauważył moją reakcję. Patrzył na mnie bez zdziwienia.

– Odwoziłem cię do domu, pamiętasz?

Jasne. Tego wieczoru, kiedy zginął Jake.

– Oczywiście. – Uśmiechnęłam się zakłopotana. – Wybacz mi, proszę.

Kiedy analizowałam to wszystko na spokojnie, poczułam się głupio. Dlaczego tak się wkurzyłam na niego za to, że się dowiedział, gdzie mieszkam, skoro każdy gangster potrafił zrobić to samo.

– Cały czas się zastanawiam, w jaki sposób źle opłacany urzędnik może sobie pozwolić na mieszkanie przez cały rok w luksusowym hotelu.

– Mogłabym skazać cię na życie w niepewności.

– Byłoby to okrutne i, jak sądzę, nie w twoim stylu.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Trafiony. – Przyjrzał mi się uważniej. – A więc....

Korciło mnie, żeby go pozostawić w nieświadomości, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Tak naprawdę nie było to żadną tajemnicą.

– Pamiętasz sprawę śmierci żony dyrektora generalnego Biltmore z zeszłego roku? – zaczęłam.

Zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć szczegóły.

– Z szeryfem?

– Właśnie. Miało być jakieś spotkanie samych szyc hotelowych i dyrektor ściągnął rodzinę, chcąc połączyć piękne z pożytecznym. Spotkanie przeciągnęło się do późnej nocy, więc jego żona postanowiła sama wybrać się na koncert do Disney Hall...

– I została obrabowana i zamordowana w podziemnym parkingu przez jakiegoś włóczęgę – przerwał mi. – Nie wiedziałem, że dostałaś tę sprawę.

– Tak. Mieszkałam tam wtedy już od tygodnia. Czysty zbieg okoliczności.

Widziałam, że ma na końcu języka pytanie, skąd się tam w ogóle wzięłam. Prawda była mocno pokręcona. Kiedy u mojej mamy zdiagnozowano czerniaka, wprowadziłam się do jej domu, żeby miała opiekę. Kiedy umarła po sześciu miesiącach, nie umiałam się stamtąd wynieść. Lubiłam widzieć jej meble, obrazy nad kominkiem, jej garnki. Miałam wrażenie, że wciąż gdzieś tam jest. Wszystko zmieniło się po rozstaniu z Danielem. Nagle ten dom stał się dla mnie symbolem porażki. To, co kiedyś było moim kokonem ratunkowym, zamieniło się teraz w ciemną dziurę, z której musiałam uciekać. Nie miałam zamiaru mówić mu o tym wszystkim, więc szybko przeskoczyłam do końca opowieści.

– Dyrektor pozwolił mi mieszkać za darmo na czas trwania procesu, żebym nie musiała się odrywać od sprawy. Kiedy udało mi się skazać tego

palanta na dożywocie bez prawa zwolnienia warunkowego, zaofiarował mi tak dobre stawki, że nie umiałam się im oprzeć.

– Na jak długo?

– Kiedy mu proponuję, że powinniśmy o tym porozmawiać, odpowiada, że darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Trudno się z tym nie zgodzić.

– Można by pomyśleć, że zawsze jesteś taka spolegliwa – zauważył z przekąsem.

Nie trzeba być detektywem, żeby tyle się o mnie dowiedzieć. Nagle przypomniałam sobie o sprawie Densmore'a.

– Może słyszałeś coś o Sylmar Sevens? – Pomyślałam, że może coś jeszcze pamięta z czasów, kiedy sam chodził na patrole.

Znowu zmarszczył czoło, zastanawiając się.

– Gang z doliny. Zajmuje się włamaniami i narkotykami.

Pokiwałam głową.

– Jadasz mięso? – spytał nagle.

– To jakiś kod czy slang?

– Tak. Kod. Czy jadasz mięso.

– Jasne.

– To musisz tego spróbować. – Nałożył kawałek steku na widelec i podał mi go.

Wahałam się przez ułamek sekundy, bo wydawało mi się to zbyt intymne, ale wzięłam jego widelec i spróbowałam. Mięso było tak delikatne, że rozplýwało się w ustach. Miało wspaniały smak nieskażony żadnymi sosami czy marynatami.

– Fantastyczne. Dzięki. – Oddałam mu widelec.

– Tu zawsze jedzenie jest wspaniałe. – Pokiwał głową. – Ale tym razem przeszli samych siebie. O co chodzi z tym Sylmar Sevens?

– Zastanawiałam się, czy ostatnio nie połączyli się z kimś i nie urosli w siłę.

– Dlaczego?

Długo nad tym myślałam i coś ciągle nie dawało mi spokoju.

– Wydaje mi się, że gwałt w Palisades jest kretyńskim ruchem. Wiedzieli, że policja dostanie świra, żeby złapać sprawcę i że ich człowiek bywa w tym domu.

– Może ktoś inny z tego gangu to zrobił, żeby go wrobić?

– Możliwe. Albo zrobił to ktoś zupełnie obcy, kto wiedział, że będziemy podejrzewać Revelo. Mogli chcieć usunąć go w ten sposób z drogi, żeby ktoś inny mógł przejąć władzę. – Nie wspomniałam mu o hipotezie, że ludzie Revelo mogli w ramach walk wewnętrznych dobrać się do mnie.

– A jeżeli to teraz duży gang, to taki ryzykowny krok może komuś utorować drogę do władzy. – Graden myślał głośno. – Mogę to sprawdzić, jeśli chcesz.

– Revelo wciąż nam umyka. Byłoby więc wskazane sprawdzić wszystkie możliwości, zanim go dopadniemy.

Rozległ się dźwięk telefonu Gradena. Skorzystałam z tego i sprawdziłam swoją komórkę... Druga trzydzieści. Nie mogłam w to uwierzyć. Jak ten czas szybko zleciał.

– Muszę wracać – powiedział po zakończeniu rozmowy. – Muszę...

– Nie ma sprawy – przerwałam mu – ja też muszę wracać.

Kiedy kelner przyniósł rachunek, sięgnęłam po portfel, ale Graden mnie powstrzymał.

– Ja zapłacę.

Z jakiegoś powodu nie chciałam tego.

– Podzielimy się – zaproponowałam.

Przyjrzał mi się uważnie i chyba dostrzegł moją determinację.

– Ty zapłacisz następnym razem, zgoda?

Naprawdę umiał negocjować.

[13] Dita von Teese – znana amerykańska striptizerka i burleskowa aktorka, modelka (przyp. tłum.).

[14] RAP (Record of Arrest and Prosecution) – Krajowy Rejestr Karny.

[15] Grand Theft Auto – popularna gra komputerowa. Jej nazwa w slangu policyjnym oznacza zuchwałą kradzież samochodu (przyp. tłum.).

22

– Dzięki za lunch – powiedziałam, kiedy Graden zatrzymał się przy wejściu do sądu.

– Zadzwoń – powiedział.

Skinęłam głową i otworzyłam drzwi.

– Wkrótce – dodał, uśmiechając się szelmowsko.

Odpowiedziałam mu własną wersją uśmieszku, który – miałam nadzieję – wyglądał na nonszalancki i wbiegłam do środka. Fajnie było znowu czuć się podrywaną. Żałowałam tylko, że nie udało mi się znaleźć dobrego pretekstu, żeby porozmawiać o sprawie Jake'a. Obiecałam sobie, że następnym razem coś wyciągnę.

Jadąc na osiemnaste piętro, wstrzymałam jak zwykle oddech i próbowałam ustalić, co właściwie czuję. Randka z Gradenem wypadła lepiej, niż oczekiwałam. Ale z jakiegoś powodu czułam się nieswojo. Nie zdążyłam się nad tym zastanowić, ponieważ kiedy weszłam do swojego pokoju, zastałam w nim Toni. Siedziała na moim fotelu z nogami na biurku.

– Gdzie się podziewałaś? Chciałam cię wyciągnąć na sushi.

– I sądziłaś, że znajdziesz je w moim biurku?

– Tu jest bosko – odparła sennym tonem. – Ten fotel jest

cudowny. No i znalazłam twoje precelki. – Rozejrzała się po pokoju. –

Boże! Masz kupę spraw.

– Zzarałaś moje precle? – spytałam oburzona.

– No wiesz! Kto by jadł to świństwo. A tak na serio, to gdzie byłaś?

– Na lunchu z Gradenem.

– Graden! – Wyprostowała się i spuściła nogi na podłogę. – Z porucznikiem Gradenem Halesem? Nie bujasz?

– Nie.

– I jak było? – Uśmiechnęła się, nie kryjąc zdumienia. – Bailey już wie?

– Jeszcze nie, ale jej powiem, kiedy się spotkamy. Nie musisz tego trzymać w tajemnicy – pocieszyłam ją.

– Jaki on jest? – spytała prosto z mostu.

Musiałam chwilę zastanowić się nad odpowiedzią. Miałam strasznie mieszane uczucia.

– Chyba było całkiem sympatycznie.

– Sympatycznie? – powtórzyła z przekąsem – W porównaniu z poprzednimi randkami to już sukces. – Wstała zadowolona. – Niech skonam.

– To był zwykły lunch.

– Wiem, wiem. – Machnęła lekceważąco dłonią. – Ale to już jakiś postęp. Tak trzymaj. Posiłek po posiłku.

Nie wiedziałam, co mam jej odpowiedzieć, więc milczałam.

– Daj spokój. – Popatrzyła na mnie z troską. – Wreszcie było prawie dobrze. To lepiej, niż dotąd, prawda?

– Prawda – odparłam, uśmiechając się sztucznie.

– Nie cierpię, kiedy zaczynasz udawać – powiedziała, wychodząc na korytarz. – Aha! Wiszę ci paczkę precelków. – Potem zatrzymała się i rzuciła przez ramię: – I paczkę miętówek.

Już na korytarzu pomachała mi ręką, a „do zobaczenia!” zabrzmiało śpiewnie.

Sprawdziłam otrzymane wiadomości. Same prośby obrońców o układ lub przesunięcie terminu spraw. Przeleciałam przez nie szybko i natknęłam się na wiadomość od Oliwii Horner, ostatniej opiekunki Kita Chalmersa. To było dziwne. Zostawiałam jej kilkakrotnie prośby o kontakt ze mną, odkąd Kevin podał mi jej numer telefonu. Podniosłam słuchawkę i wystukałam jej numer. Po czwartym sygnale usłyszałam zmęczony kobiecy głos. W tle

było słycać wrzask dzieciaków. Wyobraziłam sobie, co tam musiało się dziać.

– Dzień dobry pani Horner. Mówi Rachel Knight z biura zastępcy prokuratora okręgowego.

– Pomoże mi pani odebrać pieniądze z ratusza? Winni mi są zasiłek na dziecko już za trzy miesiące.

Zagadka sama się wyjaśniła. Oddzwoniła, bo chce odzyskać pieniądze.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie pracuję w tym wydziale. Jestem prokuratorem. Zajmuję się wyłącznie sprawami kryminalnymi. Zadzwońłam, ponieważ chciałabym porozmawiać na temat Kita.

– Aha. – Zamilkła na chwilę, godząc się z porażką. – Federalni już ze mną rozmawiali.

Znaczy, że FBI udało się kogoś znaleźć. Musiałam działać ostrożnie, jeżeli chciałam uniknąć kłopotliwych pytań.

– Mamy jeszcze kilka pytań. Wydaje nam się, że nie rozmawiali z panią o wszystkich aspektach tej sprawy. Mogę do pani przyjechać, kiedy to będzie pani odpowiadać. Nie zajmę więcej niż kilka minut – mówiłam jak najbardziej oficjalnym tonem. Starłam się, by nie wyczuła desperacji w moim głosie.

Milczenie Oliwii przeciągało się, dosłyszałam męski głos z jakiejś reklamy zachwalający karierę pomocy dentystycznej. Wyobraziłam sobie, jak całymi dniami zaglądam w czyjeś usta i uznałam, że wolę jednak pozostać przy dotychczasowej profesji.

– Dobrze, ale nie wiem, co jeszcze mogę pani powiedzieć...

Zamilkła. Wiedziałam, o czym myśli. Nie chodziło, że rozmawiała z FBI. Chodziło o to, że Kit nie żył i nic już nie można na to poradzić. Była raczej pragmatyczna, nie zimna. W świecie przepełnionym samymi

obowiązkami, bez wystarczających środków do życia, żal był luksusem, na który nie mogła sobie pozwolić.

– To nie potrwa długo, obiecuję.

Zastanawiała się przez moment, a ja wsłuchiwałam się w odgłosy dobiegające z telewizora i w krzyki dzieciaków.

– Niech pani przyjdzie – powiedziała wreszcie, wzdychając ciężko. – Ale proszę być przed szóstą. Potem muszę przygotowywać kolację. Wie pani, gdzie mieszkam?

Potwierdziłam adres oraz sposób dojazdu i wystukałam numer Bailey. O szesnastej byliśmy już w drodze do Silver Lake. O tej porze w całym mieście zaczynały się korki. Oliwia mieszkała jakieś dziesięć minut jazdy od centrum, ale przy tym ruchu należało ten czas podwoić. Bailey starała się jechać przez miasto, żeby uniknąć autostrad zapchanych o tej porze ludźmi wracającymi z pracy.

Na niebie już zaczynały pojawiać się purpurowoszare chmury zwiastujące zmierzch. Resztki promieni słonecznych odbijały się od szyb samochodów, ograniczając widoczność do minimum. Efekt był prawie identyczny z jazdą w gęstej mgle. Zawsze zastanawiałam się, jakim cudem kierowcy w Los Angeles unikają masakry w takich warunkach.

Dom znajdował się w dzielnicy Madera, tuż za ekskluzywną dzielnicą nowych bloków, które miały zamienić Silver Lake w raj dla bogatych. Po dziesięciu latach od tego pomysłu, jedynie te kilka nowych bloków świadczyło o jakimkolwiek wysiłku władz mających na celu polepszenie warunków życia mieszkających tu ludzi. Reszta okolicy przypominała getto biedoty. Szykowne sklepy, drogie restauracje i wyszukane elewacje domów urywały się nagle jak nożem uciął. Poza nimi było widać tylko obdrapane chatki z maleńkimi, zarośniętymi trawą podwórkami oraz stare budynki z lat sześćdziesiątych, od tamtego czasu nieodnawiane. Między domami

znalazły sobie miejsce sklepy spożywcze, bary z zamurowanymi oknami, kluby striptizowe z jaskrawo pomalowanymi fasadami i wyblakłymi nazwami oraz sklepy z alkoholami oferujące towary w cenach nieprzekraczających dziesięciu dolarów za butelkę.

Rozparta w fotelu pasażera zastanawiałam się, jak może tu wyglądać życie. Myślałam o niesprawiedliwości świata, w którym Frankowie Densmore żyli jak królowie, a Oliwie Horner klepały biedę. Dojechaliśmy wreszcie do utrzymanego w stylu rancza domu z wyblakłą farbą elewacji, zaniedbanym trawnikiem, zaśmieconym połamanymi wózkami i zapomnianymi lalkami. Wpadłam w nastrój funkowy, jak z piosenek Jamesa Browna.

Idąc za Bailey, zauważyłam, że jest ona w podobnym nastroju. Pozwoliłam jej zapukać do drzwi, obiecując sobie, że skończymy najszybciej jak się da.

Dosłyszałam cichy pogłos telewizora z kolejną reklamą. Kobięcy głos krzyknął „Chwileczkę”. Drzwi otworzyła znudzona nastolatka z niemowlakiem na ręku. Po otwarciu drzwi pogłos telewizora zmienił się w ryk. Czuć było zapach taniego żarcia smażonego na oleju. Dziecko zabawiało się ciemnymi włosami dziewczyny, która zupełnie nie zwracała na to uwagi.

– Cześć. Nazywam się Rachel Knight i jestem prokuratorem, a to jest detektyw Bailey Keller. Przyszliśmy zobaczyć się z panią Oliwią Horner.

Dziewczyna trzymała malucha, więc nie mogłyśmy się normalnie przywitać. Zaprosiła nas do środka i krzyknęła przez ramię „Mamo!”. Pokazała ruchem głowy, że powinniśmy pójść do maleńkiego salonu, gdzie stał telewizor. Idąc do salonu, poczułam, że nastąpiłam butem na chrupka. Nie myślałam o chrupkach, odkąd skończyłam dwanaście lat. Poczułam, jakbym odbyła podróż w czasie. Salon był zagracony zabawkami,

dziecięcymi kołderkami i poduszkami. Butelki dla dzieci i niedopite pudełka po soczkach rywalizowały z pustymi opakowaniami po chrupkach, batonikach i innych frykasach pełnych chemii.

Rozejrzałam się za czymś, na czym mogłybyśmy usiąść, ale nic takiego nie znalazłam. Wreszcie przyszła Oliwia.

Wyglądała na wyblakłą, z braku lepszego określenia. Zupełnie jak często prana bluzka. Jej twarz mówiła o nieprzespanych nocach, ciągłych kłopotach przez zbyt wiele lat. Obejrzała mnie od stóp do głów. Potem rzuciła Power Rangersów i pluszowe tygrysy z kanapy i kiwnęła, żebyśmy usiadły obok niej.

– Proszę wybaczyć ten bałagan. – Westchnęła. – Ciężko tu utrzymać porządek. – Przeczesła włosy dłonią, odsłaniając siwe odrosty.

– Ma pani mnóstwo spraw na głowie. Jestem wdzięczna, że zgodziła się pani z nami porozmawiać.

– Iloma dziećmi się pani opiekuje? – spytała Bailey.

– Na ten moment mam piątkę. Czworo przybranych, ale ta nastolatka jest moją córką. Opieka twierdzi, że niemowlakowi znajdą prawdopodobnie rodzinę zastępczą. To spryciarz. I prawdę mówiąc, będzie mi go brakować. – Westchnęła ciężko. – Ale skoro rząd opóźnia się z płaceniem, to dla niego lepiej, żeby znalazł się w porządnym domu, w którym będą mogli zapewnić mu normalną opiekę.

W pokoju prawie wyczuwało się historię jej walki o przetrwanie. Mogłam jej powiedzieć jedynie, że jest mi przykro. Ale nie miało to sensu, bo Oliwia nie oczekiwała litości ani ode mnie, ani od nikogo. Mogłam co najwyżej zniknąć z jej życia tak szybko, jak to możliwe.

– Jak długo Kit mieszkał u pani?

Zgarnęła zabawki z małego fotela na biegunach i usiadła na nim naprzeciwko nas. Maluch na rękach nastolatki znudził się bawieniem jej

włosami, może był głodny, bo zaczął płakać.

– Janzy, daj mi go. – Dziewczyna wydawała się zadowolona, że pozbędzie się ciężaru. Podała dziecko matce i wyszła z pokoju.

Oliwia ułożyła małego sobie na kolanach i zaczęła karmić z butelki.

– Przyszedł do nas w wieku piętnastu lat – powiedziała. – Już raz został zatrzymany za prostytutkę. Opieka społeczna twierdziła, że chłopak stanowi prawdziwe wyzwanie. Trudno się dziwić chłopakowi, wiedząc skąd przyszedł. – Pokiwała smutno głową.

Opieka społeczna lubiła używać takich eufemizmów jak „wyzwanie”, żeby nie piętnować niepotrzebnie dzieciaków. Przypominało to trochę troskę o zamknięcie klatki w zoo po ucieczce zwierząt.

– Wie pani coś o jego matce? – spytałam. Może to był jakiś trop?

– Wiem tylko tyle, ile mi powiedzieli w opiece społecznej: że była narkomanką, a Kit przechodził od jednej rodziny zastępczej do drugiej. – Oliwia poklepała malucha po pupie i przyglądała się z miłością, jak mały kurczowo trzyma butelkę. Pomyślałam o tych wszystkich dzieciach, które nie miały takiego szczęścia.

– Wcinaj, mały – mruknęła czule. – Trzeba się nimi zajmować, inaczej wpadną w kłopoty. – Jej twarz nagle stężała. – Przeklęte ćpuny umieją myśleć tylko o jednym.

– Kit miał jakieś kontakty z matką?

– Nic o tym nie wiem. Na pewno nie kontaktował się z ostatnią rodziną zastępczą, w której był – powiedziała z obrzydzeniem w głosie. – Ohydne gnojki. Kasowali za niego forszę i pozwalali mu włóczyć się po ulicy. – Spojrzała na mnie sceptycznie. – Pewnie z tym też nic pani nie może zrobić?

– Dołożę starań. – Zastanowiłam się przez chwilę – Na pewno przyjrzymy się tej rodzinie.

– Według pani wiedzy, Kit wciąż się prostytuował, do chwili śmierci? – spytała Bailey.

– Twierdził, że pracuje w jakimś magazynie. W sieci sklepów Target.

– Ale pani mu nie wierzyła.

– Jestem prostą kobietą, ale nie urodziłam się wczoraj. Próbowalam z nim rozmawiać. Przekonać go, że to do niczego nie prowadzi. Było już za późno. – Pokiwała głową smutno. – Czasami, kiedy dzieciaki są w tym wieku, można jeszcze z nimi porozmawiać. Ale Kit... był ciężki we współżyciu. Karmił mnie ciągle kłamstwami, bo bał się, że go wyrzucę jak inni. Mówiłam mu, że nigdy tego nie zrobię, ale nie wierzył. Może gdybym miała więcej czasu...

Zmarszczyła czoło, a pod oczami pojawiły się doły. Pewnie niedługo zacznie wyglądać jak staruszka.

– W którym Targecie pracował? – spytałam.

– Gdzieś w okolicy bulwaru Santa Monica.

Lokalizacja znajdowała się w Zachodnim Hollywood, czule nazywanym miastem chłopczyków, z uwagi na zagęszczenie homoseksualistów.

– Zna pani jego kolegów?

Zamyśliła się na moment.

– Kilka razy przychodziło tu dwoje dzieciaków. I była jeszcze dziewczyna... Miała takie dziwne imię. Chikita... Janzy! Hej, kobieto! Pamiętasz może dziewczynę, z którą chodził Kit?

Janzy weszła do salonu, zajadając galaretkę z plastikowego pojemnika.

– Nie musisz się wydzierać, mamó. Przecież cię słyszę. – Spojrzała na nas. – Miał taką jedną... Chodzili ze sobą.

Maluch skończył jeść i Oliwia położyła go sobie na ramieniu, żeby mu się odbiło.

– Daj, ja to zrobię. – Janzy wzięła dziecko i położyła sobie na ramieniu.
– Na imię miała T'chia, nie pamiętam nazwiska, ale łatwo ją znajdziecie. Pracuje w Targecie w Santa Monica. Niska, pomarańczowe włosy na irokeza, kolczyk w nosie i wytatuowany pajak na szyi.

Taki rysopis umożliwiłby wyłowienie jej z tłumu w każdym innym mieście z wyjątkiem Los Angeles. Przynajmniej ktoś naprawdę pracował w Targecie.

– Czy Kit wspominał kiedykolwiek o prokuratorze, z którym go znaleziono. O Jake'u Pahlmeyerze? – spytałam.

– Nie. – Oliwia pokręciła głową. – Ten chłopak nigdy mi o niczym nie mówił. A jeżeli już, to same kłamstwa. Chciałabym wiedzieć, co tam naprawdę się wydarzyło. Wiem, że to zabrzmiało nieładnie, ale nie jestem zaskoczona tym, co się stało. Kit był skazany na porażkę. To czuło się na kilometr.

– Nieprawda – wtrąciła się Janzy. – Nie był zły ani głupi. Próbował tylko znaleźć jakieś miejsce na tym świecie. Chciał żyć normalnie, jak inni, ale nigdy mu nie wychodziło. Kiedy tylko mógł, zawsze przynosił dzieciakom jakieś prezenty. Bawił się z nimi czasami. Ale czasami znikał na kilka dni. – Zamilkła, usiłując sobie przypomnieć szczegóły. Rzuciła podniesionym głosem: – Nie zasłużył sobie na taki los.

Przerwała poklepywanie malca, żeby wytrzeć łzy z oczu. Poprawiła włosy i wyszła z salonu.

– Muszę się z nią zgodzić – powiedziała Oliwia. – Kimkolwiek był, a nie był aniołem, śmierć w pokoju motelowym nie powinna mu się przytrafić.

Nie mogłam nie przyznać jej racji.

23

Zwykle zostawiam swoim świadkom wizytówkę, żeby mogli się ze mną skontaktować, gdyby sobie przypomnieli jakiś nowy szczegół. Ale skoro ani Bailey, ani ja nie powinniśmy tutaj przychodzić, powiedziałam Oliwii, że będziemy z nią w kontakcie. Modliłam się w duchu, by nie wygadała się przed FBI, że z nami rozmawiała.

Poszliśmy do samochodu. Bailey wycofała się i wjechałyśmy na ulicę.

– Target? – spytała.

– No. – Nie wiedziałyśmy, czy T'Chia będzie w pracy, ale skoro byłyśmy niedaleko, uznałam, że warto tam zajrzeć. Dopisało nam szczęście. T'Chia Arendt miała akurat zmianę. Kiedy jej wyjaśniłyśmy cel naszej wizyty, zgodziła się z nami porozmawiać w czasie przerwy w pizzerii naprzeciwko sklepu. Usiadłyśmy z Bailey przy plastikowym stoliku i czekałyśmy. Pizza pachniała starością, ale i tak poczułam się głodna. Zawsze tak reagowałam na zapach pizzy. Nawet mrożonej z kartonu do podgrzania w mikrofalówce.

– Pomyślałaś, co powiemy, jeśli spotkamy tutaj kogoś z dochodzeniówki? – spytała Bailey.

Przyglądałam się ludziom, którzy stali w kolejce do kasy w Targecie; sprawdzałam, czy przypadkiem nie zauważę jakiegoś towaru, który mnie również mógł się przydać. Kiedyś trafiłam tutaj na niesamowite obniżki cen. Zapatrzyłam się na fajne białe rybaczki, więc trwało chwilę, zanim jej pytanie do mnie dotarło.

– Może to, że miała być wielka wyprzedaż biustonoszy?

– Jasne – odparła zimno.

T'Chia przyszła zdyszana i usadowiła się na krześle. Janzy opisała ją doskonale. Dziewczyna miała wzrostu ledwie metr sześćdziesiąt i była

niedużo przy kości. Odrosty miała jak brunetka, ale włosy ufarbowane na pomarańczowo sterczały do góry szpicami, jak u irokeza. Szyję zdobił tatuaż, pajęczyna i pajak. Na piersi zwisał naszyjnik z trupa czaszką. Była ubrana w różowy sweter, krótką spódnice w kratę i czarne martensy. Umiała wyrażać własną indywidualność za pomocą ubioru, ale T'Chia wydawała się wyrażać wiele osobowości naraz.

Staralam się przybrać przyjacielski wyraz twarzy i nie zachichotać na jej widok.

– Dziękuję, że poświęciłaś nam swój czas. Naprawdę to doceniamy.

Kiwnęła grzecznie głową i przeszła od razu do sedna.

– Nie wiem, czy ktoś już wam to mówił, ale byliśmy z Kitem totalnie w sobie zakochani. Ludzie teraz oblepiają go gównem... – Zamilkła przestraszona, że zakłęła przy nas.

Było to strasznie słodkie.

– Proszę, nie przejmuj się tym... gównem. Jestem do tego przyzwyczajona – powiedziałam.

Odetchnęła z ulgą. Prawdopodobnie nie umiała ułożyć żadnego zdania bez wulgaryzmów. Potrafiłam je sobie tłumaczyć na angielski.

Pochyliła się nad stolikiem i zaczęła z przejęciem.

– Mówili o nim, że jest taki płytki. Sama wiem, że wpadł w niezłe gówno, ale w środku był dobry, rozumiecie? Nikt nie znał go lepiej ode mnie.

Mówiła to wszystko z niepokojem. Nastolatki potrafią zrobić tragedię z najmniejszej głupoty. Ale zakochać się w chłopaku, który został zamordowany w tajemniczych okolicznościach, stanowiło superhit w ich świecie. Chyba że taki chłopak zamieniał się później w wampira. To już było super-hiper-hitem.

– Długo byliście razem? – Z jej opowieści wynikało, że zakochali się w sobie już w piaskownicy.

– Trzy miesiące.

Trzy miesiące?

T'Chia nawet nie zauważyła, że jej odpowiedź nieco spłycała całą historię o wiecznej miłości.

– Ale znaleźliśmy się już wcześniej. Od początku semestru – dodała.

Czyli jednak pięć miesięcy, a nie trzy. To zaczynało nabierać sensu.

– Idę po picie – oznajmiła, wstając nagle. – Przynieść wam coś? Mam tutaj rabat.

To było wspaniałomyślne z jej strony, ale odmówiliśmy. I tak rozmowa z dziewczyną Kita była z naszej strony poważnym wykroczeniem. Nie chcieliśmy jeszcze podpaść pod wymuszanie łapówki.

Wróciła, niosąc plastikowy kubek i usiadła z powrotem.

– Spotykaliście się czasami po szkole?

– Jasne, ale to on głównie tu przychodził. Ja mam mało czasu między szkołą i pracą.

Ich związek coraz mniej przypominał historię Romea i Julii, a coraz bardziej układy kumpelskie. Kit dostawał darmowe napoje i żarcie, a T'Chia udawała, że ma chłopaka.

– Znasz jakichś jego kumpli?

– Raczej nie zadawał się z nikim. – Wzruszyła ramionami. – Może Dante i Eddie. Czasami ich tu ze sobą przyprawadzał.

Będziemy musiały mocniej przycisnąć dzieciaki ze szkoły. Wyglądało, że to jedyni przyjaciele Kita.

– A co z tym prokuratorem pedziem, którego znaleźli razem z nim w pokoju? Kit kiedykolwiek ci o nim wspominał? – Z trudem mi to przeszło

przez gardło, ale nie chciałam sprawiać wrażenia, że w moich pytaniach jest coś osobistego.

– Niece... – Pokręciła głową. – Kiedyś napomknął, że ma kogoś ważnego, kto go zawsze wyciągnie z tarapatów. Może to właśnie on?

Interesująca teoria. A nawet światełko w tunelu. Jeżeli naprawdę chodziło o Jake'a, to może było to coś całkiem niewinnego. Może po prostu chciał pomóc chłopakowi. Mogło to również znaczyć, że Jake był zbyt miły dla niego. Zmusiłam się do zadania następnego pytania.

– Sądziś, że Kit mógł mieć romans z tym facetem?

T'Chia aż się zaczerwieniła z oburzenia.

– Kit nie był gejem. Te dupki z FBI też mi to wciskali, ale to nieprawda. Nie jestem głupia. Wiem, że wplątał się w jakieś gówniane interesy. Ale w głębi duszy był dobrym człowiekiem. I mam już po dziurki w nosie ludzi wmawiających mi te brednie na jego temat.

– Też bym się wnerwiła – powiedziałam. I naprawdę tak myślałam, a poza tym chciałam ją uspokoić. Jeżeli wiedziała jeszcze coś o chłopaku, musiałam szybko to z niej wyciągnąć i zmywać się stąd. To spotkanie w publicznym miejscu jakoś dziwnie mnie denerwowało.

– Może Kit wspominał ci o jakimś wielkim interesie? Że zrobi szybko duże pieniądze, czy coś takiego?

– Nie pamiętam niczego w tym stylu. To znaczy ciągle

mówił o wielkich pieniądzach, ale raczej w sensie wygrania na loterii.

Zauważyłam, że mówiąc to, uciekała wzrokiem na boki. Trafiłam wreszcie w coś istotnego. Gdybym teraz zaczęła ją cisnąć, mogła wstawić jakiś bajer, żeby się tylko mnie pozbyć. Z drugiej strony nie miałam żadnych podstaw, żeby wzywać ją oficjalnie.

Musiałam grzebać dalej i mieć amunicję, żeby zechciała powiedzieć prawdę. Teraz lepiej było pozwolić jej myśleć, że się mnie pozbyła. Ale

zamierzałam dowiedzieć się prawdy. Jakakolwiek by ona była.

24

Następnego ranka wreszcie obudziłam się wypoczęta. Poprzedni dzień zakończyłam uczciwą kolacją z grillowanych warzyw. Nadrobiłam zaległości w pracy. No i położyłam się wcześniej spać. Takie zdrowe podejście dobrze mi zrobiło i czułam się naładowana energią. Jak zwykle obiecałam sobie, że zawsze będę się kładła wcześniej spać... i nawet przez chwilę sama w to uwierzyłam. Włożyłam płytę Herbiego Hancocka w odtwarzacz CD i nucąc pod nosem, dopijałam poranną kawę; zajrzałam do szafy, musiałam się zastanowić, co na siebie włożyć.

Nie spodziewałam się dzisiaj spotkania z kimś, na kim chciałym zrobić wrażenie. Dzielnie postanowiłam sobie, że tym kimś z pewnością nie zostanie Graden. Ponieważ nie miałam żadnych spraw w sądzie, postawiłam na wygodę. Poranek był słoneczny, ale na zachodzie kłębiły się już chmury, które mogły wszystko zepsuć. Zdecydowałam, że włożę czerwony sweter, który mi wreszcie zwróciła Toni, czarne spodnie i kozaczki na średnim obcasie. No i oczywiście znienawidzoną kamizelkę kuloodporną. Może kiedyś przyzwyczaję się i zacznę ją nosić na co dzień. Jakoś wcisnęłam jeszcze na siebie skórzaną marynarkę. Wtedy doznałam olśnienia. Skoro i tak musiałam nosić to cholerstwo, to dlaczego mam nie iść na całość? Zdjęłam marynarkę i podeszłam do lustra, oglądając się ze wszystkich stron. Zmrużyłam oczy i przechyliłam głowę w lewo. Pod tym kątem patrzenia kamizelka wyglądała wyjątkowo seksownie. Jeżeli ktoś lubił płaskie umięśnione kobiety. Wszystko zależało od punktu widzenia.

Herbie śpiewał akurat „Watermelon Man”. Ponownie włożyłam marynarkę, schowałam rewolwer do torebki i wyszłam do biura.

Po kwadransie okrążałam już korytarzem pokój Jake'a. Zdawałam sobie sprawę, że zachowuję się dziecinnie, ale dzisiaj jeszcze nie umiałam z tym

walczyć. Zauważyłam, że drzwi pokoju Toni były otwarte. Rzadko zdarzało się jej bywać w pracy tak wcześnie. Zajrzałam do środka. Siedziała zaczytana w aktach, więc zapukałam, żeby dać jej znać, że jestem.

Zerknęła na mnie znad papierów. Wyglądała wystrzałow. Doskonała fryzura i makijaż, szmaragdowa bluzka i beżowa spódnica.

– Coś się stało? – spytałam.

– Mam sprawę tego podwójnego morderstwa, które dostałam po Jake'u.

– I chcesz zrobić wrażenie na przysięgłych? Może chcesz, żebym przyszła i służyła ci radą?

– Dzisiaj składamy same wnioski. Bez ławy przysięgłych – wyjaśniła oschle.

Zbyt oschle, jak na mój gust.

– A więc sędzią jest J.D. Morgan. – Rozbawiło mnie to.

Toni starała się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Chciałabym, żebyś zajęła się wnioskiem Mirany. – Zmieniła szybko temat. – Możemy mieć z tym problem.

– Z przyjemnością. – Uniosłam brwi ze zdziwienia. – Może przegadamy to przy kolacji? U Pace'a? Ja stawiam.

Pace to ulubiona restauracja Toni. Intymny lokalik w Laurel Canyon wciśnięty za supersam, w którym zakupy robił sam Jim Morrison. Nie był szpanerski. Raczej przeznaczony dla bohemy. Serwował świetne żarcie i dobre wina, stał się bardzo popularny wśród ludzi z Hollywood.

– A jeśli nie dowiesz się żadnych plotek na temat J.D. i mnie, to dalej będziesz chciała zapłacić? – spytała wyzywająco.

– To ma być żart? – Byłam jeszcze bardziej rozbawiona. – Gdybyście któregoś dnia minęli się bez słowa na korytarzu, to dopiero zaczęłyby się plotki.

Toni milczała, uśmiechając się ponuro.

Ich ciągle powroty i rozstania zakrawały na obustronną fobię, ale zawsze wprowadzały mnie w dobry humor. Nie mogłam jej więc mieć tego za złe.

J.D. Morgan był typowym przykładem hulaszczego przystojniaka, z siwymi włosami, niebieskimi oczami, które mogły zauroczyć, i wspaniałym ciałem zawodowego zabójcy. To ostatnie zawdzięczał pracy w policji i amatorskiemu uprawianiu boksu. Dekadę wcześniej przejście z policjanta na sędziego było czymś normalnym. Potem policja Los Angeles otrzymała etykietę bandy kowbojów i gubernatorzy stali się bardzo uważni przy podpisywaniu nominacji byłych policjantów na sędziów. Dzisiaj policja ma już lepszą opinię, ale ze świecą można szukać sędziego, który wcześniej w niej nie służył. Było to porównywalne ze znalezieniem polityka, który nie ma kochanki.

Kogoś takiego jak J.D. Morgan każdy gubernator mianowałby sędzią. Nie był typem intelektualisty, ale posiadał wielką mądrość życiową. Ten urodzony gawędziarz miał zaraźliwy śmiech. Zapraszano go wszędzie. Bywał na drętwych przyjęciach prawników i spotkaniach miłośników filharmonii.

Zetknęłam się z nim przy sprawie o podpalenie. Przygotowałam się na ostre boksowanie. Obrońca był znany z osobistych ataków i szybkiego wpadania w gniew. Miał ksywę Snarol – od nazwy popularnego preparatu do zabijania ślimaków. Wszyscy uważali, że wygląda jak wnerwiony ślimak. Nie wiedzieć czemu. Pierwszego dnia zgłaszania wniosków procesowych sędzia Morgan zapytał nas, jakie problemy musimy rozstrzygnąć, zanim przystąpimy do wybierania składu ławy przysięgłych. Jak można było przewidzieć, Snarol wyskoczył pierwszy, krzycząc na całą salę:

– Oskarżenie ukrywa kluczowe dowody. Te kopie zeznań mojego klienta prokurator dostarczyła mi dopiero dzisiaj rano. – Machał kartkami papieru. – To jest skandaliczny przykład niewłaściwego postępowania i wnoszę to pod rozwagę sądu.

– Wysoki Sądzie, kopie tych zeznań przekazywałam obronie trzy razy. Z dzisiejszym będzie to już czwarty raz...

J.D. podniósł dłoń, powstrzymując moje wystąpienie.

– Panno Knight, czytałem akta. Doskonale wiem, kiedy to pani przekazała obronie. – Spojrzał na obrońcę, jego niski baryton stał się jakby łagodniejszy, wręcz sympatyczny, ale stanowczy. – Mecenasiu, chciałbym, żeby pan usłyszał głośno i wyraźnie to, co teraz powiem. W moim sądzie nie prowadzimy spraw w taki sposób. W związku z tym pozwolę sobie dać panu radę i dla pańskiego dobra radzę z niej skorzystać. Następnym razem, kiedy zaatakuję pan oskarżenie w taki sposób, chcę usłyszeć jedynie prawo i fakty. Jeżeli zależy panu na wygraniu tej sprawy u mnie, proszę o tym pamiętać.

I stał się cud. Po raz pierwszy Snarol zachowywał się w sposób cywilizowany. J.D. często sam przyznawał, że nie jest wielkim teoretykiem prawa. Posiadał jednak genialne wyczucie równowagi i sprawiedliwości. Prawnicy po obu stronach barykady lubili go, ponieważ u niego zawsze wszyscy mieli uczciwe procesy.

Ich związek zaczął się przez przypadek. Miałam rozpocząć mowę końcową w mojej sprawie, kiedy zorientowałam się, że zapomniałam ważnych dokumentów, które były mi do tego niezbędne. Do powrotu ławy zostało tylko dziesięć minut i nie miałam czasu wracać po nie do biura. Poprosiłam więc Toni, żeby mi je zniosła. W chwili, kiedy pojawiła się na sali i powiedziała swoje: „Proszę o wybaczenie Wysoki Sądzie”, dostrzegłam w jego oczach znajome iskierki. Potem już poszło szybko.

Przez kilka miesięcy byli nierozłączni i wszyscy myśleli, że są idealną parą. Jak się potem okazało, byli zbyt idealni.

Kiedy tylko rozeszła się plotka o ich wzajemnej sympatii, zastanawiano się, kiedy wreszcie umówią się na randkę. Po tygodniu jednak już zaczęli skakać sobie do oczu. Jedną z wielu rzeczy, które ich łączyły, była awersja do angażowania się w trwałe związki. Nie potrafili się jednak bez siebie obejść, bo chemia między nimi działała bezbłędnie. Dlatego, gdy już na siebie wpadli po jakimś czasie, to po prostu zaczęli w punkcie, w którym poprzednio skończyli. I znowu było im ze sobą wspaniale... dopóki u któregoś nie dała o sobie znać fobia. Jeżeli Toni prowadziła sprawę u niego, nie było mowy, żeby ze sobą chodzili. Ale wiedziałam, że zaraz po zakończeniu tej sprawy znów zacznie się idylla.

Psychiatra byłby nimi zachwycony... gdyby którekolwiek zechciało skorzystać z takiej pomocy.

– Pozdrów ode mnie J.D. – powiedziałam, zabierając się do wyjścia. – Jak widzę, zadbałaś o siebie.

Jej długopis wałnął w ścianę tuż po moim wyjściu. Weszłam do swojego pokoju i od razu usiadłam przed komputerem. Czekają na mnie mnóstwo e-maili od obrońców i jeden od ukochanego wodza, najukochańszego ojczulka: Frank Densmore@DensmoreCLinics.com. Trochę się zdziwiłam, że nie zarejestrował sobie domeny WładcaWszechświata.com. Do tej pory informowałam go regularnie pocztą elektroniczną, żeby uniknąć kontaktów osobistych. I tak musiałam się powstrzymać od spuentowania jego coraz bardziej irytujących wywodów na temat naszej nieudolności w doprowadzeniu ewidentnego sprawcy przestępstwa do sądu.

Czytałam właśnie jego ostatnie dzieło na swój temat, kiedy rozległ się sygnał mojej komórki.

– Siedzisz w biurze? – odezwała się Bailey.

– Tak

– To się nie ruszaj. – Rozłączyła się.

Czekając na jej przybycie, próbowałam zająć się bieżącymi sprawami, ale nic mi nie szło. Co mogło być tak pilnego i tajnego, że nie chciała o tym rozmawiać przez telefon? Na szczęście nie musiałam czekać długo.

– Nie uwierzysz – oznajmiła, wpadając do pokoju. – Wczoraj w nocy dostaliśmy wezwanie z Palisades w sprawie włamania.

Spojrzałam na nią zdziwiona. Znowu Palisades? Nie byłam maniaczką teorii spiskowych, bo w bogatych dzielnicach włamania były na porządku dziennym.

– Blisko domu Susan? – spytałam.

– Dość blisko. Sprawcę złapaliśmy na podwórku sąsiedniej posesji. – Spojrzała na mnie uważnie, upewniając się, że naprawdę słucham.

– Sprawca był świeżo upieczonym gangsterem, zgadnij, z jakiego gangu...

– Sylmar Sevens?

To by było na tyle.

25

Tkwiłam w fotelu jak walnięta obuchem. Sylmar Sevens w kolejnej akcji w Palisades było działaniem całkowicie bez sensu. Żaden gang nie robi takich numerów w miejscu, gdzie roi się od policji. A już na pewno nie wtedy, gdy ich szef jest ścigany za przestępstwo w tamtej okolicy. Nie strzelaliby sobie w stopę. Kto by rabował w bogatej okolicy, w której niedawno popełnił gwałt? To jakby ogłosili w prasie, że Luis Revelo jest sprawcą.

– Mam te same podejrzania – powiedziała Bailey.

– Ktoś już go przesłuchiwał?

– Próbowali, ale odmawia zeznań i żąda spotkania ze swoim adwokatem.

– Pojawił się już obrońca?

– Jeszcze nie.

Czyli dopóki nie przyjdzie i nie doradzi mu inaczej, będzie milczał jak grób. Z naszego punktu widzenia sprawa była stracona. Chyba żeby zechciał gadać z policją, co raczej nie wchodziło w rachubę.

Na razie zagadka rabunku w Palisades z udziałem Sylmar Sevens czekała na rozwiązanie. Pozostawała sprawa Jake'a.

– Słyszałaś coś w sprawie naszego podwójnego morderstwa? – spytałam. – Może są już jakieś dowody, włosy, kawałki ubrań, cokolwiek?

– Nie nazywają tego podwójnym morderstwem.

– Niech się pieprzą. Sama zdecyduję, kiedy to nazwę morderstwem i samobójstwem.

– Przekażę to FBI – stwierdziła Bailey z kamienną twarzą. – Nie mam żadnych wieści. Wszystko trzymają pod kluczem. – Zamilkła i uśmiechnęła się przebiegle. – Ale znam kogoś, kogo możesz podpytać...

Wreszcie mnie olśniło, że zapomniałam jej powiedzieć o lunchu z Gradenem. Mimo że nie miałam zamiaru odpowiadać na jej insynuacje, przecież nie mogłam ryzykować, że dowie się o tym od kogoś innego. Poczulaby się urażona. Zresztą jej insynuacje nie były bezpodstawne. Zamierzałam wydusić z Gradena wszystko, co wie o Jake'u.

– Zapomniałam ci powiedzieć. – Wprowadziłam ją w szczegóły. Kiedy skończyłam, przyglądała mi się z niedowierzaniem.

– Zapomniałaś?

– Byłyśmy zalatane. – Wzruszyłam ramionami.

– Cała ty. – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Dobra, kupuję to. Przez chwilę patrzyła w okno.

– Ciężko nie napluć we własne gniazdo – przemówiła wreszcie.

– Wielkie dzięki, mamusko – odparłam chłodno. – Rozumiem, iż chcesz powiedzieć, że nie jest zbyt mądrze umawiać się z facetem, który prowadzi sprawę Jake'a.

– Wprost przeciwnie. Ta sprawa nie będzie trwać wiecznie. A wszyscy pracujemy po godzinach, więc gdzie mielibyśmy spotkać drugą połówkę. Chciałam powiedzieć, że inaczej się po prostu nie da.

– Przy tobie człowiek traci apetyt. – Bailey na swój sposób chciała pochwalić mój wybór, ale z jakiegoś powodu poczułam się głupio.

– Daj spokój. To tylko takie powiedzenie...

– Dość. – Uniosłam dłoń do góry. – Mam zamiar zacząć jeść znowu od przyszłego tygodnia.

Tym razem Bailey wyruszyła ramionami. Wstała, żeby wyjść, ale spojrzała na mnie nagle całkiem poważnie.

– Nosisz kamizelkę, prawda?

– Tak, mamo.

– Zadzwoń, gdybyś chciała gdzieś jechać – rzuciła na odchodne.

Nie musiała mi przypominać. Z samego rana dzwonił dyrektor hotelu i w bardzo delikatny sposób przesłuchiwał, kiedy zamierzam dać do naprawy samochód. Moja mała honda nigdy nie wyglądała najlepiej przy tych wszystkich mercedesach i rolls royce'ach parkujących obok. Teraz kiedy została przerobiona na arcydzieło sztuki ulicznej, prezentowała się na tym tle jak kamień na wystawie u Tiffany'ego. Nie mogłam dłużej odkładać naprawy, chociaż miało mnie to sporo kosztować.

Lecz to nie jedyny powód zwłoki. Wierzyłam szczerze, że strzelanina przed szkołą była przypadkowa, ale możliwość, że gdzieś tam ktoś naprawdę dybie na moje życie, wytrącała mnie z równowagi. Musiałam jakoś z tym walczyć. Przecież nie warto fiksować na temat zagrożenia życia, skoro nic nie można na to poradzić. Skupiłam się więc na temacie zastępczym – rozwiązaniu sprawy Jake'a.

Doszłam do wniosku, że nadszedł czas przestać obalać wątek pedofilski. Należało podążyć tym śladem. Rozważałam ten aspekt, gapiąc się przez okno na tłum ludzi zapełniających chodniki. Było już po szesnastej. Dostrzegłam Desiree, mojego ulubionego transwestytę, który był teraz kobietą. Szła w skórzanej minispódniczce, w długich butach na obcasie, w blond peruce na głowie. Poruszała się pewnym krokiem po Spring Street, patrzyła prosto przed siebie, wyzywając wzrokiem każdego, kto próbował nie zwracać na nią uwagi. Zawsze uśmiechałam się na jej widok.

Biuro zaczęło się wyludniać, a ja miałam plan. Wróciłam do komputera i wystukałam adres PedoAlert – czujnej grupy kierowanej przez Clive'a Zorna, zajmującej się łapaniem pedofilów i amatorów dziecięcej pornografii. Poznałam go rok wcześniej przy okazji sprawy o zabójstwo dziecka, którą wtedy dostałam. Z materiałów wynikało, że chodzi o znęcanie się nad dzieckiem ze skutkiem śmiertelnym. Policja zatrzymała

opiekunkę. Rany dziecka nie dawały podstaw do postawienia czystego zarzutu zabójstwa i istniało wielkie prawdopodobieństwo, że ława przysięgłych kupi historię opiekunki, jakoby mały spadł ze schodów i skręcił sobie kark. W takim wypadku zostałyby uniewinniona.

Clive zadzwonił wtedy, ostrzegając mnie, że w sprawie może również chodzić o wykorzystywanie seksualne. Żaden dowód na to nie wskazywał. Ostrzegano mnie również, że grupa Clive'a doszukuje się podtekstów seksualnych we wszystkich głośnych sprawach dotyczących dzieci, ponieważ chce sobie zrobić darmową reklamę. Dlatego, kiedy Melia oznajmiła mi, że dzwoni Clive, odniosłam się do tego niechętnie; kazałam jej przekazać, że oddzwonię. Potem wrodzona ciekawość i paranoiczna obawa, że coś mogłam przeoczyć, skłoniła mnie do oddzwonienia. I zostałam mile zaskoczona jego oświadczeniem, że nie chce sławy, a jedynie pragnie podpowiedzieć mi, czego mam szukać. Wciąż nieufna, postanowiłam go jednak wysłuchać.

Półtorej godziny później włosy stały mi już na głowie z wrażenia. W życiu nie myślałam, w jaki sposób można ukrywać ślady wykorzystywania seksualnego dzieci. Nakazałam dodatkowe śledztwo, w którego wyniku znaleźliśmy skrytkę z dziecięcą pornografią i naszą ofiarą w roli głównej. Opiekunka wykorzystywała chłopca, odkąd skończył dwa lata. Na wielu zdjęciach występowała sama opiekunka z dzieckiem. Nieumyślne zabójstwo zamieniło się w morderstwo pierwszego stopnia, a opiekunka została skazana na dwadzieścia pięć lat więzienia.

Od tamtej pory polecałam go wszystkim prokuratorom i wspominałam o nim każdemu dziennikarzowi. Clive za wszelką cenę pragnął mi się odwdziżyć, więc wiedziałam, że nie odmówi mi pomocy. I rzeczywiście. W kilka minut po zostawieniu mu wiadomości, zadzwonił mój telefon. Odebrałam już po pierwszym dzwonku.

– Biuro prokuratora okręgowego, mówi Rachel Knight.

– Cieszę się, że zadzwoniłaś, ale coś mi się wydaje, że chodzi ci o jeszcze jednego pedofila. – Jego miły głos zmylił już wielu ludzi.

Przedstawiłam mu sprawę Jake'a.

– I pewnie chcesz wiedzieć, czego uda nam się dowiedzieć na temat ofiary?

– Właśnie.

– Będę potrzebował fotografii Kita. Tej, którą znaleziono w kieszeni Jake'a.

Westchnęłam głośno, tego właśnie się obawiałam.

– Możesz spróbować wyszukać coś na podstawie opisu? – Wydostanie tej fotografii mogło być niemożliwe, chociaż miałam pomysł, w jaki sposób mogłabym chociaż na nią zerknąć.

– Oczywiście mogę spróbować, ale twój opis krótkiego nosa może się różni od mojego. Ktoś, kogo określasz brunetem, może być dla mnie ciemnym blondynem. Nawet gdybyś umieściła potem zdjęcie ofiary w Internecie, ja mógłbym jej nie rozpoznać.

Wiedziałam, że Clive rozpoczął właśnie jeden z tych swoich długich, szczegółowych i precyzyjnych wykładów. To była jego słaba strona. Mógł być wspaniałym wykładowcą, ale ja miałam zawsze ochotę wyskoczyć przez okno. Ciągnął ten swój denerwujący i niczym niezmacony monolog.

– Sama więc widzisz, że nawet gdybym zaczął poszukiwania w Internecie na podstawie twojego opisu, może się okazać, że nie pamiętasz wszystkich szczegółów i że sama go nie rozpoznasz na zdjęciu. Zwłaszcza, jeśli będzie nieco zniekształcone. No i oczywiście szanse odnalezienia ofiary po samym opisie są znacznie mniejsze.

– Dobra, popracuję nad tym.

Życzył mi powodzenia i rozłączyliśmy się. Wiedziałam, co teraz muszę zrobić. Nienawidziłam siebie za to, ale i tak to zrobiłam. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Graden Hales.

– Wiem – odparłam poważnym tonem. – Sama wykręciłam ten numer.

– Tak się właśnie zastanawiam – powiedział, równie poważnym tonem – ile razy wyrzucali cię z klasy?

– Nigdy. Nauczyciele mnie uwielbiali. – Z trudem zachowałam powagę.

– A jeżeli mówią mi co innego?

– To znaczy, że łąą w żywe oczy. – Kłamstwo nie było moją silną stroną. Dlatego przeszłam od razu do rzeczy.

– Co powiesz na szybki lunch w The Cover? – To dyskretna knajpka w stylu nielegalnych barów z czasów prohibicji, ukryta za nieoznakowanymi drzwiami w historycznym budynku. Było w niej ciemno, spokojnie i powstała niedawno, nie została więc jeszcze odkryta przez sądowe hordy. The Cover zapewniała dyskrecję.

– Brzmi kusząco. Kiedy?

Milczałam, czekając na jego reakcję.

– Chcesz powiedzieć zaraz?

– Wiem, że to nagłe, ale będę szczerą. Chcę cię prosić o przysługę. Pewnie ci się to nie spodoba. Nawet jeśli odmówisz, to przynajmniej zjemy.

Zamilkł na długo. Zastanawiałam się, czy nie przegięłam.

– No dobra, wchodzę w to. Zaintrygowałaś mnie. No i jestem głodny. Spotkajmy się na dole za dziesięć minut. Podjadę po ciebie.

26

Przyćmione światło sączące się z lamp pod sufitem tworzyło atmosferę intymności i spokoju. Przynajmniej nie widziałam żadnych znajomych twarzy. Oboje zamówiliśmy sałatki, Graden połączył ją z befsztykiem à la *bourignonne*, a ja z pieczonym kurczakiem. Nie wiem dlaczego, ale danie Gradena wyglądało jakoś bardziej apetycznie. Staralam się patrzeć tylko w swój talerz.

Tak naprawdę nie chciałam go o nic prosić, więc jadłam w milczeniu, tocząc wewnętrzną walkę z sumieniem. Kiedy wreszcie kelner zabrał talerze, zrozumiałam, że teraz albo nigdy. Zbierałam się więc do zadania tego jedyne pytania, kiedy Graden odłożył serwetkę na stół i pochylił się nad stołem.

– Okej, Knight. Dusisz to w sobie już pół godziny. Wal.

Sama nie wiedziałam, czy zaimponował mi, czy raczej zmartwił tym, że tak łatwo mnie rozgryzł.

– Potrzebuję zdjęcia Kita, które znaleziono przy Jake'u. Kita Chalmersa.

Uniósł brew. Wiedziałam, że proszę go o wiele. Może nawet o zbyt wiele.

– Po co? – odezwał się po dobrej chwili.

Opowiedziałam mu o PedoAlert.

– Jeżeli uda mi się odnaleźć tę fotografię w Internecie, lub inne zdjęcia Kita, być może uda mi się ustalić, kto jest autorem. Będę mogła sprawdzić inne ślady.

– Takie, jak?

– Wszyscy zakładają, że Kit szantażował Jake'a. To nie jest zła hipoteza. Ale może Kit szantażował kogoś innego? – Ta teoria miała wiele dziur i Graden od razu zauważył największą.

– To dlaczego znaleziono z nim Jake'a? Dlaczego Jake miał jego zdjęcie? Po co Kit przynosiłby takie zdjęcie, gdyby chciał pomocy od Jake'a?

– Nie znam jeszcze wszystkich odpowiedzi – odpowiedziałam ponuro.

– Nie znasz żadnych odpowiedzi.

Pokiwałam głową.

– Nie chcę cię dołować – mówił – ale pracownik motelu pamięta, że Jake pytał o numer pokoju Kita tuż przed strzelaniną. – Spojrzał na mnie znacząco.

Gapiałam się w stolik. Niby nic wielkiego, ale i tak czułam się podle. Chciałam mu powiedzieć, że Jake nie rozmawiałby tak otwarcie z portierem, gdyby naprawdę miał coś na sumieniu. Chociaż, gdyby zamierzał popełnić samobójstwo, to nie przejmowałby się tym.

– I to nie wszystko.

Jego ton wskazywał, że teraz dopiero będzie gorzej.

– Sprawdziliśmy jego billingi. Tego dnia rano odebrał telefon od Kita. Odnaleźliśmy połączenia z dwóch lat.

– Ile?

– W normie. Wygląda, że co dwa miesiące któryś z nich dzwonił do drugiego.

Oddychałam głęboko, słuchając tych wiadomości. To jeszcze nie były stuprocentowe dowody, ale i tak czułam się podle. Siedziałam ponura, to wszystko zaczynało mnie przytłaczać.

– Przykro mi, Rachel.

– Niepotrzebnie. – Pokręciłam głową – Muszę wiedzieć. Jeżeli prawda okaże się właśnie taka, będę musiała się z tym pogodzić. Ale jeszcze mnie nie przekonałeś.

– Prawda. – Miał smutną minę. – Ale wolę cię przygotować.

Doceniałam jego troskę o mnie, chociaż wolałam nie myśleć o celach tej troski. Przez jakiś czas milczeliśmy.

Graden rozejrzał się po restauracji i spojrzał na mnie.

– Jeżeli się na to zgodzę, będziesz musiała zachować olbrzymią ostrożność. Ta fotografia nigdy nie może ujrzeć światła dziennego.

Nagle poczułam, że przestało mnie ścisnąć w żołądku. Nawet mięśnie karku nagle się rozluźniły i wreszcie mogłam się wyprostować.

– Można zaufać temu facetowi z PedoALert? Nie zaczniesz rozpowiadać, skąd je ma, ani pokazywać wszystkim wokoło?

– Z pewnością – stwierdziłam stanowczo. Wbiję mu do głowy, że fotografia musi pozostać absolutną tajemnicą, ale w taki sposób, by się nie domyślił, że jej posiadanie jest nielegalne. To była najlepsza metoda postępowania z nielegalnie zdobytymi dowodami.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. – Przyglądał mi się uważnie. – Dla dobra nas obojga.

Kiwnęłam z głębokim przekonaniem głową. Przynajmniej miałam nadzieję, że tak to wypadło. Potem skinęłam na kelnera, który stał beczynnie przy barze. Szybko podszedł do nas, niosąc menu deserowe. Klienci, którzy przyszli na wczesny obiad, zdążyli już wyjść i teraz w restauracji wiało pustką. Były zajęte raptem trzy stoliki, wliczając w to nasz. To cisza przed falą gości przychodzących dopiero wieczorem.

– Jakiś deser? – spytałam Gradena. – Słyszałam, że podają tutaj obłędny crême brulée.

– Chyba że zjemy na spólkę. Jestem zapchany.

Oddałam menu kelnerowi.

– Jeden crême brulée i dwie łyżeczki – powtórzył kelner i się oddalił.

– Ja także chciałbym cię prosić o przysługę – powiedział Graden.

– Słucham.

– Następnym razem przestań się tak czaić. Mam wrażenie, że nie lubisz prosić o cokolwiek, ale ja jestem przyzwyczajony do takich próśb. Zwłaszcza, jeżeli dotyczą słusznej sprawy. Więc jeśli potrzebujesz czegoś ode mnie, to po prostu powiedz. Zobaczą, co da się zrobić.

Kelner przyniósł deser i dwie łyżeczki. Stuknęliśmy się sztućcami i jednocześnie naruszyliśmy doskonale brązową skorupkę przykrywającą słodziutki środek, delektując się smakiem. Budyń był bardzo słodki, ale nie smakował jak ulepek. Nie odzywaliśmy się, dopóki nie skończyliśmy jeść.

– Musisz mi dać trochę czasu, żebym mógł wyciągnąć to zdjęcie tak, żeby nikt nie zauważył. Pewnie zajmie mi to kilka dni. Znasz jakieś bezpieczne miejsce, gdzie mógłbym ci je przekazać? – spytał, kiedy płaciłam rachunek.

– U mnie. Możemy się spotkać w barze na dole. Raczej nie natkniemy się tam na nikogo, z kim wolelibyśmy się nie spotkać.

– Dziewczyna, która ma własny bar w domu. – Uśmiechnął się. – Tylko jedna rzecz może to jeszcze przebić.

– Niech zgadnę. Room service?

Skrzywił się, wstając od stołu.

– Czy nas wszystkich tak łatwo rozgryźć?

– Tylko tych, którzy jeszcze oddychają.

Następnego dnia szłam do pracy z głębokim przekonaniem, że przeczytam akta i nie będę się rozpraszać. Wołałam nie myśleć o tym, że coraz bardziej prawdopodobna staje się hipoteza, iż Jake i Kit byli właśnie tym, na co wyglądali. Pracowałam non stop, przedzierając się przez kolejne sprawy. Zamiast lunchu zdecydowałam się na kanapkę z indykiem. Po kilku godzinach zrobiłam sobie krótką przerwę dla rozprostowania kości i zerknęłam na świat przez okno. Zauważyłam, że strażnik w budce na parkingu drzemał w najlepsze. Dobrze, że nie przyjechałam do pracy samochodem. Potem wróciłam do roboty. Przejrzałam wnioski obrony i wyjęłam te, które wymagały odpowiedzi na piśmie. Harowałam bez wytchnienia, aż usłyszałam stukot obcasów Toni na korytarzu. Pomyślałam, że wcześniej wraca z sali rozpraw, ale kiedy spojrzałam na wieżę zegarową, okazało się, że jest szesnasta czterdzieści pięć. Kiedy człowiek usiłuje o czymś zapomnieć, czas płynie nadzwyczaj szybko.

– Jak poszło, Toni? – krzyknęłam zza biurka.

Kiedy stanęła w progu, od razu zauważyłam, że była cała w nerwach. Zaczyna się show Toni kontra J.D., pomyślałam. Mogliby chociaż raz doprowadzić to do końca.

– Wygrałaś wszystkie potyczki, czy rzucił jakieś ochłapy dla obrony? – zażartowałam. Żadna siła nie zmusiłaby sędziego Morgana do nagięcia swoich zasad na sali sądowej. Nawet Toni.

– Nie chce się zgodzić na dopuszczenie faktów z poprzednich spraw dotyczących napadu z bronią w rękę. I tak ich nie potrzebuję. Poza tym sprawa wygląda nieźle... odpukać w niemalowane... – Postukała w framugę.

– To metal, ale zgadzam się z tobą, że i bez tego masz dość dowodów, żeby przyskrzynić tych typków.

Obie zdawałyśmy sobie sprawę, że nigdy nie można przewidzieć, jak potoczy się sprawa. Wystarczyło kilka niefortunnych uwag jakiegoś świadka w złym momencie i pewniak zamieniał się w totalną porażkę. Dlatego prawnicy często byli przesądni. Wiedziałam, że jutro Toni przyjdzie w swoim „szczęśliwym” niebieskim garniturku, bo będzie wybieranie ławy przysięgłych. Uważała, że w tym stroju ławnicy jej wierzą.

– A co u ciebie? – spytała.

– Byłam na obiedzie z Gradenem.

Natychmiast weszła do środka, zamknęła drzwi, rzuciła torbę i usiadła przede mną.

– Mów, jak się skompromitowałaś. – Zdjęła buty i położyła nogi na sąsiednim krześle. – Słucham uważnie.

Wprowadziłam ją w szczegóły naszego spotkania. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Więc teraz on już wie, że jesteś buldogiem, a ty wiesz, że on ma serce.

– Żyję nadzieją, że ta przysługa nie zrujnuje nam życia.

– Grzebanie w dowodach w sprawie prowadzonej przez FBI nie należy do bezpiecznych przedsięwzięć – stwierdziła. Potem zerknęła na zegarek. – Cholera! Muszę lecieć. – Włożyła buty i wstała.

– Dokąd? – zdziwiłam się. Toni przecież nie mogła się umówić ze swoim sędzią, dopóki nie skończy się proces, w którym oskarża. A z nikim innym się nie umawiała.

– Zapisałam się na aqua-aerobik w zeszłym tygodniu. Zaczyna się za pięć minut. – Złapała torbę i otworzyła drzwi. – Zadzwoń później. Jeśli jeszcze cię nie zapuszczają – dodała ze śmiechem.

Jej chichot rozległ się echem na korytarzu.

Przejrzałam raz jeszcze wnioski. Udało mi się załatwić wszystkie z wyjątkiem jednego, w którym proszono o wycofanie zeznań oskarżonego. Mogłam udowodnić winę i bez tego zeznania. Zresztą nie akceptowałam takich zeznań, bo z reguły stanowiły sądowy odpowiednik konia trojańskiego i były pełne potwierżeń i zaprzeczeń z mnóstwem „tak, ale”. Jeżeli oskarżony chce wciskać kit ławie przysięgłych, niech to robi jako świadek, bo wtedy ja też mam coś do powiedzenia. Jeżeli sędzia oddali zeznanie, nie będę płakać. Postanowiłam więc odpuścić sobie i wykorzystać zyskany w ten sposób czas na ważniejsze sprawy.

Słońce zdążyło już zblednąć, ale wciąż jeszcze było jasno. Dni stawały się coraz dłuższe, zapowiadając zbliżającą się wiosnę. Włożyłam kamizelkę kuloodporną, wcisnęłam na wierzch marynarkę i schowałam rewolwer do kieszeni, zarzuciłam torbę na ramię i przypomniałam sobie, że miałam zadzwonić po Bailey, żeby odwiozła mnie do domu. Ale o tej porze na ulicach kręciło się mnóstwo ludzi. Postanowiłam dać jej wolny wieczór. Idąc przez hol wejściowy, zanotowałam sobie w pamięci, żeby zadzwonić do Toni i spytać, jak było na aerobiku. Mogło to stanowić miłą odmianę od moich stalowych przyrządów na sali gimnastycznej.

Ostatni spóźnialscy śpieszyli się do przystanków lub na parkingi. Ich sylwetki rzucały długie cienie na chodnikach, tworząc dziwny świat postaci poruszających się płynnie między drzewami i latarniami. Przyśpieszyłam kroku, bo zdałam sobie sprawę, że noc nadejdzie szybciej, niż sobie wyobrażam.

Minęłam właśnie Pershing Square, kiedy kątem oka zauważyłam starego lincolna, który zatrzymał się na środku ulicy tuż przede mną. Ledwo dotarło do mnie, że jest to bardzo dziwne, kiedy z tylnego siedzenia wyskoczyło dwóch mężczyzn i złapało mnie za ramiona. Instynktownie odchyliłam się do tyłu, wystawiając nogę, żeby się zaprzeć na krawężniku,

kiedy któryś zarzucił mi płachtę na głowę, chwytając za ręce, a drugi złapał mnie za nogi.

Kiedy mnie nieśli, kopałam, wyrywałam się, krzyczałam, ale koc tłumiał wrzaski. Wrzucili mnie na tylne siedzenie i dostałam cios w brzuch. Próbowałam złapać oddech, ale ktoś znowu walnął mnie w splot słoneczny. Nie mogłam oddychać, z trudem łąpałam powietrze. Trzasnęły drzwi samochodu, rozległ się warkot silnika na wysokich obrotach. Samochód ruszył do tyłu, twarz miałam przyciśniętą do przedniego siedzenia. Walczyłam z bólem i z brakiem powietrza. Poczułam, że tracę przytomność. Ostatnią myślą, jaką pamiętam, było, że nim zaczną mnie szukać, będzie za późno. Potem zapadła ciemność.

Gdy się ocknęłam, usłyszałam warkot silnika samochodu. Miałam wrażenie, że spadam. Nic nie widziałam. Wpadłam w panikę, przekonana, że oślepiłam. Potem dotarło do mnie, że wciąż mam worek na głowie. Mrugałam, by się upewnić, że z oczami wszystko w porządku. Nie miałam pojęcia, jak długo byłam nieprzytomna i dokąd jedziemy.

W samochodzie, oprócz mnie, siedziały co najmniej trzy osoby. Dwie obok mnie na tylnym siedzeniu i kierowca, ale nikt się nie odzywał. W mojej pamięci pojawiły się jakieś fragmenty obrazów. Byłam prawie pewna, że dupki to ciemnoskórzy. Mój mózg przestawił się na hiszpański, potem pomyślałam o gangach, a wreszcie o Sylmar Sevens. Bardzo chciałam się mylić, bo jeżeli miałam rację, to znaczyło, że już jestem martwa.

Potrzebowałam jakiegoś planu. Mam broń? Powoli, ostrożnie poruszyłam dłońmi. Nie były związane. Dobrze i to. Poruszyłam lewą stopą. Stopy też miałam wolne. Jeszcze lepiej. Ale moja torba zniknęła, a w niej była broń. Kamizelka kuloodporna niewiele mi pomoże przy strzale w głowę. Z trudem opanowałam atak paniki. Skup się, powiedziałam sobie. Będą musieli wyciągnąć mnie z samochodu, żeby zastrzelić. Nikt nie chce, by krew zabrudziła mu samochód, jeżeli tylko może tego uniknąć. To mogło dać parę sekund na ucieczkę. Starłam się przypomnieć sobie kilka ciosów z Krav Maga^[16], których uczył mnie jeden z moich byłych. Odtwarzałam w pamięci łamanie stawu, kiedy się zorientowałam, że słyszę coraz mniej mijających nas samochodów. Wraz z zanikaniem odgłosów miasta zaczynałam czuć coraz silniejszy zapach drzew i trawy.

Znów miałam atak paniki. Przypomniałam sobie o wszystkich znanych mi miejscach, gdzie podrzucano trupy. Moje zwłoki mogły tam leżeć

niezauważone miesiącami. Najbliżej był park Griffitha, co mogło tłumaczyć zapach kwiatów. Walczyłam z ogarniającym mnie strachem i próbowałam skoncentrować się na wymyśleniu jakiegoś sensownego planu. Wtedy samochód wjechał na żwir i powoli zaczął hamować. Starłam się uspokoić oddech i skupić się na tym, co mogłabym zrobić, kiedy wyciągną mnie z samochodu.

Dupek siedzący przy mojej głowie złapał mnie nagle niedźwiedzim uściskiem w pól i posadził na siedzeniu. Głowę wciąż miałam zasłoniętą, ale poczułam na szyi coś, co przypominało półautomatyczną czterdziestkęczwórkę. Jego towarzysz wykręcił mi ramię pod takim kątem, że jakikolwiek ruch groził złamaniem. Przygotowałam się na strzał, który miał przebić moje gardło i mózg. Byłam przerażona, ale jakimś cudem potrafiłam identyfikować zapachy i dźwięki. Nagle usłyszałam spokojny głos kierowcy.

– W porządku.

Odetchnęłam głęboko, zastanawiając się, czy nie jest to mój ostatni oddech i odruchowo napięłam mięśnie, oczekując na pocisk. Zamiast tego ktoś ściągnął mi z głowy worek.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do światła, zorientowałam się, że jesteśmy w parku MacArthura – zaledwie kilka minut jazdy od centrum – i że wpatruję się w twarz głównego podejrzanego: Luisa Revelo.

[16] Krav Maga – system samoobrony opracowany w Izraelu. Coraz bardziej popularny na świecie (przyp. tłum.).

29

– Proszę mi wybaczyć ten mało cywilizowany sposób spotkania – powiedział spokojnym tonem. – Prawdopodobnie nie uwierzy mi pani, ale to nie jest w moim stylu.

Wymawiał słowa starannie, lecz i tak zjadał końcówki.

Jeszcze chwilę temu byłam przekonana, że zaraz mnie zastrzelą, teraz dostałam jakiegoś amoku i przestało mi zależeć na czymkolwiek.

– Wolisz gwałcić – odpaliłam bez zastanowienia. – To bardziej w twoim stylu.

– Coś ty?! Człowieku! To znaczy pani się myli – poprawił się natychmiast, wciąż starając się wyrzucić na mnie dobre wrażenie. – Wiedziałem, że pani tak pomyśli... więc musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby to pani powiedzieć. Susan była moją przyjaciółką. Moim biletem do lepszego świata. Pomagała mi przygotować się do matury, żebym mógł iść do college'u, a potem zrobić MBA. W życiu bym tego nie spier... znaczy nie schrzanił.

– Więc porwałś prokuratora, żeby mu to wszystko wyjaśnić?

Na jego twarzy pojawiło się zmieszanie.

– A co miałem zrobić? Zgłosić się na komisariat i oświadczyć, że nie zgwałciłem tej dziewczyny? Jak pani myśli, co by powiedzieli? Że im przykro i że mogę już wracać do domu? Oboje wiemy, że to tak nie działa.

Spojrzałam na niego uważnie, mrużąc oczy. Odwrócił się do tyłu na swoim fotelu, żeby móc na mnie patrzeć i mówić dalej.

– Władowali by mnie do pudła i dopiero potem pomyśleli o zadawaniu pytań. Gniłbym tam Bóg wie jak długo, zanim zechcieliby sprawdzić, czy mówię prawdę. W tym czasie ktoś już by przejął mój teren. Albo ktoś by

mnie przerznął w pierdłu, albo dopadłby mnie jakiś ćpun na haju. – Zamilkł, dając mi czas na przyswojenie sobie jego problemu.

Milczałam, ale w duchu musiałam mu przyznać rację. To, co powiedział, było całkiem prawdopodobne.

– Musiałem jakoś ciebie dorwać i wyjaśnić. I tak już mam przesrane – stwierdził, zapominając o manierach – póki będziesz przekonana, że to ja muszę uciekać. Mogę się ukryć, ale to żadne życie. Wykombinowałem, że spróbuję ci to wytłumaczyć. Jeśli się nie uda, spieprzę na południe. W Meksyku wszystko jest tańsze.

Rozumiałam doskonale jego tok myślenia. Nie rozumiałam natomiast, dlaczego miałabym mu uwierzyć.

– I powinnam tak po prostu założyć, że tego nie zrobiłeś? Dlatego, że mnie porwałś?

– Nie. – Zmarszczył czoło, zastanawiając się. – Co chcesz, żebym zrobił?

Rewolwer wciąż przyciśnięty do mojej szyi nie nastrajał mnie do współpracy.

– Na początek możesz poprosić swojego kumpla, żeby odpuścił.

– Przepraszam – mruknął. – Manny, schowaj spluwę.

Manny, którego zapach nie poddawał się żadnym dezodorantom, posłusznie schował broń. Od razu poczułam się w nastroju do negocjacji. Walcząc z zapachami wydzielanymi przez współpasażerów, rozważałam swoje opcje. Porwali mnie brutalnie i przestraszyli prawie na śmierć, ale nie mogłam odmówić logiki w ich rozumowaniu. A jeżeli to nie on zgwałcił Susan, chciałam się dowiedzieć, kto to zrobił. Im bardziej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że mogę wiele zyskać na tej osobliwej współpracy. Byłam gotowa na układ.

– Poddasz się testowi na DNA i na wykrywaczu kłamstw. Jeżeli wypadnie korzystnie, zapomnę o wszystkim. – Zerknęłam na pilnujących mnie drabów. – Jeżeli nie, to cię dopadnę.

– Będzie uczciwy test, żadnych przekrętów?

– Wyglądam na idiotkę?

– Okej. – Przyglądał mi się uważnie. – Ale jeżeli przejdę ten test, czy co tam robicie, wyjdę na wolność, tak?

– Sama cię odprowadzę.

– Zgoda. – Wyciągnął rękę dla potwierdzenia układu.

– To nie wszystko. – Pokręciłam głową. – Rozwaliłeś mi samochód i muszę teraz wymienić wszystkie koła. Poza tym strzelaliście do mnie. Chcę dopaść dupków, którzy to zrobili, albo nici z układu.

Spojrzał na mnie zaskoczony, a potem uważnie popatrzył na moją eskortę. Faceci wzruszyli zgodnie ramionami, spojrzeli na siebie, a potem znowu na Luisa, tak samo zdziwieni jak on.

– Nikt nie strzelał do pani – stwierdził pewnie. Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad najbardziej oczywistym dla niego zarzutem. – Bez jaj! Naprawdę spieprzyli brykę?

– Któryś z twoich *pendejos*^[17] wysprejował i porysował mi samochód tak, że teraz wygląda jak reklama zupy w puszcze. Potem ktoś śledził mnie i mojego detektywa, ostrzelał nas w Marsden High – powiedziałam, czując że moje słownictwo coraz bardziej kuleje.

Tym razem musiałam przyznać, że wyraz zaskoczenia na wszystkich twarzach był nad wyraz przekonujący.

– Marsden High? A co niby mielibyśmy tam robić? – Popatrzył na swoich oprychów. Pokiwał z niedowierzaniem głową. – Pani Knight, przecież pani wie, jak to działa. Nikt nie zacznie z prokuratorem czy z policjantem, jeśli ja mu tego nie każę zrobić. A ja tego nie zrobiłem.

Nikommu nie dałem zgody na takie numery. – Mówił z przekonaniem. Potem dodał z obrzydzeniem: – Taki popapraniec tylko nas dołuje. Czubek zaczyna z prokuratorem albo z policjantem i potem mamy was na karku na okrągło. Jak wtedy robić interesy?

– Wszystko się spieprzy? – stwierdziłam nieco rozbawiona.

– Zdarzają się *cabrones*^[18], którym całkiem odbija. Wdają się w kłopoty bez powodu i niczego nie osiągają. Takie gównu do niczego nie prowadzi. Ja tak nie pracuję. Zajmuję się robieniem pieniędzy – oznajmił rzeczowym tonem – i pilnowaniem porządku.

Zamilkłam, zastanawiając się nad jego słowami. Nie byłam tak jak on przekonana, że żadnemu z jego kumpli nie odbiło, ale jeżeli każę mu to teraz sprawdzać, to tylko straci twarz. Poza tym, jeżeli testy wypadną pozytywnie, Sylmar Sevens nie będzie mieć najmniejszego powodu wściubiać nosa w sprawę moje czy Bailey.

– Jeszcze jedno. – Pozostawała pewna sprawa do załatwienia z nim na miejscu. I to poważna. Skoro miałam teraz czym go szantażować, uznałam, że moment jest doskonały.

– Taak? – spytał ostrożnie.

– Mamy jednego z waszych dzieciaków.

Znowu spojrzął na kumpli, którzy patrzyli na niego z miną niewiniątek. Chyba często im się to zdarzało.

– Nic nie wiecie?

Pokręcił głową.

– O kogo chodzi?

– O Hectora Amaya.

– *Sabes algo*^[19]? – spytał goryli.

Zaprzeczyli szybko, zszokowani podejrzeniem w jego oczach.

– Za co go zapuszkowali?

– Włamanie.

Kiwnął głową. Z jego reakcji, a właściwie jej braku, zrozumiałam, że to była zaaprobowana działalność. Na razie nie widział w tym nic nadzwyczajnego. Zobaczymy, jak się zachowa, kiedy dowie się więcej.

– Trzy posiadłości od domu Susan – dokończyłam.

Skrzywił się i pobał jak ściana.

– Co do kur... – Nozdrza zaczęły mu drżeć, kiedy spojrzął z mordem w oczach na kumpli.

Tym razem jeden znalazł dość odwagi, żeby odpowiedzieć.

– Nic o tym nie wiem. Przysięgam!

– Ja także – dodał szybko Manny.

– To ci nie pomoże – przypomniałam mu.

– Faktycznie, brzmi chujowo – zgodził się, tłumiąc wściekłość. – Nie mam z tym nic wspólnego. – Popatrzył na mnie. – Nie wierzy mi pani. Wiem. Ale jak to niby udowodnić?

Oparłam się wygodniej o siedzenie.

– Mogę ci powiedzieć. Hector nabrał wody w usta i zażądał adwokata. Przekonasz go, żeby ze mną porozmawiał. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Odwrócił się do przodu i wyglądał przez szybę, ściskając sobie palce. Po raz pierwszy zauważyłam, że musi mieć co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i że jest dobrze umięśniony. Głośne trzaski ściskanych palców mówiły mi również, że umie nie tylko otwierać zamki. Wciąż wpatrując się w okno, powiedział wreszcie.

– Będzie pani musiała wprowadzić mnie do niego. Nic nie powie, jeżeli nie usłyszy tego ode mnie, a przez telefon nie może gadać.

Kiwnęłam głową. Telefony w więzieniach były na podsłuchu i nieraz korzystało się z tych nagrań w sądzie. Niejeden oskarżony już się o tym przekonał na własnej skórze.

– Porozmawia z panią. Może pani na to liczyć.

Nagle zrobiło mi się żal tego dzieciaka w areszcie. Zrozumiałam, dlaczego tak domagał się adwokata. Jeżeli Luis mówił prawdę i chłopak zaczął działać na własną rękę na obcym terenie, znaczyło, że był w szambie po uszy. Najlepsze, co mógł zrobić, to siedzieć cicho, przeciągać sprawę, jak długo się da, i modlić się, żeby jego szefowie – w tym wypadku Luis Revelo – trochę ochłonęli. Ale jeżeli zacznie rozmawiać z gliniarzami, to obrazi wszystkich. Straci poparcie gangu. A to znaczyło nie tylko to, że w więzieniu może go przelecieć każdy, ale również to, że własny gang będzie go ścigać. To był dla niego wyrok śmierci.

– Będę obecna przy tej rozmowie, więc nie myśl sobie, że zdołasz załatwić jakieś własne interesy – ostrzegłam. Nie sprawiał wrażenie szaleńca, który dołoży Hectorowi w czasie widzenia, ale wolałam nie ryzykować.

Spojrzał na mnie i westchnął.

– Przecież pani wie, że i tak nie brakuje mi kłopotów.

Nie chcę wpaść w jeszcze większe gówno. Problem w tym, że dostałem kuratora. Nie wolno mi odwiedzać nikogo w więzieniu.

– Masz jakieś porządne ubranie? – spytałam.

Wyglądał na dotkniętego. Zupełnie jakbym go zapytała, czy umie rąbnąć bransoletkę. Pokiwał głową.

– A pani myśli, że w czym przychodzimy na pogrzeby?

[17] (hiszp.) – slangowe określenie na dupka, kretyna itp. Bardzo obraźliwe.

[18] (hiszp.) – dosłownie kozioł. Slangowe określenie kutas, pieprznijęty itp. (przyp. tłum.).

[19] (hiszp.) – Wiecie coś?

30

Po tym, gdy powiedziałam Luisowi o włamaniu, Manny zaczął się pocić ze zdwojoną siłą, wydzielał smród, który mógł zabić. Powiedziałam więc, że chcę usiąść na przednim siedzeniu w drodze powrotnej do Biltmore. Luisa strasznie to rozbawiło. Dziesięć minut później zatrzymał się przed wejściem do hotelu i powiedział do Manny'ego:

– Oddaj pani giwerę.

Goryl oddał moją torbę i zręcznie podał mi rewolwer tak, żeby nic nie było widać z ulicy. Miał w tym wprawę.

– Piękna broń. – Patrzył na nią z zazdrością.

Rzuciłam mu ostrzegawcze spojrzenie i schowałam rewolwer do torebki. Ustaliliśmy z Luisem czas i miejsce następnego spotkania. Wsiadłam i klepnęłam dłonią w dach samochodu. Luis odjechał.

Wchodziłam do hotelu, mając wrażenie, że ziemia kołysze mi się pod stopami.

– Dobrze się czujesz, Rachel? – spytał Angel przy drzwiach.

– Dobrze. Jestem tylko potwornie zmęczona – odpowiedziałam automatycznie. Ciało poruszało się odruchowo bez udziału mózgu.

Dopiero po chwili zorientowałam się, dokąd mnie te odruchy prowadziły. I zaczęłam sobie wyobrażać ciepły i uspokajający uśmiech Drew i chłodny smak martini sączący się do gardła. Przez chwilę miałam wrażenie, że spadam, zanim wreszcie dotarłam do solidnych drewnianych drzwi baru. Kiedy zamknęły się za mną i odcięły mnie od gwaru dochodzącego z lobby hotelowego, poczułam ulgę. Przez chwilę napawałam się błogą ciszą, a potem zauważyłam Drew.

Ucieszyłam się, że wciąż tu jest; był zajęty ożywioną rozmową z kimś siedzącym przy barze. Kątem oka dostrzegł ruch przy drzwiach

wejściowych, bo spojrzał w moją stronę. Ze zdumieniem dostrzegłam zaskoczenie i gniew w jego spojrzeniu. Osoba, z którą rozmawiał, również się obróciła. To była Bailey. Jej kamienna twarz i zaciśnięte usta sprawiły, że stanęłam jak wryta.

W całym tym zamieszaniu zapomniałam, że przecież wszystko wydarzyło się dlatego, że złamałam daną jej obietnicę i sama wyszłam z biura. Nie miałam pojęcia, na jak długo zniknęłam, ale jeśli sądzić po wyrazie jej twarzy, musiała przeżywać katusze.

Gorąco pragnęłam opóźnić nasze spotkanie do czasu, aż poczuję się pewniej, ale nie miałam wielkiego wyboru. Chyba że się odwrócę i ucieknę. Usiadłam obok niej przy barze i uniosłam dłoń w przeproszającym geście.

– Wybacz. Schrzaniłam wszystko. I przytrafiło mi się coś dziwnego. Ale pozwól mi najpierw wypić jedno martini. Proszę.

Albo mój wygląd, albo ton głosu sprawiły, że oboje uznali, iż sprawa wygląda poważnie. Drew bez słowa poszedł przygotować mi drinka, a Bailey wypuściła powoli powietrze z płuc i bez słowa spoglądała na mnie spod oka. Siedziałam w milczeniu, opierając się o blat. Właśnie sobie uświadomiłam, że drżą mi ręce i nie byłam pewna, czy głos mi się nie załamie. Więc milczałam. Drew przyniósł drinka i musiałam skupić całą uwagę, żeby podnieść szklankę i nie rozlać. Trochę pociekło mi jednak po palcach, zanim udało mi się upić pierwszy łyk. Dopiero potem zaczęła działać magia tego napoju. Poczułam przyjemne, znajome ciarki, ciepło rozlewało się po piersiach i powoli docierało do głowy.

Rozstrojone nerwy wracały do normy. Głęboko westchnęłam i opowiedziałam całą historię. Kiedy skończyłam, Bailey sięgnęła po szklankę i wypijała wszystko duszkiem. Drew nalał sobie glenliveta i zrobił to samo.

Potem ujął moje dłonie w swoje.

– Obiecuj, że już nigdy więcej nie będziesz taką idiotką.

Pokiwałam głową, czując, że zaraz się zakrztuszę.

– Jezu! – Bailey westchnęła. – Po prostu nie mogę uwierzyć. –
Chwyciła mnie za ramiona z taką siłą, że aż jęknęłam.

– Chcę to usłyszeć na głos – zażądała.

– Obiecuję.

Patrzyła mi w oczy jeszcze przez chwilę, zanim mnie puściła i gapiąc się na butelki za barem, rozważała zapewne, czy można kogoś takiego, jak ja traktować poważnie. Albo marzyła, żeby się mnie wreszcie pozbyć.

Czułam się nieznośnie, będąc w centrum zainteresowania. Chciałam to mieć wreszcie za sobą. Uniosłam kieliszek do góry.

– Dobrą stroną tego wszystkiego jest, że chyba należy wykluczyć Silmar Sevens z kręgu podejrzanych. Sądzę, że Luis nam się przyda.

– To może być ożywcze doświadczenie dla nich – zauważyła sucho Bailey. Spojrzała na mnie, dając do zrozumienia, że przejrzała moją grę i także chce mieć to już za sobą.

Byłam jej wdzięczna. Dałam znak Drew, że chcemy jeszcze jedną kolejkę. Poklepał mnie po dłoni i poszedł przygotować.

Wtajemniczyłam Bailey w swój plan wprowadzenia Luisa do więzienia, żeby pogadał z dzieciakiem.

– Warto spróbować – stwierdziła po krótkim zastanowieniu.

– Oczywiście jest i zła strona tego wszystkiego – powiedziałam. – Skoro to nie Sylmar Sevens nas prześladowa, nie wiadomo, komu podpadłyśmy.

Sięgnęłam do srebrnej miski z migdałami i wzięłam garść. Mój żołądek zorientował się wreszcie, że nie zginęłam i teraz mścił się głodem.

– Nie my, a ty. – Bailey wzięła z miski oliwki. – Poza tym może wiemy, kto się nami może interesować. Jestem głodna. Powinniśmy coś zamówić.

– Poczekaj. Co to znaczy może wiemy?

Bailey dawała już znak kelnerowi. Zamówiła befsztyk z brokułami gotowanymi na parze. Ja również zamówiłam befsztyk, ale z sałatką szpinakową.

Drew przyniósł nam drinki.

– Naprawdę kazała ci nosić kamizelkę kuloodporną? – spytał ze złośliwym uśmiechem.

– Musiałaś mu mówić? – Spojrzałam na nią z wyrzutem.

Wzruszyła ramionami. Drew chrząknął i poszedł w stronę stojącego w końcu sali kelnera.

– Zaczęłaś coś mówić o kolejnym podejrzanym?

– Pamiętasz, że zamierzałam sprawdzić ochronę na terenie domu Susan? Właśnie otrzymałam raporty. Ochroniarz, będący tego dnia na służbie, przegapił trzy punkty kontrolne.

Ochrona osiedla była nowoczesna. Każdy strażnik musiał wbijać swój kod osobisty w skrzynki kontrolne rozmieszczone w różnych punktach na trasie przejazdu patrolu. Urządzenia zapisywały datę i godzinę zgłoszenia. Podejrzane, że tego konkretnego dnia jeden z członków ochrony pominął trzy takie skrzynki.

– Facet zniknął na całą noc?

– Jeszcze tego nie wiemy. W każdym razie wszystkie trzy ominięcia zdarzyły się o tej samej porze co napad na Susan.

– Hmm... interesujące. Facet wciąż tam pracuje?

– O ile wiem, tak.

– Można to będzie sprawdzić?

– Jutro zamierzamy złożyć mu roboczą wizytę.

Roboczą, co znaczyło niezapowiedzianą.

Kelner podszedł z naszym zamówieniem, a ja z wilczym apetytem przyglądałam się parującym daniom.

– Rachel – odezwała się Bailey śmiertelnie poważnie. Z trudem oderwałam wzrok od jedzenia. – Więcej nie chcę widzieć żadnych numerów solo.

– Nie musisz mi tego ciągle przypominać. Bardzo przepraszam.

Kiwnęła głową. Naprawdę było mi głupio i ona doskonale o tym wiedziała.

Smakowite zapachy befszyków pomogły nam przebrnąć przez tę trudną chwilę i bez dalszych uwag zajęłyśmy się jedzeniem. Kiedy zaspokoilałam pierwszy głód, napiłam się martini i wreszcie poczułam, że znowu zaczynam myśleć. A jeszcze godzinę temu myślałam, że zginę. Ale ten befszyk i tak smakowałby wyśmienicie. Nawet gdyby moje ciało leżało już w jakiejś gliniance. Sięgnęłam po kieliszek i wypiałam do dna.

Następnego dnia bolące zebra przypomniały mi, że muszę wymyślić okrutną zemstę na Mannym i jego kompanie. Sturlałam się ostrożnie z łóżka i włożyłam szlafrok. Potem zadzwoniłam do biura i przekazałam Melii, że będę biegać po mieście w sprawie Densmore'a. Nalałam sobie kawy i wyszłam z filiżanką na balkon, aby sprawdzić, jaka jest temperatura na dworze. Niebo było szare i zachmurzone, ale w powietrzu czuło się nadchodzące ciepło. Odetchnęłam głęboko i cieszyłam się tą chwilą. Żeby docenić tak proste czynności, jak oddychanie, wystarczy spotkać się ze śmiercią.

Oderwałam się od ponurych myśli i zajęłam przyziemnymi przyjemnościami: garderobą. Ponieważ miałam wspólnie z Bailey odwiedzić więzienie stanowe, zrezygnowałam ze spódnic i sukienek na rzecz spodni i beżowej bluzki. Nie musiałam też wkładać okropnej kamizelki kuloodpornej, co nastroiło mnie optymistycznie. Wcisnęłam kamizelkę do szafy, spakowałam torbę i zeszałam na dół.

Bailey czekała już na mnie na podjeździe hotelowym. Usiadłam obok niej i ruszyłyśmy do więzienia znajdującego się przy Bauchet Street. Już po drodze zajęłam się charakteryzacją.

– Jak wyglądam? – spytałam, skończywszy ostatnie poprawki.

Zerknęła na mnie z ukosa.

– Trochę dziwnie jak na blondynkę. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Ale zupełnie jak typowy adwokat.

Mój plan spotkania z Hectorem i Luisem Revelo wymagał ode mnie przebrania. Stąd blond peruka i okulary. Rzadko chodziłam do więzienia stanowego, więc nie sądziłam, by ktoś mnie tam rozpoznał. Musiałam się jednak upewnić, że moje nazwisko nie pojawi się w rejestrach odwiedzin,

co sama często sprawdzałam w wypadku moich oskarżonych. Hector Amaya zażądał adwokata, więc nikt ze stróżów prawa nie mógł legalnie zapytać go o cokolwiek. Moja wizyta u niego była więc naruszeniem wszelkich zasad. Nie mogłam nawet wysłać do niego Luisa Revelo, bo uznano by go za mojego przedstawiciela. Poza tym nie wiedziałam jeszcze, czy mogę mu zaufać. Zresztą nie umiałby z niego wydusić potrzebnych mi informacji. Luis był dobry w prostych rozwiązaniach siłowych. Musiałam więc odwiedzić Hectora razem z nim, co było bardzo ryzykowne. Nie miałam prawa zadawać Hectorowi żadnych pytań, a co dopiero przemycać gangstera, aby zmusił go do mówienia. Wszystko to razem z pewnością było niebezpiecznym przedsięwzięciem. Uznałam, że Bailey nie powinna ryzykować, więc miała czekać na zewnątrz.

Męskie więzienie stanowe w Los Angeles znajdowało się jakieś dziewięć kilometrów od centrum. Monstrualna budowla miała prawie dwa kilometry średnicy i była największym więzieniem na świecie. Wokół roztaczały się jedynie ugory oddzielające je od cywilizacji. Przejechaliśmy dawno zapomniane tory kolejowe i wjechałyśmy w ulicę wyznaczoną przez słupy, które podtrzymywały biegnącą górą autostradę. Kiedy wjechałyśmy do dzielnicy Vignes, naszym oczom ukazała się gigantyczna budowla w całej okazałości. Otoczone murem z drutem kolczastym na szczycie, więzienie stanowiło żywy dowód niehumanitarnych metod pozbawiania ludzi wolności. Cały kompleks przenikała ciężka atmosfera beznadziejności. Wzdłuż ulicy rozciągały się kolorowe reklamy agencji zajmujących się poręczeniem za kaucje wyznaczone przez sąd.

Przejechaliśmy obok bramy do więzienia i zauważyłam Luisa Revelo; czekał na nas w swoim samochodzie z głośno warczącym silnikiem. Ubrał się tak, jak mu powiedziałam i sprawiał wrażenie nieszczęśliwego.

Zważywszy na okoliczności naszego ostatniego spotkania, nie martwiłam się tym specjalnie.

Wysiadłam z torbą w ręku i podeszłam do niego. Zapukałam w szybę od strony pasażera. Wyglądał na zaskoczonego.

– To ja Luis. Wpuść mnie.

Uśmiechnął się niepewnie i odblokował drzwi. Usiadłam na siedzeniu przy nim i zaczęłam wyjmować rekwizyty dla niego. Odchylił lekko głowę i przyglądał mi się kątem oka.

– Świetnie pani w tym wygląda. Bardzo sexy.

Spojrzałam na niego bez słowa i podałam mu jego identyfikator, teczkę na akta i okulary.

– Nazywasz się Enrique Vasquez i od trzech lat jesteś moim asystentem.

– Asystentem? Czemu nie prawnikiem?

Spojrzałam na niego karcąco.

– Tylko pytam. I tak się pani starała, więc czemu nie prawnik?

– Trzymaj się tego asystenta i nie wymądrzaj się, dobrze?

Wzruszył ramionami i wysiedliśmy z samochodu, kierując się w stronę wejścia do budynku.

– Jeśli coś się stanie z moją bryką, pomoże mi pani? To niebezpieczny rejon. – Rozglądał się z niepokojem.

– Skup się, Luis. Patrz pod nogi – powiedziałam, idąc przodem. Z niechęcią ruszył za mną w stronę wrót Mordoru. Tuż przed drzwiami zerknęłam za siebie i zauważyłam, że idzie powłócząc nogami, z rękami w kieszeniach, jak typowy bandzior.

– Wyjmij ręce z kieszeni, wyprostuj się i udawaj, że naprawdę pracujesz.

Wyglądał na dotkniętego moimi słowami, ale zastosował się do wskazówek.

– Pracuję. Robię mnóstwo rzeczy.

– Wątpię, czy któraś z tych rzeczy jest choć półlegalna?

Spojrzał na mnie z jeszcze większym oburzeniem.

– Niedługo wszystko będzie legalne. – Wzruszył ramionami. – Jak pani sądzi, dlaczego uczyłem się z Susan? Nie będę siedział w tym gównianym interesie do końca życia.

Nie mogłam się powstrzymać od ironicznej samokrytyki. Była to dziwna rozmowa, zważywszy, że oboje zamierzaliśmy za chwilę skłamać, żeby się dostać do pokoju odwiedzin dla adwokatów w celu wymuszenia zeznań na oskarżonym, który się powołał na swoje prawa wynikające z piątej poprawki.

Szłam przodem w stronę okienka dla adwokatów. W korytarzu niosło się echo otwieranych i zamykanych metalowych krat; dusił zapach potu, środków dezynfekujących i zatęchłego powietrza. Za każdym razem starałam się przygotować na inwazję moje zmysły i za każdym razem mi się nie udawało. Zupełnie jak w kostnicy. Wszystko tutaj atakowało oczy, uszy, nos i pozostawało w pamięci wiele godzin po wyjściu. Odruchowo zaczęłam brać płytsze oddechy, żeby choć trochę ochronić nos.

Wzięłam z lady formularz dla wizytujących i wypełniłam. Potem podeszłam do okienka, gdzie siedziała kanciasta, znudzona strażniczka i podałam jej formularz przez otwór w kuloodpornej szybie. Starałam się zatuszować przykre ssanie w żołądku, udając zniecierpliwienie, nie arogancję.

– Beatrice Danzinger – powiedziałam do mikrofonu – na widzenie z Hectorem Amaya. Jest ze mną asystent Enrique Vasquez. Będę potrzebowała pokoju dla adwokatów.

W czasie studiów przyjaźniłam się z Beatrice. Potem ona zdecydowała się pracować w rodzinnej firmie, a ja w prokuraturze. Nie miałyśmy wiele

okazji do spotkań po studiach, ale pozostałyśmy dobrymi znajomymi. Rozbawiłam ją strasznie wczoraj wieczorem, prosząc o zgodę na podszycie się pod jej identyfikator. Na szczęście się zgodziła. Nigdy nie zajmowała się sprawami kryminalnymi, dzięki temu mało ryzyko, że spotkam kogoś, kto mógłby ją rozpoznać. Jej kuzyn Enrique nie tylko był do Luisa podobny, ale miał nieskazitelną kartotekę. Serce mi biło jak młotem, kiedy udawałam nonszalancję, wsuwając identyfikator Beatrice i jej prawo jazdy do podajnika w ladzie. Dzielnie odgrywałam rolę adwokata, któremu każą ciągle powtarzać te same bezsensowne formalności.

Strażniczka wsunęła podajnik do środka i sięgnęła po dokumenty. Mrużąc oczy, zaczęła się im dokładnie przyglądać. Rozglądałam się dokoła, udając śmiertelne znużenie, a tymczasem w wyobraźni widziałam już, jak stawiają mnie twarzą do ściany i zakuwają w kajdanki. Niełatwo jest udawać znużenie, kiedy po głowie krążą takie myśli. Czułam, że chyba zaczynam się pocić z wrażenia. Strażniczka zajęła się tymczasem prawem jazdy, porównując mnie z fotografią. Bałam się, że zaraz usłyszy walenie mojego serca.

– Jego identyfikator? – spytała, oddając mi dokumenty przez ten sam podajnik.

Musiałam odczekać chwilę, aż krew zacznie mi znowu normalnie płynąć i potem kiwnęłam na Luisa, żeby wsunął otrzymany ode mnie identyfikator w podajnik. Zrobił to, o co go proszono, i strażniczka tym razem ograniczyła się do zerknięcia na dokument, który zaraz wsunęła do podajnika z powrotem. Poczułam się dotknięta tym, że mnie sprawdzała tak długo i dopiero po chwili zorientowałam się, że coś do mnie mówiła.

– Przepraszam, nie usłyszałam.

– Musicie poczekać. Wszystkie pokoje adwokatów są na razie zajęte.

Kiwnęłam głową, wsunęłam na podajnik z rentgenem swoją teczkę i akta, które trzymał Luis. Potem przeszłam przez bramkę. Kiedy strażnicy po drugiej stronie dali jej znak, że wszystko jest w porządku, nacisnęła przycisk otwierający drzwi. Więzienie było olbrzymie, ale miało niewiele sal przeznaczonych do spotkań. Spodziewałam się, że będziemy musieli poczekać, bo w całym budynku było tylko pięć pokoiów dla adwokatów. Czekać obserwowaliśmy rząd odwiedzających, którzy rozmawiali przez szklaną ścianę z więźniami. Najwięcej mówiono o przyziemnych sprawach. Kiedy przyślą jedzenie, ubrania, książki, zdjęcia i tym podobne; jak się czują mamy, narzeczone, żony czy dzieci. Nie brakowało oczywiście zwyczajowych narzekań na adwokatów, którzy nigdy nie mają czasu, żeby z nimi rozmawiać i z reguły każą im się przyznawać do winy.

Wyłączyłam się z tych rozmów, myśląc, jak wiele trudu kosztowała mnie i Bailey ta wizyta. Ryzyko nie leżało tylko po naszej stronie. Gdyby się wydało, że Hectora odwiedził ktoś z prokuratury, to byłby trupem w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin. Kiedy chodziło o kapusiów, tutejszy świątek najpierw działał, a dopiero potem zadawał pytania. Wolałam nie myśleć, że być może dzieciak nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Przysięgłam sobie, że gołymi rękami będę go tłuła tak długo, aż powie prawdę.

Niski, męski głos przerwał mi rozmyślania.

– Adwokaci Hectora Amaya?

Dałam znak Luisowi i podeszliśmy do barczystego strażnika, przy wejściu do pokoiów dla adwokatów.

– Będzie w pokoju numer pięć. – Pokazał na ostatnie drzwi po prawej stronie.

– Dziękuję – odparłam, kiedy wprowadził nas do środka.

– Mogę jeszcze raz sprawdzić teczkę? – spytał.

Dziwnie się czułam jako adwokat. Gdybym tu przyszła jako prokurator, nigdy by się na to nie odważył. Podałam mu teczkę, którą sprawnie przeszukał i oddał mi z powrotem.

– Ile wam to zajmie?

– Jakies dziesięć minut, ale może dłużej.

– Macie godzinę. – Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Rozejrzałam się po szklanych ścianach otaczających nasz walec ciszy. Były porysowane i pokryte warstwą brudu, prawdopodobnie nie czyszczono ich od dziesięciu lat. Powietrze w pomieszczeniu wydawało się jeszcze bardziej zatęchłe niż na korytarzu. Nie cierpiałam na klaustrofobię, ale dłuższy pobyt w tym miejscu mógł każdego przyprawić o duszności. Rozłożyłam notatnik na prymitywnym metalowym stole przykręconym do podłogi i poklepałam dłonią krzesło obok mnie.

– Siadaj, Luis.

Gapił się na oczekujących odwiedzin dziwnym wzrokiem.

– Weź się w garść. Jesteś moim asystentem i masz mi pomagać w przesłuchaniu. Nie przyszedłeś tutaj na wspominki.

Powoli odwrócił wzrok i usiadł, mamrocząc coś pod nosem.

– Co tam znowu? – spytałam rozdrażniona.

– Po prostu zastanawiałem się, jak Droopy^[20] to znosi? To jest okropne miejsce, a on jest jeszcze dzieckiem.

Z wszystkich gangsterów w Los Angeles musiał mi się trafić filozof. Zakładałam, że Droopy to ksywa Hectora Amaya. Zawsze dziwiły mnie pseudonimy gangsterów. Ja wolałabym coś w stylu Lisica lub Jet. I pewnie dlatego nie nadawałam się do tej roboty.

Wreszcie zauważyłam bladego i chudego strażnika eskortującego więźnia na korytarzu. Chłopak był tak mały, że strój więzienny wisiał na nim jak spadochron. Na oko miał jakieś dwanaście lat. Dłonie miał

przykute do bioder, a nogi skute w kostkach. Zbliżali się więc powoli. Kiedy podeszli bliżej, zrozumiałam, skąd to przezwisko: miał oczy pełne smutku. Hector, choć mały i chudy, ale o długich ramionach, idealnie nadawał się na włamywacza. Kolorowe tatuaże na rękach skłaniały go pewnie do unikania T-shirtów.

Strażnik otworzył drzwi i Hector wszedł do środka. Dopiero po chwili zorientował się, kto jest ze mną.

Oczy mu się zrobiły wielkie i poszarżał na twarzy. Musiałam mu jednak oddać sprawiedliwość, że poza tym zachował kamienny spokój i nie odezwał się ani słowem, kiedy strażnik przykuwał go do krzesła. Oczekałam, aż strażnik wyjdzie, zamknie drzwi za sobą i usiądzie na zewnątrz.

– Dla wszystkich innych jestem twoim adwokatem, a to jest mój asystent – powiedziałam, wskazując na Luisa. – Tak naprawdę jestem prokuratorem prowadzącym sprawę o gwałt na kimś, kogo dobrze zna Luis. Ta osoba mieszka tuż obok miejsca, gdzie ciebie złapano. A przez to wszyscy myślą, że Sylmar Sevens zaczął działać na tym terenie. Dla mnie to była wskazówka, że to Luis jest gwałcicielem.

– Wkurwiłeś mnie do bólu, chłopie – stwierdził Luis groźnie.

Hector skulił się i wbił wzrok w blat stołu, bojąc się spojrzeć na Luisa, który wpatrywał się w niego z wściekłością.

Luis pochylił się nad stołem i cichym szeptem wycedził:

– Co ty sobie, kurwa, myślałeś, robiąc taki skok bez zezwolenia? Zapomniałeś już, kto ci płaci? – Mówił spokojnie, ale czuło się wyraźnie groźbę. Zrozumiałam, w jaki sposób został szefem gangu.

Hector starał się zrobić jeszcze mniejszy i pewnie zupełnie by się wtopił w podłogę, gdyby nie kajdanki, którymi go przykuto do krzesła.

– Chyba będę ci musiał przypomnieć kilka spraw – ciągnął Luis. – Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię, *pendejo*. – Hector posłusznie zerknął do góry, ale głowę trzymał cały czas spuszczoną. – Mam tu kupę ludzi. Mogą się tobą zaopiekować... albo i nie. Rozumiesz?

Balansowałam na krawędzi brzytwy. Musiałam pozwolić Luisowi zmiękczyć Hectora, ale pilnować, żeby nie podpaść o współudział w przestępstwie. Wykroczenie stanowiło granicę prawną, której nie mogłam przekroczyć.

– Luis. Nie mogę słuchać grózb – powiedziałam spokojnie, starając się, żeby nie stracił twarzy i mógł dalej sam prowadzić przesłuchanie. – Musi nam powiedzieć, dlaczego wybrał tamtą okolicę i akurat ten dom.

Luis spojrzał na Hectora jak na psią kupę, która mu się przyczepiła do buta.

– Odpowiedz pani.

Hector nabrał powietrza w płuca, wypuścił i wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Byłem głupi, ale nigdy nie chciałem ciebie w nic wrobić. Luis! Musisz mi uwierzyć.

Szkoda mi było dzieciaka, ale nic mnie nie obchodziło, czy chciał wrobić Luisa, czy nie.

– Dlaczego wybrałeś tę okolicę i akurat ten dom. I nie mów nam, że tam mieszka twoja babcia.

Hector próbował przełknąć ślinę i miał z tym spore trudności. Wreszcie mu się udało.

– To naprawdę był pech. Bez powodu. Jeździliśmy po okolicy z ziomalami i trafiliśmy na tę chatę. Wyglądała cool i postanowiłem ją zrobić. – Zamilkł, wpatrując się to we mnie, to w Luisa, oceniając naszą reakcję.

To był bełkot. Hector, mimo że zmiękczony i przerażony, z jakiegoś powodu robił nas w konia.

– *Pinche cabrón mentiroso.*^[21] – Luis splunął na niego. – Najpierw ładujesz mnie w gówno po uszy. Próbuję ci dać szansę naprawy wszystkiego, a ty nie okazujesz mi cienia szacunku i wstawiasz taki pieprzony kit?

Kajdanki Hectora mówiły za niego. Trząś się tak mocno, że łańcuchy zaczęły dźwięczeć, zupełnie jakby w pokoju pojawił się jakiś duch ze starych filmów. Luis wpatrywał się w niego z wściekłością.

– Luis. Wiem, że nie mam prawa o to prosić. Ale jeśli ci powiem, będziesz mi tu musiał zapewnić ochronę. Inaczej jestem trupem. – Hector miał łzy w oczach, a jego głos, i tak wysoki, stał się piskliwy. To zaczynało mnie naprawdę niepokoić. W co ten chłopak się wplątał?

Luis dalej wpatrywał się w niego bez słowa. Brzęczenie łańcuchów zaczynało mi działać na nerwy. Wreszcie, jakby cytując słowa z „Ojca chrzestnego”, Luis powiedział miękkim głosem:

– Masz moje słowo.

Hector odetchnął z ulgą i zaczął łkać. Luis odwrócił wzrok, pozwalając mu się odprężyć. Ja zrobiłam to samo. Kiedy łkanie ucichło, spojrzałam na niego. Wreszcie zaczął mówić prawdę.

– Taki lalusz gadał, że zna ten dom, naprawdę nadziani ludzie, wychodzą na noc. Tylne drzwi miały być otwarte. Mówił, że w domu jest biżuteria i gotówka i że będę mógł zatrzymać gotówkę...

Przerwał nagle i spojrzał na Luisa, któremu aż drżały nozdrza z wściekłości.

– Czemu nie myślisz? Myśl. Jakiś *vato*^[22], którego nawet nie znasz, wciska ci taki kit. A ty nawet nie powiesz sobie: Hector, to jakieś gówno, śmierdzi. Dlatego musisz mieć zgodę. – Puknął Hectora palcem w głowę. – Bo tu masz sieczkę.

Hector pokiwał głową.

– Powinienem wiedzieć. Ale myślałem, że jeśli mi się uda, to mnie awansujesz.

Chęć wspinania się po szczeblach hierarchii w Sylmar Sevens. Chyba zawsze trzeba mieć jakiś cel w życiu.

– Mówił prawdę? – spytałam. – Tylne drzwi były otwarte?

– Tak, ale...

– Wewnątrz byli właściciele – dokończyłam za niego. – Albo laluś sam zostawił otwarte drzwi, albo znał zwyczaje rodziny i wiedział, że zawsze zostawiają otwarte. Tak czy siak, była to robota kogoś z wewnątrz.

Hector przytaknął mi kiwnięciem głowy.

– Ten laluś ma jakieś imię?

– Nigdy się nie przedstawiał.

Jasne. To by było zbyt proste.

– Opisz nam go – powiedziałam.

– Białą facio. Taki bysior. Długie czarne włosy spięte jakby w kucyk.

– Broda, wąsy, blizny?

– Nie

– Tatuaż?

Hector przytaknął i poklepał się po lewej stronie szyi, pokazując, gdzie widział tatuaż. Znowu zaczęły dzwonić łańcuchy, bo trzęsły mu się nogi. Jego reakcja wyjaśniła mi, dlaczego tak się bał.

– AB?

Hector przytaknął, a Luis chrząknął, opierając się na krześle. AB – skrót od Aryan Brotherhood – Bractwo Aryjskie – było najstarszym, największym i najbardziej brutalnym gangiem działającym w więzieniach. Hector był już trupem, jeżeli się dowiedzą, że sypnął jednego z nich. Obecnie jednak dogonił ich inny gang więzienny Sureños, hiszpańskojęzyczny, wywodzący się od mafii meksykańskiej. Byli nawet

chyba mocniejsi. Jeżeli Luis miał wystarczające dojścia, to Sureños zapewnią małemu bezpieczeństwo. Zarówno Hector, jak i ja bardzo chcieliśmy, żeby dojścia Luisa okazały się wystarczające. Tylko jakim cudem Hector wplątał się w sprawy AB?

– Gdzie go spotkałeś? – spytałam. Z reguły hiszpańskojęzyczni gangsterzy i biali rasiści nie współdziałali ze sobą.

– Zaaresztujecie go? – Hector poglądał na nas nerwowo.

– Jeżeli go znajdziemy, prawdopodobnie tak – odpowiedziałam z większą pewnością w głosie niż w myślach. W sprawach z gangami więziennymi nie można było mówić o bezpieczeństwie. O szczęściu, owszem. Czasami.

Hector nie wyglądał na przekonanego, ale nie miał już wyjścia.

– Spotkałem go w Oki-Dog.

Jeżeli chodziło o lokal, o którym myślałam, to była taka restauracja pod gołym niebem w dzielnicy Fairfax. Jak śpiewał mój ulubiony Jim Morrison, to miejsce „gdzie wszystkie stworzenia się spotykały” – ćpuny, pedzie, gangsterzy, studenci pragnący być cool – wszyscy zmierzali do Oki-Dog.

– Często go tam widziałeś, czy tylko ten jeden raz?

– Kilka razy wcześniej też.

Wyciągnęłam jeszcze szczegóły rysopisu, jakie tylko mogłam, i skończyły mi się pytania.

– Chcesz coś jeszcze? – spytałam Luisa.

Zaprzeczył, więc dałam znak strażnikowi, że skończyliśmy. Luis zaczął zbierać swoje papiery. Nagle przerwał i znowu spojrzał na Hectora.

– Jesteś mój ziomal, więc dbam o ciebie. Ale to się może skończyć, jeżeli znowu dasz dupy, *m'entende*^[23]?

Przytaknął skinieniem głowy. Zastanawiałam się, czy Luis naprawdę był w stanie ochronić go przed Aryan Brotherhood. Okaze się, kiedy

złapiemy faceta z Oki-Dog. A wtedy odpowiedź przyjdzie bardzo szybko.

[20] Pies Droopy – postać z amerykańskich kreskówek.

[21] (hiszp.) – pieprzony kłamca.

[22] (hiszp.) – lalúś.

[23] (hiszp.) – rozumiesz?

Wyszliśmy z Luisem z więzienia, mrużąc oczy na widok zapomnianego już słońca. Szliśmy do samochodu Bailey. Kiedy tylko skręciliśmy za róg ulicy, od razu zdjęłam perukę i okulary. Bailey podwiozła nas do zaprzyjaźnionej kliniki, w której pobrano od Luisa próbkę śliny i krew do badań DNA bez zadawania zbędnych pytań. Czekaając na badania, streściłam jej to, czego się dowiedziałam od Hectora. Wysłuchała bez słowa komentarza, ponieważ nie czuła się dobrze w towarzystwie Luisa. Wiedziałam, że w jego obecności nic nie powie. Sama również powinnam być ostrożniejsza w kontaktach z nim, ale z jakiegoś powodu uwierzyłam, że Luisowi zależy na czymś więcej niż na byciu szefem lokalnego gangu.

Kiedy wyszliśmy z kliniki, znalazłam najbliższy kosz na śmieci i wyrzuciłam perukę. Wołałam nie przechowywać jakichkolwiek dowodów.

– Wyglądała pani całkiem sexy – stwierdził Luis z rozczarowaniem w głosie – gdyby ktoś mnie pytał... – Opuścił podwinięty rękaw od koszuli. – Teraz jedziemy na wykrywacz kłamstw?

Wsiedliśmy do samochodu i Bailey spojrzała na mnie. Wprowadzenie Luisa na komisariat, do wykrywacza kłamstw, i przeprowadzenie testu tak, żeby nikt nie zadawał żadnych pytań, było nadzwyczaj trudne. Gdyby go ktoś rozpoznał, natychmiast zostałby aresztowany bez względu na nasze oświadczenia. A wtedy nie miałabym żadnego przełożenia na Hectora, gdybym musiała porozmawiać z nim jeszcze raz. Poza tym zawarłam z nim układ. Obiecałam, że go nie aresztują, jeżeli mi dostarczy Hectora i wywiązał się ze swojego zobowiązania. Zresztą nie byłam zwolenniczką wykrywacza kłamstw. Bailey skręciła w lewo, kierując się znowu w stronę Bauchet Street.

Luis szarpał za swoje kajdanki – skuła go Bailey – i wyglądał niespokojnie przez szybę, sprawdzając, gdzie jedziemy.

– Panie nie biorą mi tego za złe, ale możemy to skończyć wreszcie? Mam kupę spraw do załatwienia.

Z jakiegoś powodu, a może po prostu z chęci zemsty, postanowiłam go trochę przetrzymać. Chociaż byłam lekko zaintrygowana.

– Na przykład...

– Muszę zająć się w domu dziećmi. Mama dzisiaj źle się czuje.

Obejrzałam się do tyłu, żeby mu się przyjrzeć i sprawdzić, czy nie robi mnie w konia, ale patrzył mi w oczy całkiem szczerze.

– Opuścimy sobie wykrywacz kłamstw. Nie potrzebujemy go. Mamy już twoje DNA i to nam wystarczy.

Poczerwieniał na twarzy.

– Jak to?! To nie fair, proszę pani. – Kręcił z oburzeniem głową. – Obiecała mi pani wykrywacz kłamstw. A co, jeśli schrzanią te DNA? To się często zdarza. Nie ufam im. Czemu pani mi to robi? – Patrzył na mnie podejrzliwie. – Chce mnie pani zrobić? – Kręcił wciąż z niedowierzaniem głową, mrużąc pod nosem. – Przecież panią wprowadziłem...

Podniósł wzrok i popatrzył na mnie z wyrzutem.

To powinno się znaleźć w podręcznikach kryminologii: przestępca błagający o test na wykrywaczu kłamstw. Jeżeli do tej pory miałam pewne wątpliwości co do jego niewinności, to teraz się ich pozbyłam. Nikt nie jest na tyle zarozumiały, by mieć pewność, że uda mu się oszukać to urządzenie.

– Nie Luis, nie zamierzam ciebie zrobić. Uważam, że DNA wystarczy, by udowodnić, że tego nie zrobiłeś. Nie ma potrzeby marnować czasu na dodatkowe testy, ani twojego, ani mojego. Przy okazji możesz powiedzieć swoim kumplom, że nie „chrzanimy” testów DNA. Musimy jednak mieć

cię pod ręką, bo może będziemy potrzebować znowu twojej pomocy z Hectorem. Nie rób więc żadnych planów wakacyjnych, jasne?

– Planów wakacyjnych. – Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. – Bardzo śmieszne. Ziomale uważają pewnie panią za dowcipną.

Kątem oka dostrzegłam, że Bailey dusi w sobie śmiech, parkując niedaleko samochodu Luisa. Ten wyglądał przez szybę, uważnie przyglądając się swojemu skarbowi. Po jego minie widziałam, że ocena wypadła pozytywnie.

Wysiadając z samochodu, nagle zatrzymał się z jedną nogą na jezdni.

– Pani sprawdzi, czy ci spece od DNA niczego nie spartolili?

Kiwnęłam głową. Spojrzał na mnie niepewnie, westchnął głęboko i pobiegł do samochodu. Przyglądałyśmy się z Bailey, jak się sadowi za kierownicą, poprawia włosy w lusterku i odjeżdża.

– Sądzisz, że naprawdę jedzie pomóc matce?

– Przez kilka godzin, może. Potem...

– Mhm.

Ruszyliśmy w stronę autostrady prowadzącej do Palisades, żeby porozmawiać z niesolidnym strażnikiem ochrony z osiedla Susan. Dla kontrastu z piekłem więziennym warto było zetknąć się z luksusem bogaczy. Opuściłam szybę i wystawiłam głowę na zewnątrz. Wiedziałam, że z włosów zrobi się piekło, ale miałam to w nosie. Od kiedy wyszłam z więzienia, usiłowałam się pozbyć wstrętnego zapachu, którym przesiąknęłam na wylot. Otworzyłam usta i głęboko odetchnęłam uczciwym dwutlenkiem węgla.

Kiedy Bailey zjechała z autostrady, postanowiłam zrobić jednak porządek z włosami i poprawić makijaż.

Gdy skręcała w Sunset Bulwar, uznałam, że najgorsze zapachy Bauchet Street udało mi się usunąć z organizmu.

Podjechałyśmy do budki strażniczej. Jedna część drzwi była otwarta, co pozwoliło mi poznać urządzenia, jakie stosowano do ochrony. W środku stało mnóstwo monitorów – pokazywały ciągły obraz poszczególnych ulic i rejestrowały datę oraz czas wjazdu każdego pojazdu. Nawet Beznadzieja wiedział, że trzeba zabezpieczyć nagrania, więc było już wiadomo, że koło domu Susan nic nie zauważono. Gwałciciel i tak wszedł od podwórka, a tam już właściciele nie pozwalali instalować kamer. Nie chciano występować w Big Brotherze.

– Dzień dobry. Policja Los Angeles. – Bailey pokazała odznakę.

Otyły strażnik, z czerwonymi policzkami, siedział w podkoszulce na wygodnym fotelu i bujał się znudzony, oglądając monitory. Podszedł do nas z uśmiechem wyrażającym zadowolenie, że wreszcie coś się dzieje.

– Czym mogę służyć? – spytał z entuzjazmem w głosie. Musiał się tutaj straszliwie nudzić. Identyfikator zwisający mu z szyi informował, że jest to dyrektor ochrony Norman Chernow.

– Szukamy strażnika Pickelmana – poinformowała Bailey z profesjonalnym uśmiechem. – Duane'a Pickelmana.

– Jasne, proszę pani – uradował się strażnik. – Nie ma sprawy. Powinien zaraz się zameldować u mnie na koniec obchodu. – Jego widoczna radość z możliwości pomocy policji była wzruszająca, choć nieco przesadna.

– Zechcą panie poczekać u mnie w biurze? – Zaczął już nawet otwierać drugą połówkę drzwi.

– Dziękujemy panu, to nie będzie konieczne. – Bailey wskazała na małe rondo za wjazdem. – Zaparkujemy tam i poczekamy. Gdyby pan zechciał przysłać go do nas, byłoby wspaniale.

– Załatwione. Przyślę go natychmiast. Żaden problem. – Norman wciąż się uśmiechał.

Bailey zaparkowała za wjazdem i czekałyśmy.

– Załatwione! Żaden problem! – przedrzeźniałam strażnika. – Trzeba było mu pokazać spluwę, wtedy pewnie zaczęłby tańczyć.

Spojrzała na mnie krzywo, dając do zrozumienia, że nie podoba jej się ten typ żartów. Jej strata.

Gapiliśmy się na samochody przejeżdżające w obie strony przez potężną bramę. Najpierw z osiedla wyjechał nowiutki hummer prowadzony przez przyszczatego młodzieńca z kolczykami w uchu i silnie żelowanymi włosami. Rozmawiał przez iphone'a, kiwał głową w rytmie rapu wydobywającego się z zestawu głośników – robiły wrażenie. Za nim przejechał nowiutki kabriolet bmw prowadzony przez dziewczynę z długimi czarnymi włosami powiewającymi na wietrze. Rozmawiała przez wysadzany kamieniami telefon komórkowy. Zastanawiałam się, czy widząc codziennie takie dzieciaki bogaczy przejeżdżające obok niego, Duane Pickelman nie doszedł wreszcie do wniosku, że i jemu coś się od życia należy.

Potem nadjechał rowerzysta ubrany w jaskrawożółty kombinezon w czarne paski oraz czarno-żółty hełm. Pomachał strażnikowi, a ten odmachął mu radośnie. Przez chwilę rowerzysta robił małe kółka, czekając na otwarcie bramy. Kiedy przyjrzałam mu się uważniej, poklepałam Bailey po ramieniu.

– Popatrz na tego pajaca na rowerze. Czy to nie jest czasem Densmore?

Zerknęła i pokiwała głową.

– Strój funkcjonalny, ale wygląda w nim głupio. Chociaż muszę przyznać, że jest w niezłej formie.

To prawda. Tylko ten żółty kombinezon w czarne paski! Brama otworzyła się wreszcie i Frank Densmore pojechał dalej, kończąc swoje przedstawienie.

Kiedy zniknął nam z oczu, nadjechało porsche z odsłoniętym dachem. Prowadziła go doskonale ubrana, świetnie umalowana i napakowana botoksem kobieta w nieokreślonym wieku. Też rozmawiała przez telefon. Ci bogacze nie potrafili nawet ruszyć się na chwilę z domu bez używania telefonów komórkowych? Kobieta zatrzymała się na zakręcie, żeby dokończyć rozmowę wspomaganą gestykulacją.

Akurat wtedy Norman pomachał w naszą stronę, wskazując na furgonetkę z kogutami na dachu i napisami na drzwiach informującymi, że należy do Palisades Security 24-Hour Patrol. Furgonetka zatrzymała się za budką strażników. Bailey znalazła się przy jej drzwiach, zanim kierowca zdążył postawić nogę na ziemi.

Widziałam, jak pokazuje swoją odznakę, a potem cofa się o krok, pozwalając wysiąść kierowcy – jednocześnie zniechęcała go do prób ucieczki. Ja również wysiadłam i przeniosłam się na tylne siedzenie.

Pickelman miał jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, był smukły i zwinny. Jego biała koszula i czarne spodnie zwisały na nim jak na manekinie. Zaczesał pasmo brudnych blond włosów spadających mu na oczy i spoglądał nerwowo na Bailey, kiedy mu pokazała, żeby przeszedł do jej samochodu. Dostrzegłam, że zawahał się przez ułamek sekundy, ale potem pokiwał z rezygnacją głową i ruszył za nią. Otworzyła mu drzwi od strony pasażera i czekała, aż wsiądzie. Potem usiadła za kierownicą. Ja siedziałam na tylnym siedzeniu, trzymając dłoń na rewolwerze w torbie, na wypadek gdyby mu coś odbiło.

– To jest Rachel Knight. Oskarżyciel w tej sprawie – wyjaśniła mu.

Skinęłam głową, nie chcąc mu podawać ręki, którą ścisnęłam rewolwer w torbie.

Odwrócił się i również skinął mi głową, potem znowu spojrzał na Bailey.

– Niczego nie zauważyłem tamtej nocy.

– Ale miał pan wtedy służbę, prawda? – spytała.

– Miałem. Mnóstwo ludzi miało wtedy służbę. Czemu ich nie spytacie?

– Ponieważ pytamy ciebie, Duane. Mogę mówić do pana Duane? – Odczekałam chwilę. – A więc powiedz nam proszę, czy tamtej nocy w czasie obchodu wydarzyło się coś niezwykłego?

– Nooo ... – zająknął się, szukając jakiejś odpowiedzi.

Doskonale wiedział, że minął trzy punkty kontrolne. Nie był tylko pewien, czy już o tym wiemy.

– To nie jest odpowiedź, Duane. Czy tamtej nocy w czasie obchodu wydarzyło się coś niezwykłego? – powtórzyłam pytanie.

– Nie... Nie pamiętam. Minęło już trochę czasu.

Trzymał się kurczowo tej wersji. Dla niego musiało to być całe przemówienie.

– To była głośna noc... Na tym osiedlu zwykle nie gwałci się dzieci, o ile wiem. Postaraj się więc sobie przypomnieć. Widziałeś kogoś obok domu Susan? Może jakiś obcy samochód? – podpowiedziałam, mając nadzieję, że połknie przynętę.

Zmarszczył czoło, udawał, że myśli. Ta mina nie zwiodłaby nawet przedszkolaka. Potem nagle jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Przypomniał sobie.

– Taak. Chyba widziałem biały samochód. Camaro. Wiem, że taki przejeżdżał koło mnie, bo sobie pomyślałem, że zdrowo odstaje od innych wozów na tym osiedlu.

Widziałam, że jest dumny ze swojego osiągnięcia.

– O której godzinie go widziałeś? Mniej więcej.

Znowu zmarszczył czoło. Tym razem bardziej. Wyglądał prześmiesznie.

– Raczej późno. Może koło północy. Nie jestem pewien.

– Pamiętasz, gdzie go widziałeś?

– Hm... nie wiem. – Patrzył na Bailey.

– Ale to było na terenie osiedla, tak?

– Tak, tak. Tutaj – odparł z ulgą.

– Ciekawe, jak ci się udało to zapamiętać, skoro opuściłeś trzy punkty kontrolne. Wszystkie po dwudziestej trzeciej – powiedziałam.

Zbladł tak bardzo, aż zaczęłam się obawiać, że zemdleje. Zaczął otwierać i zamykać usta, wreszcie poszedł po rozum do głowy i zamilkł.

– Możesz nam wytłumaczyć, dlaczego opuściłeś te punkty, Duane? Masz teraz dobrą okazję, żeby to wyjaśnić.

– Nie pamiętam... żebym je opuścił. – Wrócił do swojej starej śpiewki.

– To może ułatwię ci zadanie – powiedziałam. – Pojedź z nami teraz do miasta. Weźmiemy próbkę twojej śliny i krwi, zrobimy badania DNA, żebyśmy mogli wykluczyć cię z grona podejrzanych. Jeżeli cię wykluczymy, to nie będzie mnie interesowało, czy się obijasz w pracy, czy nie. Nikt się ode mnie o tym nie dowie.

Spojrząwszy na jego twarz, wiedziałam, że zamknął się na amen. Pokręcił głową.

– Nie.. nie zrobię tego...

– Rozumiesz, że teraz sędzę, że to ty zgwałciłeś tę dziewczynę? A przecież nie zrobiłeś tego, prawda?

– Nikogo nie zgwałciłem, proszę pani. Ale nie zrobię testów – odparł z uporem godnym osła.

Nic więcej nie wskóram. Nie oczekiwałam, że zgodzi się na testy DNA, a nie można nikogo do tego zmusić bez wyroku sądu. Ciężko było namówić sędziów do podpisania nakazu przymusowego pobrania próbek DNA, jeżeli podejrzany nie znajdował się w areszcie. Wszystko z powodu nieznośnej czwartej poprawki. Skoro jednak już miałam jego odmowę na dobrowolne

badanie i w świetle faktu, że opuścił swoje trzy punkty kontrolne, sędzia pójdzie mi tym razem na rękę.

– Nie ma sprawy. W takim razie posłuchaj mnie, proszę. Na wszelki wypadek pozostań w mieście, gdybyśmy musiały jeszcze z tobą porozmawiać. Jeżeli wrócimy i okaże się, że nawiałeś, uznamy, że jesteś głównym podejrzanym. Rozumiesz?

Duane wciąż gapił się przed siebie, ale widziałam, że jego oczy skakały na boki, gdy próbował zerkać w moją stronę. Poczerwieniał na twarzy.

– Nie mam powodów do ucieczki. Nic mi nie możecie udowodnić.

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się chłodno.

– To się nazywa duch walki. Dziękujemy za poświęcenie nam czasu. Miłego dnia.

Nie czekał, aż zmienię zdanie. Otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Potem poszedł do budki strażniczej. Zastanawiałam się, co powie Normanowi.

Wyjęłam ze schowka w samochodzie chusteczkę higieniczną i starannie wytarłam siedzenie, zanim usiadłam obok Bailey. Ruszyliśmy z powrotem do miasta.

– Może byś tak ustatkowała się wreszcie i załatwiła sobie pozwolenie?

– Bailey wskazała na moją torbę, w której trzymałam rewolwer. – Czas skończyć z młodzieńczym buntem.

– Tak mi dziękujesz, że lojalnie cię ubezpieczam? Załatwisz mi zezwolenie?

– Jeśli kogoś postrzelisz, będę miała dwa razy więcej papierów do wypełnienia. – Spojrzała na mnie ostrzegawczo.

Wypełnianie formularzy to dopust boży dla wszystkich policjantów. Miała rację. Byłoby jej niezręcznie wypełniać zgłoszenie nielegalnego posiadania broni na mnie. Prawdopodobieństwo takiej sytuacji wzrosło w

związku z tym, że ktoś na mnie poluje. Skoro zaś mogłam liczyć na poparcie zarówno z jej strony, jak i ze strony Gradena, mało prawdopodobne, że moje podanie zostanie odrzucone.

– Niech ci będzie. Przygotuj wszystko, a ja wystąpię o pozwolenia. – Westchnęłam ciężko. Wiedziałam, że teraz ja będę mieć masę papierków do wypełnienia.

– Ktoś normalny ucieszyłby się z takiej możliwości. – Kiedy zorientowała się, że tego nie doceniam, zmieniła szybko temat. – Myślisz, że ten Pickelman jest sprawcą?

– Możliwe. A może wie, kto to zrobił. Albo ma coś innego na sumieniu.

– Dobrze, że przynajmniej ograniczyłaś możliwości do trzech – stwierdziła z przekąsem.

– Zawsze do usług.

33

Byłyśmy już niedaleko od hotelu Biltmore, kiedy w mojej torebce rozbrzmiał sygnał komórki. Wyjęłam telefon.

– Tak...

– Rachel? – Poznałam głos Gradena.

– Owszem.

– Dzwonię, bo akurat jestem niedaleko. Chciałem ci powiedzieć cześć...

Jego neutralny i oficjalny ton sprawił, że prawie podskoczyłam z wrażenia. Nigdy nie mówiliśmy sobie cześć i jego obecność w okolicy nie była niczym nadzwyczajnym. Przecież pracowaliśmy obok siebie. Zrozumiałam, że próbuje mi przekazać, że nie może mówić otwarcie. Może Ted i Fred z FBI stali mu akurat nad głową.

– Możemy się spotkać w barze? – spytał spokojnym głosem.

Wolałam mieć parę minut na doprowadzenie się do porządku. Włosy wciąż wołały o pomstę do nieba i marzyłam, żeby zmyć z siebie zapach więzienia stanowego. Wiedziałam jednak, dlaczego dzwoni, i nie chciałam tego odkładać z tak niskich pobudek. Muszę zacisnąć zęby i pozwolić, żeby zobaczył, jak wyglądam w rzeczywistości.

– Spotkajmy się za pięć minut. – Rozłączyłam się.

Schowałam telefon i postawiłam torbę na kolanach. Jeżeli ruszę biegiem, to miałam szansę akurat wpaść do pokoju, spryskać wodą kolońską i przeczesać włosy szczotką. Zawsze lepsze to niż nic. Staralam się wyliczyć, ile czasu mi zajmie dobiegnięcie do windy i wjechanie na górę, kiedy odezwała się Bailey.

Musiała słyszeć, że rozmawiałam z Gradenem, bo kiedy zatrzymała samochód na podjeździe do hotelu, spojrzała na mnie krytycznie i

powiedziała.

– Na twoim miejscu znalazłabym jakieś lustro.

– Zadzwoń – rzuciłam, wysiadając.

Zanim zdążyła odjechać, już dobiegłam do drzwi wejściowych. W hotelu odbywała się jakaś konferencja, bo wejście było zatłkane przez tłum ludzi. Wyłam w myślach z wściekłości, przeciskając się między nimi. Przetruchałam przez lobby i szybko nacisnęłam przycisk windy. Wpatrywałam się w mosiężne drzwi, żeby ukryć się przed kłębiącym się za mną tłumem. Na nieszczęście wypolerowany mosiądz świetnie odbijał moją sylwetkę. Tusz rozmazał mi się pod oczyma, włosy zwisały w strąkach i na dodatek zaplamiałam kołnierz bluzki... nie wiadomo czym. Na pewno nie jedzeniem – mój żołądek mógł o tym zaświadczyć. Licznik windy pokazał, że właśnie zatrzymała się na drugim piętrze. I wtedy oczywiście zdarzyło się nieuniknione.

– Cześć Rachel. – Graden podszedł do mnie i dotknął mojego ramienia.

Zwalczyłam w sobie paniczną chęć ucieczki i obróciłam się do niego z wesołym uśmiechem na twarzy.

– Cześć.

– Miałaś ciężki dzień. – Przyglądał mi się uważnie.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – Czasami nie pozostaje nic innego, jak tylko nadrabiać bezczelnością.

– Założę się, że chciałaś się wykąpać przed zejściem do baru – powiedział, chrząknąwszy najpierw.

Trafiona, zatopiona. Nie było sensu zaprzeczać oczywistości. Odetchnęłam tylko z ulgą.

Poszłam do swojego pokoju, zrobiłam z sobą jaki taki porządek i zeszłam do baru zaledwie w dziesięć minut. Dwa mrożone martini czekały już na stole. Zauważyłam, że Graden nawet nie tknął swojego.

– Doskonały timing – stwierdził, wskazując głową na kieliszki. – Właśnie przynieśli. Wiedziałem, że dbasz o siebie, ale nie wiedziałem, że robisz to tak szybko. – Przyglądał się z uznaniem moim uczesany włosom i nowej bluzce.

Zanim zdążył zapytać o moje sprawy i zmusić mnie do kłamstwa, na które nie byłam przygotowana, szybko zmieniałam temat.

– Wciąż masz na karku FBI?

– Jasne. Chcą przypisać sobie wszystkie zasługi za rozwiązanie tej sprawy. Nie odpuszczą, dopóki jej nie zamkniemy.

– Dalej z nimi współpracujesz, czy już cię wyłączyli?

– Jeszcze nie są na to gotowi. Jeżeli teraz odsuną mnie od śledztwa, a potem gdzieś się zatkają, to będzie bardzo źle wyglądać w raporcie. Bawimy się więc w podchody. Oni przejmują wszystkie dowody, a ode mnie wyciągają pomysły.

– To znaczy, że...

– Nie. – Uśmiechnął się dyskretnie. – To tylko znaczy, że powinnaś być pod wrażeniem, w jaki sposób udało mi się upolować twojego smoka.

Poczułam, że coś trąca w moją prawą nogę pod stołem. Zerknęłam i okazało się, że jest to niewielka koperta. Udało mu się wyciągnąć fotografię Kita, którą znaleziono przy Jake'u. Ostrożnie schowałam ją do torebki.

– Nie musisz się niczym przejmować. Już zdjęto z niej wszystkie odciski palców – uspokoił mnie.

– Jestem pod wrażeniem – odparłam, patrząc na niego z wdzięcznością.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować. Zdaję sobie sprawę, jak było to niebezpieczne.

– Owszem, ryzykowne, ale było warto. Nie mogę zdradzić, czym się zajmują federalni, ale powiem ci tylko tyle: im bardziej się przyglądam ich pracy, tym bardziej jestem zadowolony, że sama się tym zajęłaś.

Wchłonełam w siebie tę ożywczą informację. Jeżeli poprzednio miałam jeszcze cień nadziei, że FBI nie skupi się na najprostszym wytłumaczeniu obecności Jake'a w motelu, to teraz ten cień właśnie zniknął. Musiałam działać sama. Razem z Bailey, oczywiście.

– Zrobię, co będę mógł, Rachel, ale musisz być bardzo ostrożna. Jeżeli cię przyłapią, będziesz mogła mówić o szczęściu, jeżeli stracisz tylko pracę.

Skreślenie z listy prawników, może nawet aresztowanie za utrudnianie śledztwa... Tym się najmniej przejmowałam, trochę już przeszłam, zdemolowano mi samochód, strzelano do mnie i porwano na środku ulicy. Uznałam jednak, że nie jest to najlepsza chwila, żeby mu o tym opowiadać. Wzniosłam więc toast.

– Za moją nową karierę na farmie ostryg.

Stuknęliśmy się ostrożnie kieliszkami i wypiliśmy po łyku. Powiedziałam Gradenowi, iż udało nam się ustalić, że Luis Revelo nie jest gwałcicielem – chociaż oczywiście pominęłam swoją wizytę na Bauchet Street. Powiedziałam mu także o rozmowie z Duane'em Pickelmanem, który zaczynał awansować do roli głównego podejrzanego.

– Złożyłaś już raport w tej sprawie? – spytał, kiedy mu powiedziałam, że Duane odmówił poddania się testowi DNA.

– Właśnie Bailey stara się załatwić nakaz sądowy.

Kiwnął głową, chociaż widziałam po jego minie, że nie jest nastawiony zbyt optymistycznie do tego przedsięwzięcia. Miał rację. Trudno było namówić sędziego do zgody na przymusowe badanie kogoś, kto nawet nie został aresztowany. Nie chciałam jednak zamykać człowieka, dopóki nie byłam absolutnie przekonana, że jest winny. obrońcy uwielbiają opowiadać przysięgłym o masowych aresztowaniach przez prokuraturę kończących się wypuszczeniem na wolność z braku dowodów. Tym sposobem ich klient

wygląda jak kolejna ofiara nieudolnego prokuratora. Nie robi to dobrego wrażenia na ławie.

Potem zaczęliśmy rozmawiać o sędziach, co nas oczywiście przywiodło do związku Toni i J.D. Okazało się, że oboje ich lubimy razem i osobno.

– W policji też był fajny – wspomniał Graden. – Chciałbym wiedzieć, co go dręczy.

– Co masz na myśli?

– Toni. Wiem, że jest w niej zakochany, ale on nigdy nie potrafi nacisnąć spustu. – Graden się zmieszał.

– Mnie się wydawało, że oboje mają fobię na punkcie utraty niezależności.

– Sądzę, że tylko jedno ma.

Spojrzałam na niego z zaciekawieniem.

– Uważam, że ona ma fobię na punkcie utraty niezależności, a on po prostu boi się odtrącenia.

– Jesteś pewien?

– Wiem z doświadczenia, iż kobiety uważają, że faceci boją się zaangażowania. – Wzruszył ramionami. – A tak naprawdę my bardziej pragniemy trwałego związku niż większość kobiet.

Rozmowa stała się nadzwyczaj poważna i niezręczna. Moje doświadczenia mówiły mi, że może mieć rację. Wiedziałam, że kiedy którykolwiek z moich byłych mówił mi, że nie powinnam spotykać się z innymi mężczyznami, miałam wrażenie, że próbują zamknąć mnie w klatce. To zakończyło wiele moich związków. Przynajmniej do czasu spotkania Daniela. Zamyśliłam się i dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że Graden wciąż czeka na moją odpowiedź.

– Mówią, że singielki są szczęśliwsze od singli – odparłam, biorąc kieliszek.

– Jeszcze po jednym? – spytał, kwitując dyskretnym uśmiechem moją odpowiedź.

– Chyba jest pusty – stwierdziłam, spoglądając w swój kieliszek.

Zaczęliśmy rozmawiać o innych sprawach. Nawet o moim zamiarze wystąpienia o zezwolenie na noszenie broni. Plotkowaliśmy i żartowaliśmy, podczas gdy wokół zmieniali się goście przy stolikach. Potem Graden odprowadził mnie do windy.

– A tak między nami, to zatwierdzę twoje podanie.

– Dzięki za wotum zaufania.

– Wierzę, że i tak będziesz nosić broń – odpowiedział.

Roześmiałam się, a on mi zawtórował. Nie czułam potrzeby wyjawienia mu, że cały czas miałam rewolwer ze sobą.

Winda nadjechała i drzwi otworzyły się powoli. Zablokowałam je dłonią...

– Dziękuję ci... – powiedziałam poważnym tonem. – Za wszystko.

– Do usług. – Przyglądał mi się przez chwilę.

Kiedy wróciłam do pokoju, trochę szumiało mi w głowie. Nie wiedziałam, czy z powodu tego, jak na mnie spojrzał, czy przez dwa martini. Oglądałam trochę telewizję, potem wzięłam prysznic i poszłam spać. Możliwość stworzenia poważnego związku z Gradenem zaczynała mi świtać w głowie. Czy to się stanie – jeśli w ogóle tego chciałam – nie było takie oczywiste. Czułam się jednak zbyt zmęczona, żeby o tym rozmyślać. Zamknęłam oczy i od razu zasnęłam.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, usiadłam od razu na łóżku; czułam niepokój, o czymś zapomniałam. Miałam chyba zrobić coś bardzo ważnego. Tylko co? Wstałam z łóżka i poszłam do łazienki umyć twarz.

I wtedy sobie przypomniałam. Szybko ubrałam się w dżinsy i sweter, złapałam laptopa, torbę i pobiegłam do windy. Na drugim piętrze poszłam prosto do centrum biznesowego.

– Zoey, mogę skorzystać ze skanera? – spytałam.

Zoey nie była typem pracownika, którego można by się spodziewać w centrum biznesowym takiego hotelu. Urodziła się w latach sześćdziesiątych, więc kiedy dorosła, hipisi stanowili dla niej historię. Niezrażona tym Zoey nosiła babcine okulary w kolorowych oprawkach i szerokie barwne sukienki, sandały i skórzane paski. W jej włosach zawsze czuło się zapach kadzidełek. Zoey nigdy nie chodziła – ona płynęła, jak szemrzący strumyk. Emanowała wszechogarniającą łagodnością. A mimo to potrafiła wszystko w centrum ustawić jak w szwajcarskim zegarku. Jakimś magicznym sposobem stała w miejscu i jednocześnie poruszała się błyskawicznie po całym biurze.

– Jasne. – Spoglądała na mnie spod okularów. – Pomóc?

– Dam sobie radę.

Włączyłam skaner. Położyłam na ekranie fotografię Kita i zamknęłam pokrywę. Podłączyłam swój komputer i po paru sekundach miałam już gotowy skan. Rozłączyłam się więc i schowałam fotografię do torby.

Zoey rozmawiała przez telefon, więc podziękowałam jej cicho i poszłam do swojego pokoju. Szybko uruchomiłam laptopa, napisałam e-mail do Clive'a i podpięłam skan zdjęcia.

Już miałam schować zdjęcie w zamykanej na suwak błyskawiczny kieszeni mojej torby, kiedy coś mnie tknęło i postanowiłam je obejrzeć. Kit nie pozował. Zdjęcie chyba zostało zrobione z zaskoczenia. Mimo szpanerskich tatuaży i kolczyków miał pusty wzrok zagubionego dziecka. Żał mi się go zrobiło. Widziałam zbyt dużo takich dzieci w sądzie dla nieletnich. Wszyscy znaleźli się na tym świecie przez przypadek i zostali porzuceni jak nasiona, żeby same wzrosły. Najczęściej dopiero sędzia lub kurator stawali się pierwszą namiastką prawdziwych rodziców, którzy próbują im narzucić jakieś zasady. Obejrzałam zdjęcie jeszcze raz, starając się znaleźć jakiś szczegół, który mógłby mi być pomocny. Niewiele było widać. Żadnych stołów, krzeseł czy mebli. Zauważyłam jedynie pionową linię na ścianie, a i to dopiero z bliska. Co to mogło być? To rzeczywiście znajdowało się na ścianie, czy też to wada obiektywu? Trudno powiedzieć. Zanotowałam w pamięci, że trzeba się temu przyjrzeć przez szkło powiększające i poszłam pod prysznic.

Właśnie skończyłam się wycierać, kiedy zadzwonił telefon.

– Ubierz się luźno – powiedziała Bailey. Sądząc z dźwięków tła dzwoniła z samochodu.

Znowu włożyłam dzinsy i zwykłą koszulę, a na to ręcznie dziergany sweter. Zrobiłam szybki makijaż, uczesałam się i sprawdziłam e-maila. Clive odpisał, że dostał zdjęcie i że da znać, jeśli czegoś się dowie. Poczułam się niezwykle skuteczna i po raz pierwszy spodobał mi się wiek komputerów. Zamknęłam laptopa, schowałam go do teczki, zabrałam torbę i już miałam wyjść, kiedy przypomniałam sobie, że nie wzięłam kamizelki kuloodpornej. Wróciłam i wyciągnęłam ją z szafy. Zdjęłam sweter i włożyłam pod spód kamizelkę. Wreszcie znalazłam się na korytarzu. Czułam się jak dziecko, któremu kazali chodzić w półbutach zamiast w sandałach.

– Dlaczego muszę chodzić w tym świństwie przez cały dzień? –
Usiadłam obok Bailey.

– Bo taki mamy układ.

Próbowałam skrzyżować ramiona i udawać obrażoną, ale przekłeta kamizelka nawet to uniemożliwiła. Kątem oka dostrzegłam uśmiezek Bailey.

Wreszcie dotarliśmy do słynnej budy Oki-Dog. Była dopiero dziesiąta trzydzieści i stoliki na zewnątrz świeciły pustkami. Miałyśmy zatem cały lokal dla siebie. Bailey zaparkowała naprzeciwko. Zastanawiałam się, skąd wzięła się popularność takiej budki. Zakratowane okna, kartki z menu zawieszane na ścianach. Nie było tu nic zachęcającego. A mimo to buda przyciągała mnóstwo stałych gości. Jeśli Hector Amaya nie skłamał, to jeden z bywalców nadał mu robotę w sąsiedztwie domu Susan. Kiedy ustalimy który, da się sprawdzić dlaczego. Może przyczyna nie miała nic wspólnego z gwałtem, ale i tak będzie to duży postęp w śledztwie.

Ponieważ lokal był całkiem pusty, postanowiłyśmy wstąpić do delikatesów Cantersa i kupić coś do jedzenia. Delikatesy przeżyły swoje wzloty i upadki popularności i mody, ale cały czas można było w nich kupić doskonałe jedzenie. Odpuściłam sobie dietę i zamówiłam bajgla z wędzonym łososiem, topionym serem i kaparami. Bailey wzięła rybę z kajzerką.

– Mamy już wynik testów Revelo? – spytałam.

– Będą niedługo. Ale wiemy już, że go wykluczyli.

– To samo powiedziałam Gradenowi. Nie mogę się doczekać, kiedy to oznajmię oficjalnie Densmore'owi.

– Jesteś słodka. – Uśmiechnęła się. – A jak wyjaśniłaś Gradenowi, skąd się wzięła próbka od Revelo?

– Tak samo, jak to przedstawimy Densmore'owi i Vanderhornowi: bez wchodzenia w szczegóły. Po prostu wpadłyśmy na niego i zgodził się poddać testom.

Bailey kiwnęła z uznaniem głową.

Kiedy wróciłyśmy do Oki-Dog, stoliki zaczęły się zapelniać. Usiadłyśmy w strategicznym miejscu na samym końcu, skąd był widok na wszystkich, którzy przychodzili i wychodzili. Teraz pozostawało jedynie czekać na naszego człowieka. Chociaż nie byłyśmy głodne, zapach smażonego jedzenia nas rozpraszał. Zamówiłam dużą colę dietetyczną i powoli ją sączyłam, żeby uniknąć konieczności szukania toalety. Po trzech godzinach, dwóch dolewkach i nabrzmiałym pęcherzu wciąż nie było nawet śladu naszego człowieka.

– Mogę pogadać z mundurowymi z tej okolicy i poprosić ich o rzucanie okiem na lokal – zasugerowała Bailey.

Wiedziałyśmy jednak, że istniała niewielka szansa, by zwykli policjanci odnaleźli go za nas. Mieli przecież swoją robotę. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Pochyliłam się, żeby sięgnąć po torbę i zauważyłam kogoś, kto mi wyglądał znajomo. Wysoki, szczupły czarny dzieciak z afro na głowie. Stał z grupą nastolatków po lewej stronie od wejścia. Spojrzałam na Bailey i kiwnęłam głową w jego stronę. Zerknęła we wskazanym kierunku i skinęła, że ich rozpoznaje. Spokojnie wstałyśmy, okrążyłyśmy budkę i zaszłyśmy ich od tyłu.

– Cześć Dante – powiedziałam mu prawie do ucha. – Co słytać?

35

Dzieciak aż podskoczył. Na wypadek gdyby mu przyszło do głowy uciec, Bailey podeszła z przodu.

– Czołem. – Odwróciła się do reszty grupy i dodała: – Chłopaki, pozwolicie, że pogadamy z nim przez chwilę?

– Znowu będziecie pytać o Kita? – obruszył się Dante. Widać było, że robi to na użytek kolegów. Chciał podkreślić, że nie jest kapusiem.

– Owszem. Chcemy ci powiedzieć, czego się dowiedzialiśmy i spytać, co o tym sądzisz – powiedziałam, starając się ratować jego twarz wobec kolegów.

Nie miał wyboru, ale kiwnął głową, że się zgadza. Przeszliśmy do naszego stolika.

Siadając, zauważyłam, że jest wręcz nienormalnie chudy. Może to przez narkotyki, ale wydawało mi się, że po prostu nie dojada.

– Dante, zjesz z nami lunch? Ja stawiam.

Przyglądał mi się podejrzliwie, ale tylko przez chwilę.

– Jasne. Proszę dwa oki-dogi, cheeseburger i frytki.

– A do picia?

– Dr. Pepper.

Żarciem zajęła się Bailey, a ja prowadziłam rozmowę.

– Co mówią na ulicy o sprawie Kita? Może gadają o tym, co zamierzał zrobić, zanim umarł?

– Nie. – Wycierał dłonie o spodnie, zerkając niecierpliwie w stronę okienka, gdzie wydawano zamówienia.

– Gdzie mieszkasz? To znaczy, gdzie mieszkają twoi rodzice? – To było bezpieczne pytanie. Gdziekolwiek mieszkali, ten dzieciak żył osobno.

– Ojciec? – Wzruszył ramionami. – Nie wiem. Nigdy go nie widziałem. Mama mieszka na Jordan Downs z babcią.

Matka mieszkała w samym sercu getta. Bardzo biedna i bardzo niebezpieczna okolica. Zerknęłam na jego czyste, chociaż trochę przetarte dżinsy, często praną koszulę i czyste, choć znoszone tenisówki. Dbał o siebie, mimo braku pieniędzy. Jeżeli zacznę się dłużej nad tym zastanawiać, pewnie się popłaczę. Popatrzyłam na klientelę. Zwykły pstry tłum ludzi. Trochę Emo z czarnymi włosami, pomalowanymi na czarno paznokciami i bladymi twarzami. Trochę elegancików szpanujących strojami od Lacosty, żeby poczuć odrobinę dreszczyku prawdziwego życia.

Bailey wróciła obładowana jedzeniem. Dr. Pepper wystawał jej z kieszeni. Myślałam, że podwoiła zamówienie, ale potem zorientowałam się, że po prostu porcje były olbrzymie. Nic dziwnego, że dzieciaki przychodziły tu tłumnie. Wielkie porcje, niskie ceny i sądząc po zapachu, smaczne żarcie. Dante zabrał się do jedzenia, a my siedziałyśmy w milczeniu, pozwalając mu zjeść w spokoju. Kiedy skończył, wytarł elegancko usta serwetką.

– Dzięki, ludzie. Naprawdę.

– Nie ma sprawy – powiedziałam. – Mogę ci zadać jeszcze kilka pytań na temat Kita?

Spojrzał na mnie zmieszany.

– Jasne, ale mówili, że to ten prokurator, ten Jake go zabił. Prawda? To znaczy... o czym mamy rozmawiać?

Pytanie było uczciwe i zasługiwało na uczciwą odpowiedź.

– Uważam, że być może zrobił to ktoś inny.

– Naprawdę? – zdziwił się Dante. – Proszę mnie źle nie zrozumieć. Na pani miejscu też nie chciałbym, żeby mój ziomal został oskarżony o takie świństwo. Czasami jednak trzeba się pogodzić z faktami, prawda?

Boska mądrość z ust szesnastolatka. Pokiwałam głową.

– Prawda. I jeżeli okaże się, że Jake jest winien, uznam sprawę za zamkniętą. Ale jeżeli mam rację, to gość, który to zrobił, wciąż tam gdzieś chodzi po ulicach. – Przerwałam na chwilę, żeby zdążył to przetrawić. – I sądzę, że nie masz nic przeciwko temu, żeby pomóc mi go złapać? Prawda?

Spojrzał na bok i przełknął ślinę. Śmierć Kita przestraszyła go, przecież on też mógł paść ofiarą.

– Jeżeli ma pani rację, chciałbym, żeby mu pani usmażyła tyłek.

– Kit się sprzedawał, prawda?

Westchnął głęboko i zastanawiał się nad odpowiedzią. Spojrzał na stół i pokiwał głową.

– Miał stałych klientów?

– Nigdy o nich nie wspominał.

– A znasz jakichś, z którymi chodził?

Zaprzeczył.

– Pozował do zdjęć porno?

– Każdy robi, co musi. – Wzruszył ramionami. – Pozowanie to najłatwiejszy zarobek.

– Pamiętasz może, komu pozował?

– Nie mam pojęcia. Ja i on... no wie pani... robiliśmy to samo, ale nie byliśmy aż tak blisko ze sobą. Zresztą sam z trudem przypominam sobie, komu pozowałem. To nie są sprawy, o których chce się pamiętać. I nigdy nie pozowałem stale dla jednego klienta...

Pewnie na jego miejscu też nie chciałabym dawać z siebie wszystkiego.

– Rozpoznałbyś kogoś z klientów, gdybym ci pokazała jego zdjęcie albo dała rysopis?

– Może. – Znowu wzruszył ramionami. – Trudno powiedzieć, dopóki nie zobaczę zdjęcia.

Na razie żadnego nie miałam, ale wierzyłam, że Clive coś znajdzie. Wpadłam na inny pomysł.

– Pewnie wkrótce otrzymam kilka zdjęć. Mogę teraz zrobić zdjęcie tobie?

– Po co? – Spojrzał przestraszony.

– To może pomóc w znalezieniu osób, które robiły zdjęcia Kitowi. Tobie na pewno nic nie grozi, więc nie musisz się martwić.

Zmarszczył brwi, pochylił głowę i długo się zastanawiał.

– Okej.

Wyjęłam komórkę i zrobiłam mu zdjęcie. Potem, dla pewności jeszcze do niego zadzwoniłam. Poczekalam, aż zadzwoni jego telefon.

– Tylko sprawdzam. – Uśmiechnęłam się na widok jego miny.

Popatrzył na mnie z powagą.

– Nie mam nic przeciwko gejom. Każdy musi czymś... być. Ale chcę, żeby pani wiedziała, że nie jestem gejem. Po prostu potrzebuję pieniędzy.

– Rozumiem, Dante. A co z Kitem? Sądzisz, że był gejem?

– Spędzał dużo czasu z Eddim – odpowiedział po krótkim wahaniu. – Ale to o niczym nie świadczy. Myślę, że... Nie wiem. – Przekrzywił głowę.
– Czemu pani pyta?

– To może pomóc przy ustalaniu motywów i potencjalnych podejrzanych. Myślałeś, że to coś osobistego?

Dante skinął głową.

– Nic mnie to nie obchodzi.

36

– Jeżeli mundurowi nie znajdą naszego człowieka, będziemy musiały same tu wrócić – stwierdziła Bailey, kiedy wracałyśmy do centrum.

Odruchowo pokiwałam głową. Mijałyśmy właśnie Fairfax High School. Widząc to ponure gmaszysko, nikt by nie zgadł, że wykształcili się w nim tacy geniusze, jak James Ellroy^[24] czy Larry Gelbart^[25] i... Slash^[26].

– Hej tam! Rachel! Tu mówi Ziemia! – Bailey przerwała mi marzenia o uczeniu się w jednej klasie z taką trójką.

– Tak? Słucham?

– Chcę ci tylko przypomnieć, że im dłużej włóczymy się po mieście – zamilkła w pół zdania, omijając jakiegoś marudera na jezdni – tym bardziej wystawiamy się na strzał temu, kto chce nas upolować.

Miała rację. Zaczynał mi świtać w głowie pewien plan, ale nie byłam jeszcze całkiem do niego przekonana.

– Policja znalazła jakieś kule na miejscu tamtej strzelaniny? – spytałam.

– Według raportu dwie kule, ale bez łusek.

– Używali rewolwerów. Jaki kaliber?

– Balistycy twierdzą, że to prawdopodobnie trzydziestkaósemka. Sześćostrzałowy, lewoskrętny.

Sześć pocisków i bębenek obracający się w lewo. To ograniczało liczbę modeli.

– Colt?

– Tak sądzę.

– A co z nakazem sądowym na pobranie cennej śliny Pickelmana?

– Żadnych szans. – Westchnęła. – Byłoby łatwiej, gdybyśmy aresztowały drania, ale to... – Zamilkła.

Ryzykowne, gdyby się okazało, że to jednak nie on, dokończyłam w myślach. Zastanawiałam się nad znalezieniem rozwiązania dwóch najpilniejszych spraw, które stały przed nami. Jechałyśmy w milczeniu, a ja rozmyślałam, jak upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Chciałabym puścić plotkę, że mamy już gwałciciela w areszcie. Bez szczegółów. Wtedy Pickelman nie będzie miał powodów, żeby uciekać, a my poczekamy na nakaz sądowy. I jeżeli to on na nas poluje, powinien się uspokoić i przestać nas ścigać. Jedyny problem jest taki, że może...

– Może się poczuć na tyle pewnie, że zrobi to drugi raz.

– Właśnie.

Zamilkłyśmy, szukając innego rozwiązania. Nadspodziewanie szybko przejechałyśmy autostradą, bo widać już było wieżowce centrum. Dochodziła siedemnasta i słońce powoli chowało się za domami. Przyglądałam się, jak wszystko wokół zaczyna pogrążyć się w półmroku.

– Skoro wiemy, że to nie był Luis, to gwałciciel może szukać innej ofiary – odezwała się Bailey.

– Mówiłaś, że otrzymamy wyniki testów Luisa dość szybko? – spytałam, bo trudno się było nie zgodzić z jej rozumowaniem.

– Może nawet dzisiaj, jeżeli technik będzie miał dyżur. Najpóźniej w poniedziałek.

– Dobra. – Westchnęłam ciężko – Skontaktuję się ze swoim człowiekiem w redakcji „Timesa”. Artykuł powinien być gotowy na rano, a w druku ukaze się następnego dnia. I będę musiała zadzwonić do Densmore'a, powiadomić go o wszystkim.

Niezbyt mi się uśmiechało raportowanie Herr Densmore'owi. Chociaż mogło to mi sprawić trochę radości. Zwłaszcza że moje informacje przewrócą jego świat do góry nogami.

– Bailey. Może wreszcie dopisze nam szczęście. Zadzwonisz do laboratorium? Już koniec dnia.

Uśmiechnęła się i podała mi swój telefon, dyktując numer do technika, który zajmował się testem.

Wystukałam numer.

– Laboratorium... mówi Fukai. – Usłyszałam azjatycki akcent.

– Proszę chwilę poczekać, będzie rozmawiać Bailey Keller. – Oddałam jej telefon.

– Macie wyniki badania DNA Revelo?

Czekałam, podczas gdy ona wysłuchiwała opowieści technika przez dobre półtorej minuty. Wpatrywałam się w jej twarz, szukając jakiegoś znaku, ale była skupiona na prowadzeniu. Wyraz jej twarzy nic nie zdradzał. Wreszcie wyłączyła komórkę i oddała mnie.

– No i?

– To nie był Revelo.

– Yes! – wyrwało mi się radośnie. Będzie miło oznajmić temu bufonowi, że pomylił się co do Luisa. Najpierw jednak chciałam powiadomić osobę najbardziej tym zainteresowaną.

Wygrzebałam swój telefon w torbie i wybrałam połączenie.

– To ty Susan? Mówi Rachel Knight. Możesz rozmawiać?

Kiedy przekazałam jej nowinę, jej odpowiedź była wynagrodzeniem za moją ciężką pracę. Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem usłyszałam głębokie westchnienie ulgi i okrzyk triumfu.

– Wiedziałałam! Wiedziałałam! Próbowałam mu to powiedzieć, ale nie chciał mnie słuchać! A teraz... Jest pani pewna, prawda?

– Na sto procent – potwierdziłam. On znaczyło pewnie Densmore'a. – Możesz spokojnie to uczcić. Miałaś rację, Susan, i miło mi, że mogę to potwierdzić.

To powinno przywrócić jej chociaż odrobinę poczucia kontroli nad własnym życiem i wiarę w siebie. Dla każdego jest to bardzo ważne, ale ofiarom gwałtu szczególnie potrzebne.

Jej rozradowany głos był dla mnie jak oglądanie słońca wypływającego zza chmury.

– Powie pani ojcu? – spytała.

– Kiedy tylko skończymy rozmawiać – obiecałam.

– Cudownie! – odparła, nie chcąc mnie zatrzymywać. – Proszę, niech pani do niego zadzwoni. Jeszcze raz dziękuję. I proszę podziękować Bailey, dobrze? I pozdrowić Luisa.

Sama chciałam mieć rozmowę z jej ojcem jak najszybciej za sobą, więc powiedziałam Susan, że będziemy w kontakcie i rozłączyłam się.

– A teraz – burknęłam – znowu będę musiała włączyć w dupsko.

Okazało się, że koniec końców rozmowa wcale mnie nie rozśmieszyła. Kiedy powiedziałam Densmore'owi, że testy DNA wykluczyły Revelo, ryknął i od razu spytał, czy już się zajęłyśmy strażnikiem z ochrony. Nawet się nie zająknął. Rozłączyłam się i ze złością wrzuciłam telefon do torby.

– Wasi ludzie przepytali sąsiadów na okoliczność sprawy? – spytałam Bailey.

– Tak.

– Wytypowaliście kogoś?

– Czyściciel basenów, ogrodnik i jeden dzieciak, który mieszkał kiedyś w sąsiedztwie, zanim jego rodzina splajtowała. Wygląda, że miał z Susan jakiś romansik w czasie lunchu. Oszukali nawet własnych kumpli.

– No i?

– Gość od basenów ma sztywną nogę i nigdy w życiu nie wspiąłby się po drabinie. Ogródnik ma solidne alibi. A nad chłopakiem wciąż pracujemy, ale nie chciałabym go w to mieszać.

– Nie chciałybyś go w to mieszać? – Przedrzeźniałam jej ton.

– Nie. – Zerknęła na mnie znad kierownicy. – Nawet nie ma żadnego alibi. Twierdzi, że poszedł wcześniej spać.

Jeżeli nie udało nam się otrzymać nakazu na przymusowe badanie Pickelmana, to jak w banku nie dostaniemy nakazu na dzieciaka, któremu się nie chce nawet zmyślić jakiegoś alibi.

– Możemy chociaż wrócić do Oki-Dog jutro – zauważyłam. – Te hamburgery pachniały wspaniale.

Układałam sobie w myślach plan dnia na jutro, żeby udało mi się dotrzeć tam na lunch. Ale jak to mówią, „człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”.

[24] James Ellroy – amerykański autor kryminałów, z których wiele sfilmowano. Na podstawie jego książki powstał m.in. serial „Tajemnice Los Angeles” (przyp. tłum.).

[25] Larry Gelbart – amerykański pisarz i scenarzysta. Autor m.in. serialu „M.A.S.H.”.

[26] Slash – amerykański muzyk rockowy.

Następnego ranka telefon zadzwonił o szóstej trzydzieści. Podniosłam słuchawkę i spojrzałam na wyświetlacz. Dzwoniła Bailey.

– Pickelman nie pojawił się na rannej zmianie.

– I dopiero teraz cię powiadomili?

– Dyrektor sam dowiedział się dopiero po przyjściu. Musimy tam jechać i zabrać jego akta, żebyśmy mogły go odnaleźć. – Odwiesiła słuchawkę.

Jęknęłam i zwlokłam się z łóżka. Po szybkim prysznicu darowałam sobie makijaż, wbiłam się w dżinsy, włożyłam ciepłą podkoszulkę i ulubioną kamizelkę kuloodporną. Tym razem akurat nie miałam nic przeciwko niej, bo ranki były mroźne. Na wierzch włożyłam grubą płaszcz. Bailey czekała na mnie w samochodzie przed wejściem. Pokazała na papierowy kubek z kawą tkwiący w otworze na desce rozdzielczej.

– Bądź człowiekiem – powiedziała.

Usiadłam posłusznie obok niej i ostrożnie zdjęłam pokrywkę, żeby ulotniła się para. Potem dmuchałam i drobnymi łykami zaczęłam popijać poranną kawę. Po piątym łyku znalazłyśmy się już na autostradzie razem z resztą Los Angeles.

– W ogóle się nie zgłosił do pracy? – spytałam.

– Nawet nie zadzwonił, że nie przyjdzie.

Normie, dyrektor, był zażenowany zajściem i za wszelką cenę starał się nam pomóc, podał wszystkie znane mu telefony i adresy kontaktowe Duane'a Pickelmana. Bailey zadzwoniła po wsparcie przy jego ostatnim adresie zamieszkania, w dzielnicy koreańskiej. Dwupiętrowy, obdrapany budynek miał wejście od ulicy. Na końcu parkingu obok śmietnika stała stara kanapa. Kiedy podjechałyśmy, poderwało się stado kruków oblegające

coś w torebce z fast-fooda. Staralam się nie traktować tego jako omen. Wsparcie nadjechało, kiedy zaparkowałyśmy przed wejściem do budynku B, naszego celu. Drzwi wejściowe były oblepione nalepkami reklamowymi lokalnej radiostacji i dwoma kalkomaniami z kwiatami. Duane nie okazał się dobrym dekoratorem.

Czwórka barczystych policjantów w mundurach rozmawiała przez chwilę z Bailey. Dwóch pobiegło na tyły budynku, a pozostali wyciągnęli zabójczo wyglądające latarki i zaczęli walić w drzwi. Stałyśmy z boku z bronią gotową do strzału. Na wszelki wypadek.

– Panie Pickelman. Policja. Proszę otworzyć.

Kiedy przez kilka sekund nic się nie działo, znów zastukali. Nadsluchiwałam dźwięków dochodzących zza drzwi. Wyłowiłam odgłosy gołych stóp i ciche szepty. Bailey dała znak kiwnięciem głowy i policjanci krzyknęli:

– Policja!

Kiedy i to nie przyniosło rezultatu, jeden z funkcjonariuszy odsunął się na bok i wyciągnął broń, a drugi przymierzył się barkiem do drzwi, a potem się cofnął i kopniakiem otworzył je na oścież; z wnętrza dobiegły nas głosy piszczących dziewcząt.

Spojrzałyśmy po sobie z Bailey, bo nie tego się spodziewałyśmy. Policjant, który kopał w drzwi, wyjął broń i dał gestem znak koledze, żeby go ubezpieczał. Przyglądałam się z tyłu, jak wchodzą ostrożnie do środka. Po sekundzie pojawiły się dwie nastolatki w T-shirtach i kusych piżamach z nadrukowanymi misiami. Kuliły się wystraszone z podniesionymi do góry rękoma i opuszczonymi głowami, jakby spodziewały się ciosów. Policjanci sprawdzili resztę mieszkania, ale nikogo nie znaleźli. Pierwsza dwójka ujęła dziewczyny za łokcie i odprowadziła na bok.

Zerknęłam na nie, kiedy przechodziły obok mnie, jedna wyglądała na mniej więcej dwadzieścia lat, druga na szesnaście. Miały poszarzałe ze strachu twarze. Młodsza wybuchnęła nagle płaczem.

– Dacie sobie teraz radę? – spytał jeden z policjantów sarkastycznie, ale też z rozbawieniem.

– Myślę, że tak – mruknęła Bailey. – Koledzy dokończą sprawdzanie mieszkania?

– Właśnie to robią. Oni zostaną. My musimy wracać na komisariat.

– Nie ma sprawy. Dzięki Red.

Spojrzałam na dziewczyny dygocące z zimna w cienkich piżamach. Dwójka policjantów wyszła już na ulicę i podniesionymi kciukami dali nam znać, że nie ma niebezpieczeństwa. Skoro mieszkanie okazało się czyste, nie było sensu stać na ulicy.

– Chcecie wrócić do środka? – spytałam.

Usiadłyśmy za tanią imitacją drewnianego stołu. Dziewczyny usiadły obok siebie na kanapie – sprawiała wrażenie bardziej zużytej niż ta wyrzucona na śmietnik.

– Jak się nazywacie? – Bailey wyjęła mały notatnik i długopis.

– Amy Pickelman – odpowiedziała młodsza. Teraz i ja dostrzegłam podobieństwo. Dziewczyna była blada, chuda i wysoka, chociaż niższa niż Duane. Jej włosy zwisały w strąkach jak u niego.

– Deandra Scorper – powiedziała dwudziestolatka, ładna brunetka. Była drobna, lecz nie wychudzona.

– Amy, masz jakiś dokument ze sobą? – spytałam.

– Uh... nie wiem, co z nim zrobiłam. – Dygotała z przerażenia.

Poczekalam, czy wykrztusi z siebie coś jeszcze, ale daremnie.

– Jesteś na gigancie.

Po krótkim milczeniu odezwała się Deandra, która zdaje się, nie lubiła młodszej dziewczyny.

– Daj spokój, Amy. To oczywiste! – Spojrzała na mnie. – Przygarnęliśmy ją na jakiś czas, dopóki jej matka po nią nie przyjedzie. Oni mieszkają w Phoenix.

Amy odwdzięczyła jej się spojrzeniem, które powinno spopielić skałę.

– Mam po wyżej uszu tej śmierdzącej nory – wykrzyknęła. – A ojczym nie pozwala mi na nic. Nie wrócę tam!

– Kiedy ostatni raz widziałyście Duane'a? – Spojrzałam na starszą.

– Wczoraj. Zanim wyszłam do pracy.

– Gdzie pracujesz? – spytałam bez żadnego powodu. Po prostu to pytanie samo się nasunęło.

– T.G.I. Friday's. Jestem kelnerką. Dzwonił, kiedy byłam już w domu. Powiedział, że ma coś ważnego do zrobienia i że wróci, gdy tylko skończy i żeby się nie martwić. – Zamilkła i popatrzyła na nas. – Rozumiem, że wstawiał mi kit?

– Widziałyśmy go kilka dni temu i prosiłyśmy o nieopuszczanie miasta – odparłam i poczekałam, aż sama wyciągnie wnioski.

– Jak, do cholery, mam sama opłacić czynsz? Jeszcze z nią na karku? – Kiwnęła głową w stronę Amy.

– Dzwoni do ciebie na komórkę?

– Tak. – Deandra sięgnęła po leżącą pod stołem torbę i wyjęła telefon, który mi od razu podała.

Przewinęłam połączenia z ostatniego dnia.

– Pamiętasz, o której wróciłaś do domu?

– Dwudziesta druga trzydzieści. Dzwonił około dwudziestej trzeciej.

Sprawdziłam godziny połączeń i odnalazłam jego numer. Połączyłam się, ale odezwała się automatyczna sekretarka z jego głosem, prosząc o

pozostawienie wiadomości. Przerwałam połączenie i podałam telefon Bailey, żeby zanotowała numer.

– Wiesz może gdzie on jest?

– Gdybym wiedziała, to bym wam powiedziała.

Wierzyłam jej. Spojrzałyśmy na siebie z Bailey. Nic więcej nie było tu do roboty. Bailey zawołała policjantów czekających na zewnątrz.

– Ta idzie z wami. – Wskazała na Amy. – Uciekła z domu i zaraz poda wam telefon do swojej mamy i jej nazwisko. – Wpatrywała się w dziewczynę.

Przez chwilę wydawało się, że Amy zatnie się w sobie, ale po pięciu sekundach walki na spojrzenia z Bailey wyrecytowała policjantowi wszystkie informacje.

– Dzięki, Deandro. – Wstałam od stołu i podałam swoją wizytówkę. – Zadzwoń, jeżeli się odezwie.

– Nie ma sprawy, zadzwonię.

Sądząc po tonie głosu, była zdeterminowana, żeby słowa dotrzymać.

Kiedy wychodziłyśmy na ulicę, jeden z policjantów rozmawiał z matką Amy. Z tego, co usłyszałam, teraz dziewczyna jeszcze bardziej znienawidzi swoje życie.

Wracając do centrum, zaczęłam odczuwać skutki porannego wstawania. Powieki mi ciążyły, jakby były z ołowiu. Głowa sama opadała na piersi i miałam potworną chęć na drzemkę. Sumienie mi nie pozwalało zostawić Bailey samą z samochodem, więc walczyłam ze snem, snując plany na przyszłość.

– Masz kogoś, kto potrafi namierzyć komórkę Pickelmana? – spytałam sennym głosem.

– Zacznę dzwonić, gdy tylko dojedziemy do ciebie. – Ziewnęła.

Ja z natury byłam sową, więc ranne wstawanie zawsze sprawiało mi problem. Bailey zaś skowronkiem. Ziewała z zupełnie innego powodu.

– Ciężko pracować całymi dniami, chodząc z barmanem – stwierdziłam, żeby zobaczyć jej reakcję.

Zerknęła na mnie, uśmiechnęła się lekko i skupiła na prowadzeniu.

– Ale warto.

Jak widać związek z Drew kwitł. Cieszyło mnie to, byłam pod wrażeniem.

Podjechałyśmy do hotelu. Zamieniłyśmy mój pokój w biuro. Zadzwoniłam po room service i zamówiłam kawę, owoce i słodczyce. Bailey zaczęła wydzwaniać, a ja przygotowałam sobie wreszcie prawdziwą kawę z bezkalorycznym słodzikiem i dwuprocentowym mlekiem. Od razu wypiałam połowę filiżanki i wpatrywałam się w czekoladowe ciastko, które sobie bezwstydnie zamówiła Bailey. Wystarczy odrobina niedospania i cała moja dyscyplina, jeśli idzie o dietę, bierze w łeb.

– No dobra. – Schowała telefon. – Uruchomiłam wszystkie trybiki. Teraz trzeba mieć tylko nadzieję, że technicy są naprawdę szybcy i że Duane nie wyrzuci telefonu. Wtedy nie mamy szans.

Ugryzła wielki kęs ciastka i żuła powoli. Patrzyłam na nią jak pies na kość.

– Spróbuj. – Podała mi kawałek.

– Nienawidzę cię. – Chwyciłam ohydnie zdrowe jabłko.

Ta sadystka tymczasem położyła nogi na stoliku, odchyliła się wygodnie na krześle i złośliwie jadła ciastko jak najdłużej.

Nagle zadzwonił jej telefon. Zerknęła na wyświetlacz, a potem na mnie z zaskoczeniem w oczach.

– Centrala.

Dziwne. Centrala nigdy nie dzwoniła do detektywów. Zawsze do patroli w wozach.

– Keller, słucham. – Słuchała przez chwilę. Nagle postawiła nogi na podłodze i usiadła wyprostowana. – Podaj mi ten adres, proszę. – Coś zapisywała. Podziękowała i rozłączyła się.

– Co ci zawsze powtarzam? – spytała.

– „Dlaczego nie przestaniesz mnie wreszcie drażnić? Wykrztuś to wreszcie!”

– Nie to. Zawsze mówię, że trzeba mieć szczęście.

– No i?

– Mamy Pickelmana.

Wybiegłyśmy, Bailey po drodze wezwała wsparcie. Drugi raz tego dnia. Dopiero kiedy zjechałyśmy na autostradę, raczyła wprowadzić mnie w szczegóły.

– Gdy tylko się dowiedziałam, że zniknął, powiadomiłam patrole i centralę, że go szukamy. Wygląda na to, że ktoś zadzwonił pod dziewięćset jedenaście z pytaniem, czy jest za niego nagroda.

– Czemu ktoś miałby tak pomyśleć? – Zamilkłam. Dopiero załatwiłam artykuł w „Timesie” o aresztowaniu podejrzanego w sprawie gwałtu. Nie

sądzę, żeby już cokolwiek się ukazało.

– Podejrzewam, że Pickelman pochwalił się temu komuś, u kogo był, że nawiał glinom. Ten ktoś pewnie nawet nie ma pojęcia o tym gwałcie. Może po prostu kiedy dowiedział się, że Pickelmana szuka policja, postanowił sobie trochę dorobić, wydając go nam. Stąd ten telefon i pytanie o nagrodę. Operatorka była na tyle sprytna, że przytrzymała go na telefonie, dopóki nie ustalili, skąd dzwoni. Wtedy mu oznajmiła, iż jego nagrodą będzie to, że go nie aresztują za ukrywanie zbiega i utrudnianie pracy policji, jeżeli natychmiast powie, gdzie jest Pickelman i upewni się, że pozostanie tam do czasu przybycia policji.

– Dziewczynie należy się nagroda. Jak daleko jeszcze?

– Już jesteśmy. – Bailey zjechała z autostrady do Boyle Heights.

Skrzyżowałam palce, żeby tym razem nie zapeszyć. Ale to, że był blisko, stanowiło dobry omen.

Wsparcie już na nas czekało. Policyjny radiowóz stał naprzeciwko bloku, który był chyba naszym celem. Jednopiętrowy budynek w stylu rancza w kształcie podkowy. Wielkiej różowej podkowy, która zdążyła zblaknąć i wykruszyć się przez pięćdziesiąt lat od chwili pomalowania jej na ten niefortunny kolor po raz pierwszy i jedyny. Drzwi wejściowe do mieszkań znajdowały się we wnętrzu podkowy, a podwórko było zaśmiecone chwastami, opakowaniami po jedzeniu i pustymi butelkami.

Bailey dała znak mundurowym, żeby ruszyli za nami i wszyscy pobiegliśmy pod drzwi oznaczone numerem dziewięć. Jeden z policjantów zapukał w drzwi, co zaowocowało głośnym wrzaskiem w mieszkaniu.

Dwaj policjanci cofnęli się i razem uderzyli barkami w drzwi. Puściły od razu, jakby były ze spróchniałego drewna. Funkcjonariusze wyciągnęły broń i wbiegli w głąb. Szłyśmy za nimi przez pusty salon, a potem wąskim korytarzem musieliśmy iść gęsiego. Dochodziły odgłosy nerwowej

szamotaniny i podniesionych męskich głosów. Kiedy dotarliśmy do sypialni, Pickelman zwisał z parapetu, do połowy przechylony za okno. Dwóch patykowatych młodzieńców – jeden biały z niechlujną brodą, drugi wyglądający na Indianina z długimi czarnymi włosami – trzymało go za nogi i pasek od spodni, próbując wciągnąć do środka.

– Pomóżcie nam, do licha! – wrzasnął biały.

Mogłabym przysiąc, że jeden z policjantów zachichotał. Dwóch podbiegło do okna i podnieśli Pickelmana, który wierzgając i krzycząc, kopnął któregoś w głowę. To był błąd. Policjanci wzięli się na serio do roboty i rzucili go twarzą na podłogę, wykręcili do tyłu ręce i założyli kajdanki. Pozwoliłam sobie na chwilę euforii.

– To świnią! – wydyszał biały chłopak. – Zapaskudził nam całe mieszkanie. Zachowuje się jak wariat. Zabierzcie go stąd. On jest niebezpieczny. Pozwoliłem mu przenocować u nas, bo myślałem, że wyznaczyliście za niego jakąś nagrodę czy coś.

Zastanawiałam się, czym miałyby być to „coś”, ale potem spojrzałam na Pickelmana. Wyglądał gorzej niż podczas ostatniej rozmowy. I to nie dlatego, że policjanci nieco go poturbowali. Był trupio blady i miał twarz o dziwnym wyrazie.

Kucnęłam koło niego i odwróciłam jego twarz w swoją stronę.

– Co ci dolega, Duane? Wyglądasz jak śmierć.

Oddychał ciężko. Próbował odwrócić twarz z powrotem na podłogę. Trudno to jednak zrobić, gdy masz ręce skute na plecach, leżysz na podłodze i jesteś trzymany przez dwóch policjantów.

– Daj spokój, Pickelman. Już masz przesrane. Dopadliśmy cię za stawianie oporu podczas próby aresztowania. To znaczy, że możemy sami pobrać próbkę twojego DNA. Jesteś ugotowany. Możesz więc spokojnie powiedzieć mi, dlaczego tak wyglądasz.

– Nikogo nie zgwałciłem – wyjęczał piskliwym głosem. – Uciekłem, bo nie chcę stracić pracy. Jeżeli zbadacie DNA, wykryjecie, że biorę kryształ^[27]. Musiałem się schować, żeby zrobić detoks i mieć czysty test.

Spojrzałyśmy na siebie z Bailey. Był uzależniony od metamfetaminy. Świetna przykrywka, ale czułam, że wyjaśnienie Duane'a brzmi, niestety, prawdziwie. Zresztą jego wygląd to potwierdzał.

– Zabierzcie go – powiedziała Bailey policjantom. – Pewnie wciąż jest nagrany, więc możecie go za to zatrzymać. I upewnijcie się, że zostanie pobrana próbka śliny do testów DNA. Sama ją zawiozę do laboratorium.

Wiedziałyśmy, że testy go wykluczą.

Pojechałyśmy z powrotem do centrum. Gapiłam się przez okno bezmyślnie, bo byłam zbyt zmęczona i zdołowana, żeby myśleć o czymkolwiek. Chciałam tylko dopaść gwałciciela Susan, znaleźć sprawcę śmierci Jake'a i Kita i wleźć pod prysznic.

Na razie mogłam co najwyżej zadowolić się tym trzecim punktem.

[27] Kryształ – slangowe określenie na metamfetaminę. W oryginale crank (przyp. tłum.).

39

Następne trzy dni spędziłyśmy z Bailey w barze Oki-Dog. Siadałyśmy zawsze przy ostatnim stoliku i wypatrywałyśmy w tłumie faceta z Bractwa Aryjskiego, którego nam opisał Hector. Z nudów snułyśmy plany, że wyciśniemy go jak cytrynę, gdy go dopadniemy. Na razie jednak czułam jedynie, jak dzinsy obciskają mi tyłek coraz bardziej. Jeżeli szybko nie złapiemy tego gościa, będę chyba musiała wymienić całą garderobę.

Czwartego dnia po południu niebo było wyjątkowo bezchmurne i obie nosiłyśmy wielkie okulary przeciwsłoneczne.

– Masz swoje pozwolenie. – Bailey podała mi plastikową kartę. Schowałam ją do kieszeni. Po raz pierwszy w życiu nosiłam legalnie swoją broń. Nie czułam żadnej różnicy.

– Podoba mi się ta hipoteza, że gość z Bractwa jest powiązany z gwałtem. To on wrobił Sylmar Sevens w rabunek koło domu Susan – powiedziałam cicho.

Pokiwała w milczeniu głową.

– Ale nawet jeżeli go zgarniemy – mówiłam – nie znaczy, że przyzna się do czegokolwiek. A ja nie mam żadnych dojsć do Bractwa, żeby go zmusić do mówienia. Luis był fuksem. Znasz jakiegoś skina, który coś ci jest winien?

– Jasne. – Patrzyła na mnie z kamienną twarzą. – Ja i Mazza często gramy w polo. Prześlę mu esemesa.

Mazza – jeden z największych szefów skinheadów – siedział od kilku lat w więzieniu o zaostrozonym rygorze. Odniosłam wrażenie, że Bailey nie była ze mną szczerą.

Wtedy zadzwoniła moja komórka. Wyjęłam ją z kieszeni i odebrałam połączenie.

– Tak?

Przez chwilę nie słyszałam nic z powodu mew, które gromadnie nadleciały, by skończyć czyjś porzucony oki-dog.

– Federalni znikają na cały dzień. Dostali cynk o jakimś wielkim przemyśle narkotyków na granicy. Pomyślałem, że chciałabyś przejrzeć akta i zobaczyć, co znaleźliśmy w motelu.

– O której? – Nagle dostałam kopa energetycznego.

– Rozumiem, że to znaczy tak. – Graden był rozbawiony. – Odezwę się, kiedy tylko zrobi się tu spokojnie.

– Rewelacja. – Rozłączyłam się.

Bailey uniosła brew. Musiała podsłuchiwać.

– Zawsze lepiej znać króla, prawda?

Kiwnęłam głową. Kątem oka zauważyłam grupkę młodzieży z kudłatymi głowami, w obcisłych džinsach i króciutkich T-shirtach stojącą wokół stolika przy ulicy. Jeden z chłopaków odsunął się na chwilę, postawił nogę na krześle i wiązał sznurowadła. Wtedy dostrzegłam mężczyznę przy stoliku między nimi.

Czarny wąsik zachodził mu na brodę, a włosy – zbyt czarne jak na naturalny kolor – miał związane w koński ogon. Wyglądał na twardziela. I to nie tylko dlatego, że miał skórzaną kurtkę i czarną koszulę. Sprawiał wrażenie czujnego i otaczała go jakaś aura przewodzenia, co było widać po zachowaniu dzieciaków.

Pochylił się, częstując jakąś dziewczynę papierosem. Wzięła jednego, a on przysunął się bliżej, żeby jej przypalić. Poczułam nagle ciarki na karku. Powoli wyjęłam komórkę, opuściłam się niżej na krześle i zrobiłam mu zdjęcie. Chciałam zrobić jeszcze, ale w kadr wlaź mi jakiś chłopak, zasłaniając widok. Usiadłam wygodnie i obserwowałam całą grupę. Zerknęłam na Bailey – również ich zauważyła.

– Masz go? – spytała cicho.

– Chyba tak. – Podałam jej pod stołem telefon, żeby mogła obejrzyć zdjęcie. Poza wąsami pasował do opisu Hectora. – Myślisz, że to ten?

– Może. Musiałabym spojrzeć na jego szyję.

– Chcesz go przycisnąć? – spytałam. Trzeba by go w tym celu aresztować i dopiero potem sprawdzić szyję. Jeżeli teraz go aresztujemy, będę musiała ujawnić zeznania Hectora. Z tym jednak spróbuję sobie poradzić później.

– Lepiej poczekajmy. Nie chcę robić przedstawienia przy dzieciakach.

Przytaknęłam. Nagle przyszedł mi do głowy lepszy sposób. Szybko znalazłam właściwy numer i połączyłam się.

– Co? – odezwał się chrapliwie Luis.

Szef Sylmar Sevens najwyraźniej lubił pracować w nocy. Wolałam nie myśleć, czym się ostatnio zajmował.

– Obudź się, Luis. To pilne. Hector ma komórkę? Chcę mu pokazać zdjęcie. Sprzed pięciu minut. Możesz tym się zająć?

Aresztantom nie wolno było posiadać telefonów komórkowych, ale większość i tak je miała.

– Pani prześle mi to zdjęcie. – Ziewnął głośno. – Zajmę się tym.

– Ale wiesz, ja się śpieszę.

– Tak, tak, wiem. Proszę mi je przesłać.

– Wysyłam.

– Wychodzi – zauważyła Bailey, podnosząc się z krzesła.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że nasz cel wstał i rozmawia z jakąś blondynką. Okazało się, że miał prawie metr osiemdziesiąt i był raczej wagi średniej. Doszłam do wniosku, że razem z Bailey powinniśmy sobie z nim dać radę. Zwłaszcza, jeżeli nie miał broni. Hector jeszcze nie potwierdził, ale mój nos mówił mi, że się nie mylę. Wstałam i zaczęłyśmy się powoli

przeciskać między stolikami w jego stronę, próbując przy tym zachowywać się jak normalni goście. Już drugi raz, odkąd zmuszono mnie do noszenia kamizelki kuloodpornej, poczułam zadowolenie. Wsadziłam dłoń do kieszeni, czując kolbę rewolweru. Tak na wszelki wypadek.

Brakowało nam już trzech metrów, kiedy jakiś chłopak przy stoliku powiedział coś do naszego celu, wskazując głową na nas. Mężczyzna odwrócił się i na moment spotkaliśmy się wzrokiem. Nagle nastolatki całkiem zasłoniły go sobą. Musiałyśmy się śpieszyć. Bez pardonu przepychałyśmy się między stolikami. Kiedy dobrnęłyśmy do nastolatków, mężczyzna już zniknął. Rozejrzałam się wokoło. Zauważyłam go idącego szybko w stronę parkingu przy stacji benzynowej.

Ruszyłyśmy w pogoń. Ile sił w nogach. Biegając, czułam jak kamizelka coraz bardziej zaczyna mnie dusić. Chciałam wezwać posiłki, ale nie było na to czasu. Mężczyzna doszedł do stacji benzynowej i zniknął w warsztacie samochodowym. Gestem pokazałam Bailey otwartą przestrzeń przed nami. Jeżeli nie znajdziemy jakiejś osłony, wystawimy się na strzały jak na strzelnicy. Skinęła głową i pokazała, żebyśmy zajęły stanowiska po obu stronach stacji.

Dobiegłam do jednego końca i stanęłam pod ścianą z bronią w ręku. Ciężko dyszałam po szaleńczym sprincie. Starłam się wyrównać oddech. Po drugiej stronie zauważyłam Bailey – stała przy ścianie między stacją a warsztatem z bronią w dłoniach. Słyszałam w środku głosy mężczyzn, ale żaden nie był zdyszany lub zdenerwowany. Zaryzykowałam i zerknęłam do środka. Dwóch mężczyzn w kombinezonach stało pod silnikiem starego mercedesa na podnośniku. Żadnego końskiego ogona czy czarnej skórzanej marynarki.

Rozejrzałam się po stacji. Jakaś kobieta nabierała paliwo do nowej czerwonej toyoty corolla. Mężczyzna w białym T-shircie i hełmie

motocyklisty odkręcał zawór w baku swojego motoru. Znowu zerknęłam do warsztatu i warknęłam:

– Policja. – Nie było to prawdą, ale nie miałam czasu na teoretyczne szczegółowe wyjaśnienia. – Opuśćcie samochód.

Niższy i bardziej łysy z dwójki spojrział na mój rewolwer i nacisnął przycisk opuszczający samochód. Kiedy samochód znalazł się pół metra nad ziemią, zauważyłam to, czego szukałam: skórzaną kurtkę. W tej samej chwili usłyszałam wycie silnika motocykla i odwróciłam się w stronę dystrybutorów. Akurat na czas, żeby zobaczyć oddalający się motocykl. Pobiegłam i prawie wpadłam na młodego człowieka wychodzącego ze sklepiku. Chłopak wrzeszczał bezradnie, patrząc za uciekającym motocyklistą.

Podbiegłam do ulicy, próbując się zorientować, w którą stronę mógł uciekać. Za chwilę dołączyła do mnie Bailey. Schowałam rewolwer; patrzyłam, jak motor oddala się w kierunku południowym.

– Facet ukradł mi motor! – wrzasnął młodzieniec.

– Zadzwoń po gliny. – Podałam mu swój telefon.

Przez chwilę patrzył z niepokojem to na mnie, to na Bailey. Wreszcie wziął telefon.

– Dzięki – powiedział

– Cholera! – Bailey nie mogła pogodzić się z porażką.

Oparłam się o dystrybutor, a ona wciąż gapiała się w stronę, w którą odjechał motocyklista. Chłopak z kolczykiem oddał mi telefon i odszedł, kręcąc głową z niedowierzaniem. Schowałam komórkę do kieszeni.

– Zaczął uciekać, gdy tylko nas zobaczył.

Przytaknęła ruchem głowy.

– Musiał rozpoznać przynajmniej jedną z nas – powiedziałam.

– Na pewno.

– Chyba że zawsze nawiewa na widok kobiet.

– Albo rozpoznał w nas gliniarzy.

Przyjrzałam się uważnie Bailey.

– Nie sędzę.

Ona obejrzała mnie od stóp do głów.

– Fakt.

– Założę się, że to on załatwił mój samochód i prawdopodobnie do nas strzelał.

– Brzmi sensownie.

– I wiesz, co jeszcze?

– Nie. A co jest jeszcze? – spytała bez entuzjazmu.

– Nasz plan zadziałał. Kiedy przeczytał w „Timesie”, że mamy podejrzanego w areszcie, wyszedł z ukrycia, myślał, że jest już bezpieczny.

Bailey kiwnęła w milczeniu głową.

– To już coś – dodałam.

Znowu kiwnęła głową.

– Mówiłam ci już, że to bardzo wnerwiający, kiedy tak się zacinasz?

Wtedy w kieszeni odezwał się mój telefon. Wyjęłam go i spojrzałam na numer.

– Tak, Luis?

– Hector twierdzi, że to ten sam facet.

40

To był nasz facet. I jak sędzę, jego osoba mogła się przewijać w wielu wątkach, z tego co zauważyłam, w Oki-Dog. Nie miałam pojęcia, czy gliniarze kiedykolwiek go złapią. Zwłaszcza za kradzież motocykla. Kradzież pojazdów nie znajdowała się na liście ich priorytetów. Nie mogłam im przecież powiedzieć, że facet z Bractwa nadał włamanie w Palisades, bo informacje te zdobyłam nielegalnie od Hectora. Przynajmniej teraz Amaya nie musiał obawiać się publicznej konfrontacji. Mogliśmy faceta zaarrestować za kradzież. Pod warunkiem że go znajdziemy.

– Możesz sprawdzić, kim on jest, bez zostawiania śladów w systemie? – spytałam Bailey.

– Jasne, tylko cię odwiozę.

Byłam niecierpliwa. Czułam, że zbliżamy się do rozwiązania, i nie potrafiłam czekać bezczynnie. Chciałam coś zrobić. Gdy tylko Bailey odwiozła mnie do Biltmore, od razu zaczęłam szykować e-maila do Clive'a ze zdjęciem naszego człowieka z Bractwa. Jeżeli słusznie podejrzewałam, że gość jest w jakiś sposób zamieszany w gwałt na Susan, jego zdjęcie mogło znajdować się w którejś bazie danych. Clive potrafił się dostać do takich baz danych i działał szybko.

Kiedy się zalogowałam, ze zdumieniem zauważyłam, że przysłała już od niego odpowiedź na mój wcześniejszy e-mail: *Zgodnie z prośbą, załączam zdjęcia wykonane w podobny sposób, jak zdjęcie ofiary, które otrzymałem. Proszę o informację, czy mogę zrobić coś jeszcze.*

Wysłałam mu zdjęcie z Oki-Dog z prośbą o sprawdzenie, czy podejrzany nie pojawił się w którejś bazie danych. Potem otworzyłam załączniki. Znalazłam siedmiu chłopców, mniej więcej w wieku Kita. Kiedy je dokładniej obejrzałam, zauważyłam, że wszyscy stoją na tym samym tle

co on. Nawet oświetlenie, brak mebli i co więcej, czarna pionowa linia były identyczne. Zaczęłam je oglądać jeszcze raz, skupiając się tym razem na szczegółach. I znalazłam na jednym z nich Dantego.

Poczułam, jak adrenalina zaczyna we mnie buzować. Jeżeli Dante spojrzy na to zdjęcie, może przypomni sobie, gdzie zostało zrobione. Zadzwoiłam do niego, ale, niestety, odezwała się tylko skrzynka głosowa. Nagrałam się, prosząc, żeby do mnie natychmiast oddzwonił. Potem znowu zaczęłam oglądać zdjęcia. Przejrzałam je uważnie po kolei. Czarna linia znajdowała się na każdym. Sprawdziłam jeszcze raz na fotografii Kita. Nie było mowy o pomyłce.

Wzięłam szkło powiększające, sprawdzając ponownie każdą fotografię. Milimetr po milimetrze, ale nic to nie dało. Nic nie mogłam wypatrzeć na zdjęciach złej jakości i zadziwiająco nieprofesjonalnych.

Cokolwiek to było, musiało stanowić część pokoju. Z pewnością to nie przypadkowy cień czy błąd w wywołaniu. Znaczy, że wszystkie zdjęcia zostały zrobione w tym samym miejscu. I przy odrobinie szczęścia Dante mógł mi powiedzieć, gdzie to było.

Żałowałam, że nie mam oryginału zdjęcia Kita, ale nie chciałam, żeby Graden wpadł w kłopoty i odesłałam mu je przez Bailey. Mój telefon wreszcie się odezwał, grając refren z „Love Street” w wykonaniu The Doors. Ściągnęłam ten utwór z nudoń w czasie któregoś z pobytów w Oki-Dog, mimo że był dość hałaśliwy.

Dzwonił Dante. Byłam zniecierpliwiona, od razu przeszłam do rzeczy.

– Znalazłam twoje zdjęcie w sieci. Zaraz ci je prześlę. Chciałabym, żebyś sobie przypomniął, gdzie zostało zrobione.

Westchnął głośno i długo w słuchawce panowała cisza.

– Proszę je wysłać – powiedział wreszcie.

Odparłam, że dostanie je za parę sekund i rozłączyłam się, żeby dotrzymać obietnicy. Mój telefon zadzwonił już po dwudziestu sekundach.

– To moje zdjęcie – usłyszałam. – Nie mam pojęcia, gdzie je zrobiono. I jakoś dziwnie wygląda. Inaczej niż normalne zdjęcia, które nam robią – dodał ze zdziwieniem.

Liczyłam na więcej, ale nie byłam zaskoczona jego odpowiedzią. Przecież uprzedzał mnie, że stara się zapomnieć o takich sprawach. Choć informacja, że fotografia różniła się od typowych zdjęć tego typu, już stanowiła jakiś ślad. Na razie do niczego niepotrzebny, ale kto wie kiedy mógł się przydać. Powiedziałam, że jeszcze się z nim skontaktuję i rozłączyłam się. Przypomniałam sobie o wcześniejszym esemesie od T'Chii, dziewczyny Kita. Postanowiła jednak powiedzieć prawdę i napisała mi, że Kit chwalił się jej przed śmiercią, że szykuje wielki interes. Domyślała się, że chodzi o narkotyki, więc nie chciała znać szczegółów i o nic go nie pytała.

Nie była to żadna rewelacja. Nagie zdjęcie Kita w kieszeni Jake'a sugerowało, że wszystko kręciło się wokół szantażu. Pytanie brzmiało: kogo Kit naprawdę szantażował?

Zaczęłam chodzić nerwowo po pokoju. Potem wyszłam na balkon. Słońce już prawie zaszło, ale resztki światła wciąż jeszcze snuły się po niebie jak tren królowej. Za horyzontem niebo przybierało swój szkarłatnogrnatowy odcień, który miał wkrótce pożreć resztki światła i zamienić się w granat nocy.

Z zawodowego punktu widzenia dzień mogłam uznać za udany. Co prawda facet z Bractwa uciekł nam ze stacji benzynowej i wciąż nie mogłam stwierdzić, czy to on zgwałcił Susan. Byłam jednak pewna, że to właśnie on zniszczył mój samochód i strzelał do nas na ulicy. Teraz

wiedział już na pewno, że go ścigamy. A ja i tak nie będę całkiem bezpieczna, dopóki go nie aresztujemy.

Mój telefon znowu zaczął grać „Love Street”. Przez chwilę słuchałam po prostu muzyki. Wreszcie odebrałam połączenie.

– Nie zdawałem sobie sprawy, ile ludzi tam się wciąż kręci – stwierdził Graden bez zbędnych wstępów.

– Gdzie?

– W magazynie dowodów. Kiedy następnym razem jakiś adwokat zacznie biadolić, że znowu zgubiliśmy dowód, to każę mu go szukać osobiście – powiedział zdeglustowany. – Nieważne. Chcesz obejrzeć, co znaleźliśmy?

Sama nie wiem, kiedy znalazłam się na ulicy w drodze do komendy policji. Szłam szybko, zastanawiając się, czy powinnam poprosić Gradena o wrzucenie zdjęcia gościa z Bractwa do systemu i sprawdzenie, czy czegoś nie uda się znaleźć.

Drzwi do jego gabinetu były otwarte. Stał przy stole konferencyjnym po prawej stronie biurka. Na stole rozłożono torebki z plakietkami identyfikującymi poszczególne materiały dowodowe. Zapukałam w framugę. Podniósł głowę i skinął, żebym weszła.

– To idealny wieczór, żeby pogrzebać trochę w dowodach w sprawie morderstwa, nie sądzisz? – Uśmiechnął się szyderczo.

– A czy kiedykolwiek może być zła pora? – odparłam z uśmiechem.

– Za każdym razem kiedy cię ktoś na tym przyłapie. Więc lepiej zamknij drzwi.

Zrobiłam, jak mi kazał, i podeszłam do stołu.

– Pocięli na kawałki całą wykładzinę, zebrali cały kurz i żwir, i wszystkie leżące na podłodze fragmenty. Nie mówiąc o tym, że pobrano

próbki DNA z wszystkiego, co się do tego nadawało, i odciski palców z całego pokoju – oznajmił Graden, patrząc na stół.

– No i? – spytałam.

– Żadnych śladów DNA czy nieznanymi odcisków palców.

– Cholera... – Byłam rozczarowana.

– Obeszliśmy cały motel w poszukiwaniu świadków – dodał Graden.

– Założę się, że było śmiesznie – stwierdziłam ponuro.

– Jeden ćpun z pokoju na parterze twierdzi, że widział jakiegoś faceta, który wychodził z motelu zaraz po strzelaninie, ale nie pamięta, jak wyglądał. Określił, że gość nie był wysoki i nie był niski. Nie widział jego fryzury, nie mówiąc o kolorze włosów. Nie pamięta, z którego pokoju wychodził, więc ten tajemniczy ktoś nie musi być powiązany ze sprawą.

– Czyli jesteś gotowy do jego aresztowania? – spytałam.

– Prawie. – Pokiwał z powątpiewaniem głową. Pokazał mi kilka plastikowych torebek w pudełku na środku stołu. – Przekopałem się przez to całe pudło. Jest w nim wszystko, co znaleziono na podłodze.

Objrzałam po kolei torebki. Pojedyncze monety, zapalniczka, kilka niedopałków, spalone zapalniczki, tani kolczyk do ucha. Nic nadzwyczajnego.

– Wiele tego nie ma.

– Wiem. – Wysunął szufladę biurka, wyjął z niej paczkę M&M i mnie poczęstował. – Nagroda pocieszenia. I jak cię znam, to jednocześnie twoja kolacja.

– Wyglądają jakoś inaczej. – Wysypałam parę na dłoń.

– Ostatni wynalazek. Jeszcze nie ma w sprzedaży.

– Darmowa próbka? – Przyglądałam mu się ze zdziwieniem. – Rozdają wam takie rzeczy z uwagi na twoją grę?

– Zgadza się – przytaknął rozbawiony.

– Bezwstydne przekupstwo. – Roześmiałam się.

– Jestem bezwstydy, więc mi to nie przeszkadza. – Też się roześmiał. – Poza tym bardzo mi smakują.

Kiwnęłam głową, chociaż akurat za nimi nie przepadałam. Miały mieć smak orzeszków kokosowych, a zalatywały mydłem. Oddałam mu opakowanie i wróciłam do oglądania dowodów.

– A to co? – W torebce było błyszczące, okrągłe coś.

– Pewnie odpadło z jakiejś dziwki – odparł.

Chyba miał rację.

– A to? – Wskazałam niedopałki. – Żadnych śladów DNA?

– Niewiele. To, co udało nam się zebrać, nie pasuje ani do Jake'a, ani do Kita, ani do nikogo w naszej bazie danych.

– A co z łazienką – spytałam zrezygnowana. – Tam też nic nie znaleziono?

– Nic, o czym warto wspomnieć. Ale za to mam coś specjalnego dla ciebie.

Spojrzałam na niego z ukosa.

– Uprzedzam, że mam zezwolenie na noszenie broni.

– Jeżeli mnie zastrzelisz, to nic się nie dowiesz – zauważył z uśmiechem. – Kilka lat temu prowadziłem głośną sprawę strzelaniny między gangami. Może nawet o niej słyszałaś. Jeden z gangów chciał się zemścić i pomylił mieszkania. Zginął wtedy dzieciak śpiący w kołysce.

Pamiętałam tę sprawę. Nawet gangsterzy czuli się tym zawstydzeni.

– Jeśli dobrze pamiętam, twój ekspert doprowadził do skazania ich za morderstwo pierwszego stopnia, prawda?

– Obrona nie mogła nic podważyć – potwierdził Graden. – Jest najlepszy. Jeśli chodzi o naszą sprawę, przesłałem mu wyniki sekcji i opis miejsca zbrodni z zapytaniem, co sądzi na temat teorii FBI o morderstwie i samobójstwie.

– I? – Wstrzymałam oddech.

– Powiedział, że kąt wlotu pocisku i rany w głowie Jake'a nie pasują do tej teorii. Jake w żaden sposób nie mógł popełnić samobójstwa.

Dopiero teraz zaczęłam oddychać, czując ulgę.

– Jeżeli Jake został zabity, to teza, że to on zabił Kita, nie trzyma się kupy. Czyli to nie jego szantażował Kit. – Zamilkłam na chwilę, rozważając inne implikacje rewelacji Gradena. – Twój człowiek zechce zeznawać?

– W tej sprawie nie zmieni zdania.

Usiadłam ciężko na krześle, mimo że dawno już nie czułam się tak radosna.

– Dziękuję – powiedziałam z wdzięcznością. – Naprawdę.

– To ja powinienem ci podziękować. Gdybyś nie naciskała na przyjrzenie się tej sprawie, mógłbym niczego nie wykryć. I Bóg jeden wie, co zrobiliby federalni. Tak więc to ja ci dziękuję za uchronienie nas od wielkiej pomyłki.

– Nie cierpię tego mówić, ale tak naprawdę to nie wyklucza tezy, że Kit szantażował Jake'a. Po prostu okazało się, że w sprawę zamieszany jest jeszcze ktoś.

– Tego nie możemy na razie wykluczyć. Ale wykluczenie tezy o morderstwie z samobójstwem jest już niezłym początkiem.

Tak, to prawda.

– Chyba dojrzałam już do następnej porcji tych dziwnych cukierków – stwierdziłam.

Graden nasypał mi trochę na dłoń, resztę sypnął sobie i zgniótł opakowanie. Potem wystawił swoją pięść w moją stronę, więc stuknęłam się z nim pięścią.

– Za udany dzień – powiedział.

– Niech będzie. – Wsypałam cukierki do ust. Nawet mi posmakowały.

Graden odwiózł mnie do Biltmore. Zaraz pobiegłam do pokoju, czując, że muszę sprawdzić pocztę. Miałam nadzieję, że dobra passa jeszcze potrwa. Zalogowałam się, ale nie znalazłam żadnych wiadomości. Czułam, że nasz podejrzany zaczyna się nam coraz skuteczniej wymykać. Zerknęłam na zegarek. Dopiero minęła dwudziesta pierwsza. Mogłam jeszcze zadzwonić do Bailey.

– Znalazłaś coś na naszego gościa z Bractwa? – spytałam.

– Jeszcze nie.

Zastanawiałam się, co jeszcze można zrobić.

– Ten gnojek może nie być w żadnej bazie, a nie chcę tracić czasu. Czemu nie roześlemy jego zdjęcia i nie sprawdzimy, czy ktoś go nie rozpozna? Trzeba je pokazać we wszystkich klinikach należących do Densmore'a. Jeżeli mamy rację, to w jakiś sposób musiał zebrać informacje o Susan.

– Podjadę po ciebie z samego rana – powiedziała. – O siódmej trzydzieści. Czekaj na dole.

Rozłączyłam się i weszłam pod prysznic, żeby trochę uspokoić nerwy. Niewiele mi to pomogło, więc otworzyłam pinot noir. To było skuteczniejsze. Położyłam się do łóżka z kieliszkiem wina i ulubionym kryminałem, który zawsze leczył moją bezsenność. Usnęłam, zanim się zorientowałam, że morzy mnie sen.

Rano obudziłam się nieco zdezorientowana. Już wpadałam w panikę, kiedy uświadomiłam sobie, że otwarta książka wciąż leży na mojej twarzy. Strąciłam ją i poszłam wziąć prysznic.

Szybko się wytarłam i zrobiłam sobie lekki makijaż. Włożyłam wygodne spodnie i golf. Zapowiadał się długi dzień w terenie.

– Masz adresy klinik Densmore'a? To znaczy centrów zdrowia? – spytałam, sadowiąc się obok Bailey. Podałam jej kawę, którą kupiłam na dole.

– Nie.

– No to ładnie. Czyli mamy jeździć po mieście, wypatrując tablic reklamowych?

Rano nie byłam w najlepszej formie.

– Nie bądź śmieszna, Rachel, nikt tak nie działa – odparła z kamienną twarzą.

Nie chciałam się bardziej pograżać, więc skrzyżowałam ramiona i czekałam w milczeniu na wyjaśnienia. Bailey przedzierała się przez poranne korki do wjazdu na autostradę.

– Jedziemy do głównej siedziby firmy. Kierowniczka poda nam adresy wszystkich placówek.

– Zakładam, że nie wolno ci było ujawnić tej informacji na wstępie.

Ponieważ odpowiedź na takie pytanie była oczywista, Bailey nie zadała sobie trudu, żeby się nawet zaśmiać. Jechałyśmy w milczeniu.

Centrum Zdrowia Dziecka w Beverly Hills znajdowało się przy zadrzewionej uliczce o wdzięcznie brzmiącej nazwie Elm Street. Stały tu urocze domy, idealnie zadbane, ale nie w stylu pałaców, z których słynęły północne dzielnice.

Kiedy weszliśmy do piętrowego budynku, w środku czekało zaledwie kilkoro dzieci. Dwoje siedziało na kolanach matek, a jedno leżało na podłodze zajęte kolorowaniem książki „Małe syrenki”. Żadne nie wyglądało na chore, ale dzieciaki z natury są twarde.

Podeszliśmy z Bailey do niewielkiej recepcji, gdzie siedziała drobna blondynka o ustach pomalowanych różową szminką i włosach związanych w koński ogon.

– Czym mogę służyć?

– Mamy się spotkać z kierowniczką, panią Evelyn Durrell. – Bailey pokazała odznakę.

Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe ze zdziwienia na widok odznaki policyjnej.

– Powiem, że panie przyszły. – Szybko wstała i zniknęła na zapleczu. Odznaki czasami się przydają.

Zaraz wyszła z powrotem. Za nią szła silnie zbudowana brunetka w okularach zaczepionych na czole, ubrana w rozpinany blezer i spodnie. Podniosła ladę recepcji i wpuściła nas do środka. Kiedy weszliśmy, wyciągnęła rękę na przywitanie.

– Evelyn Durrell.

Mówiła krótko i ograniczała ruchy do niezbędnego minimum, bez cienia gracji.

– Rachel Knight. – Uścisnęliśmy dłonie. Miała silny chwyt i zimne dłonie. Zauważyłam nad uszami siwe odrosty. Zwróciłam uwagę na delikatny, ale zrobiony ze znanstwem makijaż. Podkreślał piwne oczy i pomniejszał wargi. Wyglądała jak idealny kierownik przychodni, którym była, i prawdopodobnie zaczynała jako pielęgniarka.

Przeszła od razu do sedna.

– Chciały panie listę klinik doktora Densmore'a, prawda?

Kiwnęliśmy głowami. Opuściła okulary na oczy i spojrzała na kartkę papieru, zaznaczając pierwszą pozycję na liście długopisem.

– Ma sześć klinik, włączając tę, w której jesteśmy: Palisades, Brentwood, Sherman Oaks, Calabasas i Hollywood. W tej ostatniej nie było go już dawno. – Podała nam listę. – Co jeszcze mogę dla pań zrobić?

– W której przyjmuje dzisiaj doktor Densmore? – spytała Bailey.

– Chyba w Palisades. – Spojrzała na nas, unosząc okulary. – To wszystko?

– Jeszcze jedno – odezwała się Bailey. – Czy kiedykolwiek widziała pani tego człowieka w swojej klinice?

Pokazała kierownicze zdjęcie mężczyzny z Bractwa. Evelyn wzięła je w rękę i uważnie mu się przyglądała.

– Nie. Nie sadzę, że bym go widziała. – Wolno cedziła słowa. – Czemu panie pytają? Sądzicie, że to on zgwałcił Susan? – Nie kryła zdenerwowania.

– Tego jeszcze nie wiemy. To po prostu jeden z tropów, który sprawdzamy – powiedziałam.

– Możemy spytać recepcjonistkę?

– Proszę bardzo. Ale chyba... nie będziecie pokazywać tego zdjęcia rodzicom naszych pacjentów?

– To nie jest konieczne – odparła Bailey.

Podziękowałam Evelyn za pomoc, a Bailey przepytowała recepcjonistkę. Kiedy do nich dołączyłam, oczy dziewczyny były jeszcze większe niż po zobaczeniu odznaki.

– Nigdy go nie widziałam. – Kręciła głową.

Ani nikogo podobnego do niego. Byłam tego pewna. Pożegnaliśmy się i pojechaliśmy do Brentwood, gdzie również nic nie wskórałyśmy.

– Najlepiej byłoby stąd jechać do Palisades – stwierdziła Bailey.

– Racja.

Skręciła w Sunset Bulwar, wybierając turystyczną trasę. Obserwowałam więc pięknych ludzi, ładne samochody i palmy.

Dojechaliśmy do kliniki w Palisades, zgodnie ze wskazówkami podanymi przez Evelyn. I spotkałyśmy tam Densmore'a, jak mówiła. Wyglądało, że Evelyn jest dobrym kierownikiem.

Bailey przepytala pracowników, pokazujac wszystkim interesujaca nas fotografię. Densmore był na zebraniu i miało ono trwać jeszcze kilka godzin. Powiedziałyśmy więc, że wrócimy później i poszłyśmy do bramy prowadzącej na osiedle. Dzięki tej fotografii istniała szansa, że któryś ze strażników przypomni sobie tego faceta.

Na nasze szczęście dyżur miał akurat miłośnik policjantów Norman Chernow.

– Czym mogę służyć, pani detektyw? – spytał radośnie, uśmiechając się do Bailey.

A ja, to co? Pies? Też miałam odznakę. Może powinnam mu ją pokazać? I rewolwer.

– Widział pan może tego człowieka? – Bailey pokazała mu zdjęcie.

Obejrzał je dokładnie, niemal przyciskając sobie do oczu.

– Nie. Nie wygląda znajomo. Chce pani, żebym przepytal innych strażników?

– Nie ma potrzeby. Zajmę się tym – odparła dyplomatycznie.

Tak samo ważne, jak ich odpowiedzi, było zobaczenie ich pierwszych reakcji. Jeżeli zauważymy, że któryś drgnie, a później oświadczy, że nic nie pamięta, wiadomo, że należy go przycisnąć. Zaparkowałyśmy samochód i poszłyśmy przesłuchać dwóch strażników. Niestety, nawet nie mrugnęli okiem, oglądając zdjęcie. Żaden go nie rozpoznał. Niech to diabli.

– Możemy się przejść i przesłuchać mieszkańców? – spytała Bailey.

– Jasne, pani detektyw. Nie ma problemu. – Nachylił się konspiracyjnie do Bailey. – Prawdę powiedziawszy, ci goście nie są z tej samej gliny co my. Nie przykładają się do roboty, jeżeli wie pani, co mam na myśli.

Norman nie pozostawił wiele miejsca na domysły. Bailey zapewniła go, że wie, o czym mówi. Wjechałyśmy na teren osiedla.

– Co teraz, pani detektyw? – zapytałam z sarkazmem. – Będziemy pukać do wszystkich domów po kolei?

– Czyżbym słyszała nutę zazdrości w głosie? – Bailey uśmiechnęła się z poczuciem wyższości.

– Nie – skłamałam. – Zastanawiam się tylko, do kogo zwracałby się per pani detektyw, gdyby zobaczył, że moja odznaka jest większa od twojej. A mówiąc całkiem poważnie. Nie będziemy przecież chodzić po wszystkich domach – powiedziałam, kiedy Bailey zaparkowała samochód niedaleko posiadłości Densmore'a. – Więc jaki masz plan?

– Zaatakujemy mamuszkę i Susan. Obie powinny być teraz w domu. Kiedy z nimi skończymy, powinnam już mieć gotowy plan.

Bailey nacisnęła dzwonek przy wejściu do domu Densmore'a i tym razem drzwi otworzyła nam Janet. Służba musi dziś mieć wychodne, pomyślałam. Wymieniłyśmy zwyczajowe uprzejmości i wpuściła nas do środka.

Wyjaśniliśmy powód naszej wizyty, pokazałyśmy jej zdjęcie. Obejrzała fotografię i zadrżała.

– Nigdy nie widziałam tego mężczyzny. Jestem pewna, że bym go zapamiętała.

Z wyrazem zaskoczenia na twarzy oddała fotografię.

– Cóż taki człowiek mógłby robić w tej okolicy? – spytała. Potem jej własne słowa dotarły do niej i spuściła głowę. Skoro pokazałyśmy jej to zdjęcie, było raczej oczywiste, co on mógł tu robić.

– Zaraz zawołam Susan. – Wyciągnęła z kieszeni spodni telefon i wybrała numer.

W pierwszej chwili myślałam, że Susan nie ma w domu. Potem dopiero uświadomiłam sobie, że w domu tej wielkości nie bardzo można krzyknąć do kogoś i mieć nadzieję, że ten ktoś usłyszy.

Po chwili pojawiła się Suzan. Była ubrana w wyblakłe i podarte dzinsy oraz szary T-shirt z kieszenią na piersiach. Szacowałam, że ten robiący wrażenie zużyty komplet musiał kosztować ze trzysta dolarów. Sama Susan wyglądała za to jak milion dolarów. Mimo że słyszałam radość w jej głosie, kiedy mówiłam, że Luis jest niewinny, to dopiero teraz w pełni rozumiałam, ile ta informacja dla niej znaczyła.

Odniosłam wrażenie, że jej dzisiejsza swobodna postawa i uśmiech na twarzy nie były zwykłym „powrotem” dawnej Susan. Narodziła się nowa Susan, która wreszcie zaczynała wierzyć w siebie. Taka Susan, która nie

tylko udowodniła ojcu, że ma rację, ale pokazała, że ojciec jest omylny. Może z tej tragedii wykluje się jeszcze coś dobrego?

– Cześć Susan – powiedziałam. – Jak samopoczucie?

– Okej. – Zabrzmiało to naprawdę dobrze.

Popytałam ją o szkołę i trochę poplotkowałyśmy, zanim przeszłam do sedna.

– Badamy teraz inny ślad. Mogłabyś zerknąć na zdjęcie i powiedzieć nam, czy widziałaś już kiedyś tego faceta?

Zawahała się na moment, ale zaraz uniosła śmiało głowę.

– Proszę bardzo.

Jej odwaga napełniła mnie jednocześnie dumą i smutkiem.

Bailey podała jej zdjęcie. Dziewczyna głęboko westchnęła, zanim zdecydowała się na nie spojrzeć. Przyglądała się, marszcząc brwi

– Nie rozpoznaję go. – Jeszcze raz zerknęła na zdjęcie i pokręciła głową. – Nigdy go nie widziałam.

Spojrzałyśmy na siebie z Bailey. Ona nie udawała. Naprawdę nie знаła tego gościa. Nie mogłam powiedzieć, że czułam się zaskoczona.

Obiecałyśmy, że zadzwonimy, kiedy dowiemy się czegoś nowego, i wróciliśmy do samochodu.

– I co teraz? – spytała Bailey.

– Chyba powęszymy po okolicy. – Wzruszyłam ramionami.

– I to ma być ten twój plan?

– A masz lepszy?

Zastanawiałam się, spoglądając na ulicę. Bailey stała przy drzwiach kierowcy z kluczykami w ręku. Spoglądałam na nią nad dachem samochodu.

– Jeżeli nasz facet gdzieś tu się kręcił, na pewno widział go ktoś, kto dużo czasu spędza na ulicy.

– Owszem. Ale chyba nie wliczasz w to dwóch geniuszy z ochrony? – spytała złośliwie Bailey.

– To tylko dwóch facetów, którym każą jeździć w kółko. Myślałam o tym, żeby obejść sąsiednie domy i sprawdzić, kto się tam kręci.

– I liczyć na łut szczęścia – zakpiła.

– A masz lepszy pomysł?

Pokręciła głową.

Ruszyliśmy na obchód. Na początek trafiłyśmy na trzech ogrodników, którzy byli w stanie zrozumieć mój chropowaty hiszpański na tyle, żeby pokręcić głowami na znak, że nie rozpoznają faceta na fotografii. Pech. Potem spotkałyśmy dwie opiekunki z wózkami.

– Nie. Nie widziałyśmy go tutaj.

Następne były trzy panie z psami; chętne do rozmowy damy z radością powitały pretekst do zatrzymania się na ulicy, w przeciwieństwie do swoich pupilów, które wołały biegać. Przypatrywały się zdjęciu, ale również bez rezultatu.

Potem zauważyłam młodą kobietę w obcisłych szortach i podkoszulku z lycry. Biegła tyłem przed starszym mężczyzną, którego głośno instruowała, jak należy „trzymać rytm” i „pracować ramionami”. Była idealnie opalona i miała ciało stworzone do noszenia bikini. Chętnie bym podstawiała jej nogę i powaliła na ziemię. Zerknęłam pytająco na Bailey, która w milczeniu skinęła głową i ruszyłyśmy w jej stronę. Kobieta nosiła okulary i czapkę z daszkiem maskującą twarz i oczy, więc trudno powiedzieć, czy zauważyła nasze manewry. Nawet jeśli, to nie straciła swojego rytmu. Wciąż wydawała rozkazy, jakby ona i jej podopieczny byli jedynymi ludźmi na ulicy.

– Przepraszam panią – zaczęła Bailey swoim ulubionym tonem policjanta. To przyciągnęło uwagę kobiety. Zatrzymała się i spojrzała na nas

z irytacją.

– Policja Los Angeles. – Pokazała odznakę. – Prowadzimy śledztwo kryminalne. Możemy pani zająć chwilę?

Irytacja widoczna na twarzy kobiety zmieniła się w niepokój, ale zatrzymała się, przez co zyskałyśmy wdzięczne spojrzenie starszego mężczyzny. Pochylił się do przodu, opierając dłonie o kolana i wykorzystał postój dla złapania oddechu.

– Może widzieli państwo tego człowieka w tej okolicy? – Bailey podetknęła zdjęcie najpierw mężczyźnie. Obejrzał je, dysząc ciężko.

– Nie. – Oddał fotografię. – Chodzi o tę dziewczynkę, którą zgwałcono? Bailey zignorowała pytanie i pokazała zdjęcie trenerce.

Kobieta wzięła je i przesunęła okulary na czoło, żeby móc lepiej się przyjrzeć. Zmarszczyła brwi i kiwnęła niepewnie głową.

– Wygląda znajomo. Widziałam go już tutaj, chociaż nie mam pojęcia, do kogo przyszedł. Pamiętam, że pomyślałam nawet, że... nie pasuje tutaj... jeśli panie rozumiecie?

Jak najbardziej. Bailey zapisała informacje od trenerki, która nazywała się Miley Barone i pracowała również jako Life Coach^[28]. To było słyhać.

– Kiedy ostatni raz pani go widziała? – spytałam.

– Jakies dwa, trzy tygodnie temu. Pracowałam wtedy z Sookie Tuckman.

Dwa, trzy tygodnie. Czyli tuż przed gwałtem.

– Gdzie mieszka pani Tuckman?

– W Briar Court. Jakies dwie ulice stąd. – Pokazała kierunek ręką.

Spojrzałam na Bailey. Raptem jedna posiadłość za domem Densmore'a.

Bailey przekonała Miley do sporządzenia listy swoich klientów z tego osiedla i obiecała, że nikomu nie powie, skąd otrzymała adresy. Trenerka nie zdawała sobie jeszcze sprawy z tego, że jej największym problemem

może być jej obecny klient. Postanowiłam pozostawić ją w nieświadomości. Podziękowałyśmy im za czas, który nam poświęcili, i poszłyśmy dalej. Kiedy Miley warknęła „Ruszamy”, mężczyzna spojrzał na nas smętnym wzrokiem i powoli, z nieszczęśliwym wyrazem twarzy, zebrał się do powolnego truchtu.

W samochodzie przybiłyśmy sobie uroczyście „piątkę”.

– I kto wpadł na pomysł przepytania tubylców? – zachwyciłam się.

– Ja – odparła Bailey, wyjeżdżając z osiedla.

– Przysięgam, że kiedyś ci przywalę!

– Spróbuj. Zobaczymy, co się stanie – prychnęła tylko. Była co najmniej dziesięć centymetrów wyższa i niestety, lepiej umięśniona.

– Będę miała element zaskoczenia po swojej stronie, Watsonie.

Roześmiałyśmy się i po kilku minutach podjechałyśmy pod Klinikę dla Dzieci w Palisades. Tym razem Densmore na nas czekał. Zniecierpliwiony.

Recepcjonistka wpuściła nas do środka, a pielęgniarka wprowadziła do biura na końcu korytarza z gabinetami przyjęć. Densmore stał przy biurku. Za oknem żegnały nas ostatnie promienie słońca.

– Zaraz rozpoczynam zebranie, a sądząc po waszych poprzednich dokonaniach, brniecie w kolejny ślepy zaułek. Więc skończmy to szybko.

– Nie jestem pewna, czy pańska kierowniczką, Evelyn Durrell, przekazała panu, że... – zaczęłam.

– Na wypadek, gdyby pani nie usłyszała – przerwał mi Densmore – od rana mam spotkania. Nikt nie miał okazji przekazania mi czegokolwiek. O co chodzi?

– Mamy powody przypuszczać, że ten mężczyzna jest wmieszany w napaść. Chciałyśmy spytać, czy pan go rozpoznaje? – Bailey pokazała mu zdjęcie.

Wziął fotografię i oglądał, zaciskając szczęki. Pokręcił głową.

– Nie. Twierdzicie, że to jest gwałciciel? Czy też czyjś współnik? – spytał ostrym tonem. Nie mogłam go za to winić. Ja także mówiłabym ostro, gdybym oglądała zdjęcie przypuszczalnego gwałciciela własnej córki.

Bailey wzięła od niego zdjęcie.

– Jeszcze nie wiemy – odpowiedziałam. – Kiedy go zidentyfikujemy, pobierzemy próbkę DNA i porównamy z danymi z naszej bazy.

Kiwnął głową, spojrzął na zegarek i chrząknął.

– Proszę zadzwonić, gdy się czegoś dowiedzie. Jestem już spóźniony.

Sięgnął po marynarkę, zgarnął kluczyki od samochodu i odprowadził nas do drzwi. Zatrzymałam się z ręką na klamce.

– Doktorze Densmore, zastanawiamy się, dlaczego ten człowiek wybrał akurat Susan.

– Skąd, u licha, miałbym to wiedzieć? – Był oburzony. – Przypadkiem to nie wy powinniście to ustalić?

– Nie jesteśmy cudotwórcami – odparłam lodowatym tonem. – Powiedział pan, że nie ma wrogów i nie przypomina sobie problemów z rodzicami pacjentów. Możemy pracować tylko na podstawie tego, co nam mówią.

– A więc trzeba będzie więcej popracować, prawda? – Wycedził.

Jedyna odpowiedź, która przychodziła mi do głowy, spowodowałaby na pewno wojnę z Vanderhornem, więc spokojnie otworzyłam drzwi i wyszliśmy na korytarz.

– To by było na tyle – powiedziała Bailey, kiedy usiadłyśmy w jej samochodzie.

– Dwa razy nam się pofarciło. Zbyt piękne, by żądać jeszcze od tego starucha odrobiny człowieczeństwa – stwierdziłam.

– Miałyby do nas pretensje, nawet gdybyśmy aresztowały gwałciciela, łapiąc go na gorącym uczynku. – Bailey jęknęła.

Przyznawałam jej oczywiście rację, ale wspominając o naszym farcie, wpadłam na pewien pomysł.

– Pickelman wciąż siedzi w areszcie?

– Chyba tak. Chcesz go zobaczyć?

– Właśnie. Możesz tam podjechać? To po drodze.

Pickelman siedział w więzieniu stanowym.

– Nie ma sprawy – odparła, sięgając po komórkę.

– Dopilnuj tylko, żeby nie miał na razie prawnika – przypomniałam jej.

Kiwnęła głową, zajęta lokalizowaniem Pickelmana. Ja zastanawiałam się, czy nie trafimy na tę samą strażniczkę, która miała służbę w czasie mojej wizyty u Hectora. Było mało prawdopodobne, żeby mnie rozpoznała bez peruki, ale zawsze pozostawał pewien niepokój. Nie był to przyjemny temat rozmyślań.

[28] Forma usługi polegająca na zatrudnieniu trenera/mentora do rozwiązywania problemów życiowych (przyp. tłum.).

43

Udało nam się dojechać w miarę szybko, mimo że trafiłyśmy na godziny szczytu, była już siedemnasta piętnaście. Weszłyśmy do więzienia. Staralam się schować za ramieniem Bailey, żeby strażniczka za szybą kuloodporną nie mogła mi się przypatrywać. Zerknęłam, kto tam siedzi, ale nie udało mi się jej rozpoznać. Wsłuchałam się więc w jej głos wydobywający się z głośnika, przez który informowała ludzi stojących w kolejce. Głos był jednak mocno zniekształcony. Wiedziałam, że logicznie rzecz biorąc, nie miałam się czego obawiać, ale... zawsze można mieć pecha... Poczułam, że się pocę.

Brama zadzwięczała i kolejka ruszyła do środka. Bailey przecisnęła się do strażnika, a ja szłam za nią, obserwując uważnie posadzkę.

– Proszę o identyfikator.

Na szczęście męski głos. Zachęcona, uniosłam lekko głowę i serce zaczęło mi walić jak młotem. Ten mężczyzna okazał się tamtą strażniczką. Miała służbę, kiedy tu byliśmy z Luisem Revelo. Pech to pech. Inna pora, inny dzień, a za ladą ta sama kobieta. Czy ona nigdy nie ma wolnego? I tak już za późno na takie rozważania. Przysunęłam się do okienka i wsunęłam swój identyfikator. Tym razem nie kombinowałam i spojrzałam prosto na nią. Jeżeli miała mnie rozpoznać, powinnam przyjąć to z godnością.

– Panie są razem? – Wskazała na Bailey, która właśnie przechodziła przez bramkę wykrywacza metali.

– Tak.

Strażniczka ze znudzoną miną wpuściła mnie.

O ironio! Odczułam ulgę, dlatego że weszłam do więzienia! Dołączyłam do Bailey, która odnalazła strażnika mającego nas odprowadzić do pokoju dla adwokatów.

Kiedy plotkowała ze strażnikiem, nie przyszło mu nawet do głowy przeszukiwać naszych rzeczy.

Odprowadził nas do właściwego pokoju i otworzył drzwi.

– Zapraszam. Wasz klient zaraz przyjdzie. Gdybyście czegoś potrzebowały, dajcie znać.

To był zupełnie inny świat niż poprzednio. Czekałyśmy zaledwie minutę.

Pomarańczowy nie był najlepszym kolorem dla Pickelmana, ale i tak wyglądał o niebo lepiej niż ostatnim razem.

– Cześć Duane. Jak cię tu traktują? – spytałam.

– Wszawo.

– Słyszałam, że zawarłeś układ. Dostałeś sześć miesięcy i skierowanie na odwyk – wtrąciła Bailey.

– To prawda – potwierdził bez przekonania.

Jak widać, był mistrzem krasomówstwa.

– Mamy kilka pytań. Ale zanim do tego przejdziemy, muszę ci odczytać twoje prawa. Znasz procedurę.

Bailey przebrnęła przez całą procedurę, a następnie spytała go, czy zechce z nami rozmawiać bez adwokata.

– To zależy – odparł ostrożnie. – Co będę z tego miał, jeżeli będę z wami gadał?

– Lepszy program odwykowy. Może będziesz mógł pracować na przepustce – powiedziałam.

– Co chcecie usłyszeć? – zapytał nerwowo.

– Zapytać, Duane. Zapytać.

– Pytajcie.

– Rozpoznajesz tego faceta? – Bailey pokazała mu fotografię.

Jego oczy zrobiły się wielkie jak talerze i szczęka prawie opadła mu na podłogę.

– Czy to...? – Głos mu drżał ze strachu. – Nie... wiedziałem. Musicie mi uwierzyć...

Kiwnęłam głową, bo domyśliłam się już, jak to było.

– Zapłacił ci, żebyś go wpuścił do środka, prawda?

Pickelman chwycił łapczywie powietrze, walcząc o oddech, ale udało mu się skinąć głową.

– Ale nie powiedział ci w jakim celu? – ciągnęłam.

– Nnnie... – Wbił wzrok w podłogę, dodając wreszcie dwa do dwóch. I to bez pomocy palców. – Nigdy bym go nie wpuścił, gdybym wiedział, że chce skrzywdzić małą dziewczynkę. – Podniósł głowę, patrząc na mnie. – Proszę mi wierzyć. – Dygotał z przerażenia.

Wierzyłam mu. Był żalonym ćpunem, któremu prochy wypaliły resztki mózgu, ale nie sprawiał wrażenia na tyle wyrachowanego, żeby świadomie współdziałać w gwałcie na piętnastolatce. Musiałam jednak poznać więcej szczegółów.

– Tej nocy, kiedy doszło do gwałtu, zapłacił ci za opuszczenie tych punktów kontrolnych?

– Nie. – Pokręcił głową. – Nic nie mówił o omijaniu kontroli. – Westchnął i zamilkł na chwilę. – Dał mi nawet naprawdę dobry kryształ.

Wszystko się zgadzało. Facet nie musiał niczego mówić. Wystarczyło, że dał mu dużą dawkę metamfetaminy i natura wszystko sama załatwiła za niego. Duane wpatrywał się w swoje dłonie. Mogłabym przysiąc, że czuje się zawstydzony.

– Naprawdę odleciałem. Poważnie. To dawało kopa. – Zamilkł, oddając się wspomnieniom odlotu. Wstyd ulotnił się wraz z tymi wspomnieniami.

– Wiesz, jak się nazywa? – Wstrzymałam oddech.

– Uh... – przypominał sobie – Carl... jakiś tam...

– Skup się, Duane. Muszę znać jego nazwisko. – Nie odpuszczałam.

Próbował sobie przypomnieć. Przykro było patrzeć na jego wysiłki. Pokręcił głową.

– Wiecie... chyba nigdy mi nie powiedział...

Spojrzałam na Bailey, która w milczeniu skinęła głową. Wycisnęłyśmy z niego wszystko, co było można.

Wstałyśmy i Bailey dała znak strażnikowi, że wychodzimy.

– Dziękuję, Duane – powiedziałam.

– Załatwi mi pani coś. Może pracę na przepustce? – zasugerował.

– Zrobimy, co będzie można – zapewniła Bailey.

Przyszedł strażnik, żeby odprowadzić Pickelmana. My również wyszłyśmy.

– A było tak blisko – mruknęłam, wsiadając do samochodu. Sporo się dowiedziałyśmy, ale wciąż za mało, żeby aresztować sprawcę.

– Nie martw się – pocieszyła mnie Bailey, widząc, jak się męczę. – Znajdę tego faceta. Takich tatuaży nie robią w kościele. Poznamy jego nazwisko – to tylko kwestia czasu.

Wreszcie dojechałyśmy do Biltmore.

– Wpadniesz na drinka? A może coś zjemy? – Była dziewiętnasta i zaczynałam czuć ssanie w żołądku, przypominające, że cały dzień nic nie jadłam.

– Dzięki, ale muszę wracać do roboty, nadrobić zaległości.

– Jak chcesz. Zadzwoń, kiedy tylko coś wyniuchasz.

Zasalutowała i odjechała.

Kiedy już dobrnęłam do pokoju, zrzuciłam z siebie płaszcz i torbę i połączyłam się z room service'em. Tuńczyk na zimno i grillowana cukinia wglądały apetycznie. Otworzyłam schłodzoną butelkę pinot grigio i

delektowałam się kieliszeczkiem, czekając na zamówienie. Potem był długi prysznic i łóżko. Byłam zbyt zmęczona, by udawać przed sobą, że chce mi się czytać. Zgasiłam światło i zasnęłam jak kamień.

O ósmej rano obudził mnie dźwięk hotelowego telefonu. Dzwonił nieprzerwanie. Podniosłam słuchawkę przekonana, że to Bailey. Tylko najbliżsi przyjaciele znali ten numer i dzwonili jedynie wtedy, kiedy chcieli mnie obudzić. Nie myliłam się.

– Mam jedną dobrą i jedną złą wiadomość – oznajmiła na wstępie.

– Zaczynaj od dobrej.

– Znam nazwisko naszego faceta: Carl Stayner. Zapuszkowali go za włamanie na Florydzie.

– Świetnie. Czy Fukai zrobiła już test DNA ? – spytałam podniecona.

– To jest właśnie zła wiadomość. – Bailey westchnęła. – Nie figuruje w bazie danych.

– Jak to nie figuruje? Jakim cudem? – Nie mogłam uwierzyć. Jakim cudem ten dupek ciągle nam się wymyka?

– Nie mam pojęcia. – Baiely zdawała się tak samo poirytowana, jak ja.

– Dobra, podaj mi wszystko, co masz na jego temat. Postaram się coś wymyślić.

Podyktowała mi wszystkie numery rejestrów, w których figurował Stayner. Sama zadzwoniłam do biura szeryfa w Miami-Dade County, gdzie go skazano. Kilka minut byłam przełączana między urzędnikami, zanim połączyłam się z policjantem, który prowadził śledztwo. Nazywał się Fred Goins. Przedstawiłam się i wyjaśniłam sytuację. Potem poprosiłam, żeby zerknął na fotografię, którą zrobiłam.

– Nie ma sprawy. Poczekaaj chwilę, aż się zaloguję. Zaraz ci prześlę nasze zdjęcie przestępcy.

Słowo „przestępca” wymawiał wyraźnie i przeciągle.

Przesłałam mu zdjęcie przez nas zdobyte. W rezultacie oglądaliśmy wspólnie to samo.

– Zgadza się – usłyszałam po chwili. – To ten sam gość.

Ja również rozpoznałam na przysłanym zdjęciu człowieka z Bractwa. Na otrzymanym zdjęciu Stayner był nieco tęższy i miał krótsze włosy, ale nie ulegało wątpliwości, że to on.

– Więc dlaczego nie ma go w bazie DNA? Co się stało?

– Możesz za to podziękować Sędziemu Zwalniam Cię. – Westchnął z niesmakiem. – Naprawdę nazywa się Lettingail, ale resztę możesz sobie dośpiewać.

Nie trzeba mi było wyjaśniać szczegółów.

– obrońca Staynera argumentował, że ponieważ jego klient był sądzony za włamanie, a nie za użycie przemocy, nie ma powodu do umieszczania jego danych w bazie. Sędzia przychylił się do wniosku, twierdząc, że nie widzi podstaw do poddawania go haniebnemu procesowi pobierania śliny z ust.

Podobnie jak „przestępca”, słowo „haniebny” zostało wypowiedziane dobitnie i rozwlekłe, chociaż tym razem szyderczym tonem.

– Żartujesz?

– Witaj w moim świecie – odparł Fred. – Kiedy mnie stamtąd przenieśli, wypilem całą beczkę piwa, żeby to uczcić.

– Mam nadzieję. Gratuluję, że udało ci się stamtąd uciec. I dziękuję za pomoc, Fred.

– Dorwij go, Rachel. Żałuję, że nie mogę ci pomóc.

Również żałowałam. Rozłączyłam się i myślałam, co mogłabym jeszcze zrobić. Doszłam do wniosku, że najpierw powinnam się ubrać. Poranek był zimny i chmurny, wiał zimny wiatr. Nie wiedziałam, czy będę pracować na

zewnątrz, czy w pomieszczeniu, a nie miałam zamiaru wkładać tej przeklętej kamizelki kuloodpornej.

Nie wiedziałam, co robić. Nie miałam wyników testów DNA, ale miałam zdjęcie Staynera. Poza tym nie skończyłyśmy jeszcze sprawdzać wszystkich klinik Densmore'a. Więc chyba będę na zewnątrz. Zaczęłam przeglądać szafę w poszukiwaniu właściwego ubrania. Sięgnęłam po komórkę, żeby zadzwonić do Bailey, ale akurat w tej samej chwili zaczęła dzwonić. Pomyślałam, że muszę ją przestawić na wibrowanie i nacisnęłam przycisk odbioru.

– Słucham?

– Z ostatniej chwili – rozległ się głos Bailey. Wyczułam, że jest czymś przejęta.

– Słucham.

– Mamy Staynera.

– Jakim cudem? – Ścisnęłam telefon, jakby miał mi zaraz wypaść dłoń.

– Opowiem po drodze. Bądź przed wejściem za dziesięć minut.

– Będę za trzy – powiedziałam, ale już w powietrze. Bailey zdążyła się rozłączyć.

45

Musiałam czekać dobre pięć minut, zanim usłyszałam warkot jej samochodu, gdy z piskiem zatrzymał się przed wejściem. Wskoczyłam na swoje miejsce przy kierowcy i zapięłam pasy. Bailey ruszyła jak rakieta, prawie nie oglądając się na boki. Jechaliśmy na północ.

Prowadziła, jak oszalała. Tak jeździli jedynie policjanci i nastolatki, które wciąż wierzyły w swoją nieśmiertelność. Uznałam, że zadawanie jej teraz pytań jest co najmniej mało rozsądne, by nie rzec samobójcze. Jechaliśmy w milczeniu. Pocieszałam się, że wkrótce i tak wszystkiego się dowiem.

Kiedy przejechałyśmy San Fernando Valley i zjechałyśmy w stronę Las Virgenes, postanowiłam jednak zapytać, gdzie jedziemy. Zaraz jednak skręciła w drogę, która prowadziła do Malibu Canyon. Wąska droga wspięła się krętymi serpentynami na wierzchołek gór Santa Monica, a Bailey wciąż jechała co najmniej sto kilometrów na godzinę. Na każdym zakręcie wstrzymywałam oddech i opierałam się o deskę rozdzielczą. Walka o przetrwanie zaabsorbowała mnie do tego stopnia, że zupełnie zapomniałam, o co chciałam ją zapytać. Przeleciałyśmy wzniesienie w milczeniu, zaczęłyśmy zjazd z drugiej strony w kierunku Malibu. Wtedy zauważyłam światła ostrzegawcze policyjnych radiowozów, straży pożarnej i karetki pogotowia. Bailey przejechała barierę policyjną i zaparkowała po prawej stronie. Przeszedłszy na drugą stronę jezdni, podeszłyśmy do krawędzi urwiska.

Spojrzałam na dół wąwozu. Jakieś trzydzieści metrów niżej, wśród skał i krzewów leżał wrak cadillaca escalade. Cały przód miał zgnieciony. Jakaś gałąź przebiła się przez szybę. Drzwi od strony kierowcy zostały oderwane za pomocą noży strażackich i było widać stojące obok nosze ratowników.

Dwóch unosiło właśnie ciało mężczyzny, z karku wystawał mu kawałek gałęzi.

– Przynajmniej teraz nie będzie problemów z pobraniem próbki DNA – stwierdziłam.

– Za to przesłuchanie mamy z głowy – odparła.

Schodziłyśmy na dno wąwozu, żeby zobaczyć to, co można było obejrzeć.

Po drodze minęłyśmy się z sanitariuszami, którzy ciężko dyszeli, wciągając nosze na górę. Nie zazdrościłam im takiej pracy.

Gałąź stercząca z karku Carla Staynera stanowiła makabryczny widok.

– Jechał na podwójnym gazie? – spytałam sanitariusza. Stayner to nie pierwszy ani nawet nie setny kierowca, który po pijanemu stracił kontrolę nad pojazdem i spadł do wąwozu.

– Nie sądzę – odparł. – Przynajmniej nic od niego nie czuć.

Kiwnęłam głową i starałam się dogonić Bailey, która już dochodziła do wraku. Policjanci otaczający miejsce upadku rozstąpili się przed nią z szacunkiem. To była jej sprawa. Oni tylko mogli pomagać. Podeszłam do wraku od strony kierowcy. Zdziwiłam się, że w środku jest tak mało krwi. Prawdopodobnie gałąź zatamowała zewnętrzne krwawienie.

Bailey wkładała rękawiczki chirurgiczne.

– Masz może jeszcze jedną parę? – spytałam.

– Nie – odparła, klepiąc się po kieszeniach. – Ale i tak niczego nie mogę ruszyć, dopóki nie zjawi się ekipa techniczna.

Kiwnęłam głową i zajrzałam jej przez ramię.

– Widzisz? – Wskazałam na coś, co wyglądało jak staromodny klucz z motelu; leżał na siedzeniu pasażera.

– Surf Motel – odczytała, pochylając się.

Znałam ten motel. Mało oryginalna nazwa stanowiła jego jedyną zaletę. Składał się z rozwalającego się zespołu dziesięciu połączonych ze sobą pawilonów ustawionych na urwisku przy Pacific Coast Highway i oferował wspaniały widok na Pacyfik. Jakies czterdzieści lat temu można by go uznać za znośny. Teraz był niemiłą dla oka osobliwością na jednym z najdroższych gruntów w całym kraju i stanowił wyzwanie dla pośredników nieruchomości. Zastanawiałam się niekiedy, czy w ogóle jeszcze jest czynny. Teraz znałam już odpowiedź.

Oglądałyśmy wrak. Tylne siedzenia złożono i ustawiono bokiem, by powiększyć powierzchnię bagażnika. Zajrzałam do środka, ale dostrzegłam jedynie kilka puszek po red bullu i jakieś drobiazgi. Przyciemnione szyby były zbyt ciemne, żeby dało się zobaczyć coś więcej.

Wykrzywiałam głowę, wypatrując szczegółów, kiedy pojawił się fotograf i trójka techników w rękawiczkach do łokci i ochraniaczach na głowie.

– Zechciałaby pani cofnąć się o kilka kroków? – zapytała młoda kobieta o hiszpańskiej urodzie, której czarne włosy z trudem mieściły się pod siatką ochraniacza.

Nie chciałam, ale się jednak cofnęłam. Bailey rozmawiała z najstarszym stopniem z tej trójki o towarzyszeniu nam do Surf Motel.

Jego koledzy stali z boku i czekali, aż fotograf skończy zdjęcia z zewnątrz pod wszystkimi możliwymi kątami. Chodziłam za nim krok w krok. Kiedy doszliśmy do tylnego siedzenia, pochyliłam się razem z nim.

– Widzi pan to? – Wskazałam na wyraźne rozdarcie pośrodku.

Fotograf miał około trzydziestki, był piegowaty i nosił zabójczą grzywkę przysłaniającą mu oczy zasłonięte wielkimi okularami w rogowych oprawkach. Spojrzał na mnie z oburzeniem, ale przyjrzał się bliżej rozdarciu.

– Taak. – Zrobił kilka ujęć. – Nie da rady ustalić, kiedy to powstało. Wygląda na stare. – Zdjęć nigdy nie za dużo, prawda? – Uśmiechnęłam się triumfalnie.

Pokręcił zde gustowany głową i zrobił jeszcze parę zdjęć rozdarcia. Chyba polubił moje towarzystwo.

Bailey skończyła rozmawiać ze starszym technikiem, więc jej powiedziałam, co zauważyłam. Obeszła wrak i zajrzała do środka.

– To wygląda na stare. Pewnie bez związku – stwierdziła. – Ale nigdy nie zaszkodzi takie coś sfotografować – dodała, patrząc na fotografa.

Delektowałam się krótką chwilą triumfu.

– Szkoda, że nie ma tu Dorian – powiedziałam.

– Ben jest w porządku – zapewniła Bailey – Czasem się męczy, ale jest ostrożny i rzadko coś przeoczy.

Technik właśnie otworzył klapę bagażnika. Podeszłam bliżej. W środku było czyściej, niż można by się spodziewać. Kilka pudełek po hamburgerach, puszka po red bullu, napoczęta paczka cameli, zapalniczka, paczka gumy do żucia dla sportowców^[29] i paczka prezerwatyw.

Przypomniałam Bailey, że śledztwo wykryło środki nawilżające używane przy produkcji kondomów.

– Dotąd wygląda pięknie – stwierdziła.

Fotograf skończył pierwszą część pracy i robił zdjęcia wnętrza samochodu.

– Chcesz popatrzeć z góry, skąd się stoczył? – spytałam Bailey.

Wspięliśmy się na górę, nie poszło łatwo. Na stromym stoku była tylko skała, sypki żwir i brud. Zero przyczepności. Szliśmy powoli, chwytając się krzaków.

Policja ogrodziła rozległy odcinek drogi, na którym pozostały ślady opon prowadzące w przepaść.

– Znaleźliście coś wartego uwagi? – Bailey zagadnęła technika.

– Ciekawe ślady w gruncie, tam dalej. – Wskazał na miejsce tuż przy jezdni.

– Dlaczego? Hamował?

– Nie. Przypominają takie dziwne dziurki. Jest ich tylko kilka. To zresztą może być cokolwiek. – Wzruszył ramionami. – Ziemia tam jest wyjątkowo luźna. Trudno coś ustalić.

Obejrzałyśmy wskazane miejsce. Zastanawiałam się, co to mogło być. Zerknęłam na Bailey, ale ona też nie miała pojęcia.

– Jedźmy wreszcie do motelu – niecierpliwiłam się.

Tutaj nic więcej nie mogłyśmy wskórać, a ja umierałam z ciekawości, żeby zobaczyć pokój Staynera.

– Zawołaj Bena na górę – powiedziała Bailey technikowi.

[29] W oryginale Quench Gum – nazwa gumy do żucia dla osób uprawiających sport, która podobno gasi pragnienie (przyp. tłum.).

Ciemne chmury nad centrum miasta zniknęły bez śladu, w miarę jak zbliżyliśmy się do Malibu. Podziwiałam wyjątkowo czysty i błyszczący obraz Pacyfiku. Przez chwilę zagapiłam się na wspaniałą panoramę i zapomniałam, gdzie jestem. Niestety, widok upadłej chwały Surf Motelu szybko przywrócił mnie do rzeczywistości.

Wszystkie dziesięć pawilonów hotelowych miało okna na Pacyfik i drzwi od strony Pacific Coast Highway. Parking stanowił wysypaną żwirem alejkę wytyczoną równolegle wzdłuż szosy. Na końcu stał zaparkowany stary bus vw, a obok niego harley-davidson. Korciło mnie, żeby poznać ich właścicieli, ale obawiałam się, że to ryzykowny pomysł.

Bailey zaparkowała przed tablicą z napisem „Recepcja”. Za nią zaparkował Ben furgonetką techników.

Ruszyliśmy w stronę drzwi zdewastowanych przez słońce i wiatr. Słone powietrze szybko wżera się w farbę, ale w tym wypadku nikt nawet nie zadawał sobie trudu, żeby z tym walczyć. Farba łuszczyła się prawie wszędzie, odsłaniając surowe drewno. Bailey sięgnęła do klamki. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Biuro okazało się niewielkim fragmentem zabudowanego korytarza. W centrum taki hotel musiałyby wynajmować pokoje na godziny – jak ten, gdzie znaleziono Kita i Jake'a. Wyglądało, że zostałam skazana na takie hotele. Podeszliśmy do niewielkiej lady i Bailey nacisnęła staroświecki dzwonek, który zabuczał niskim tonem. Zza drzwi za ladą wyszedł młody mężczyzna, około dwudziestki. Był w samych szortach, bez koszuli i miał zmierzwione włosy. Ziewał, drapał się po brzuchu i burczało mu w żołądku.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie gwałtu – wyjaśniła Bailey, pokazując mu odznakę. – Mamy podstawy sądzić, że podejrzany wynajął

pokój w tym motelu.

Młody człowiek robił wrażenie, jakby widok odznaki i stojących z nami policjantów w mundurach, zupełnie go nie wzruszał.

– Czy nie powinniście mieć jakiegoś nakazu, czy czegoś...? Rozumiecie... nie chciałbym, żeby facet nas potem skarżył.

– Właśnie pozbieraliśmy jego resztki z dna wąwozu – powiedziała Bailey. – Nie sądzę, żeby mógł kogokolwiek skarżyć.

Pokiwał głową uspokojony, a potem znowu spojrzał na Bailey.

– Który pokój?

– Wynajmowałeś komuś o nazwisku Carl Stayner?

Otworzył wymiętą księgę gości i zaczął jeździć brudnym palcem po linijkach nazwisk.

– Nie.

– Jeździł czarnym cadillakiem escalade – dodałam, przewidując taki obrót sprawy.

– Tak wyglądał. – Bailey pokazała zdjęcie.

Młody człowiek drapał się po włosach, oglądając fotografię.

– Pamiętam. Numer dziesięć. – Podał nam klucz uniwersalny. – Ale nie rozwalajcie tam wszystkiego za bardzo, bo mnie właściciel ochrzani.

Bailey wzięła klucz, obiecała pilnować porządku i poszliśmy korytarzem w stronę wskazanego pokoju.

Zardzewiały, brudny numer na drzwiach trzymał się krzywo na jednej śrubie. Zaczynałam doceniać konsekwencję właściciela. Okienko w drzwiach do pokoju zasłaniały nieświeże, dziurawe firanki, przez które można było zajrzeć do środka i zobaczyć tak samo zapuszczone wnętrze. Gdy Bailey otworzyła drzwi, uderzył nas ciężki zapach potu, brudnych ubrań i marihuany.

Pierwszy wszedł fotograf. Włożył ochraniacze na buty i ostrożnie chodził od ściany do ściany, robiąc zdjęcia ze wszystkich możliwych ujęć, zanim cokolwiek zostało poruszone. Potem nakręcił wszystko na wideo. Kiedy skończył z pokojem i przeszedł do łazienki, mogliśmy wreszcie wejść do środka. Również w ochraniaczach na butach i rękawiczkach na dłoniach.

Łóżko było nieposłane. Obrzydliwa, szara kołdra leżała odrzucona na bok, na prześcieradle walały się ubrania, puste pudełko po pizzy i niedopałki. Nie widziałam żadnej paczki papierosów, więc nie wiadomo, jakiej marki.

– Masz te niedopałki na łóżku? – spytałam fotografa.

Z łazienki doszło mnie ciche westchnienie.

– Tak, mam – odpowiedział znudzonym tonem.

Rozejrzałam się po pokoju. Z okna na frontowej ścianie był przepiękny widok na ocean, aż po wyspę Catalina. Gruba warstwa nagromadzonego przez lata brudu mocno jednak ograniczała możliwości kontemplacji.

Za drzwiami dostrzegłam wypchaną płócienną walizkę.

– Wygląda, że Stayner szykował się do wyjazdu – stwierdziłam.

Bailey kiwnęła głową i pokazała na nocny stolik. Zauważyłam dziwne wyrzuszenie na wykładzinie między ścianą a stolikiem.

Popatrzyłyśmy na siebie.

Zawołała fotografa i pokazała mu to miejsce.

– Zrób zdjęcia.

Nie śmiał przy niej udawać zblazowanego. Podszedł i zrobił kilka zdjęć.

– Ben, przyjdź na chwilę – przywołała technika.

Przyjrzał się wyrzuszeniu, a potem wyjął torbę z narzędziami, zmienił rękawiczki i uklęknął na podłodze obok stolika. Poszukał dłonią odpowiedniego miejsca i zaczął odchyłać wykładzinę. Poddała się z

łatwością. Pod spodem znajdowały się pieniądze i broń. Od razu mi się to z czymś skojarzyło.

– Możesz ustalić, jaka to broń? – spytałam.

Wsunął długopis pod spust i podniósł ostrożnie broń do góry. Pobieranie odcisków palców z broni palnej nigdy nie było łatwe. Dlatego należało zachować szczególną ostrożność, żeby nie zniszczyć śladów przez niedbałość.

– To colt, kaliber chyba trzydzieści osiem.

– Dziwny zbieg okoliczności. – Popatrzyłam na Bailey.

– Kiedy już skończysz, Ben, chciałabym zabrać pistolet – zdecydowała.

Wyglądał na taki sam, z którego do nas strzelano pod szkołą. Bardzo chciałam, żeby to był właśnie ten pistolet, ale colt kaliber trzydzieści osiem nie należy przecież do rzadkości. Nawet gdyby okazało się, że to ten sam pistolet, nie znaczyło to jeszcze, że właśnie Stayner z niego strzelał. Mógł mieć współnika.

Bailey przyglądała się walizce.

– Zajmijmy się najpierw tym – powiedziała do Bena. – Później sprawdzisz podłogę. Założę się, że nic więcej tam nie znajdziemy.

Znowu pierwszy podszedł fotograf, robiąc zdjęcia. Potem Ben zaczął wyjmować wszystko po kolei. Przyglądałam się jego pracy coraz bardziej zdegustowana widokiem męskiej bielizny. Otworzył wreszcie wewnętrzną kieszeń zasuwaną na zamek błyskawiczny i wyciągnął męską perukę koloru blond.

Spojrzałyśmy na siebie znacząco.

– Dorian jeszcze nie skończyła porównywać tych sztucznych blond włosów z oparcia łóżka Susan z lalkami? – spytałam.

– Nie.

– Założę się, że teraz będzie miała z czym porównać znaną próbkę.

– Tak – stwierdziła lakonicznie Bailey.

– Domyślam się, że ta peruka ma jakieś znaczenie? – zagadnął Ben.

– Na pewno – powiedziałyśmy jednocześnie.

Ben ostrożnie schował perukę do torby i opatrzył ją plakieta identyfikacyjną.

Zadzwoiłam do Dorian i powiedziałam, że znalazłyśmy perukę do porównania z nitkami, które znalazła.

– Przynajmniej upewnijcie się, że jest właściwie opakowana. Znając was, zaraz zaczniecie ją przymierzać.

– Przymierzać? Jest na nas za duża. To nie ma sensu – odparłam poważnym tonem, czekając na jakąś reakcję, ale milczała. – Nie martw się. Już jest zabezpieczona – dodałam.

Rozłączyła się bez komentarza.

– Zakładając, że nie przechowywał peruki dla gwałticiela, ten rekwizyt ma znaczenie.

– Co jest raczej mało prawdopodobne – zgodziła się ze mną Bailey.

– I zakładając, że porównanie próbek wypadnie pozytywnie...

– Co jest raczej prawdopodobne.

– Możemy założyć, że to Stayner był gwałticielem.

– Zgadza się – stwierdziła Bailey.

– Muszę podzwonić.

Zatelefonowałam do Fukai z laboratorium i poprosiłam o pobranie próbki DNA Staynera z kostnicy i porównanie jej z naszą bazą danych. Potem zadzwoniłam do laboratorium balistycznego.

Rozmawiałam z kierownikiem, któremu streściłam, co znalazłyśmy, i poprosiłam o sprawdzenie broni w kontekście strzelaniny przy Marsden High School. Ponieważ Bailey nie złożyła raportu, że to do nas strzelano, postanowiłam nie informować go o tym.

Kiedy skończyłam, zorientowałam się, że fotograf już poszedł, a Ben przeszedł do łazienki.

– A gdzie są technicy od odcisków? – spytałam Bailey.

– W drodze.

Zastanawiałam się, co powinniśmy zrobić w następnej kolejności.

Miałyśmy już dowody w sprawie gwałtu, ale wciąż wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Nie wspominając już o podejrzanej śmierci Staynera.

– Wciąż nie wiemy, dlaczego wybrał właśnie Susan – mówiłam, rozglądając się po pokoju. – Poza tym nie podoba mi się, że znajdujemy jego trupa zaraz potem, gdy zaczęłyśmy pokazywać zdjęcie.

– To śmierdzi – zgodziła się Bailey.

– Założmy więc, że to nie był wypadek.

– Wtedy pewnie zwiększy się liczba podejrzanych – prognozowała Bailey. – Założę się, że mnóstwo ludzi miało motyw, żeby zabić taką szumowinę.

– Chociażby zemsta za gwałt na Susan. Mamuśka z tatusiem idealnie by pasowali...

– Tylko w jaki sposób by go dopadli przed nami? Nic nie wiemy o jakichkolwiek powiązaniach między nimi i Staynerem.

– Właśnie. – Westchnęłam.

– To mogłaby być zemsta za gwałt na jakimś innym dzieciaku – zauważyła Bailey. – Wątpię, żeby Susan była jego pierwszą ofiarą.

– Albo porachunki między szumowinami.

Chodziłam po pokoju, coś mi zaczynało świtać w głowie. Pokój był jednak za mały, żeby myśl mogła się rozwinąć. Czułam się w nim stłamszona.

– Wyjdźmy na zewnątrz – powiedziałam.

Poszłyśmy w stronę autostrady i wreszcie mogłam odetchnąć pełną piersią. Morskie powietrze pachniało wspaniale. Znowu zaczęłam chodzić w kółko, starając się, żeby widok oceanu zbytnio mnie nie rozpraszał.

– Jeżeli to zemsta za molestowanie czy gwałt na kimś innym, to jesteśmy ugotowane – zauważyła ponuro Bailey. – Dopóki nie zidentyfikujemy ofiary, nie mamy się czego chwycić.

– Racja. Ale jeżeli sprawcą jest na przykład wnerwiony współnik, powinniśmy znaleźć jakiś odcisk palców, który uda się zidentyfikować. Pobiorą odciski w samochodzie, prawda?

– Skąd się tylko da – zapewniła Bailey.

– A gdyby sprawcą był jakiś inny gangster? Ktoś, kogo Stayner próbował zrobić w gwałt?

– Luis Revelo? – Bailey spojrzała na mnie znacząco. – To ma sens.

Wyjęłam telefon i zaczęłam przewijać numery. Znalazłam właściwy i połączyłam się.

– Niech spotka się z nami tutaj – powiedziała.

Kiwnęłam głową i poszłyśmy do naszego samochodu.

– Seniorita Knight – odezwał się Luis. – Co nowego?

– Muszę się z tobą spotkać na West Side.

– Dlaczego?

– Powiem, kiedy się spotkamy.

– Okej. Kiedy?

– Zaraz.

– Nie ma sprawy – usłyszałam po długim wahaniu.

48

Bailey była w połowie konsumpcji dekadentkich racuchów z syropem i czekoladą, kiedy pojawił się Luis. Zerknął zaskoczony na Bailey, a potem na mnie.

– Myślałem, że mamy być tylko my dwoje.

– Dlaczego?

– Bo kiedy pani dzwoniła, to powiedziała pani „Muszę się z tobą spotkać”.

Wreszcie wyjaśniło się, dlaczego tak miło ze mną rozmawiał.

– Luis. Chyba nie sądziłeś poważnie, że możesz podrywać prokuratora?

– Staralam się zachować kamienną twarz.

– Czemu nie? – Uśmiechnął się przebiegle. – Już mi się zdarzało zbłądzić w wyższych sferach.

Nie zachowywał się jak ktoś, kto właśnie popełnił zbrodnię. Czy też ją zlecił.

– Mógłbyś nam powiedzieć, gdzie byłeś ostatniej nocy? – Uważnie obserwowałam jego reakcję.

Spojrzał najpierw na mnie, potem na Bailey. Miał zdziwioną minę.

– U ciotki. Na urodzinach bratanicy.

W jego zachowaniu nie było nawet cienia zdenerwowania. Niepewność, może. Ciekawość na pewno.

– Od której do której? – spytała Bailey.

Wiedziałam, że myślimy podobnie.

– Chyba od osiemnastej. – Wzruszył ramionami. – Pomagałem im wszystko przygotować.

– I byłeś tam do której? – spytałam.

– Do rana! Ludzie! To przecież fiesta! Mam przynajmniej tuzin kumpli i z pięćdziesiąt osób z rodziny, którzy wam to potwierdzą.

Czuł się urażony tym przesłuchaniem. Nie wątpiłam, że gotów jest przedstawić długą listę świadków, którzy przysięgną, że spędził tę noc z nimi. Abstrahując od jego alibi, wiedziałam, że nie miał nic wspólnego z tym morderstwem. Luis był dobrym kłamcą, ale nie aż tak dobrym.

– Powiecie mi wreszcie, w czym problem?

Nie widziałam powodów, żeby mu nie powiedzieć.

Oparł się na krzesło i patrzył na nas z niedowierzaniem.

– Jaja sobie robicie? – warknął. – To pieprzenie w bambus, a nie robota.

Nie mógł uwierzyć w nasze podejrzenie, że mógł zabić Staynera. Zapomniał nawet z wrażenia o starannym wysławianiu się. Wiedziałam, co ma na myśli. Porachunki między gangsterami polegały na przesyłaniu wiadomości. A w jaki sposób ktoś ma odebrać wiadomość, jeżeli organizuje się wypadek? Każę porównać jego odciski palców z tymi, które znajdą we wraku, ale i tak wiedziałam, że to nie on.

– To nie znaczy, że nie chciałbym dopaść tego *pendejo*. Ale kiedy Hector go wam wystawił, wiedziałem, że same się nim zajmiecie. Byłbym popierzonym kretyńcem, gdybym się w to akurat teraz wcinał.

Akurat teraz. Trudno o dokładniejszą analizę niewinności Luisa, ale musiałam przecież pamiętać, że był szefem gangu, a nie chłopcem ze szkoły niedzielnej. Zerknęłam na Bailey, która właśnie skończyła jeść racuchy. Wiedziałam, co to znaczy.

– Dobra, Luis – powiedziałam. – Jesteś czysty.

Kiedy zabierał się do wyjścia, przypomniałam sobie, co mu miałam przekazać.

– Susan prosiła, żebym cię pozdrowiła w jej imieniu. Poza tym, jestem pewna, iż wciąż ma nadzieję, że chcesz zdać maturę.

– Jak się czuje? Chciałem nawet do niej zadzwonić.

– Lepiej każdego dnia. Ucieszy się, kiedy cię usłyszy.

Pokiwał głową.

– Wypadłem z gry na długo... Za długo – stwierdził z powagą. – Muszę wrócić do książek.

Przed odejściem pochylił się do mnie z dziwnym uśmiechem na ustach.

– Gdyby pani kiedykolwiek chciała poznać lepszą stronę życia, wystarczy do mnie zadzwonić. *M'entende?*

Spojrzałam na niego, unosząc brew.

– A może każemy ci opróżnić kieszenie i zobaczymy, czy możemy cię puścić wolno? – spytałam.

– Ludzie! – oburzył się. – Przecież to był tylko żart! Wie pani, jaki jest pani problem? Kompletny brak poczucia humoru.

Miałam wiele problemów i brak poczucia humoru był najmniejszym z nich. Kiedy wychodził, przypominałam sobie o zagadce, której nie potrafiłam rozwiązać. Wzięłam nieużywany jeszcze widelec i spojrzałam na Bailey.

– Zawsze zakładałyśmy, że gwałciciel chciał zrobić Luisa w ten gwałt – powiedziałam, krojąc widelcem kawałek już zimnego racucha. Wciąż był pyszny.

– No – mruknęła Bailey.

– Ale wciąż nie wiemy, skąd Stayner wiedział, że Susan pomaga w nauce chłopakowi, którego można w to zrobić?

– Racja. – Westchnęła z rezygnacją. – Musiał w jakiś sposób znaleźć dostęp do Densmore'ów. Masz kolejny przebłysk geniuszu?

Znowu sięgnęłam widelcem do racuchów, więc Bailey przesunęła talerz w moją stronę. Ukroiłam sobie następną porcję i delektowałam się

smakiem. Potem niechętnie odłożyłam widelec i zaczęłam się zastanawiać, jak wygląda sprawa moich przebłyków.

– Sprawdziliśmy wszystkich, którzy pracują w ich domu lub w jego okolicy – myślałam głośno – ale nie sprawdziliśmy wszystkich jego ośrodków zdrowia.

Bailey przytaknęła w milczeniu.

– To najlepszy przebłyk, na jaki mnie w tej chwili stać.

Do Lecznicy Dziecięcej w Calabasas dojechaliśmy w rekordowym tempie. Znajdowała się w niewielkim budynku zaprojektowanym w stylu hiszpańskim, z prawdziwymi dachówkami i uroczym podwórkiem. Wszyscy pracownicy byli akurat na miejscu. Nikt nie rozpoznał Staynera na zdjęciu. Nikt nie dał też najmniejszych powodów, żebyśmy mogły podejrzewać kłamstwo.

Potem pojechaliśmy w kierunku wschodnim do lecznicy na Ventura Boulevard w Sherman Oaks. Mieściła się na trzecim piętrze wielkiego biurowca, ale została wykończona tak samo ładnie i przyjaźnie dla dzieci, jak pozostałe. Tam również nikt nie rozpoznał Staynera. Ruszyliśmy więc do naszego ostatniego celu, czyli lecznicy w Hollywood.

Większość ludzi uważa, że Hollywood to właściwie aleja chodników nabitych gwiazdami z nazwiskami sławnych aktorów, okraszona błyskami lamp paparazzich, baseny, sławni aktorzy... Słowem coś, co się ogląda w programach telewizyjnych. Mało ludzi natomiast wie, że Hollywood to również obskurne budynki, tanie hoteliki, niebezpieczne zaułki, obsikane bramy, gdzie tłoczą się bezdomni, uciekinierzy z domów i ćpuny. Lecznica przy Yucca Street znajdowała się właśnie w takim Hollywood.

Przy niewielkim, piętrowym budyneczku znajdował się parking z tablicą informującą, że jest tylko dla pracowników. Bailey tam zaparkowała. Rozejrzałam się po okolicy. Było już późne popołudnie i sporo mieszkańców wyległo na ulice. Siedzieli na krawężnikach, schodkach prowadzących do sklepików lub stali grupkami na rogach ulic.

Weszliśmy do poczekalni. Okazało się, że jest zadziwiająco mało pacjentów. Zauważyliśmy jedynie straszliwie chudą, wytatuowaną blondynkę, która obojętnie kartkowała stary numer magazynu „People”. W

drugim końcu młody człowiek o meksykańskiej urodzie oglądał sobie niedbale zabandażowaną rękę. Za biurkiem w recepcji nikt nie urzędował. Po prawej stronie lady widać było drzwi do korytarza, za którym prawdopodobnie znajdowały się gabinety lekarskie. Pewnie chodziło o bezpieczeństwo.

– Dzień dobry – powiedziała głośno Bailey.

– Chwileczkę! – odpowiedział jej damski głos. Po chwili pojawiła się kobieta w stroju pielęgniarki. Jej czarne włosy zwisały do ramion, a na szyi wisały okulary.

– Jesteście detektywami? – zdziwiła się.

– Ona tak – powiedziałam. – Ja jestem prokuratorem. Nazywam się Rachel Knight.

– A ja Bailey Keller.

– Sheila Houghton. Miło mi panie poznać.

Sprawdziła szybko stan poczekalni i znowu spojrzała na nas.

– To okropne, co spotkało Susan. Mam nadzieję, że wkrótce złapiecie tego potwora.

Bailey stwierdziła, że również ma taką nadzieję i przeszła do rzeczy, pokazując zdjęcie.

– Widziała go pani kiedyś?

Shelia włożyła okulary i spojrzała na fotografię.

– Tak – odparła, zdejmując okulary. – Przyprawia tu sporo nastolatków. Głównie uciekinierów z domu. Nazywa się Carl... jakiś tam. Nie pamiętam.

– Głównie chłopców czy dziewczęta? – Staralam się, by zabrzmiało to obojętnie.

– Jednych i drugich, ale więcej chłopców. Mówił, że pracuje w jednym ze schronisk dla uciekinierów. – Zmarszczyła brwi. – Nie pamiętam w

którym. Nieważne. Prawdopodobnie było to kłamstwo. Miałam przykre wrażenie, że wiem, dlaczego sprowadzał dzieciaki do kliniki. Nie miało to nic wspólnego ze schroniskiem.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Nie wiem. – Zamyśliła się. – Niedawno. Kilka tygodni temu.

Czyli raczej przed gwałtem.

– Sheila, pozwolisz, że rozejrzemy się po lecznicy? – spytałam. Właściwie to bardziej mi zależało na zamienieniu kilku słów z Bailey na osobności, niż na oglądaniu gabinetów. Z doświadczenia wiedziałam, że im mniej świadków wie, o czym myślimy, tym lepiej. Świadcowie uwielbiają opowiadać. Najczęściej nieodpowiednim osobom.

– Proszę bardzo – odparła. Odwróciła się w stronę poczekalni.

– Panie Flores! – krzyknęła. – Zapraszam. Obejrzyjmy pańską rękę.

Drzwi do pokoiów lekarskich stały otworem. Zajrzałam do pierwszego z brzegu. Młoda Meksykanka z wielką torbą na pieluchy na ramieniu wsadzała dziecko do wózka. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Odwzajemniłam uśmiech. Dziewczyna wyprowadziła wózek na korytarz. Wszystko było bardzo czyste, ale brakowało tu tej finezji, jaką było widać w pozostałych lecznicach. Wszędzie dawało się odczuć atmosferę sprzed wielu lat. Stara waga w kącie, miarka do mierzenia wzrostu na ścianie przy biurku, zużyte zabawki w koszyku. Nawet dziecięce plakaty trąciły myszką.

Następne pokoje były puste. Wszystkie wyglądały tak samo. Czyste, ale jakby czas się w nich zatrzymał. Patrząc na nie, miałam dziwne uczucie, że coś przeoczyłam, ale nie potrafiłam tego zidentyfikować. Usłyszałam, że Sheila z pacjentem zbliża się do sąsiedniego pokoju, więc wciągnęłam Bailey do wolnego pomieszczenia.

– Sądzę, że Stayner werbował dzieciaki do prostytutki i sprowadzał je tutaj na badania – powiedziałam.

– Zgadzam się. I jakiś dzieciak mógł mieć dosyć takiej pracy.

– Prawdopodobnie. Ale jeżeli to któryś z tych dzieciaków, to nie będziemy mieli jego DNA w bazie danych.

– Właśnie. – Bailey westchnęła ze smutkiem.

– Pięknie. Cholera!

Wróciłyśmy do poczekalni, żeby pożegnać się z Sheilą, która wciąż była zajęta opatrywaniem ręki Floresa.

Wyszłyśmy same. Bailey wjechała na Hollywood Boulevard.

– Mamy więc dobrą i złą wiadomość – stwierdziłam. – Zła jest taka, że nasz lista podejrzanych ma teraz objętość książki telefonicznej. Dobra, że możemy przynajmniej wyeliminować z listy Luisa i Sheilę.

– Rewelacja. – Bailey nie kryła sarkazmu. – To nas przybliży do prawdy.

Wracałyśmy w milczeniu. Nie miałyśmy nic do powiedzenia, więc uznałyśmy, że najlepiej milczeć.

– Do domu? – spytała wreszcie Bailey.

– Chyba tak – odparłam ponurym tonem. – Masz ochotę na drinka?

– Nawet dziesięć.

Nie chodziło o to, że Staynera najprawdopodobniej zamordowano – ludzkość nic na tym nie straciła. Ale jego śmierć pozbawiła nas wielu odpowiedzi. Jedyńm człowiekiem, który mógł jeszcze znać odpowiedzi na nasze pytania, był jego zabójca. I z każdą minutą umykał nam coraz dalej.

Przyglądałam się, jak w zbliżających się coraz szybciej wieżowcach centrum miasta zaczynają zapalać się światła.

50

Dotarliśmy do baru w Biltmore w podłym nastroju. Żadna z nas nie miała chęci na żarty. Drew od razu nalał nam po martini.

– Jak sprawy, moje panie?

– Do dupy. – Bailey wyciągnęła oliwkę ze swojego drinka, jakby to była trucizna. Potem wypła wielki łyk.

– Zły dzień? – Patrzył na mnie.

Przewróciłam oczami, złapałam za kieliszek i z wielkim trudem powstrzymałam się, żeby nie wypić go duszkiem.

Bailey stukała nerwowo palcami po blacie.

– Mogę zrobić coś jeszcze? – spytał Drew.

– Już zrobiłeś. – Wskazała na drinka. Pociągnęła łyk i znów zaczęła stukać palcami po blacie.

– Okej. – Drew pokazał na drugi koniec baru. – Będę tam, gdybyście chcieli coś jeszcze.

– Mądra decyzja, Obi-Wan – powiedziałam.

– Staram się tylko przeżyć – odparł Drew. Przeszedł na drugi koniec, gdzie kelner próbował odcyfrować zamówienie nabazgrane na kartce z notesu.

Bailey zaczęła przeglądać e-maile na swoim telefonie.

– Macie już odciski?

– Pewnie będą w poniedziałek.

– A od koronera?

Przewinęła kolejne e-maile.

– Też w poniedziałek. Ale tylko wstępne wyniki. – Schowała telefon do kieszeni i sięgnęła po kieliszek.

– Wiesz... Możliwe, że Stayner spadł w przepaść z własnej winy. Wypadki chodzą po ludziach.

– Akurat. Zbiegi okoliczności też się zdarzają, chociaż sama w nie nie wierzysz.

To prawda. Zastanawiałam się, czy nie poradzić jej pójścia do łóżka, bo przecież nic tak nie leczy jak sen. Czułam jednak, że ani ona, ani ja nie zmrużymy oka dzisiejszej nocy. Piłyśmy martini w milczeniu, jakby to było jakieś lekarstwo. Bo chyba jednak było. Po kolejnej rundce uznałyśmy, że możemy spróbować iść spać.

– Chcesz jechać do domu? – spytałam

– Chciałam – odparła Bailey.

– Nie chciałaś – wtrącił się Drew, który stał niedaleko i podsłuchiwał. – Albo pójdziesz spać do niej, albo poczekaasz na mnie.

– Chodź do mnie – powiedziałam szybko. Znając ją, wiedziałam, że jeżeli poczeka na Drew w takim nastroju, nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Niech ci będzie – zgodziła się z rezygnacją. Drew poklepał jej dłoń, a ona odpowiedziała mu smutnym uśmiechem.

– Zadzwoń jutro – powiedział.

Poszłyśmy do mojego pokoju. Pomogłam jej pościelić kanapę, a potem wzięłam długi prysznic. Dopiero kładąc się do łóżka, uświadomiłam sobie, jak bardzo byłam zmęczona. Ledwo przytknęłam głowę do poduszki, od razu zasnęłam. Za wielu podejrzanych i brak dowodów mogą człowieka całkiem wykończyć. Plus kilka martini.

Niedziela minęła bez rewelacji. Bailey udało się wrócić do domu, zanim się obudziłam. Do poniedziałku udało mi się odespać zaległości i to z naddatkiem. Wstałam o siódmej trzydzieści, wykąpałam się, rozczesałam włosy i wyszłam na balkon zobaczyć, jaki będzie ten nowy dzień. Niebo było błękitne, słońce jasno świeciło, a temperatura znośna. Uznałam to za

dobry omen. Wróciłam do pokoju, żeby przejrzeć zawartość szafy. Nie miałam pojęcia, jak się ten dzień skończy – wiedziałam tylko, że dzisiaj nie mam żadnych spraw w sądzie. Włożyłam więc zwykłe spodnie i sweter.

Czy wciąż potrzebowałam kamizelki kuloodpornej? Ktokolwiek zabił Staynera – zakładając, że to nie był wypadek – wciąż chodził na wolności. Chociaż ten ktoś nie sprawiał wrażenia szaleńca, któremu zależałoby na mojej śmierci. Gdyby mnie zabił, to na moje miejsce przyszłoby dziesięciu innych. Uznałam więc, że wystarczy mi moja beretta. Kamizelka została w szafie.

Poczułam się od razu lepiej, chociaż miałam wrażenie, że chodzę nago. No i mogłam teraz poruszać się szybciej. Po kilku minutach wspinałam się już po schodach do sądu. Gdy prawie je pokonałam, zadzwonił mój telefon.

– Gdzie jesteś? – spytała Bailey.

– Idę do windy.

– Będę u ciebie za dziesięć minut.

Po dziewięciu minutach wpadła do mojego pokoju. Podałam jej kawę, którą zdążyłam kupić po drodze.

– Dzięki. – Usiadła na krześle, naprzeciwko mnie.

– No i?

– Prawie skończyli z porównywaniem odcisków. Prawie wszędzie są odciski Staynera.

– Prawie?

– Oprócz jednego. Technicy znaleźli jeden wyraźny odcisk, którego nie potrafili zidentyfikować.

– Jak to nie potrafili? Chcesz powiedzieć, że nie pasuje do żadnych odcisków w bazie?

– Dokładnie to chcę powiedzieć.

To przynajmniej na dobre wykluczało Luisa i prawdopodobnie większość kumpli Staynera.

– Gdzie je znaleziono?

– Na opakowaniu gumy do żucia.

Nie tego oczekiwałam, ale było to lepsze niż nic.

– Przynajmniej mamy jakiś trop. Skoro nie ma go w bazie skazanych, musimy założyć, że należy do kogoś, kto nie jest notowany.

– Niby tak – potwierdziła Bailey. – Ale jeżeli wykluczemy przestępców, musimy założyć, że motywem był...

– Gwałt na Susan – dokończyłam za nią. – A ten motyw pasuje jedynie do Susan...

– Może jestem walnięta, ale powiedziałabym, że ją możemy wykluczyć.

– Dość ryzykowne, ale niech ci będzie. – Skinęłam głową. – Więc pozostają nam tylko mamuśka i tatuś.

– Choć jest to akurat też dość ryzykowna hipoteza. Tutaj musimy mieć coś więcej, niż przeczucie. Inaczej zadzwonią bezpośrednio do kapitana...

– I do Vanderhorna ...

– Zanim zdążymy mrugnąć okiem – dopowiedziała Bailey.

– Odciski palców lekarzy nie są przechowywane w osobnej bazie danych? – spytałam, olśniona nagłą myślą.

– Nie jestem pewna. – Bailey przekrzywiła głowę, zastanawiając się nad pytaniem. – Ale to mogę sprawdzić dość szybko.

Zaczęła dzwonić do różnych ludzi, a ja próbowałam w tym czasie uspokoić nerwy.

– Masz głowę, Rachel – stwierdziła z podziwem. – Właśnie starają się porównać odciski Densmore'a. Powinni mieć wyniki w ciągu godziny.

– A Densmore nie musi o niczym wiedzieć.

51

Godzina oczekiwania dłużyła nam się niemiłosiernie. Bailey bała się wyjść z mojego pokoju, żeby nie trafić na jakiś obszar, gdzie brak zasięgu sieci. Ja pragnęłam wyjść, bo musiałam się trochę poruszać, a w moim pokoiku było za mało miejsca. Czułam jednak, że powinnam być z Bailey, kiedy dostanie odpowiedź. Siedziałam więc jak na szpilkach i czekałam.

Trwało to godzinę i dwadzieścia minut, zanim zadzwonił telefon Bailey.

– Uhm – powtórzyła kilkakrotnie. – Dzięki – dodała wreszcie i się rozłączyła. Spojrzała na mnie z kamienną twarzą.

– Chcesz mnie wykończyć? – spytałam groźnie, ale nie dała się zastraszyć i jeszcze długą chwilę milczała.

– Na opakowaniu po gumie do żucia zidentyfikowano odciski Franka Densmore'a.

– Tak! – krzyknęłam radośnie.

Bailey się roześmiała i przybiłyśmy piątkę.

– To nawet ma sens. Stayner raczej nie potrzebował gasić pragnienia za pomocą gumy do żucia, kiedy prowadził samochód.

– Właśnie – wtrąciła Bailey. – Kiedy wspomniałaś, że to mogą być odciski Densmore'a, przypomniałam sobie, że sama żułam taką gumę, kiedy częściej jeździłam na rowerze.

– To czemu mi nie powiedziałaś? – Miała rację. Densmore przecież czynnie uprawiał kolarstwo.

– Wolałam poczekać, aż dostaniemy potwierdzenie. Nie chciałam, żebyśmy się niepotrzebnie nakręcały, gdyby to było pudło.

Trudno nie przyznać jej racji, zważywszy na nasz nastrój sprzed dwóch dni. Przynajmniej wiedziałyśmy już mniej więcej, na czym stoimy.

– Wszystko pięknie, ale to za mało, żeby otrzymać nakaz aresztowania – stwierdziłam. – Wystarczy, iż Densmore powie, że Stayner mógł znaleźć tę gumę w którejś z jego klinik.

– Albo gdzieś na trawniku przed domem. Wiemy już, że tam bywał.

– Ale będę się trzymać teorii, że to Densmore jest zabójcą.

– Rozsądnie.

– A to znaczy, że nas okłamał, mówiąc, że nie zna Staynera.

– Inaczej nie wiedziałby, gdzie go szukać.

– I to chyba sam Densmore był źródłem informacji o swojej rodzinie – dodałam.

– Ale dlaczego? – Bailey zadała to pytanie, którego obawiałam się najbardziej.

– Na razie nic nie mamy. Nawet nie bardzo możemy zgadywać. Musimy posuwać się krok po kroku. Najpierw trzeba wyjaśnić morderstwo Staynera. Potem zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Tak. – Bailey rozparła się na krześle i skrzyżowała ramiona. – Dobrze, że na opakowaniu nie ma jego odcisków palców. To może pomóc.

– Owszem – potwierdziłam – ale nie za bardzo. Czasami człowiek nie zostawia wyraźnych odcisków, nawet kiedy trzyma takie opakowanie w kieszeni. Brak odcisków jest poszlaką, ale niczym więcej.

– Czyli musimy zebrać więcej dowodów na naszego chłopaczka.

– Jeżeli polujesz na tygrysa, musisz go zabić pierwszym strzałem. Na drugi nie będzie czasu.

Siedziałyśmy chwilę w milczeniu, każda pogrążona w swoich myślach.

– A co z koronerem? Przysłał już coś? – spytałam.

– Nie zaszkodzi trochę go przycisnąć. – Bailey wyjęła komórkę i wybrała numer.

– Jeżeli koroner nic nie ma, to zadzwonię do Scotta. Może on na coś wpadł – powiedziałam.

Kiwnęła głową, czekając na połączenie. Wstałam i wyjrzałam przez okno. Niebo przybrało niewyobrażalnie błękitny kolor, stało się prawie nierealne. Nawet trawnik wokół ratusza nabrał przyjaznych barw. Na końcu trawnika jakiś facet w samych spodniach ukradkiem załatwiał się pod klonem. I trawa od razu nabrała mniej przyjaznego koloru.

Bailey machała ręką, starając się zwrócić moją uwagę. Z zadowoleniem odwróciłam się od okna. Zatkała mikrofon ręką.

– Czekam na połączenie. Asystent sądzi, że znaleźli przyczynę zgonu – powiedziała. – Atak serca.

– Koroner zechce z nami rozmawiać?

– Mają go spytać. – Po chwili kiwnęła głową i zaczęła mówić.

– Witam doktorze Loujian. Tak. Carl Stayner.

Słuchała koronera, a ja zaczęłam gorączkowo zastanawiać się nad dalszymi krokami. Densmore ewidentnie stawał się podejrzanym. Pokazałam palcem na telefon i powiedziałam szeptem:

– Zapytaj go...

– Chwileczkę doktorze. – Spojrzała na mnie. – Prokurator ma kilka pytań. – Podała mi telefon.

– Dziękuję doktorze, że zechciał mi pan poświęcić swój czas. Czy to jest ostateczna diagnoza, czy tylko podejrzenie?

– Na tę chwilę to wstępne podejrzenie – odpowiedział swoim piskliwym głosem, który zupełnie nie pasował do jego postury – miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Ogólny stan zdrowia może sugerować możliwość ataku serca?

– Cóż. – Doktor zastanowił się przez moment. – Nie do końca. Jego serce nie było w najlepszym stanie. Chociaż nie w tak podłym, jak wątroba.

I to jest dziwne. Jego wątroba wygląda, jakby miała za chwilę sama wypłynąć z organizmu. – Zachichotał z makabrycznego żartu. Nie wszyscy koronerzy obdarzeni są takim chorym poczuciem humoru, ale większość, niestety, żartowała w ten sposób.

Próbowałam grzecznie się zaśmiać, lecz śmiech uwiązł mi w gardle.

– Gdyby ktoś mu podał coś, co mogłoby wywołać atak serca, to pana zdaniem co to by było? – spytałam.

– Wiele leków może wywołać podobne skutki. Chwilę potrwa, zanim uda mi się je wszystkie sprawdzić.

Stayner został zamordowany w kilka godzin po tym, jak pokazałam jego zdjęcie Densmore'owi. Jeżeli on był zabójcą, musiał użyć czegoś, co miał pod ręką.

– Spodziewam się, że to może być coś, do czego każdy lekarz ma dostęp.

– To zawęźa potencjalne możliwości – odpowiedział. – Powtórzymy badania toksykologiczne i zobaczymy, czy coś wykryjemy.

– Wspaniale. Ile czasu to zajmie?

– Tyle, ile będzie potrzeba.

Zamilkłam, zastanawiając się, w jaki sposób mogłabym grzecznie nakłonić go do pośpiechu. Zanim udało mi się cokolwiek wymyślić, sam się odezwał.

– Zrobimy to na cito, ale niczego nie obiecuję.

– Bardzo dziękuję. Naprawdę doceniam to. A mógłby pan przefaksować mi wyniki? – Zdawałam sobie sprawę, że przeginam.

– Panno Knight, doskonale pani wie, że to nie jest możliwe.

– Nikomu o tym nie powiem, obiecuję. Może mi pan zaufać. Proszę spytać Scotta. On za mnie zaręczy.

Nie mogłam mu powiedzieć, że Scott ma podstawy do poręczenia, ponieważ dał mi już wyniki autopsji Jake'a i nikt się o tym nie dowiedział.

– No dobrze – sapnął wreszcie po dłuższym milczeniu. – Prześlę pani, ale musi to pani zachować dla siebie. A kiedy przygotuję oficjalne wyniki, będzie pani musiała zniszczyć mój faks.

– Przyrzekam.

– Proszę więc stanąć przy waszym faksie i niech nikt nie widzi, co pani odbiera. Prześlę pani resztę, gdy tylko skończę badania.

Poprosiłam Bailey, żeby poszła ze mną i razem przeszliśmy do sekretariatu. Po drodze wyjaśniłam jej, co mi powiedział koroner.

– Toksykologia trwa dość długo – zauważyła ponuro.

– Wiem.

Z ulgą stwierdziłam, że Melii nie ma w sekretariacie. Była ostatnią osobą, której potrzebowałyśmy; wścibiała nos wszędzie i zadawała głupie pytania.

– Ale ten preparat musi być powszechnie dostępny – dodałam. – To powinno przyśpieszyć badania.

Faks uruchomił się zaraz po naszym przyjsciu i zaczął wypluwać kartki z wynikami wstępnej autopsji. Zebrałam wszystkie i wróciłyśmy do mojego pokoju, gdzie usadowiłam się w swoim sędziowskim fotelu i zaczęłam czytać.

– Masz ochotę na kanapkę? – spytała Bailey.

Na wzmiankę o jedzeniu obudził się mój żołądek, przypominając, że nie jadłam śniadania. Zegar na budynku „Timesa” wskazywał dziesiątą.

– Umieram z głodu. – Sięgnęłam po portmonetkę. Bailey zatrzymała moje zapędy.

– Tym razem ja stawiam.

– Tylko żadnych bajgli i babeczek – zaznaczyłam, patrząc na nią podejrzliwie. – Nie chcę dodatkowego stresu.

Rzuciła mi obrażone, choć kpiące spojrzenie i podeszła do drzwi.

– Wykańczasz mnie, Rachel.

– Mówię poważnie. Jestem głodna i uzbrojona. Nie wnerwiaj mnie!

Uniosła brwi i wyszła z pokoju.

Złapałam porcję miniprecli z dolnej szuflady, żeby oszukać głód, i zajęłam się czytaniem raportu.

Jedynym punktem wspólnym między Staynerem a Densmore'em była lecznica w Hollywood. Cały czas zastanawiałam się nad tym, czytając opis ogólnego stanu zdrowia Staynera:

Dobrze odżywiony mężczyzna... waga około dziewięćdziesięciu kilogramów... pomiar wzrostu – sto siedemdziesiąt pięć centymetrów... Przerwałam czytanie. *Pomiar wzrostu.* Coś zaczynało mi świtać w głowie. Staralam sobie to coś przypomnieć, ale oczywiście bez skutku. Syknęłam z irytacją i walnęłam dłonią w biurko ze złości. Akurat w tym momencie wróciła Bailey, rzucając na biurko torbę z selerem i marchewką oraz jabłkiem.

– Co cię trapi? – spytała.

– Coś w raporcie z autopsji... przypomniało mi... – Zamilkłam, walcząc z własną pamięcią. Miałam to na końcu języka i ciągle nie mogłam sobie przypomnieć. To było wnerwiające.

Bailey wzięła raport i zaczęła czytać na głos.

– Waga około... pomiar wzrostu...

– Pomiar wzrostu – powtórzyłam i dłonią dałam jej znak, żeby zamilkła.

Sięgnęłam po kopię zdjęcia Kita, którą miałam w torebce. Gdzie się podziało szkło powiększające? Zaczęłam nerwowo grzebać po biurku i w szufladach, zatrzaskując je potem z hukiem.

– Rachel?

Pokręciłam głową, wciąż się rozglądając. Już miałam zamiar odsunąć biurko, żeby sprawdzić, czy nie znajdę czegoś na podłodze, kiedy wreszcie zauważyłam szkło powiększające na stoliku pod oknem. Skoczyłam po nie i klapnęłam na fotel. Przyjrzałam się uważnie pionowej linii widniejącej na zdjęciu. Teraz, kiedy wiedziałam, co to jest, bez trudu zidentyfikowałam na fotografii.

– Co? – spytała Bailey.

– Spójrz na to!

Podalam jej szkło powiększające. Pochyliła się i zaczęła oglądać zdjęcie.

– Chodzi ci o tę czarną kreskę na ścianie?

– To linijka do pomiaru wzrostu dzieci. Widziałyśmy je w każdym pokoju w lecznicy w Hollywood.

– Wszystkie zdjęcia, które Clive znalazł w sieci, zostały zrobione w tej lecznicy – mruknęła Bailey do siebie, oglądając fotografię.

– Co tłumaczy, dlaczego te dzieciaki nigdy nie wyglądają, jakby pozowały – powiedziałam.

– Tak. I nie wyglądają seksownie. Ale dzieciaki z reguły tak wychodzą – dodała, odkładając szkło powiększające. Usiadła wreszcie na swoim krześle.

Pokiwałam głową. Wrażenie niewinności stanowiło o wartości takich zdjęć. Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, co wynika z naszego odkrycia. Z wrażenia prawie wmurowało mnie w fotel. Zaczęłam gapić się w okno, rozważając wszystkie implikacje tej myśli.

– Co tam znowu? – zainteresowała się Bailey.

Milczałam, chociaż obawiałam się, że moje wnioski są trafne.

– Jeżeli się nie mylę, to gwałt na Susan i morderstwo Jake'a są jakoś ze sobą powiązane.

Bailey zamrugnęła. Do niej też zaczęło docierać, z czym łączy się moje twierdzenie.

– Kit został sfotografowany w lecznicy Densmore'a – mówiłam powoli, układając sobie wszystko w głowie. – Jego zdjęcie znaleziono przy Jake'u. Densmore zabił Staynera – prawdopodobnie mszcząc się za gwałt na Susan.

– Ja pierniczę. Nie mogę uwierzyć, ale masz rację.

W każdej sprawie zdarzają się przełomy, zwykle jednak dotyczą drobiazgów, które nie mają wpływu na całość śledztwa. Tym razem miałyśmy do czynienia z przełomem na miarę Wielkiego Kanionu.

– Nie wiem tylko, w jaki sposób i dlaczego Densmore związał się z takim kretynem, jak Stayner?

– Nie mam zielonego pojęcia. Ale założenia, które przyjmowałyśmy do tej pory, właśnie szlag trafił – stwierdziła Bailey.

Kiwnęłam głową. W obecnym stanie śledztwa wszystko było możliwe.

– To znaczy, że Densmore zajmuje się pornografią dziecięcą?

– Też mi trudno w to uwierzyć – przyznałam. – Jakoś nie mieści mi się w głowie, żeby taki multimilioner tym się zajmował. Nawet jeżeli sam jest pedofilem...

– W co, szczerze mówiąc, trudno mi uwierzyć. Mimo że go nie lubię.

– Mnie też. Ale nie możemy tego wykluczyć.

– Nawet jeżeli to nie on, musi być ktoś, kto ma łatwy dostęp do pokojów lekarskich.

– Jestem pewna jedynie tego, że nie siostra Sheila – powiedziałam.

– Ktoś, kto ma coś do ukrycia, nie cieszy się jak ona z przyjscia policji, która zaczyna węszyć po całej lecznicy.

Westchnęłam i odchyliłam się w fotelu do tyłu. Im więcej odpowiedzi znajdowałyśmy, tym więcej pojawiało się nowych pytań.

– Przypominam sobie rozkład lecznicy. – Bailey zmarszczyła brwi. – I nie mogę sobie wyobrazić żadnego miejsca, w którym można by schować aparat fotograficzny. Kojarzysz coś?

Pomyślałam chwilę i pokręciłam głową.

– Możemy tam wrócić i jeszcze raz wszystko obejrzeć – zasugerowała.

– Możemy. Ale musimy wymyślić jakąś historyjkę dla Sheili. Nie chciałabym, żeby komukolwiek opowiadała, że znowu tam się pojawiłyśmy.

Nawet jeżeli Sheila nie była w to zamieszana, nie mogłyśmy ryzykować, że przypadkiem wypapla coś Densmore'owi. Nie wspominając już o takim szczególe, że już dwukrotnie dostałam wyraźne polecenie trzymania się na kilometr od sprawy Jake'a.

– To nie powinno być takie trudne. – Bailey wstała i szła do drzwi. – Wymyślmy coś po drodze.

– I jeszcze jedno – dodałam. – Musimy zachować związki między gwałtem a morderstwami tylko dla siebie.

– Co ty powiesz? – Uśmiechnęła się ironicznie.

Gdybyśmy teraz ujawniły szefom istnienie takiego związku, natychmiast odebraliby nam nasze sprawy i na dodatek dostałyśmy solidnie po tyłku za działanie na własną rękę. Jeżeli okaże się, że dostarczyłyśmy im winnych w obu sprawach na talerzu, wraz z niezbędnymi dowodami, będą mieć trudności z wyciągnięciem konsekwencji za brak dyscypliny. Po głębokim rozważeniu wszystkich za i przeciw postanowiłam trzymać się swojego motto: Lepiej prosić o przebaczenie, niż o zezwolenie.

– Oczywiście, nawet gdybyś komuś o tym powiedziała... – zaczęłam.

– To i tak nikt mi nie uwierzy – dokończyła Bailey.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie porozumiewawczo.

Wzięłam płaszcz, schowałam raport Staynera do torby, a zdjęcie Kita do zasuwanej kieszonki w torbie. Skierowałyśmy się do wyjścia.

– Może powiemy Sheili, że szukamy ecstasy – zasugerowałam.

– Nie. To dobre dla pensjonarek. Szukamy raczej kryształu.

– Nigdy cię nie podejrzewałam o takie guściki.

– Lubię się kontrolować. Kryształ w tym pomaga.

– Interesujące. Nigdy nie rozważałam tego pod takim kątem.

Już miałyśmy wyjść, kiedy usłyszałam głos Melii:

– Rachel!

Machała do mnie ręką, wychylając się z sekretariatu Erica. Zawróciłam i podeszłam do niej.

– Tak?

– Masz telefon. Jakiś doktor... Nazywa się... Luanne?

Loujin. Koroner.

– Dzięki, Melia. – Pobiegłyśmy z Bailey z powrotem do mojego pokoju.

– Powiedz mu, że zaraz odbiorę – krzyknęłam w biegu.

– Słucham – wysapałam, gdy tylko byłam przy telefonie.

– Ma pani u mnie przysługę, pani Knight. Obejrzałem ponownie ciało i znalazłem ślad po zastrzyku w górnej części prawego pośladka. Zrobiłem kilka dodatkowych testów i podejrzewam, że zabójca mógł użyć chlorku suksametonium, czyli anektyny. To sprytne z jego strony, ponieważ te środki rozkładają się w ciągu dwóch minut. Potem nie można już ich zidentyfikować. Ale można zrobić serię testów na metabolity.

– Co to jest anektyna?

– Używa się jej do zmiękczenia mięśni przy intubacji pacjentów. Jej działanie polega na sparaliżowaniu mięśni układu oddechowego. W wypadku przedawkowania powoduje skutki podobne do zwału serca.

– To jest coś, do czego lekarz ma łatwy dostęp?

– Oczywiście. Chociaż z reguły czeka się na anestezjologa. Chyba że chce się zabić pacjenta. – Chichotał ze swojego dowcipu.

Tym razem zachichotałam grzecznościowo razem z nim. Przyrzekłam zniszczyć wstępny raport, podziękowałam mu i rozłączyłam się.

Kiedy streściłam swoją rozmowę, Bailey bez słowa sięgnęła po telefon.

– Do kogo dzwonisz?

– Wysyłam patrol do centrum Densmore'a, żeby sprawdzili, czy przechowują tam anektynę i czy nie brakuje im jakiejś dawki.

– Doskonale.

Kiedy dzwoniła, ja zajęłam się przygotowaniem wniosków o nakaz rewizji w domu Densmore'a i w jego centrach. Prawdopodobnie większość pracowników nie będzie miała nic przeciwko temu. Ktoś tam jednak

zajmował się dziecięcą pornografią i na pewno nie zgodzi się na przeszukanie bez sądowego nakazu.

Bailey skończyła rozmowy i spojrzała na mnie.

– Oddzwonią, gdy tylko zakończą sprawdzanie. Przy założeniu, że pracownicy ośrodka zechcą z nimi współpracować.

Powiedziałam jej, nad czym pracuję.

– Jeżeli chcemy dostać ten nakaz, musimy mieć jakiś scenariusz tego morderstwa. Sędzia nie zechce opierać się na przeczuciach i domysłach.

– Racja. Też o tym myślałam. Densmore musiał się spotkać ze Staynerem gdzieś...

– To musiała być lecznica w Hollywood – powiedziałam. – Musiał się spotkać gdzieś, gdzie panował nad sytuacją i gdzie mógł spokojnie ogłuszyć Staynera i potem zrobić mu zastrzyk bez wzbudzania podejrzeń. Centrum jest jedynym miejscem, które jakoś ich łączy.

– Brzmi sensownie. Potem załadował jego ciało i swój rower do samochodu Staynera i pojechał do Malibu Canyon.

– I w ten sposób zgubił swoją gumę do żucia.

– A potem wyjął rower, posadził Staynera za kierownicą i zepchnął samochód, a sam wrócił rowerem do domu.

– To kawał drogi – zdziwiłam się.

– Nie dla niego. Aż do Pacific Coast Highway jest z górki, a potem już po płaskim na autostradzie. Dla takiego kolarza to nic trudnego. Nawet gdyby się zmęczył, mógł autobusem dojechać do domu.

– Chyba dodam jeszcze ten rower do nakazu. – Wróciłam do komputera. – I trzeba będzie sprawdzić w zapisach ochrony, czy tego dnia wpuszczali go na teren późnym wieczorem.

– Nie sądzę, żeby były jakieś zapisy. Komputery rejestrują nadajniki mieszkańców umieszczone w samochodach. Rowery tego nie mają.

– Też prawda. Może któryś z ochroniarzy coś sobie przypomni. Chociaż na miejscu Densmore'a nie ryzykowałabym takiego spotkania. Schowałabym gdzieś rower i przelazła przez ogrodzenie, żeby mnie nie zauważyli.

– Wtedy mógłby wjechać następnego dnia bez wzbudzania podejrzeń. Będziemy musieli ściągnąć ekipę, żeby sprawdziła, którędy mógł się dostać – dodała i wtedy zadzwoniła jej komórka.

– Raport z pola bitwy? – spytałam.

– Mam nadzieję. – Westchnęła. – Keller, słucham. – Słuchała przez chwilę i rozłączyła się. – Brentwood, Palisades i Calabasas mają anektynę.

– I?

– Wszystko się zgadza.

Westchnęłam zrezygnowana.

– I tak dokończę ten nakaz – postanowiłam. – Ale nie chcę chodzić do sędziego bez wyników przeszukania we wszystkich lecznicach.

Po dziesięciu minutach jej telefon znowu zadzwonił. Zaczynały mi puszczać nerwy. Znowu wysłuchiwała meldunków, rozłączyła się i schowała telefon.

– Sherman Oaks i Beverly Hills czyste. Niczego nie brakuje.

Zaczynałam się martwić coraz bardziej. Może należało sprawdzić kontakty Densmore'a w szpitalach? Próbowałam się skupić na pisaniu wniosku do sędziego. Bailey zaczęła nerwowo stukać palcami o biurko.

Minęło pięć minut. Nie potrafiłam się powstrzymać od ciągłego spoglądania na zegarek. Modliłam się, żeby Bailey przestała wreszcie stukać.

Tak nam minęło kolejne dziesięć minut.

Wreszcie skończyłam wniosek. Było trzynaście trzydzieści pięć. Zaczęłam go drukować, kiedy wreszcie zadzwoniła jej komórka.

Spojrzałyśmy na siebie z nadzieją.

– Keller. – Wysłuchała meldunku. – Okej. Zostańcie tam – powiedziała wreszcie i rozłączyła się.

– To ma sens – stwierdziła.

– Co takiego? – Byłam rozdrażniona i zniecierpliwiona.

– Lecznica w Hollywood. Zamówili dwie fiołki. Według ich rejestru żadna nie została użyta. Ale jedna im zginęła – dodała po chwili milczenia.

Odetchnęłam z ulgą.

– Jaja sobie ze mnie robiłaś – oburzyłam się.

– Tylko troszeczkę – przyznała ze złośliwym uśmieszkiem. – Ale przynajmniej to cię rozluźniło, prawda?

– Nie. – Musiałam dopisać ostatnie informacje do wniosku i wydrukować go jeszcze raz. Podałam jej gotowy formularz.

– Który sędzia mógłby to nam podpisać?

– Ja bym zaatakowała J.D. Morgana. – Uśmiechnęła się złośliwie. Zerknęła na zegarek. – Właśnie powinien kończyć lunch.

– Jesteś prawdziwym geniuszem – stwierdziłam, również uśmiechając się szyderczo. J.D. nie tylko był naszym przyjacielem, ale również jednym z niewielu, którzy mieli w nosie polityczne implikacje tego typu działań. Idealnie nadawał się do sprawy, która wkrótce mogła się zamienić w piekło.

Bailey wzięła wniosek i wstała z krzesła.

– Kiedy tylko zdobędę podpis, powinniśmy jechać prosto do domu Densmore'a. Jeżeli zechce mówić, to będziemy tam obie.

– Już się zaczynam pakować.

Niedługo potem siedziałyśmy w samochodzie Bailey, jadąc do Palisades. Gdy tylko J.D. podpisał nakaz aresztowania, Bailey wysłała patrole w celu zlokalizowania Densmore'a. Ustalili, że przebywa w domu, więc radiowozy dyskretnie pilnowały obu wjazdów na osiedle.

Kiedy jechałyśmy tunelem w stronę autostrady, wyobraziłam sobie policjantów skradających się do domu Densmore'a, a w nim obleżone Susan i Janet. Uniesienie sprzed kilku minut minęło. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak one sobie dadzą radę z tym wszystkim. Z jednej strony Densmore zachował się szlachetnie, zabijając gwałciciela córki. Z drugiej, jego związki ze Staynerem były mocno podejrzane. Nie mogłam się doczekać przesłuchania Densmore'a, chociaż teraz moja ciekawość mieszała się z niepokojem.

Szybko dojechałyśmy na miejsce, nasze wsparcie już na nas czekało. Bailey wysiadła i kazała im iść za sobą. Nikt nie spodziewał się użycia broni, ale nigdy nie wiadomo.

Zapukała i drzwi znowu otworzyła hiszpańska służąca. Kiedy zobaczyła policjantów stojących za nami, zamarła z przerażenia.

– Szukamy doktora Densmore'a – powiedziała Bailey.

– *Sí, sí* – mruknęła służąca. – *Allá* – dodała i uciekła na zaplecze domu.

Bailey weszła do środka, trzymając rewolwer w dłoni, ale lufą ku ziemi. Wtedy w holu pojawiła się Janet.

– Tak? Czym mogę służyć? – spytała. Gdy spostrzegła, że Bailey trzyma w ręku rewolwer, zbladła, a oczy zrobiły się jej wielkie ze strachu.

– Przykro mi pani Densmore. Gdzie możemy znaleźć męża? Jest w domu? – spytała Bailey.

– Franka? – Janet wyglądała, jakby miała zemdleć. – Jest w swoim pokoju. – Gestem wskazała lewą stronę holu.

Bailey dała znak dwóm policjantom, żeby poszli za nią. Zostałam, by porozmawiać z Janet.

– O co chodzi? – spytała drżącym głosem.

– Przykro mi, Janet. Musimy aresztować twojego męża pod zarzutem morderstwa.

Osunęła się na ziemię, ale ją podtrzymałam za ramiona. Udało mi się doprowadzić ją do kanapy i posadzić.

Podalam jej szklankę wody, ale pokręciła głową. Usiadłam koło niej. Chciałam ją jakoś pocieszyć informacją, że Densmore zabił gwałciciela Susan, niestety, nie miałam jeszcze oficjalnego potwierdzenia tej tezy.

– Widziałas się z Frankiem wczoraj wieczorem?

Janet zaczęła coś mówić, ale kiedy spojrzała na hol i zobaczyła tłum policjantów, dotknęła dłonią ust i zamilkła.

– Nie... jestem pewna, czy powinnam z panią rozmawiać – wydukała drżącym głosem.

Jeśli pomyśleć logicznie, prawdopodobnie nie powinna. Ja na jej miejscu nie chciałabym rozmawiać. Na tym etapie nie było powodu jej do tego zmuszać.

– Susan jest w domu? Nie chciałam, żeby widziała, jak wyprowadzają jej ojca w kajdankach.

– Nie. Poszła do przyjaciółki – odpowiedziała Janet ledwo dosłyszalnym szeptem.

– Czy ktoś mógłby zostać dzisiaj z tobą?

Nie odpowiedziała. Wpatrywała się w okno ze zboląłą twarzą.

– Dam sobie radę – powiedziała wreszcie cicho.

Skinęłam głową. Wątpiłam, żeby kiedykolwiek jeszcze chciała cokolwiek ode mnie.

Podeszłam do Bailey i policjantów. Frank Densmore leżał na podłodze, a policjanci dokładnie go przeszukiwali. Potem jeden z nich pomógł mu wstać i posadził na skórzanym fotelu.

– Doktorze Densmore – powiedziała Bailey. – Przeczytam panu pańskie prawa.

– Proszę się nie kłopotać. Nie będę z wami rozmawiać – oznajmił Densmore stalowym głosem. – Proszę o telefon. Chcę zadzwonić do prawnika.

Policjant z prawej strony podszedł do biurka, wziął telefon komórkowy i spytał Densmore'a, jaki ma wbić numer. Potem połączył się i przytknął telefon do ucha Densmore'a. Jakimś cudem doktor nawet w kajdankach zachował władczy wygląd.

Westchnęłam zrezygnowana. Powinnam się tego spodziewać. Nie miał przecież nic do zyskania, zeznając i zdawał sobie z tego sprawę.

Nie miałyśmy tu więcej nic do roboty. Bailey ruchem głowy wskazała drzwi. Przytaknęłam i obie wyszłyśmy.

– Chcesz sprawdzić garaż, zanim wyjdziemy? – spytałam.

– Oczywiście.

Garaż był wielki i nieskazitelnie czysty. Oczywiście.

– To jego rower? – Patrzyłam na zawieszoną pod sufitem czarno-żółtą terenówkę.

– Na to wygląda. Mamy go w nakazie. Muszę tylko uprzedzić, żeby go starannie spakowali, jeśli chcemy znaleźć jakieś ślady.

– Założę się, że te dziwne ślady na poboczu drogi pochodzą od tego roweru – powiedziałam.

– Pewnie tak. – Bailey zadzwoniła do kogoś, komu tłumaczyła, jak należy spakować rower.

– Wiedzą, że powinni poszukać również butów? – spytałam.

Przekazała moją uwagę i rozłączyła się.

– Lecznica? – spytałam.

– Lecznica.

Poszliśmy w stronę jej samochodu.

Ośrodek pilnował tylko jeden radiowóz. Z punktu widzenia policji kazano im pilnować półki na leki. Nie mieli pojęcia, że lecznica może mieć związek z zabójstwem Jake'a.

Weszliśmy do środka. W recepcji Sheila zajmowała się robotą papierkową. Przywitała nas ciepło, ale widziałam, że zżera ją ciekawość, o co nam chodziło z anektyną. Miałam zamiar jej wszystko opowiedzieć... później.

– Jak często tu bywa doktor Densmore? – spytałam.

Zacisnęła usta, jakby bojąc się, że powie coś niestosownego.

– Prawie nigdy. Ostatni raz widziałam go tutaj chyba rok temu – odparła wreszcie z niesmakiem. – Ten policjant cały czas na was czeka.

– Tak. Wiem – powiedziała Bailey. – Dziękujemy za pomoc.

– Nie ma sprawy. – Wróciła do swojej roboty, a my powoli poszliśmy dalej.

– Pozbędziesz się go jakoś? – szepnęłam do Bailey.

– Idź sama – mruknęła. – Dojdę za kilka minut.

Obejrzałam się szybko przez ramię, żeby się upewnić, że Sheila nie zauważy, i wślizgnęłam się do pokoju lekarskiego. Zamknęłam drzwi i spojrzałam na miarkę widoczną na ścianie, która widniała na wszystkich zdjęciach. Usiłowałam wyobrazić sobie, skąd robiono zdjęcia. Ustawiałam się w różnych miejscach. Wreszcie wydawało mi się, że trafiłam na właściwe ujęcie i obejrzałam się za siebie na ścianę. Nic nie zauważyłam. A przecież gdzieś tutaj musiał być ukryty aparat fotograficzny albo kamera. Chyba że zdążono już ją zabrać. A przecież jedyną osobą mającą podstawy do przypuszczeń, że lecznica znajduje się w kręgu podejrzeń, była siostra Sheila. Z reguły nikogo nie wykluczałam, kierując się swoimi wrażeniami,

ale w tym wypadku byłam gotowa zrobić wyjątek. Nic nie wskazywało, żeby była w cokolwiek zamieszana.

Przyjrzałam się bliżej wystrojowi pokoju. Aparat musiał być umieszczony gdzieś naprzeciwko miarki do pomiaru wzrostu. Na ścianie znajdował się aparat do jonizacji powietrza, a nad nim i pod nim niewielkie szafki. Wisiały w złych miejscach i pod złym kątem w porównaniu do fotografii. Ale otworzyłam je i zajrzałam do wnętrza. Środki czystości i jednorazowe rękawiczki. Nic więcej.

Opukiwałam ścianę po obu stronach szafek, szukając pustych przestrzeni. Nic z tego. Jonizator zawieszono na ścianie obok umywalki. Zdjęłam go i potrząsnęłam, licząc na odgłos ruchomych części w środku. Nic z tego. Potem zauważyłam, że kratka wylotowa jest na zawiasach i można ją podnosić. Tym razem trafiłam w dziesiątkę. W środku umieszczono kamerę. I to tak sprytnie, że była prawie niezauważalna. Musiałam przyznać, że ktoś, kto to zamontował, znał się na swojej robocie. Wyodrębnienie pojedynczych klatek o znośnej jakości wymagało pewnej wiedzy technicznej, ale bez przesady. Dzisiejsze oprogramowanie potrafiło działać cuda.

Założyłam jonizator na swoje miejsce i zastanawiałam się, kto mógł to zamontować. Wtedy zjawiała się Bailey. Wskazałam jej dłonią urządzenie i przytknęłam palec do ust, ostrzegając, żeby się nie odzywała. Spojrzała na aparat, potem na mnie i uniosła brwi. Na migi dałam jej do zrozumienia, żeby poszła za mną i weszłyśmy do drugiego pokoju. Znowu sprawdziłam ścianę, ale teraz wiedziałam już, czego mam szukać. Oczywiście, naprzeciwko miarki wisiał kolejny jonizator powietrza. Bez słowa pokazałam go Bailey; przytaknęła kiwnięciem głowy. To samo znalazłyśmy w trzecim pokoju. Dopiero tam zdjęłam urządzenie ze ściany i otworzyłam kratkę. Bailey obejrzała kamerę.

– Stayner musiał brać w tym udział – powiedziałam szeptem, żeby nikt nas nie podsłuchał. – Ale wątpię, by to wymyślił i zainstalował. – Pokazałam na jonizator.

– Mało prawdopodobne – przytaknęła Bailey. – Ale trzymam zakład, że zatrzymanie Densmore'a już jest w wiadomościach.

– Czyli ktokolwiek to zorganizował, musi się już szykować do ucieczki – dokończyłam jej myśl.

– Powinniśmy się tu zacząć i zobaczyć, kto po to przyjdzie.

Zastanowiłam się. Nie był to może najlepszy plan, ale innego nie miałyśmy.

– No i? – ponagliła mnie Bailey.

– Wchodzę w to.

Dochodziła dziewiętnasta i lecznica zrobiła się pusta. Sheila chodziła od pokoju do pokoju z pękiem kluczy, żeby wszystko pozamykać.

– Sheila – powiedziała Bailey. – Muszę prosić, żebyś wszystko zostawiła otwarte do czasu, aż technicy zakończą pobieranie odcisków palców i fotografowanie.

Poniekąd była to prawda. Technicy musieli wszystko sfotografować i pobrać odciski palców. Dlatego Bailey zostawiła tu policjanta. Po prostu nie zamierzaliśmy robić tego dzisiaj. Najbardziej palącym problem było ustalenie, kto zamontował ukryte kamery. Zdjęcia można było zrobić w każdej chwili, a odciski palców Densmore'a – nawet jeżeli je znajdziemy – nie stanowiły najważniejszego dowodu, bo przecież i tak miał legalny dostęp do magazynu leków. Chociaż nie zaszkodziłoby je zdobyć, skoro tak rzadko tu bywał.

– Nie ma sprawy – odparła Sheila z typowym dla siebie pragmatyzmem.

– Pozwolisz, że poczekamy tutaj na techników?

– Nie ma sprawy – powtórzyła, chociaż tym razem zastanawiała się dłużej. – Pokażę wam tylko, które drzwi należy zamknąć. Jeżeli zostawicie je otwarte, do rana całe to miejsce zostanie wygolone do czysta.

Zaprowadziła nas do tylnych drzwi. Pokój za recepcją był tylko przedsionkiem, jak się okazało. Na końcu znajdowały się tylne drzwi, prowadzące na parking dla samochodów pracowników. Sheila pokazała nam, którego klucza należy użyć, a potem zaprowadziła na koniec korytarza poczekalni, gdzie znajdowały się kolejne drzwi, również prowadzące na parking.

– Macie dwa tylne wyjścia? – zdziwiłam się.

– Owszem. W tym budynku były kiedyś mieszkania. Jeśli się dobrze przyjrzeć, można zauważyć, które pokoje zostały dobudowane, żeby dało się z tego zrobić lecznicę. Wydaje mi się, z tamte drzwi za recepcją to dawne tylne wejście. Mogę dla was zrobić coś jeszcze?

– Dasz nam swoje numery telefonów? – spytałam. – Na wszelki wypadek, gdybyśmy chciały o coś spytać.

Podawała numer swojego telefonu stacjonarnego oraz komórkowego i oddała klucze Bailey.

– Otwieramy o siódmej rano – dodała.

– Będę punktualna – zapewniła Bailey.

Kiedy Sheila wyjechała z parkingu, skupiliśmy się na naszym planie. Był prościutki.

– Powinniśmy pilnować wszystkich wejść – powiedziałam.

– Zgoda, ale podejrzewam, że nasz człowiek wykorzysta raczej tylne. Więc ja się zajmę tylnymi, a ty frontowym.

– Mamy tylko jeden samochód.

– Właśnie. Poza tym nie może sterczeć samotnie na pustym parkingu w środku nocy. To tak, jak byśmy wywiesiły na nim neon z napisem zasadzka. Przetaw go na ulicę. – Bailey podała mi kluczyki.

– A ty gdzie się schowasz?

Wyjrzałyśmy przez okno. Parking nie oferował żadnej kryjówki. Przyjrzałam się uliczkom wokół niego. Jedna ciągnęła się w lewo i kończyła niewielką stacją benzynową. Jej teren otaczał niski murek z pustaków, który nie powinien stanowić wielkiej przeszkody dla Bailey. Poza tym na stacji zawsze był ruch, więc łatwiej tam się ukryć.

Zerknęłam na Bailey – też przyglądała się stacji benzynowej.

– To nie jest doskonała kryjówka – zauważyłam.

– Z braku laku... – stwierdziła filozoficznie.

– Masz jakąś marynarkę lub płaszcz w samochodzie? – Noc będzie chłodna, podejrzany może się pojawić za parę godzin, jeżeli w ogóle się zjawi. Bailey nie wytrzyma w swoim stroju całej nocy.

– Nie potrzebuję. Na stacji muszą mieć jakąś maszynkę do robienia podłej kawy, którą można się ogrzać.

– To trochę jakbyś chciała się ogrzewać skażoną wodą. Zdradzisz nasz plan, kiedy zaczniesz świecić w ciemnościach – zauważyłam ze złośliwym uśmiechem.

– Zdradzimy się, jeżeli zaraz nie pogasimy świateł w lecznicy – odparła też ze złośliwym uśmiechem. – Idę zająć swoje miejsce. – Jeszcze raz z poważną miną lustrowała teren. – Zostań tutaj przez chwilę, żebyś wiedziała, gdzie będę. Przetawiam komórkę na wibracje. Będę dzwonić do ciebie, powiedzmy, co dziesięć minut, ale ty nie dzwoń do mnie. Nie będziesz wiedziała, czy ktoś stoi koło mnie czy nie. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Machnęłam ręką w stronę drzwi. – Ruszaj.

Uchyliła drzwi i wyjrzała na zewnątrz, upewniając się, że nikogo nie ma w pobliżu. Potem przebiegła przez parking, przeskoczyła murek i dobiegła do stacji benzynowej. Przed nieczynnym już warsztatem naprawczym stało kilka samochodów. Bailey ustawiła się między nimi i spojrzała w moją stronę. Podniosła do góry komórkę. Po paru sekundach usłyszałam sygnał swojego telefonu. Szybko przestawiłam go na wibracje i uruchomiłam.

– Widzę cię. Idę na swoje miejsce.

– Nie zapomnij pozamykać drzwi na klucz i upewnij się, czy wszystkie wejścia są zamknięte. – Rozłączyła się.

Zrobiłam, jak kazała, zgasłam światła i sprawdziłam pokoje. Kiedy doszłam do wejścia, światło paliło się jedynie w recepcji. Poczułam mrowienie w krzyżu. Zatrzymałam się, nasłuchując podejrzanych odgłosów. Wydawało mi się, że coś słyszałam. Rozejrzałam się po

poczekalni, ale nic nie zauważyłam. Zmusiłam się do wyłączenia ostatniej lampy i szybko podeszłam do drzwi frontowych, starając się wyjść niepostrzeżenie. Drzwi wejściowe zamknęłam, jak potrafiłam najciszej. Kiedy zamykałam wszystkie zamki, drżały mi dłonie. Szybko pobiegłam na parking.

Zatrzymałam się na rogu budynku; rozejrzałam wokoło. W okolicznych domach zapalano światła. Stacja benzynowa również rozświetliła się nocnym oświetleniem. Te światła jakoś mnie uspokoiły. Raz jeszcze zerknęłam na stację benzynową i potruchtałam do samochodu Bailey. Nacisnęłam pilota, żeby odblokować zamki, wskoczyłam do środka i wyjechałam na ulicę. Jechałam wolno w stronę dzielnicy Yucca, szukając wolnego miejsca przy chodniku. Wreszcie znalazłam, przy niewielkim budynku upstrzonym graffiti. Zaparkowałam i wyłączyłam silnik. Miałam stąd świetny widok na wejście do lecznicy.

Wcisnęłam się głębiej w siedzenie, starając się być niewidzialna. Miałam jedynie nadzieję, że nikt nie będzie chciał ukraść samochodu. Po chwili moja komórka zawibrowała. Spojrzałam na wyświetlacz, by się upewnić, że dzwoni Bailey.

– Gdzie jesteś? – spytała.

Powiedziałam jej.

– Świetnie. – Rozłączyła się.

Na ulicy zaczynały się zbierać grupki nastolatków. Jedni opierali się o słupki znaków drogowych, inni stawali pod ścianami budynków. Wszyscy byli chudzi, z długimi włosami i z daleka mogli wyglądać jak dziewczyny. Nietrudno mi było wyobrazić sobie Kita czy Dantego w tej scenerii. Takie smutne myśli zaczynały mnie rozpraszać. Przyrzekłam sobie, że muszę w jakiś sposób pomóc Dantemu wydostać się z bagna.

Bailey dzwoniła kontrolnie jeszcze dwukrotnie. Za trzecim razem powiedziała, że idzie na kawę. Ja na jej miejscu byłabym już po piątej kawie i prawdopodobnie zamieniałabym się w sople lodu.

– Wyjdę i cię zastąpię – zaproponowałam.

– Nie ruszaj się. Nie chcę, żeby ktoś widział, jak wysiadasz i wsiadasz do samochodu. Załatwię to szybko.

Wykrzywiłam się do telefonu i rozłączyłam się. Cierpliwe czekanie nie należało do moich najsilniejszych stron. Ani siedzenie w jednym miejscu.

– Dostałam e-maila z laboratorium – oznajmiła za czwartym razem. – Potwierdzają zgodność DNA Staynera z próbką znaną na koszuli Susan.

– Fajnie. – Sama dziwiłam się, jak obojętnie przyjąłam tę informację. Byłyśmy pewne, że gwałtu dopuścił się Stayner, oficjalne potwierdzenie tego nie zrobiło na mnie wrażenia. Teraz przynajmniej można przekazać tę informację Janet i Susan, żeby mogły jakoś się pozbierać do kupy.

Bailey rozłączyła się i dalej gapiłam się na ulicę.

Tak nam mijały kolejne godziny. Regularnie odbierałam telefony od Bailey. Nic się nie działo.

– Muszę wyjść i rozprostować nogi – oświadczyłam za dziewiątym telefonem. – Inaczej zeświruję.

– Przypomnij mi, żebym już nigdy nie zabierała cię na obserwacje – odwarknęła Bailey. – Niech ci będzie. Zastąp mnie. Skocz do toalety.

– Nie śpiesz się.

Rozejrzałam się wokoło, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie obserwuje. Wyglądało, że nikt. Najciszej jak potrafiłam wyszłam z samochodu i zamknęłam drzwi kluczem, żeby uniknąć „bipania” pilota. Potem poszłam wzdłuż budynku lecznicy w stronę parkingu dla pracowników. Pod ścianą

rosło trochę krzaków. Usadawiłam się za największym krzakiem i gapiłam na pusty plac.

Miałam już wracać do samochodu, kiedy odniosłam wrażenie, że coś błysnęło po mojej prawej. Wyglądało jak światło w biurze lecznicy. Ktoś musiał wejść głównym wejściem, kiedy poszłam zastąpić Bailey. Oczywiście. Bardzo się bałam, ale moja ciekawość okazała się silniejsza. Obeszłam budynek i spróbowałam nacisnąć klamkę przy drzwiach wejściowych. Drzwi były otwarte. Ostrożnie weszłam do środka, chociaż serce waliło mi jak młotem.

Przymknęłam lekko drzwi za sobą. Stałam nieruchomo, nasłuchując. Wydawało mi się, że słyszę jakieś dźwięki z pierwszego pokoju lekarskiego, tuż za recepcją. Wyjęłam berettę i odbezpieczyłam. Skradałam się w stronę recepcji. Ostrożnie stawiałam krok za krokiem, aż poczułam, że dotknęłam nogą blatu lady przy recepcji. Będę musiała jakoś przejść górą. Powoli przeszłam na drugą stronę. Odgłos kroków zmierzających w stronę następnego pokoju spowodował, że odruchowo kucnęłam. Kiedy znowu odważyłam się zajrzeć na korytarz, nikogo już nie dostrzegłam.

Przebiegłam, kucając, wzdłuż ściany przez korytarz; zamierzałam zejść tego kogoś, kto wszedł do drugiego pokoju. Wstrzymałam oddech i wolno ruszyłam, trzymając oburącz broń. Czułam, jak krew pulsuje mi w skroniach. W tej samej chwili intruz wyszedł na korytarz. Zdążyłam jedynie zauważyć, że była to kobieta, zanim walnęła mnie olbrzymią torbą. Kucnęłam, zasłaniając głowę ręką. Cokolwiek nosiła w tej torbie, było piekielnie ciężkie. Kiedy się pozbierałam, zobaczyłam, że ucieka korytarzem w stronę biura.

Zaczęłam ją gonić, czując tym razem pulsowanie w uszach. Wpadła do biura. Dobiegłam tam, uderzając z impetem w zamknięte drzwi. Cofnęłam się i walnęłam w nie całym ciałem raz jeszcze. I jeszcze. Za trzecim razem

puściły. Akurat wybiegała tylnymi drzwiami. Rzuciłam się za nią po asfalcie. Uciekała w stronę Yucca Street, gdzie prawdopodobnie zaparkowała samochód. Ruszyłam pędem, starając się nadrobić spóźnienie. Kiedy dobiegłyśmy do chodnika, uświadomiłam sobie, że pozostało mi zaledwie kilka sekund. Przez głupotę spowodowaną desperacją, rzuciłam się na nią długim susem, starając się złapać ją za nogę. Spudłowałam. Ledwo zahaczyłam ją za kostki. Przy okazji zgubiłam pistolet. Potknęła się, ale ja walnęłam na chodnik za nią.

Wyswobodziła jedną stopę i trzasnęła mnie butem w twarz. Potem obróciła się i zaczęła mnie kopać. Szybko i mocno. W piersi i w głowę. Próbowałam utrzymać jej jedną kostkę i odwrócić się na bok, żeby ochronić głowę. Udało jej się jakoś usiąść i okładać mnie pięściami po plecach, po głowie i po ramionach. Gdzie popadnie... Czułam, że zaczynam słabnąć i coraz słabiej trzymam jej nogę. Czułam, że zaraz wstanie. Desperackim rzutem znowu rzuciłam się na jej nogi. Udało mi się znów ją wywrócić. Usłyszałam głośnie sapnięcie, kiedy rabnęła na chodnik. Wciąż oszołomiona wczołgałam jej się na plecy i spostrzegłam, że mocno walnęła głową w chodnik. Z jej czoła lała się krew. Rozglądałam się, szukając swojego pistoletu, bo wiedziałam, że długo jej tak nie utrzymam. Dostrzegłam go za sobą po prawej stronie. Musiałam się odchylić, żeby dosięgnąć. Kiedy wreszcie dotknęłam kolby, kobieta jakoś wciągnęła ręce pod siebie i nagłym wyrzutem strąciła mnie z pleców. Wtedy udało mi się porządnie chwycić pistolet i przytknąć jej do głowy. Znieruchomiała na moment i wtedy zacisnęłam ramię na jej szyi. Docisnęłam lufę do jej głowy i wrzasnęłam:

– Nie ruszaj się!

Przestała walczyć, nawet nie drgnęła. Wreszcie! Byłam poobijana, pokrwawiona i ledwo mogłam oddychać. Co mam teraz zrobić?

Wtedy usłyszałam najwspanialszy głos, jaki mogłam sobie wyobrazić w takiej chwili.

– Mam ją na muszce, Knight. Możesz się położyć – powiedziała Bailey.
– Albo jakoś odreaguj upadek. Jak ci wygodniej.

Ulga rozlała się po całym ciele i adrenalina utrzymująca mnie dotąd przy życiu nagle przestała działać. Poczułam mdłości. Doczołgałam się do najbliższych krzaków i zwymiotowałam. Wszystko, co miałam w żołądku.

Kiedy skończyłam, udało mi się jakoś odwrócić i usiąść, opierając się o ścianę budynku. Spojrzałam na kobietę, którą już skula Bailey. To była Evelyn Durrell. Kierowniczka lecznicy i jak widać, amatorka pornografii.

Bailey uparła się, że zawiezie mnie do szpitala, chociaż wiedziałam, że nic mi nie jest. Lekarze z kolei uparli się, że zrobią prześwietlenie, badania ogólne, a potem szczegółowe. Zagroziłam im sądem. Ostatecznie uznali, że nie mam żadnego złamania ani obrażeń zagrażających życiu i pozwolili iść do domu.

Wzięłam długi i gorący prysznic, wypiłam wielką szklanicę patrón silver^[30] i padłam do łóżka. Przyśniła mi się oczywiście cała walka i pościg ze wszystkimi szczegółami.

Następnego ranka obudziłam się z uczuciem, że przejechał po mnie walec drogowy. Najmniejszy ruch powodował ból w całym ciele. Nie muszę wspominać, że wzięłam dzień wolny. Jednak o tym, co się wydarzyło, mówił już cały sąd. Niedługo po moim telefonie ktoś zapukał do drzwi z wielkim bukietem róż od Erica i reszty kolegów z wydziału wraz z kartką informującą, że mnie doceniają. Napis brzmiał: „Dla Rachel, która przekracza zakres swoich obowiązków oraz wszelkie granice zdrowego rozsądku”. Słodziutkie. Graden przynajmniej pokazał, że mnie zna. Przesłał mi butelkę Russian Standard Platinum Vodka. Również dołączył bilecik z następującą treścią: „Zrób to jeszcze raz, a cofnę twoje pozwolenie na broń”.

Nie umknęło mojej uwadze, że Vanderhorn niczego mi nie przesłał. Zapewne dlatego, że zapuszkowałam pod zarzutem morderstwa jednego z głównych sponsorów jego kampanii. A to była wielka strata.

Toni zakończyła sprawę i miała wolne; suszyła mi głowę. Robiła to z takim zapałem, że kazałam jej iść do drugiego pokoju i oglądać telewizję. Inaczej nie mogłabym niczego załatwić. A miałam mnóstwo telefonów do

wykonania i mnóstwo spraw do sprawdzenia. Bailey również była zajęta i cały dzień wymienialiśmy się e-mailami, porównując notatki.

Następnego dnia pokuśtykałam do wyjścia i starałam się nie opierać o ścianę, czekając na Bailey. Nie miałam nawet jednej części ciała, która nie sprawiałaby mi bólu.

Zajechała pod wejście, a ja ostrożnie wsiadłam do samochodu, starając się przy tym nie stękać zbyt głośno.

– Dobrze wyglądasz – stwierdziła.

– Dzięki. – Próbowałam zachować resztki godności, mimo ciągłego podrażniania moich sińców i opuchlizn.

Evelyn Durrell została przewieziona do więzienia w Hollywood, które było mniejsze i bezpieczniejsze niż inne. Policjantom, którzy ją tu przywieźli, powiedziała, że chce zeznawać. Nasze czterdzieści osiem godzin kończyło się dzisiaj. Znaczyło to, że mam teraz jedyną szansę na wyciągnięcie z niej zeznań.

Kiedy weszliśmy z Bailey do maleńkiego pokoju przesłuchań, Evelyn Durrell już na nas czekała przykuta do krzesła. Z zadowoleniem zauważyłam, że też była zdrowo poobijana. Zerknęłam, czy kamera nagrywa nasze spotkanie, a Bailey odczytała przysługujące jej prawa.

– Ponieważ znaleźliśmy w twojej torbie jonizatory i kamery, nie wywiniesz się od zarzutu rozpowszechniania pornografii – zaczęłam. – Nie umiem w tej chwili powiedzieć, ile zarzutów zostanie ci przedstawionych, ale i tak uzbiera się z tego wiele lat.

Evelyn sama wiedziała, że wpadła w gówno po uszy, ale chciałam jej uświadomić, iż może być jeszcze gorzej.

– Jeżeli uważasz, że jesteś w posiadaniu informacji, które pozwolą ci zawrzeć ze mną układ, lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego – dodałam.

– To jest ważne. – Uniosła głowę i patrzyła mi prosto w oczy.

Robiła wrażenie pewnej siebie. Zobaczymy, co trzymała w zanadrzu.

– Stayner naganiał dla ciebie dzieciaki, prawda? – zaczęłam od rzeczy oczywistych.

– Tak

– Kto pierwszy wpadł na pomysł, żeby wykorzystać lecznicę do robienia dziecięcej pornografii?

– Carl. I tak sprowadzał dzieciaki do kliniki. Rozmawialiśmy o tym. Nigdy nie chciał powiedzieć, po co je tam przyprowadza, ale nie trzeba być geniuszem, żeby dodać dwa plus dwa. Po jakimś czasie zaproponował ten interes z pornografią. Twierdził, że te dzieciaki i tak w tym siedzą, więc nie robi im to żadnej różnicy.

Nawet jeśli to prawda, Evelyn i tak była świadomym współnikiem. Wredne podejście jak na kogoś, kto pracuje z dziećmi.

– A Densmore też w tym siedział?

– Po uszy – odparła gniewnie. – Właśnie dlatego Carl dowiedział się, gdzie mieszka. Densmore zaprosił go, żeby omówić, w jaki sposób zamontować kamery w pozostałych lecznicach.

– Nie kupuję tego. – Pokręciłam głową. – Densmore jest wystarczająco bogaty. Nie interesują go drobne pieniądze. Dlaczego miałyby ryzykować wszystko dla jakiegoś drobnego interesu z tobą i Staynerem?

– Bo jest jednym z nich. Lubi chłopców. – Spojrzała na mnie uważnie. – Nie wiedziała pani? – Wyczułam w jej głosie nutkę triumfu.

Jako prokurator w Los Angeles napatrzyłam się na tyle spraw, że niewiele mogło mnie zaskoczyć. Uznałam jednak, że trzeba drażnić temat.

– Czemu miałabym ci uwierzyć?

– Bo mogę to udowodnić – odparła zadowolona z siebie. – Mam go na taśmie, jak to robi z chłopczykiem w lecznicy w Hollywood.

– Kiedy to było?

– Parę lat temu. Ale proszę mi wierzyć, że dalej to robi. Teraz lubi trochę starszych. Osiemnasto- i dwudziestolatków.

Zamyśliłam się nad jej słowami.

– Masz nagranie Densmore'a uprawiającego miłość z chłopcem?

– Może się pani założyć? – spytała złośliwie.

Chetnie bym jej przyłożyła jeszcze raz.

– To tylko znaczy, że już wtedy miałaś tam zamontowane kamery. Cała sprawa trwa od dawna.

Zadowolony z siebie uśmieszek zniknął nagle z jej twarzy.

– Powiem ci, jak to było – zaczęłam. – Dopisało ci szczęście. Nie miałaś takiego zamiaru, ale udało ci się nagrać Densmore'a. I dostałaś idealny materiał na szantaż. Taki facet jak on, nadziany biznesmen, nie mógł sobie pozwolić, żeby go kojarzono z męskimi prostytutkami. A dla ciebie to była gratka, bo nie musiałaś się obawiać, że wykryje twój interesik. – Odchyliłam się na krześle. – Poza tym mamy już nakaz przeszukania twojego domu. Kiedy znajdziemy to nagranie, z przyjemnością dodam jeszcze zarzut wymuszania do długiej listy zarzutów, które już mam gotowe.

Nie wiedziałam, czy chodziło o wspomnienie o wymuszeniu czy też wzmiankę o nakazie przeszukania domu, ale w coś musiałam trafić, bo mina jej zrzędała. Ciekawiło mnie, czego się spodziewała? Nie była raczej typem zawodowego przestępcy.

Milczała, co zaczynało mnie niepokoić. Postanowiłam mówić dalej, licząc, że wreszcie ją sprowokuję.

– Dlatego nie kupuję twojej historyjki o tym, że Densmore zaprosił Staynera do własnego domu. Powiem ci, co o tym myślę. Sądzę, że to

Stayner wprosił się do domu Densmore'a, żeby go zmusić do umieszczenia kamer w pozostałych lecznicach.

Strzelałam w ciemno, ale sądząc po nagłym grymasie na jej twarzy, musiałam trafić dość blisko. Chociaż wciąż milczała, co nie wróżyło dobrze. Wyjęłam akta, które ze sobą zabrałam, i otworzyłam je. Musiałam sprawdzić notatki, zrobione wczoraj.

– Nie sądzę, żebyś była typem prawdziwego kryminalisty. Przynajmniej nie od początku. – Spojrzałam na nią znad akt. – Pracowałeś dla Densmore'a od dawna. Gdy tylko otworzył lecznicę w Hollywood. To była pierwsza, prawda?

Niechętnie skinęła głową.

– Właśnie. Jeszcze nie miał tych swoich placówek dla bogaczy – powiedziałam, znowu udając, że zaglądam w akta. – A ty jesteś matką samotnie wychowującą nastoletnią córkę. Ma na imię Katie. Więc kiedy Densmore powiedział, że możesz ją zatrudnić do pomocy przy porządkowaniu archiwum, byłaś mu wdzięczna, prawda?

Na wzmiankę o córce twarz Evelyn nagle stężała. Informacje o córce zdobyłyśmy dzięki uprzejmości siostry Sheili, która także zaczynała w lecznicy w Hollywood, pracowała od początku jej istnienia. Kiedy wiedziało się, o co pytać, Sheila okazała się nieocenionym źródłem informacji.

Odnotowałam reakcję Evelyn i spojrzałam na Bailey, która stała oparta o ścianę. Kiwnęła głową i podeszła do stołu. Evelyn spojrzała na nią.

– I kiedy zatrudniłaś Katie, ta nagle zachorowała – powiedziała Bailey. – Zaraziła się zapaleniem wątroby typu C. Zdaje się, że zadurzyła się w jednym z chłopaków pracujących na ulicy, prawda?

Evelyn wyglądała na wstrząśniętą.

– I to on prawdopodobnie ją zaraził – dodała Bailey współczującym tonem.

Pokiwała głową smutnie.

– Zanim zorientowałaś się, co jej dolega, choroba musiała trwać co najmniej rok. Densmore pomógł ci załatwić najnowszą odmianę interferonu, ale ten lek wywołał okropne skutki uboczne u Katie. Wpadła w apatię, zaczęła mieć samobójcze myśli. I wtedy zdecydowałaś się na medycynę alternatywną, która miała sprawiać cuda. A to jest bardzo drogie...

– I żaden nie zadziałał! – warknęła Evelyn z wściekłością.

– A Katie wciąż choruje. – Bailey pokiwała głową – Z tego co wiem, może nawet umrzeć na raka wątroby. A wszystko dlatego, że zaczęłaś pracować w tej lecznicy. – Zamilkła na moment. – Bez lecznicy w Hollywood Katie byłaby zdrowa, prawda?

Evelyn zachowała kamienną twarz, ale czułam, że w środku zaczyna się gotować z wściekłości. Zerknęłam na Bailey, która kiwnęła głową i przejęłam rozmowę.

– A tymczasem Densmore obnosił się ze swoją piękną córeczką Susan, która nigdy nie musiała pracować, a już na pewno nie w takim miejscu. I wtedy Stayner zaproponował ci sposób na zarobienie pieniędzy, których tak potrzebowałaś. Jednocześnie mogłaś się odegrać na doktorze.

Wyprostowała się, a jej policzki stały się czerwone ze złości.

– Każdy zrobi wszystko, kiedy widzi, jak męczy się jego dziecko. Poza tym Carl miał rację. Żadnego z tych dzieciaków do niczego nie zmuszaliśmy. I tak tkwiły w tym po uszy.

Nie byłam matką. Nie miałam pojęcia, co zrobiłabym w takiej sytuacji. Evelyn tymczasem się rozgadała.

– Wszystko byłoby w porządku, gdyby Carl nie stał się chciwy. Niepotrzebnie chciał zmusić Densmore'a do zamontowania dodatkowych kamer. Mówiłam mu, żeby odpuścił, ale nie chciał mnie słuchać! Jak zwykle! – wybuchnęła wreszcie gniewem, ale zaraz się opanowała. Dostrzegłam w niej nawet cień wyrzutów sumienia. – I jeszcze dupiek musiał tam poleźć i zgwałcić córkę Densmore'a.

Czułam, że mamy przełom. Pozwoliłam przez chwilę panować ciszy po jej ostatnim stwierdzeniu i drążyłam dalej.

– Gdzie byłeś tej nocy, kiedy zabito Kita?

Oczy Evelyn zaczęły biegać ode mnie do Bailey. Oblizwała wargi i widziałam, że zaschło jej nagle w gardle. Jeżeli nie pęknie teraz, byłam ugotowana. Powietrze wibrowało napięciem panującym w pokoju. Usiłowałam oddychać normalnie, czekałam w milczeniu na jej reakcję.

– To był Stayner – odpowiedziała wreszcie.

Pozwoliłam, żeby jej słowa zawisły w powietrzu i specjalnie powstrzymałam się od jakichkolwiek komentarzy. Dawno już zauważyłam, że cisza jest najlepszym śledczym. Tym razem również to zadziałało.

– Kit znalazł przypadkiem w sieci swoje zdjęcie i skojarzył, gdzie zostało zrobione. Próbował tym szantażować Staynera. – Pokręciła głową, jakby dziwiąc się takiemu szaleństwu. – Nie miałam pojęcia, że zamierza zabić tego dzieciaka.

Bailey zerknęła na mnie i usiadła.

– Zawsze łatwo wszystko rzucić na trupa – powiedziałam. – Jeżeli chcesz sobie pomóc, to musisz dać mi jakiś dowód, że faktycznie zrobił to Stayner.

Milczała bardzo długo, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wreszcie spojrzała na ścianę i stwierdziła:

– Mogę wam powiedzieć, dlaczego zginął ten prokurator.

Poczułam mdłości ze zdenerwowania. Nie byłam pewna, czy naprawdę chcę usłyszeć to, co ma nam do powiedzenia. Chociaż wiedziałam, że muszę wreszcie dowiedzieć się, jak to było. Miałam tylko nadzieję, że cokolwiek powie, to będzie prawda.

– Kit przechwalał się, że ma zaprzyjaźnionego prokuratora. Mówił, że facet pomaga mu od dawna i że będzie czekał na dole przed wejściem do motelu. Musiał myśleć, że przestraszy tym Carla, który po prostu da mu pieniądze i sobie pójdzie. Carl nie kupił tego. Uważał, że dzieciak wciska mu ciemnotę. Pomylił się. Prokurator naprawdę czekał na dole. Gdyby Carl się nie spóźnił, nie miałyby to znaczenia. A tak, zanim załatwił dzieciaka, prokurator zaczął się niecierpliwić i wszedł na górę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Kiedy zapukał do pokoju, Carl nie miał już wyjścia. Poza tym nie wiedział, co mały naopowiadał prokuratorowi. – Evelyn westchnęła ciężko. – Carl nie miał wyjścia. Nie mógł go zostawić przy życiu. – Znow westchnęła ciężko i zamilkła.

– Więc Stayner wpuścił prokuratora do pokoju, zastrzelił go, a potem upozorował wszystko na morderstwo z samobójstwem? – dociekała Bailey.

– Sprawdźcie telefon komórkowy prokuratora. – Evelyn pokiwała głową. – Założę się, że znajdziecie informację o tym, że Kit dzwonił do niego tego dnia, umawiając się na spotkanie.

Musiałam walczyć z emocjami. Ulga mieszała się z żalem. Jake zostanie oczyszczony, ale trudno mi było pogodzić się z myślą, że zwykła grzeczność i chęć pomocy mogła doprowadzić do jego śmierci. Zeznanie Evelyn nie tłumaczyło do końca relacji, jakie miał Jake z Kitem. Musiałam przyznać sama przed sobą, że tego możemy się nigdy nie dowiedzieć. Zmusiłam się do odłożenia moich rozterek na bok i kontynuowania przesłuchania.

– Skoro Stayner nie spodziewał się wizyty Jake'a, to jakim cudem wziął zdjęcie Kita, które potem mu podrzucił? – spytałam celowo sceptycznym tonem.

– Powiedziałam Carlowi, żeby kazał Kitowi je przynieść. Chciałam sprawdzić, w jaki sposób Kit doszedł do tego, że zrobiono je w naszej lecznicy. Jeżeli Kit mógł na to wpaść, to inni również mogli. Nie chciałam następnych szantażystów.

Poza tobą, pomyślałam. Niestety, Evelyn nie dostrzegła paradoksu takiej sytuacji. Ale mnie to wystarczyło. Nadszedł moment na wielki finał.

– Dobra. Mogę to kupić – stwierdziłam, wzruszając ramionami. – Ale to nie jest dowód, że Stayner zabił ich obu. Gdzie byłaś tego wieczoru?

Rozpoczęła przedstawienie mające pokazać nam, że stara się przypomnieć sobie wszystko.

– Chyba w którejś lecznicy. W Hollywood.

– Do której?

– Wychodziłam ostatnia i chyba zamknęłam wszystko o dziewiętnastej trzydzieści.

Wygodne alibi. Morderstwa popełniono o siedemnastej trzydzieści. Sprytne. Nikt nie stemplował kart obecności w lecznicach. Jeżeli Evelyn była w niej sama, nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Był tylko jeden problem.

– Billing telefonu Staynera wskazuje na rozmowy z okolicy Santa Monica. To ponad dwadzieścia kilometrów od motelu. – Zamilkłam, czekając na reakcję Evelyn. Uprzejmie spełniła moje oczekiwania.

– Co nie znaczy, że miał komórkę ze sobą – stwierdziła. – Mógł ją komuś pożyczyć.

– Ale tego nie zrobił – odparłam. – Mamy zdjęcia z kamer ulicznych, na których jedzie w kierunku California Avenue. Około siedemnastej trzydzieści. Nie ma sposobu, żeby w tym samym czasie mógł zabić Kita i

Jake'a. O tej porze dojazd z Santa Monica do centrum zajmuje minimum godzinę.

Evelyn pobladła gwałtownie, miałam wrażenie, że zaraz zemdleje. Wpatrywała się bezmyślnie w blat stołu, w miarę jak moje słowa do niej docierały.

– Poza tym – dodałam – nie mogłaś wiedzieć o wszystkich szczegółach tych morderstw, jeżeli to nie ty byłaś sprawcą.

– Evelyn Durrell – odezwała się Bailey – jesteś aresztowana pod zarzutem zamordowania Jake'a Pahlmeyera i Kita Chalmersa.

Po tym stwierdzeniu wyszliśmy z pokoju.

[30] Patrón Silver – marka luksusowej tequilli (przyp. tłum.).

EPILOG

Przygotowałam dwa akty oskarżenia o morderstwo przeciw Evelyn. Wciąż podliczałyśmy zarzuty w sprawie dziecięcej pornografii. Jeżeli przysięgli prawidłowo zajmą się sprawą, powinna dostać dożywocie bez prawa wcześniejszego zwolnienia. Co się tyczy Densmore'a, zgodziłyśmy się z Bailey, że nie miał pojęcia o morderstwie Jake'a i Kita ani o tym, co się dzieje w jego klinice. Mimo że kocha swoją córkę, nie naciskałby tak bardzo na nas, gdyby wiedział, że może to ujawnić jego interesy związane z dziecięcą pornografią. W sprawie Staynera sądził prawdopodobnie, że nic się nie wyda. I prawie mu się udało.

Sporządziłam przeciw niemu kilka aktów oskarżenia o współudział w rozpowszechnianiu dziecięcej pornografii i jeden akt oskarżenia o morderstwo pierwszego stopnia z uwzględnieniem okoliczności łagodzących. Nie byłabym zaskoczona, gdyby ława przysięgłych odrzuciła oskarżenia o pornografię, a zamiast morderstwa pierwszego stopnia uznała morderstwo drugiego stopnia lub nawet napad ze skutkiem śmiertelnym. Przysięgłym podobają się czujni rodzice. Nawet jeśli są egoistycznymi świrami. Ale nawet jeżeli przekona przysięgłych, to i tak będzie musiał żyć ze świadomością, że jego praca w lecznicach miała związek ze zgwałceniem córki.

Postawienie Densmore'a w stan oskarżenia nie należało do rzeczy przyjemnych. Tego ranka w sądzie było tłoczno, media wykazały wyjątkowe zainteresowanie sprawą. Chciałam mieć to jak najszybciej za sobą, ale zanim sędzia wywołał na wokandę moją sprawę, na sali rozpraw było więcej dziennikarzy niż prawników. Odczytałam zarzuty, a prawnik Densmore'a – jakiś facet z Nowego Jorku, którego nie znałam – złożył oświadczenie o niewinności swojego klienta. Ustaliliśmy termin wstępnego

przesłuchania. Wszystko trwało zaledwie parę minut. Zbierałam swoje akta powoli, żeby uniknąć spotkania z dziennikarzami. Kiedy uznałam, że jest już bezpiecznie, odwróciłam się i zauważyłam w głębi sali Janet i Susan rozmawiające z adwokatem. Właściwie słuchały tego, co im mówi.

Szłam między ławkami w ich stronę, nie bardzo wiedząc, co mam im powiedzieć. Było mi przykro, że po niedawnych traumatycznych przeżyciach czekają je nie mniej bolesne. Kiedy byłam niedaleko, zauważyły mnie. Zatrzymałam się.

– Susan. Janet. Tak mi przykro.

Chciałam im powiedzieć, iż nigdy nie myślałam, że sprawy tak się potoczą. Że gdybym tylko mogła, zapomniałabym o wszystkim. Że nie miałam wyboru i musiałam wykonywać swoją pracę. Ale wiedziałam, że to na nic się nie zda. Susan ponuro patrzyła w podłogę. Janet spojrzała na mnie zimno i odwróciła się plecami. Wyszłam na korytarz.

Susan wiedziała jedynie, że złamałam życie jej ojcu. I prawdopodobnie będzie myśleć, iż to wszystko stało się dlatego, że powiedziała rodzicom o gwałcie. Będzie pewnie obwiniała siebie, mnie i wszystkich z wyjątkiem Densmore'a. Chociaż może pewnego dnia stanie się na tyle silna, żeby zrozumieć, kto był prawdziwym winowajcą.

To oskarżenie zaowocowało jednak przynajmniej jedną pozytywną sprawą. Następnego dnia, kiedy wszystkie stacje podały tę informację, zadzwoniła do mnie Olivia Horner, zastępcza matka Kita.

– Mam coś, o czym powinna pani wiedzieć – oznajmiła.

– Chce pani, żebym przyjechała? – spytałam zaciekawiona.

– Nie.

Słyszałam grający w tle telewizor, ale żadnych krzyków niemowlaków. Prawdopodobnie najmłodszy dzieciak został adaptowany.

– Mam teraz takiego piętnastolatka. Nazywa się Adam – ciągnęła.– Kiedyś zauważył zdjęcie Kita, które trzymam w portfelu, i okazało się, że go znał. Razem chodzili na zajęcia. – Przerwała. W tle ktoś mówił ściszym głosem. To była chyba Janzy. – Proszę chwilę poczekać – usłyszałam wreszcie w słuchawce.

Telefon wydał pisk, kiedy ktoś rzucił go na coś twardego, a ja czekałam zniecierpliwiona. O co tu chodziło?

– Przepraszam – usłyszałam po kilku minutach.

– Nie ma sprawy. Więc Adam znał Kita – przypomniałam.

– No, wczoraj oglądaliśmy panią w telewizji razem z Adamem, a potem w wiadomościach pokazywali zdjęcie Jake'a.

Jake. Usiadłam, przyciskając telefon do ucha. Nastawiłam się na najgorsze. Olivia mówiła dalej, a ja pocierałam sobie skronie, które nagle zaczęły mnie potwornie boleć.

– Adam znał Jake'a. Twierdzi, że sporo dzieciaków ze szkoły go znało. Jake powtarzał im zawsze, że szkoła jest najważniejsza i że powinni unikać kłopotów i szanować siebie. Przynosił im ubrania i książki. Niektórym nawet załatwiał korepetycje, żeby mogli zdać maturę.

– Czyli Jake był... – zaczęłam drżącym głosem.

– Czymś w rodzaju ich anioła stróża, z tego co słyszę. Wiem, że był pani przyjacielem. Pomyślałam więc, że zechce pani o tym wiedzieć.

– Olivio. Nie potrafię nawet wyrazić, co to dla mnie znaczy – powiedziałam, starając się panować nad emocjami.

Nie mogłam jej niczego powiedzieć. Nie wiedziała przecież, jakie były podejrzenia wobec Jake'a i Kita.

Poczułam ulgę i jednocześnie wyrzuty sumienia, że kiedykolwiek mogłam zwątpić w Jake'a, i tym razem pozwoliłam popłynąć łzom. Udało mi się opanować na tyle, że zapytałam prawie normalnym głosem:

– Sądzisz, że Adam zgodzi się rozmawiać z kimś innym na temat Jake'a?

– A czemu miałyby nie chcieć?

Natychmiast zadzwoniłam do Jennifer; kompletnie się rozkleiła, gdy jej wszystko opowiedziałam. Kiedy wreszcie się pozbierała, zasugerowałam, że może dowiedzieć się więcej z pierwszej ręki, na co ochno przystała. Zaaranżowałam jej spotkanie z Adamem na lunchu. Na mój koszt.

Minęło kilka tygodni i wreszcie ślady mojej bójkę z Evelyn zaczynały znikać. Najgorsze siniaki i obtarcia zbladły, mogłam wreszcie odstawić najmocniejszy podkład.

Graden zasugerował, że skoro udało mi się zamknąć własną sprawę i jego sprawę, to może pozwolę mu wreszcie postawić sobie kolację. Uznałam, że mogę na to przystać. Potem doszliśmy do wniosku, że właściwie można by z tego zrobić przyjęcie. I dzisiejszego wieczoru wszyscy mieliśmy się spotkać w barze na dachu Standard Hotel na wielkim przyjęciu.

Graden miał zabrać po drodze Toni, Bailey i mnie z Biltmore o dziewiętnastej trzydzieści. J.D. i Drew mieli spotkać się z nami w barze. Została jeszcze godzina, więc zadzwoniłam po Toni i Bailey, pytając, czy nie mają ochoty na drinka u mnie, zanim przyjedzie po nas Graden. Zgodziły się, zanim zdążyłam dokończyć zdanie.

Za piętnaście siódma Bailey zadzwoniła z baru. Kiedy dotarłam na dół, już na mnie czekały wraz z gotowym martini na stole.

– Chyba należy ci się za to podręcznikowe zatrzymanie Evelyn Durrell – stwierdziła Bailey ze złośliwym uśmieszkiem.

Wypiłam łyczek martini i udałam, że nic nie słyszałam.

– Właściwie to jak się nazywa ten chwyt, który zastosowałaś? – spytała.

– Co właściwie chciałaś zrobić? – Toni zachłystywała się ze śmiechu. – Myślałaś, że podda się z litości?

Spojrzałam na nią z mordem w oczach, potem tak samo na Bailey.

– I tak będziecie się ze mnie śmiać miesiącami. Cokolwiek bym powiedziała. *Gracias*.

– To był chyba blok w locie. – Bailey parsknęła śmiechem.

Dalej sączyłam martini i udawałam, że jej nie słyszę.

– Przynajmniej nie uszkodziłaś parkometrów.

Wciąż udawałam, że jej nie słyszę.

Spojrzałam na Toni, która olśniewała błyszczącym szalem i kolekcją lśniących bransoletek.

– I to wszystko dla Wysokiego Sądu? – spytałam. – Nie przesadzasz?

– Nie mogłam już dłużej znosić tego barachła – oświadczyła. – Dzisiejszej nocy chcę się nacieszyć sobą po tych tygodniach ubierania się w zgrzebne, ohydne garniturki.

Toni nigdy nie włożyła nic, co można by nawet po ciemku uznać za zgrzebne i ohydne. Spieranie się z nią na ten temat nie miało jednak najmniejszego sensu.

– Zapomniałam ci powiedzieć – wtrąciła Bailey. – Znalazłam warsztat, który może odkupić twój samochód. Obiecałam, że prześlę mu kilka zdjęć, żeby mógł się zorientować, ile jest warty. Którą mamy godzinę?

– Dziewiętnasta. – Zerknęłam na wyświetlacz komórki. – Zdążymy, jeśli zaraz zejdziemy do garażu.

– To chodźmy.

– Załatwmy to naprawdę piorunem. Inaczej szlag mnie trafi, jeśli znowu będę musiała oglądać te bazgroły. – Pociągnęłam naprawdę wielki łyk martini.

– Nie obrazicie się, jeżeli spotkam się z wami przed hotelem? – Toni pokazała nam dziesięciocentymetrowe obcasy w najmodniejszych sandałach. – W czymś takim wolałabym ograniczyć przechadzki do minimum.

– Spotkamy się za pięć minut, słodka Scarlett – zgodziła się Bailey.

Zjechałyśmy windą do garażu. Kiedy dotarłyśmy do mojego miejsca parkingowego, okazało się, że mój samochód zniknął.

– Niech to szlag trafi.

– Kiedy ostatni raz widziałaś swój wóz?

– Kiedy zgłaszałam szkody. Może to nie to miejsce?

Obeszłyśmy cały parking bez najmniejszego rezultatu. Byłam wściekła, sfrustrowana i rozgoryczona. I w takim stanie wyszłyśmy z hotelu.

– Nie przejmuj się tak – pocieszała mnie Bailey. – Ubezpieczenie i tak pokryje straty. Poza tym ten grat wyglądał potwornie.

– Ale tam były moje rzeczy. Płyty CD, zdjęcia i wszystko! Gdzie, do diabła, jest Raffi?!

Wyszłyśmy na zewnątrz i ruszyłam od razu do stanowiska bagażowych. Spotkałyśmy tam Toni.

– Nie uwierzysz, gdy ci powiem. Rąbnęli mi samochód.

Chciała mi coś odpowiedzieć, kiedy nagle rozległ się dudniący bas nastawionych na cały regulator głośników samochodowych.

Granatowy samochód dudniący rapem skręcał właśnie z Grand Avenue na podjazd hotelowy. Z okna przy kierowcy wychyliła się czyjaś dłoń i zaczęła do nas machać, a za dłonią pojawiła się uśmiechnięta twarz Luisa Revelo. Samochód zatrzymał się tuż przede mną.

– *Hola*^[31]!, pani prokurator – przywitał się uprzejmie.

– Luis?! Co ty tu robisz? – Wciąż byłam wkurzona, ale jego widok sprawił mi przyjemność.

– A niby co mam robić, proszę pani? Odstawiam pani brykę!

Spojrzałam na samochód i zadrzałam z wrażenia. To miał być mój samochód?

– Żartujesz?!

– Gdzież bym śmiał, proszę pani! – Wyszedł na zewnątrz i otworzył drzwiczki od strony kierowcy. – Proszę siadać. Teraz ma pani w nim wszystko co trzeba. Nie jak dawniej. Nawet dodałem porządne głośniki...

– Słyszałam. – Nie mogłam opanować śmiechu.

– No dalej! Siadaj! – zgodnie poparły go Toni i Bailey.

– Wiedziałyście!!!

– Z tego co dowiedziałam się od Luisa – powiedziała Bailey – będziesz zachwycona zmianami.

Luis przytrzymał mi elegancko drzwi, a kiedy usiadłam, zamknął je delikatnie. Chciałam mu wreszcie podziękować, ale już biegł na drugą stronę ulicy. Miał jakieś interesy do załatwienia. Im mniej wiedziałam na ten temat, tym lepiej.

Kiwnęłam na Toni i Bailey, żeby też wsiadły i podałam Bailey swoją komórkę.

– Zadzwoń do Gradena – poprosiłam. – Powiedz mu, że dzisiaj ja prowadzę.

[31] *Hola* (hiszp.) – cześć (przyp tłum.).

PODZIĘKOWANIA

Książka ta nigdy by nie powstała, gdyby nie wsparcie, porady i hart ducha Cathy LePard – wspaniałej pisarki, pięknej kobiety i zbawczyni. Moja wdzięczność, miłość i podziw dla niej są bezgraniczne. Jesteś moim aniołem.

Ciężka praca nie zawsze kończy się sukcesem. Niekiedy potrzeba łutu szczęścia. Ja miałam niesamowite szczęście spotkać na swojej drodze Dana Conawaya – najlepszego agenta na całym świecie. Jego geniusz przeniósł mnie w inny wymiar literacki, a jego wdzięk, inteligencja i ciepło zamieniły ten proces edukacji we wspaniałą przygodę. Wdzięczność moja należy się również Stephenowi Barrowi, niezmordowanemu i wspaniałemu asystentowi, który zawsze tryskał radością. Tworzycie wspaniały zespół! Nie sposób was nie kochać.

Redaktorze naczelnej Judy Clain i wydawcy Michaelowi Pietsch należą się moje niezmiernie i niekończące się podziękowania za to, że uwierzyli w tę książkę. Współpraca z Wami była takim zaszczytem i przeżyciem, że prawie zaniemówiłam. A jakby tego było mało, praca ta była absolutną przyjemnością. Jesteście moimi gwiazdami. Naprawdę. Specjalne podziękowania należą się cudownemu, ciężko pracującemu sekretarzowi redakcji Nathanowi Rostronowi, który pilnował, żeby wszystko działało się bez zgrzytów. Osobne słowa uznania należą się starszej redaktorze Karen Landry – wspaniała robota! Dzięki!

Dziękuję również Maryllyn Holmes, której czujne oko nie przepuści żadnego błędu.

Specjalne podziękowania należą się wspaniałym ludziom z wydawnictwa Mulholland Books – wasz spryt, kreatywność i zdolność do

znajdywania rozwiązań każdego problemu wprawiają mnie w podziw. Posiadacie rzadki i wielki dar!

Szczególnie pragnę podziękować mojemu przyjacielowi Lynnowi Reed Baradonowi za to, że potrafił wprawić to wszystko w ruch – nie wiem, jakim cudem ci się to udaje, Lynn, ale zawsze jesteś przy mnie we właściwej chwili. Magia takiej przyjaźni nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Jesteś boski.

Bardzo dziękuję również Katharine Weber. Twoje rady, pomoc i uwagi były nieocenione przy powstawaniu tej książki. Wspaniale się z Tobą pracuje.

Dziękuję również Hynndie Wali, mojej przyjaciółce, która cierpliwie mnie wysłuchiwała, mądrze doradzała i zmagala się z moimi wątpliwościami. Nie obiecuję, że więcej nie będę Ci już zwracać głowy, ale mogę obiecać, że sama zapłacę za wszystkie drinki. Dzięki za to, że zawsze byłaś przy mnie, kiedy Cię potrzebowałam.

Tytuł oryginału

GUILT BY ASSOCIATION

Copyright © 2011 by Marcia Clark

All rights reserved

Projekt okładki i zdjęcia na okładce

© Magda Kuc

<http://www.magdakuc.blogspot.com>

Modelka na okładce

© Róża Oremek

Redaktor prowadzący

Katarzyna Rudzka

Redakcja

Lucyna Łuczyńska

Korekta

Mariola Będkowska

ISBN 978-83-7839-320-7

Warszawa 2011

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

www.woblink.com